

Laureat Nagrody Bookera
Autor światowego bestsellera *Ścieżki Północy* –
Książki Roku „Z najwyższej półki” w radiowej Trójce

RICHARD FLANAGAN

KLAŚNIĘCIE JEDNEJ DŁONI

**ZNIEWALAJĄCA, ROBIĄCA OGROMNE
WRAŻENIE POWIEŚĆ...**

„THE TIMES”



**KLAŚNIĘCIE
JEDNEJ DŁONI**



RICHARD FLANAGAN

**KLAŚNIĘCIE
JEDNEJ DŁONI**

Przełożył
Robert Sudół

Wydawnictwo Literackie

Dla
Archiego Flanagana
Helen Flanagan
Antona Smoleja

Wybaczcie niedociągnięcia,
przecież opowiadam
z miłością.

Sarajewo 1946

Tutaj, podobnie jak w Belgradzie, widzę na ulicach sporo siwiejących lub całkiem osiwiałych młodych kobiet. Twarze mają udręczone, ale wciąż młode, a ich sylwetki jeszcze wyraźniej zdradzają młody wiek. Zdaje mi się, że widzę, jak ostatnia wojna przeciągnęła ręką po głowach tych kruchych istot (...).

Tego widoku nie sposób zachować dla przyszłości: głowy te wkrótce posiwieją jeszcze bardziej i przepadną. Żal. Wobec przyszłych pokoleń nic nie świadczyłoby dobitniej o naszych czasach niż te siwe młode głowy, którym skradziono bez troskę młodości.

Niech przynajmniej znajdą upamiętnienie w tych kilku słowach.

Ivo Andrić

ROZDZIAŁ 1

1954

Wszystko zrozumiesz, choć nigdy tego nie przeżyjesz, a wydarzyło się to dawno, dawno temu w świecie, który szeszył potem w torfie, w zapomnianej zimie na wyspie, o której niewiele słyszało. Zaczęło się przed tą porą, kiedy śnieg całkowicie i nieodwołalnie pokrywa ślady tak, jak czarne chmury przesłaniają gwiazdy i rozświetlone księżycem niebo, jak najgęściejszy mrok otula szepczącą krainę.

Dokładnie w tej chwili, w której czas się przełamał, Maria Buloh zeszła w bordowych botkach na najniższy z trzech ośnieżonych schodków przed drzwiami drewnianej chaty. Wtedy właśnie, odwracając twarz od wejścia, zdała sobie sprawę, że zabrnęła za daleko i już nie ma odwrotu.

Niektórzy mówią, że tej nocy wywiała ją z miasteczka wściekła śnieżycą; że porwało ją wezbrane huraganowe tchnienie burzy, unosząc niczym anioła w pobliski las; że pofrunęła jak zjawa na dzikie ziemie leżące poza igłą kompasu wokół tego miejsca, które paliło jak świeża rana postrzałowa w ciele.

Naturalnie było inaczej.

Niektórzy mówią nawet, że zamieniła się w wiatr, że stała się wichrem urągającym im wszystkim. Lecz takiej straszliwej nawałnicy nie sposób dosiąść jak we śnie. Można się tylko na nią przygotować, i to właśnie zrobiła Maria Buloh, bo wbrew temu, co ludzie mówią, była kobietą rozsądną, nie lekkomyślną. Przyszykowała się na wiatr, jakby był murem, który w każdej chwili może na nią runąć, opatuliła się szkarłatnym paltem, złachanym szkarłatnym paltem szczelniej owinęła drobne ciało. Ale nawet ten gest wyprzedza bieg wydarzeń, albowiem wiatr zaczął dąć dopiero wtedy, gdy dotarła do rogatek osady. Aby dojść do tego miejsca, musiała pokonać spory kawałek drogi.

— Mamo! — usłyszała Maria Buloh głos małej dziewczynki dochodzący z chaty. I znowu, bardziej kwilenie niż wołanie: — Mamo.

Maria Buloh zastygła na schodku, patrząc wszędzie dokoła, byle nie na chatę za plecami, pragnąc uspokoić porzucone dziecko. Spojrzała na swoje bordowe botki, spojrzała na piękne ślady, które te znoszone buty odcisnęły w świeżym śniegu, zobaczyła, że na dwóch wyższych stopniach wgłębienia już zaczynają niknąć, i zaczęła dumać nad naturą piękna, nad tym, jak niewiele czasu ma to, co dobre, zanim zostanie wymazane.

— Aja, aja — powiedziała, próbując uciszyć dziewczynkę słowami, którymi matki w jej ojczyźnie zawsze kołyszą dzieci do snu. — Aja, aja.

Odeszła, nie oglądając się ani razu za siebie, w stronę chaty; jej spojrzenie pobiegło ku górze, powędrowało za bezładne skupisko domów w głąb ciemnego lasu. Popatrzyła na nocną czerń nad głową. Popatrzyła na śnieg spadający w objęcia różków elektrycznego żółtego światła. Obserwowała tumany sunące ku wschodowi. I białe płatki kotłujące się, wirujące w powietrzu, jakby były czasem, który upływa nie jednostajnie, lecz zrywami. Maria Buloh patrzyła na padający śnieg, dowodzący teraz, że powietrze nigdy nie zastyga, że składa się z nieskończonych kolistych powikłań, zawiera niewyczerpaną możliwość niewyjaśnionych zwiewnych poruszeń.

W tamtej chwili miała wrażenie, że obserwuje cały świat, nie wyłączając siebie, jakby siedziała w kinie, a wszystko było planem filmowym. Tak rozmyślając, nie słyszała odległego wołania córeczki płaczącej za nią w chacie, z której przed chwilą wyszła. Dziwne odgłosy. Odgłosy, których nie chciała słyszeć.

— Mamo! — krzyknęło dziecko, ale matka pozostała głucha.

— Aja, aja — rzekła tylko Maria Buloh, choć czy słowa te skierowała do córki, do siebie, czy do kogokolwiek innego, tego nie sposób stwierdzić, bo była już daleko od chaty, a śnieg tłumił wszystkie odgłosy. — Aja, aja.

Patrzyła dalej: na nowo, jakby nic nie miało z nią związku. Widziała, że czarno-białą scenerię rozjaśniają czyste elektryczne światła ciągnące się w rozstępie między domami, że po obu stronach znajdują się toporne chaty zbite z pionowych desek, z kominami i dachami z blachy falistej, i że w niejednym mieszkańcu budzi to bolesne

wspomnienie obozów pracy przymusowej na Uralu i Syberii. Ale wiedziała, że to nie jest Związek Radziecki Stalina. Że to nie Kołyma ani Goli otok, ani Birkenau. Wiedziała, że to nawet nie Europa Wschodnia, tylko zasypane śniegiem obozowisko robotników budujących hydroelektrownię zwane Butlers Gorge, zagnieżdżone jak wrzód w dziewiczych lasach deszczowych.

W tej krainie bezkresnej przestrzeni budowano chaty ściana przy ścianie, jakby domy też kuliły się w rozdygotanych skupiskach przed mocą, naporem i milczeniem tego, co nieznanie i co być może nawet okaże się łaskawe, być może w ogóle nie interesuje się ludźmi, ale czego ich własne straszliwe losy — odwieczne kroniki powtarzanego nieludzkiego barbarzyństwa — przywiezione wraz z kilkoma serwetkami z koronki, pomiętymi fotografiami, dziwnymi obyczajami i osobliwymi kulinariami, pozwalały jedynie się lękać.

Albowiem nie odczuwać lęku oznaczało wyobrazić sobie świat inny od własnych przeżyć.

A to było ponad ich siły.

Robotnicy musieli mieszkać w przygarbionych zagrodach, bo na tych wyżynnych terenach na odległej wyspie Tasmania, położonej daleko od odległej Australii, nie było żadnej innej ludzkiej osady w promieniu wielu kilometrów. Były tylko dzikie rzeki i jeszcze dziksze górskie granie i wszechobecne lasy deszczowe, które swoje władanie nad tą ziemią cedowały wyłącznie na nieliczne równiny porośnięte aga-stachysem lub, w wyższych partiach, alpejskie wrzosowiska.

Oto co zobaczyła.

Nie usłyszała zaś absolutnie nic.

Był to czas na początku wielkiego boomu na zapory wodne. Czas, kiedy nowi Australijczycy przybywali do takich dzikich zakątków, żeby harować niewolniczo przy tamach, bo praca w miastach — którą woleliby wykonywać — zarezerwowana była dla starych Australijczyków. Ale Maria Buloh, żona Bojana Buloha, matka Sonji Buloh, nie przybywała do Butlers Gorge.

Ona odchodziła.

Na zawsze.

Szła więc dalej pustą ulicą, młoda kobieta w starym palcie, niosąca

małą tekturową walizkę, ślady jej stóp rozpoławiające zasypany śniegiem posepny, zgorzkniały obóz, jej sylwetka już zatracająca ziemskie kształty w gęstwinie spadających płatków.

Całun ciszy, którym śnieżycą przydusiła osadę, przerwało narastające dudnienie małego silnika. Rozrzedzone smugi żółtego światła z pojedynczego reflektora utworzyły w nawiewanym śniegu kałużę koloru moczu. A potem w białej nicości zmaterializował się przygarbiony mężczyzna na motocyklu z pustym koszem, sunący w kierunku Marii Buloh. Rozpędzony, minął ją, po czym, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów, zwolnił, skręcił w prawo i zatrzymał się z poślizgiem przed kantyną. Maria Buloh przystanąła, odwróciła się i patrzyła.

Przed wejściem do kantyny, czyli właściwie przed dwuskrzydłowymi drzwiami skleconymi byle jak z deszczulek, zobaczyła kilkanaście kobiet stłoczonych wokół buzującego koksownika z beczki po ropie, przedkładających wspólnotę w takich warunkach nad samotność w ciepłe. Ich odzież składała się z kuriozalnej pstrokatej zbieraniny letnich sukienek i zimowych palt oraz różnorodnej kolekcji egzotycznych nakryć głowy — kilku beretów, jednego kapelusza wojskowego, dwóch słomianych i czapek z wełny we wszystkich kolorach tęczy. Jedne kobiety stały, inne siedziały na beczkach po piwie w półkolu przed wejściem, rozmawiając i pijąc piwo wynoszone im przez mężów, narzeczonych i flirciarzy z kantyny zarezerwowanej tylko dla mężczyzn. Kiedy drzwi się otwierały, aby przepuścić wchodzącego lub wychodzącego, opary plotek, urywki pikantnych opowieści, śmiech i trzask rozbijanego szkła wylewały się falą na kobiety i główną ulicę.

Postać w skórzanej kurtce i kasku zsiadła z motocykla i, świadoma swego popisowego przybycia, przemaszerowała obok kobiet do kantyny. Uwagę gromady przy koksowniku natychmiast przyciągnęła ta nowa barwna sylwetka. Z zatłoczonego wnętrza dobiegł dudniący głos:

— Nazywam się Erie Preston! Jestem aktywistą Australijskiego Związku Robotników. Przyjechałem załatwić problem z uchodźcami. Kto ich reprezentuje?

Zaraz potem jego władczy głos zagłuszyła wrzawa różnych języków, towarzysząca zapijaniu przeszłości, a zainteresowanie kobiet

przeniosło się na samotną postać odchodzącą nocą z walizką z tej zapomnianej przez Boga osady Bóg raczy wiedzieć dokąd; na samotną kobietę, która patrzyła na nie i na wskroś, jakby tam były, ale zarazem jakby ich nigdy nie było, a ona zobaczyła przyszłość ożenioną z przeszłością, kiedy to po raz kolejny wszyscy z osady będą rozgonieni na cztery wiatry i nic nie pozostanie z tego straszliwego miejsca i czasu. Jej twarz (tak młoda, tak młoda, że wygląda szokująco) wydawała się niemal orientalna: układ kości i duże oczy jakże inne od australijskich, zmarszczki — zaledwie kilka, ale głębokich — jakby były dziełem nie tyle upływu lat czy palącego słońca, lecz rzeźbiarza, który dłutem chciał uwydatnić osobliwą, egzotyczną urodę.

Niektóre mówiły później, potępiając to, co wymykało się ich pojmowaniu, że postąpiła źle. Być może wskutek tego osądu, a może pod wpływem przeciwnej emocji, odrobiny współczucia w reakcji na tragedię, która przecież mogła spaść na każdą z nich, a może z powodu, którego żadna nigdy nie zrozumie, kobiety szturchnęły się łokciami i ucichły, kiedy Maria Buloh patrzyła w ich stronę, a wtedy i ona, i one słyszały już tylko nieustanny hałas wszczynany przez mężczyzn w środku.

*

Maria Buloh odwróciła się. Ruszyła dalej. Z kantyny dobiegały ciche, coraz cichsze urywki nowej amerykańskiej piosenki country-and-western odtwarzanej na adapterze. Piosenka zdawała się podlana łzami, jak gulasz upichcony ze smutku. Gdy Maria Buloh szła dalej w kierunku lasu, gwar z kantyny powoli zanikał. Piosenkę zagłuszył łagodny szmer śnieżycy. Twarz Marii Buloh była pozbawiona emocji. Ta piękna twarz, młoda twarz. A jednak coś wyrażała. Co? Tajemnicę, którą przypieczętowało na zawsze kilka łez płynących z oczu i szklących policzki.

Za plecami Marii Buloh ciągnęły się ślady prowadzące do miejsca, z którego przyszła, ślady zacierane już w chwili odciskania ich w śniegu, niknęły w bieli, która groziła pogrzebaniem wszystkiego i wszystkich w tej małej posępnej osadzie dawno, dawno temu.

I dopiero nieco później, gdy kantyna zamknęła podwoje, bójki

dobiegły końca i nawet karciarze zrobili sobie przerwę na sen i chrapali drożdżowym chuchem w plecy kobiet śpiących w czapkach, dopiero wtedy zerwała się wichura i wiatr zaczął tak głośno zawodzić, że zmroziło nawet tę dziką mokłą ziemię.

— Aja, aja! — zdawał się wołać. — Aja, aja!

I było słychać, jak trzeszczą i postękują stare drzewa, a nowe kable skrobiące bezkresne nocne niebo pojękiwały upiornie, i żadnej z kobiet leżących tej nocy z otwartymi oczami w zapadających się łózkach nie ukończyły te odgłosy.

ROZDZIAŁ 2

1967

Obrabiał drewno. Tylko tyle Sonja Buloh chciałyby zapamiętać.

Kiedy?

Kiedy tylko mógł. Dla zarobku i dla przyjemności.

Jakie drewno?

Dębina tasmańska, ścinki czarnej akacji wygrzebane ze śmietników w zakładzie, sosna Huon, o ile tanio stała w tartaku Finów; a jeśli nie — płyty wiórowe. Białe deski po starych skrzyniach przewozowych, sześciowarstwowa sklejka używana do szalunku, chropawa od farfocli betonu. Kokietnik i atrotaks, i czarny sasafras, gdy tylko ze składów pozbywano się niewymiarowych kawałków egzotycznego drewna. Umiał coś z tego stworzyć, coś dobrego, czego Sonja była częścią.

Co tworzył?

Do wyboru, do koloru. Szafy i stoły na sprzedaż, bieliźniarki na płótna, których nigdy nie mieli, szafki do własnego FJ na modłę tych, które widział w reklamach linii lotniczych, uchwyty do starych lodówek, krzesła, taborety, półki na książki dla sąsiadów, podstawki pod doniczki i skrzynki na narzędzia dla siebie.

Opowiadał jej o właściwościach i sposobach wykorzystania różnych gatunków drewna. Jak sasafras połyskuje, a wióry z sosny Huon odstrasza pchły, jak pięknie układa się dąb tasmański, a kiepska sośnina wręcz przeciwnie, jak można formować sklejkę nad parą i jak się kicha przy ścieraniu czarnej akacji, no i że z mirtu robi się meble, a z kokietnika parapety.

Obrabiał drewno i próbował coś z niego stworzyć, a zarazem, niejako przy okazji, starał się stworzyć i siebie, i ją. Obrabiał drewno, a dla niej sam był jak kawał drewna i kochała go za to. Boże, jak ona go za to kochała.

Lecz gdy tylko cierpki odór skwaśniałego zboża, ten okrutny zwiastun, docierał do nosa Sonji Buloh, podnosiła wzrok i od razu

wiedziała. Znow wrócił pijany. Właściwie nie był wysokim mężczyzną, ale kiedy wpadał we wściekłość, wydawał się tak ogromny, jakby mógł wypełnić sobą całą izbę i eksplodować na zewnątrz, roztrzaskując ściany i rozwalając całą konstrukcję z gniewną niszczycielską siłą, rozgniatając człowieka tak jak walec parowy rozgniata mrówkę i wszystko inne na swej drodze. Gdy w żyłach miał alkohol, w jego serce wstępował gniew, a to zdarzało się często, z biegiem lat coraz częściej.

Stawał wtedy nad Sonją Buloh, chwiejąc się, z lekko przekrzywioną głową; widziała pofałdowaną czerwoną skórę na jego karku. Półprzytomny i rozczochrany, z połą koszuli w niebieską kratę na wierzchu i niedopiętym rozporkiem, w spodniach poznaczonych rozgwiżdżanymi zaschniętym moczu, ryczący olbrzym, wir męskiej energii z fruującymi dokoła elementami, które nigdy nie odlatywały do końca, i ona, kolejny element, kolejna częśćka tego chaosu, w połowie przywarta, w połowie oderwana, wszystko utrzymane w ruchu przez jakąś ogromną niezgłębioną zagadkę w samym środku jego ciała, z którego wyrastały ramiona uniesione nad głowę, gdy wrzeszczał: „Nie nazywaj mnie pijakiem, ty mała cholero!”, ręce młójące powietrze, odpychające coś, czego nie dało się zobaczyć ani pojąć. „Nikt nie może mnie tak nazywać! Wypiłem parę piw z kolegami w pubie, chwila dobrej zabawy, wracam do domu, a ty mi mówisz, że jestem pijany!”

Nie był bardzo wysoki, ale Sonja Buloh też nie była, ponadto nie miała jego daru rozrastania się do gigantycznych rozmiarów. Jej umiejętność polegała na czymś zupełnie innym. Aby uniknąć jego gniewu, opanowała sztukę zmniejszania się, ścieśniania swojej postaci do tego stopnia, że mógłby ją dostrzec tylko baczny obserwator. Jak na szesnastoletnią dziewczynę była w istocie dość wysoka, jeśli mogła się swobodnie wyprostować, akurat wolna od konieczności zmniejszania się, jakieś metr siedemdziesiąt, czyli właściwie tyle, co on — element równości między nimi, który skwapliwie ignorowali, ona zaś dodatkowo garbiła się, żeby zadać mu kłam.

Nie była to jedyna umiejętność, którą miała Sonja Buloh. Gdy tylko docierała do niej charakterystyczna woń skwaśniałego zboża, jej dusza w cudowny sposób opuszczała ciało. Dzięki temu patrzyła na jego gniew z bardzo daleka. Jego głos słyszała z oddali, jakby to był głos

jakiegoś ducha zamkniętego w morskiej muszli znalezionej na piaszczystej wydmie. Tym razem przeniosła się do dnia, kiedy razem z Bojanem łowili ryby z tratwy na samym środku Derwent River. Na tle ogromnego zalesionego błękitu gór rysowała się jak samotna żółta solniczka z piaskowca iglica kościoła przy Cromwell Street w Battery Point. Poniżej, od czasu do czasu i tylko jako smugi, ukazywały się sylwetki domów w miasteczku. Równie dobrze mogłyby to być lata czterdzieste XIX albo XX wieku. Mogłoby się to dziać w Europie Wschodniej. Ale działo się, jak napisała w swoim szkolnym zeszycie, w Hobart, na Tasmanii, niedaleko Australii, na półkuli południowej, na Ziemi, w Układzie Słonecznym, we wszechświecie. W roku 1967.

To nie był on. Nie był.

Lecz w oddali zobaczyła swój dom, a dom ten rozpadał się na kawałki i olbrzym eksplodował z jego wnętrza, rósł coraz bardziej i bardziej, aż słońce przygasło za jego plecami, zatapiając świat w mroku, a gniew olbrzyma przerodził się w szal.

— Na pewno szlajałaś się z chłopakami, ty cholerna wywłoko, ty mała zdziro, jesteś taka sama kurwa jak twoja matka, co się gziła...

W tym momencie jego górna warga uniosła się i zadrżała, zadygotała głowa, ciało się zatrzęsło, a gniew momentalnie prysł, jakby tłumione od dawna z całych sił wspomnienie wyrwało się nagle spod kontroli, ale zwalczył je, każdą cząstką energii, która w nim pozostała, znów upchnął je bardzo, bardzo głęboko w środku i nagle zatoczył się jak nacierający dzik trafiony kulą i w porywczym zaprzeczeniu wykrzyczał tylko jedno słowo:

— Gówno!

Jego gniew wydawał się odległy. Sonja pragnęła, aby cios w twarz też był nieszkodliwy, jak zimna fala odbita od tratwy. Lecz cios nie był falą. Był nakazem, aby porzuciła tratwę, przestała podziwiać górę, przestała patrzeć na miasteczko zagnieżdżone u jej podnóża. Uderzenie zmusiło ją do pozostawienia rzeki i powrotu, jego głos nabrał nagle siły, a dłoń rozpalila ogień na jej twarzy. Zobaczyła go, potwora nie do poznania. Pragnęła ojca. Nie chciała jego. Nie chciała.

Krzyknęła. Krzyknęła, aby przywołać ojca z tratwy.

— Nie, to nieprawda, zezłościłeś się, bo się upiłeś, mówisz tak

tylko...

Nie zdążyła dokończyć, bo potwór znów zdzielił ją w twarz, tym razem dwukrotnie, tym razem z większą siłą, mówiąc z tak lodowatą nienawiścią, że słowa przeraziły ją bardziej niż uniesiona dłoń:

— Ja ci pokażę, cholera, kto tu się upił.

Bił ją dalej, a ona się poddawała, nie płakała, chociaż uderzenia były bardzo bolesne. Nie płakała, mimo że na skórze wykwitwały czerwone pręgi, a krew ciekąca z nosa bryzgała na ściany za każdym razem, gdy głowa odskakiwała gwałtownie po ciosie zadany otwartą dłonią lub pięścią. Nie płakała, ale coś w niej pękło i już nie umiała poskładać tego z powrotem, choć próbowała z całych sił, a ból pozostawił w jej sercu pustkę. Czasem myślała przewrotnie, że on jest taki z powodu tego uczucia, które ona nosi w sobie. Co dzień modliła się, żeby ta lawina emocji jej nie dosięgła, a jednak każdego wieczoru dosięgała. Ogromne, podskórne, niszczycielskie siły przekraczające jej zdolność pojmowania, pustoszące ich dom, a oni oboje tak bezradni wobec tego wszystkiego jak drzewo, spod którego korzeni osypuje się ziemia.

Błagała tę ziemię po słoweńsku.

— *Ne, ati, ne, ne, ne...*

Lecz jego wściekłość była wszechogarniająca, głucha nawet na jej rozdzierające krzyki, głucha nawet na własną pamięć, którą udawało mu się utopić w alkoholu w każdy kolejny wieczór po to tylko, aby wróciła raniem i znowu zagnała go do picia.

Powinna była płakać, naprawdę powinna była, albo przynajmniej uрониć kilka łez, ale coś w jej wnętrzu już dawno się rozpadło i choć jego ciosy powodowały krzyki, jak zajadle pompowane miechy powodują wytrysk powietrza, to nigdy nie mógł dojrzeć w jej twarzy tego, co sam czuł, nie miał więc wyboru, musiał dalej badać niemą, nieznaną krainę jej ciała uderzeniami pięści, szukając tego, co sam w sobie nosił. To bicie było niewyobrażalną próbą kontaktu, boleśnie wymownym wysiłkiem odnalezienia więzi poprzez brutalne nadawanie wyrazu temu wszystkiemu, co czuł. Ale są dobre i złe sposoby wyrażania bólu, jego zaś sposób tylko potęgował ich wspólne katusze.

Następnego ranka dom wydawał się jasny i przewiewny. Bojan

usiadł przy stole, świeżo ogolony i wykąpany, choć trochę zmęczony. Sonja zaparzyła kawę i dodała do niej mleka. Pokruszyła chleb do dwóch misek i zalała go kawą. Usiadła i zaczęli jeść. Nie patrząc na nią, powiedział:

— Zabawne. — Mieszał łyżką namoczone pieczywo. — W ogóle nie pamiętam, co się działo wczoraj po tym, jak wyszedłem z pubu.

Milczała. Wciąż uciekał wzrokiem. Uniósł do ust łyżkę papki z chleba i kawy i już miał zjeść, gdy nagle się pohamował. I znów się odezwał:

— Pamiętasz, co było, jak wróciłem? Ani chybi poszedłem od razu spać.

Spojrzał na nią, czekając na potwierdzenie oczywistego kłamstwa.

Sonja popatrzyła znad miski z chlebem i słodką kawą. Nadal udawał, że nie dostrzega tego, co było widoczne jak na dłoni: strasznej opuchlizny na jej twarzy, tego, jak szpetnie wygląda teraz ta, którą uważał za piękność. Udawał, że nie widzi obrzmiń, fioletowawych pręg i śliwkowych sińców.

— Tak, od razu poszedłeś spać. — Zapadło długie milczenie. Nic nie mówił, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. — I okropnie chrapałeś — dodała.

Zaśmiał się z tego niewinnego żartu. Był zadowolony. Sonja też się zaśmiała, bo teraz był trzeźwy i skruszony, więc wszystko będzie dobrze.

Aż do następnej popijawy.

*

Działo się to wiele lat temu i od tamtej pory Sonja próbowała uwolnić się od wszystkich rzeczy nieprzydatnych w codziennym życiu, od wszystkich przedmiotów, które okazywały się zbędne, wszelkich wspomnień, które były dodatkiem do tego, czego potrzebowała, aby istnieć, pracować i wiedzieć, kim jest. Ale niektóre rzeczy, niektóre wspomnienia pozostały. Zapamiętała to miejsce jako nawiedzane przez gwałtowne emocje. Podmuchy rozszalałego wiatru smagające budynek, deszcz dudniący o dach z siłą śnieżnej lawiny, a potem słońce tak

mocne, że mrużyła oczy za każdym razem, gdy wychodziła na zewnątrz, a tam z nagrzanego granatowocznego asfaltu unosiła się para, wijąc się wspaniale w rozstępach między palcami jej stóp.

Odwiedziłyby teraz to miejsce, pewnie, że by odwiedziła — tę małą chatę w ogrodzie za domem na północnych przedmieściach Hobart, w której spędzili całe życie poprzedzające to życie — gdyby taka wizyta nie przyniosła rozczarowania. Sonja z przeszłości była obcą osobą. W tej eleganckiej, wykształconej kobiecie nikt nie rozpoznałby przerażonego chudego dziecka z rozbieganymi oczami, czekającego na niespodziewany cios.

W chatce nie byłoby już drewna, z którego można coś tworzyć, nie byłoby woni skwaśniałego zboża, a więc żadnej magii pozwalającej zdjąć klątwę strapiień z jej duszy. Właśnie z nimi — tymi strapieniami — już dawno temu nauczyła się żyć, zaakceptowała je jako część siebie.

A zatem: żadnych olbrzymów, żadnej magii, żadnych szczęśliwych zakończeń.

ROZDZIAŁ 3

1989

Sonja Buloh próbowała przypomnieć sobie, jak to coś po raz pierwszy zagnieździło się w jej brzuchu, ale było jej zimno, dłonie ją piekły, sutki swędziały, całe ciało do szpiku kości przenikał dojmujący chłód.

Tego feralnego poranka w Sydney ledwie tydzień wcześniej poczuła coś jakby skurcz, ściskający wnętrzości i ciągnący w dół, coś, co z początku uznała za tęsknotę, osobliwą, wielką i obcą jak niebo nad głową. Pragnienie, aby jeszcze raz zobaczyć to wyjątkowe tasmańskie światło i wszystko, na czym ono się kładzie, co znajduje się między słońcem a ziemią, to dziwne światło obrazów negatywowych, dzięki któremu niebo mogło być smoliście czarne, a ziemia żarzyć się miedzianożółtą barwą, jedno z drugim spinały zaś tylko cienie.

Rzuciła kilka słów o straszliwym zimnie do pracownika stacji benzynowej, który podszedł, żeby napełnić bak jej samochodu. Był chudy i wysoki, miał czarne włosy i wąsik przeczący jego średniemu już prawie wiekowi, latom, a potem dekadom, podczas których obserwował asfalt rozpadający się i spływający brudnym olejem i czystą deszczówką.

— Z kontynentu, co? — rzucił. Trudne pytanie, bo nie było dobrej odpowiedzi, nawet gdyby stwierdziła, że pochodzi znikąd.

— Nie — odrzekła, nie do końca zgodnie z prawdą, ale prawdę w ogóle trudno było pojąć, a co dopiero wyrazić.

Podawała mu pieniądze i poszła za nim do niewielkiego kantorka, aby odebrać resztę. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze nad ladą i zorientowała się, że patrzy, ale nie słucha. Lustro było stare, poszczerbione, z dużym zdjęciem świcy samochodowej w rogu i hasłem: „Przenosimy Cię w przyszłość, abys nadążył za terażniejszością”. W odbiciu zobaczyła kobietę u progu wieku średniego, pod czterdziestkę, elegancką, ubraną tak, że mogłaby uchodzić za pracownicę biura udającą się na oficjalne spotkanie z nowym klientem,

obcym człowiekiem, co właściwie nie było zbyt dalekie od rzeczywistości. Jej serce było tajemnicą — dostrzegało ją niewielu, nie rozwiłkłał nikt. Ta nieodkryta tajemnica przemieniała się w łabędzicę smutku — w lustrze zobaczyła odbicie jej skrzydeł, wyrastających z wywatowanych ramion żakietu jak skrzydła anioła. Zobaczyła swoją twarz, wciąż gładką, oliwkową, choć tu i ówdzie poznaczoną zmarszczkami. Włosy przycięte na boba, nietknięte jeszcze siwizną, choć o pofarbowanych końcówkach. Ciało nadal miała jędrne, w przeciwieństwie do wielu rówieśniczek, które spotykała. Wciąż była soczysta; ta myśl zaskoczyła ją i rozbawiła zarazem. Nigdy nie pomyślałaby o sobie w ten sposób. Ale nie mogła zaprzeczyć, że tak właśnie się czuje: jak soczysta kobieta, i że jest to przyjemne i dumne uczucie.

— Przyjeżdża tu sporo ludzi z kontynentu — powiedział pracownik stacji, podając jej resztę. — Interesuje ich nasza tradycja i tak dalej.

Sonja spojrzała przez kantor na wychodek z pustaków, spod którego rozlewała się kałuża moczu, zmieszana na brzegach ze starym olejem silnikowym, mieniąca się wszystkimi barwami tęczy, a dalej za tymi nadzwyczajnymi wirami chemicznej magii rozciągało się zmęczone prowincjonalne miasteczko. Znów zerknęła w lustro i zobaczyła nie siebie i nie anioła, lecz małe przerażone dziecko z imbryczkiem w rączce. Zadrżała mimo woli. Gdy spojrzała ponownie, dziecko zniknęło, a pozostało tylko jej odbicie.

— Faktycznie zimno, psze pani — powiedział mężczyzna. — Wszyscy z kontynentu mówią, że u nas, na Tassie, zimno.

Znajdzie go po tych wszystkich latach, wreszcie go odzuka i spyta, co tak naprawdę się z nimi stało. Co to było? — spyta. Czy to po prostu samo życie? On? Ona? Czy może kobieta ubrana w koronki, nachodząca Sonję w snach?

Mężczyzna zatrzasnął gwałtownie szufladę starej drewnianej kasy, a wtedy rozległ się przeszywający dźwięk dzwoneczka. Sonja odwróciła głowę i spojrzała na pracownika. Posłał jej uspokajający uśmiech.

— Dalej na zachód jeszcze zimniej.

ROZDZIAŁ 4

1989

W krwistoczerwonym półmroku zaćmionego poranka Sonja Buloh jechała na wschód popękanym asfaltowym tasiemcem. Nie licząc jej wynajętego czerwonego samochodu, droga była całkiem pusta. W tym roku wielu rewolucji przemieszczała się w czasie, który gwałtownie się kurczył. Czuła, że czas ją osacza, zacieśniając kręgi, najpierw powoli, jakby tylko czegoś wyczekiwał. I choć wydawało się, że w snach rodzą się drugie sny, wcale tak nie było. To była tylko Tasmania wiosenną porą.

Kiedy wreszcie wróciło światło — dziwnie, jakby powodowane ciekawością — ukazała się kraina zarazem obca i znajoma. Wlewając okaleczoną ziemię w serca osad, leniwe rzeki niosły na falach połamaną wierzbę i janowiec — nowych Australijczyków z buszu — ku dawnym miasteczkom skazańców rozścielającym się teraz jak stare gazety na wietrze. Sonja Buloh mijala je kolejno, zagłębiając się w krainę owiec, gdzie od czasu do czasu stały samotne pradawne kamforowce, zamyślane niczym ludzie ocaleni z masakry, dzielące swoją melancholię z ubarwionymi tęczowo rozellami, które zlatywały na moment ku konarom, po czym odfruwały dokąds, jakby nie mogły unieść brzemienia dziejów, zasłyszanych wśród koron zbolałych drzew.

Kiedyś ten umęczony pasterski krajobraz był otwartą puszczą, miejscem polowań i domem tubylców nocą wypełnionym opowieściami, z których jedna nigdy nie miała końca: ta o zażartej wojnie z białym najeźdźcą. Potem przybyli mierniczy z bosonogimi skazańcami, aby wytyczać szlaki i nadawać tym ziemiom dziwne nazwy, a te obce miana i opisy zapowiadały nadejście straszliwej rewolucji. Tam gdzie nakreślone tuszem mapy pokroiły krainę równo na hrabstwa opatrzone z angielska dziwacznymi i krzepiącymi nazwami, takimi jak Cumberland i Bothwell, następcy mierniczych, inżynierowie od elektrowni wodnych, wykreowali własną prostolinijną rzeczywistość w postaci drutów,

którymi biegła teraz energia, elektryczność — nowy bożek — nucąca pieśń pełną obietnic, uwodzicielskie złudne przepowiednie, że Tasmania stanie się kiedyś australijskim Zagłębiem Ruhry. Pamięć o niedawnej, często paskudnej przeszłości wyspa gorączkowo, niemal histerycznie usiłowała pogrzebać w przyszłości pod znakiem przemysłu ciężkiego, gigantycznych pieców i ogromnych maszyn, zasilanych energią wodną, której było tam pod dostatkiem, toteż przez pewien czas sławiono ją bałamutnie jako dziewiczą ziemię bez historii.

Nie było to nic nowego: wiadomo przecież, że cesarz Qin Shi Huang nakazał nie tylko postawić Wielki Mur, ale także spalić wszystkie księgi sprzed swego panowania, aby historia rozpoczynała się od niego i jego budowli. A skoro dzieje krainy, w której przyszło żyć przybyszom, zostały całkowicie wymazane, to była to jak najbardziej słuszną konsekwencją ich aspiracji — przecież zrezygnowali z własnej przeszłości. Oto więc na pewien czas cele państwa, kapitalistów i pechowców, którzy z mozołem wprowadzali takie wizje w życie, stały się wspólne.

Za sprawą tej alchemii tępy strach przed przeszłością został przekuty w energię elektryczną, upragnione złoto nowych czasów, jednak na dnie alchemicznego tygla zebrały się toksyczne produkty uboczne magicznego procesu, na które nikt nie zważał: zniszczona przyroda i zrujnowane ludzkie życie, nieistotne odpady, które można było łatwo zlekceważyć w zestawieniu z coraz cenniejszym skarbem w postaci rozrastającej się sieci energetycznej, nikt więc nie liczył rosnących kosztów i nikt nie myślał o tym, że jutro może być o wiele gorsze niż dzień dzisiejszy, a już na pewno nie w tamtych czasach, dawno temu. gdy Bojan i Maria przybyli z szesnastomiesięczną Sonją do portu w Hobart w przekonaniu, że ich długa ucieczka z Europy dobiegła końca.

Sonja mijiała słupy wysokiego napięcia, pyszniące się na tle jałowego krajobrazu jak potężni muskularni wojownicy; chłonęła ten widok, zatracając się w świetle za oknami samochodu. Zawsze to robiła: zanurzała się w powierzchniach rzeczy. W ich wyglądzie. To, co dawniej było zwykłym pragnieniem, przemieniła w niezmienną zasadę, która obowiązywała przez większą część jej dorosłego życia. I za którą ludzie

ją lubili. Nie wpychała się do ich serc ani wspomnień, sama też się nie zwierzała.

Czy mogło być inaczej? Czy mogło?

Moje przyjaźnie są umarłe, a wspomnienia okaleczone, pomyślała, umarłe i okaleczone.

Podążała dalej, za tę jałową krainę słupów i owiec, ku wyżynom, dopiero co oczyszczonym z drzew przez rębaki, które pozostawiły po sobie pobojuwisko: jak okiem sięgnąć szokujący widok skotłowanego błota i popiołu, tu i ówdzie ze zwęglonym krzepkim pniem, wciąż tłącym się po wypalaniu bezużytecznych lasów deszczowych, których nie dało się przerobić na bibułkę dla Japończyków. Jakaś część mnie umarła, pomyślała Sonja. Poczowała ucisk w żołądku. Popiół i bibułka, pomyślała jeszcze, patrząc na jałowy świat wokół. Jechała dalej.

Moja przeszłość to nie ja, przekonywała samą siebie, nie ogranicza mnie ani nie definiuje. Jestem swoimi marzeniami i zapewne dlatego Sydney — przebiegłe miasto złudnych obietnic — to dla mnie właściwe miejsce. Teraz jestem tym, kim naprawdę jestem. Owszem, kiedyś tu mieszkałam, to prawda, ale to było wtedy, a teraz to teraz. I tyle. Tylko tyle i nic więcej. Jestem swoimi marzeniami o przyszłości. Przeszłość nie wytycza przeznaczenia, a możliwości tworzymy sobie tak samo jak prowadzimy samochód: albo powoli, nic nie ryzykując i niczego wartościowego przy tym nie osiągając, albo szybko, a wtedy liczy się tylko to, co jest przed nami, a to, co zostaje za nami, przestaje mieć znaczenie.

Skręciła w pożłobioną koleinami żwirówkę i jakby na potwierdzenie swych myśli mocno docisnęła stopą pedał gazu, ale samochód z czterocylindrowym silnikiem reagował niemrawo. Jechała przez okaleczony busz, odrastający w miejscach wycinki i wypaleń, aż wreszcie dotarła na grań, z której widziała grzbiet zapory, a dalej masę wody rozległą jak ocean. Zatrzymała się, patrząc ponad kąsaną falami taflą na lasy deszczowe, wrzosowiska i ośnieżone góry scalone w jedną dziką krainę jak okiem sięgnąć.

Ta kraina nie okazała jej gościnności ani troski, na pewno nie bardziej niż jej rodzicom, którzy przybyli tu dawno temu. A jednak ukształtowała ją, ukształtowała ich wszystkich.

A oni ukształtowali tę krainę.

Sonja włączyła radio i zapaliła papierosa. Spiker opowiadał o zdezorientowanych pogranicznikach, którzy ledwie kilka miesięcy wcześniej zastrzelili człowieka próbującego przedostać się do Berlina Zachodniego, a teraz przepuszczali tłumy wschodnich berlińczyków przez wyrwy w murze zrobione przez dźwigi. „Mur berliński — obwieścił beznamiętnie spiker, jakby reklamował pizzerię — trwały symbol zimnej wojny, runął”.

Nic dla niej nie znaczyły ani te wiadomości, ani losy obcych ludzi, i tylko siedziała otulona dymem z papierosa. Sama była częścią historii i zarazem wykraczała poza nią, zapomniana przez historię, obojętna dla historii, ale też całkowicie przez nią ukształtowana, przez historię, która pozostaje niezrozumiała, jeśli poznanie nie obejmie jej granic i ludzi, takich jak ona i jej rodzice, którym przyszło żyć poza jej obrębem. W końcu, jak w przypadku muru berlińskiego, to historia kształtuje ludzi, ukształtowała więc i Sonję, ale nie przesądziła o jej losie, bo ostatecznie nie potrafi wyjaśnić irracjonalnych, wielkich, ludzkich porywów: niszczycielskiej siły zła ani zbawczej miłości. A wszystko to rozpostarło się przed Sonją jak wody uwiecznione przez zaporę: przepastne, zagadkowe, wyczekujące.

Wyłączyła radio, zgasiła papierosa, choć nie zaciągnęła się nim ani razu, uruchomiła silnik i ruszyła powoli ze wzgórza ku starej zaporze.

ROZDZIAŁ 5

1989

Na skutek wieloletniej korozji trudno było stwierdzić, gdzie kończy się beton zapory, a gdzie zaczyna skała wąwozu, w którym ją zbudowano. Nie dało się jednak zaprzeczyć jej potęgi czy skali i Sonja zdawała sobie sprawę, że wynajęty samochód będzie ledwie nędzną kreską czerwieni u podstawy ogromnego czarnego muru. Omszała i zaciągnięta szlamem zaporą wydawała się reliktem z innej epoki — historyczną osobliwością, fascynującą i niewyjaśnioną jak świątynia Majów w meksykańskiej dżungli — częścią marzenia, które nadaremnie usiłowało przemienić ten kraniec świata w miejsce takie jak wszystkie inne. Zgasła silnik i nabierając powietrza w płuca, a wraz z nim odwagi, wysiadła z samochodu.

Tam, w tym cierpkim powietrzu, z wszystkich stron otoczyła ją obecność uwięzionych dusz, doznanie, które wykluwa się u ocienionej podstawy takich ogromnych zawilgotniałych budowli, a natarczywa stęchlizna tylko pogłębiła to poczucie.

Dotknęła palcem starej mosiężnej tabliczki przytwierdzonej do czarnego oślizłego muru, pomacała opuszkami wszystkie wypukłe litery. Na tabliczce był napis:

**W HOLDZIE PRZEDSTAWICIELOM WSZYSTKICH
NARODÓW, KTÓRZY BUDUJĄC TĘ ZAPORĘ, PRZYCZYNILI
SIĘ DO OKIEŁZNIANIA PRZYRODY DLA POŻYTKU
LUDZKOŚCI**

1955

...i Sonja poczuła pustkę każdego słowa, całkowity bezsens każdego pogrubionego pionowego kształtu, i zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek były czymś innym niż hieroglifami, których nikt nie

odczytał.

Nagle dopadło ją wspomnienie i uderzyła gwałtownie czołem w zaporę, żeby je odegnąć. A potem, gdy wspomnienie przygasło, a strach osłabł, odwróciła powoli głowę od mokrego betonowego muru i spojrzała na zachód, z policzkiem przyklejonym do jednego z wielu kremowych stalaktytów formujących się na skutek wypłukiwania wapna, spływającego po obliczu tamy jak łzy. Jakby usiłując pojąć niezgłębioną tajemnicę zimnej zapory, Sonja rozłożyła ręce na boki, żeby objąć podstawę ogromnej wygiętej ściany — groteskowe inżynieryjne brzuszysko szumiące i wibrujące mocą spiętrzonej masy wody uwięzionej po drugiej stronie. Poczowała dramatyczne nachylenie zapory, jej krzywiznę zarazem śmiałą i powściągliwą, jej nieustanne pragnienie, aby wszystko dokoła przemienić w przemysł — nawet samą naturę. Ale widziała, że to starzejąca się zaporą murszeje w objęciach przyrody, na przekór zamysłom budowniczych.

Poczowała moc wciąż drzemiącą w ogromnej budowli, moc nie tylko tworzenia elektryczności, lecz także przywoływania wizji innych czasów, odległych czasów triumfalnej wiary i bezgranicznej ufności. Wszystko to poczuła na chłodnym mokrym policzku, wszystko to i jeszcze więcej.

Poczowała, jak ta moc napiera na jej czaszkę, i zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby zaporą nagle pękła, a woda, od tylu lat uwięziona, czekająca w ciszy, czarna i zdradliwie spokojna, przelałaby się potworną kaskadą, porywając ją ze sobą.

Dzieci dorastają w lęku przed takimi miejscami. W odróżnieniu od dorosłych, którzy święcie wierzą w niezawodność inżynieryjnych obliczeń, dzieci wiedzą ze stuprocentową pewnością, że to, co zbudował człowiek, może się rozpaść. Dzieci wiedzą, że statki toną, samoloty spadają, tamy pękają — dorośli na ogół nie. I w tej chwili Sonja poczuła, że znowu jest dzieckiem. Dzieckiem w śnieżną zimną noc. Oparta o zaporę, z rękami rozpostartymi na ścianie, była dzieckiem szukającym pokrzepienia, a ogromna budowla jakby dawno zaginionym rodzicem.

Nie zamierzała zachowywać się tak niedorzecznie, wyjść na kretynkę tulącą się do mokrej czarnej zapory niczym mszyca na gładzie, ale gdy chwyciła się muru, po raz kolejny poczuła w środku dziwny

ucisk i to wspomnienie wróciło z jeszcze większą mocą, jak raca rozświetlająca czarną noc i kawałkująca ją na miliony wielobarwnych okruchów.

I wtedy Sonja Buloh zrozumiała, dlaczego dotąd nie pozwalała strzępom tego wspomnienia wykluć się w pełni, tym popiołom i cieniom przeszłości, od których coraz trudniej było się odwrócić i które w łagodnej mgiele tego popołudnia z suchych gałęzi przemieniły się w nowe pędy, pędy w drzewa, drzewa w las.

Pośrodku tego lasu wyrosła mała prymitywna osada z minionych czasów, a w jednej z topornych chat, za stołem przykrytym białym obrusem, siedziało małe dziecko bawiące się ze swoją matką.

ROZDZIAŁ 6

1954

W połowie drogi między zabawą a oczarowaniem wszystko to stało jej teraz przed oczami, przypominając zestaw iluzjonisty. Był stół zrobiony z odwróconej skrzyni z czerwonym napisem spod szlancy na boku: „Żelatyna wybuchowa”. Przykryty świeżo upranym białym koronkowym obrusem, który powinien być sztywny, ale wszechobecna wilgoć pokonała twardey krochmal i nadała tkaninie rozkoszną miękkość. Na obrusie stał zabawkowy imbryk z porcelany, delikatny i ozdobiony elegancko motywem szkarłatnych jeżyn, a wokół trzy filiżanki na spodkach w ten sam wzorek.

Wtedy czasem, często, nieustannie padał grad, deszcz, deszcz ze śniegiem, śnieg z deszczem, śnieg. Woń wilgotnych eukaliptusowych sztachet okrywających ściany, wydzielających aromatyczną żywicę, mieszała się z zapachem mirtu palonego w kominku. Wśród cichego trzasku płomieni głos dziecka. Małej trzyletniej Sonji.

Która mówi:

— *Turska kava dla ati. Turska kava dla mamy. Turska kava dla Sonji* — ilustrując każde zdanie napelnianiem filiżanek na niby.

Kobieca dłoń osunęła się, a palec wskazujący zatkał dzióbek imbryka. Dłoń była młoda, och, jakże młoda, ale szorstka, naznaczona już piętnem długich lat ciężkiej pracy. A głos starszy niż dłoń, jakby wcale nie należał do młodej osoby.

Głos Marii Buloh.

Mówiącej:

— Herbata, Sonju. — Palec serdeczny postukał w dzióbek. — Teraz pijemy herbatę.

Paluszki Sonji, wciąż otulone zdrową dziecięcą pulchnością, podpełzły do palca serdecznego Marii i zaczęły się nim bawić.

Sonja mówiąca:

— Dlaczego, mamó? Dlaczego pijemy herbatę?

Palec serdeczny zaczął się wić, chudy palec z luźno osadzoną obrączką.

— Bo jesteśmy na Tasmanii, a nie w Słowenii. Bo nasz świat stanął na głowie.

I aby niejako podkreślić sens tych słów, Maria złapała mocno Sonję za rączkę i powoli odwróciła ją wnętrzem do góry. Na małej dłoni narysowała palcem okrąg, odciskając na delikatnej miękkiej skórze biały ślad.

Mówiąc:

— Bo żeby mieć przyszłość, trzeba zapomnieć o przeszłości, knedelku ty mój malutki.

Potem ujęła cztery palce Sonji i zacisnęła je w piąstkę.

Wraz z tym gestem zapach sztchet i ognia odpłynął w przeszłość, ucichł szmer padającego śniegu, przykryty koronką zestaw iluzjonisty i rozbudzona przez niego nadzieja zatarły się w pamięci, a Maria wyszła z domu w zaśnieżony mrok, drzwi już się za nią zamknęły i jest tak, jak zawsze śniło się Sonji: koronka przepadła na zawsze.

ROZDZIAŁ 7

1989

A potem te palce, te same smukłe palce z obgryzionymi paznokciami, które poczuły gładkie zmysłowe zimno stalaktytowych łez spływających po obliczu zapory, zaczęły grzebać w porośniętym krzakami torfie pośrodku tropikalnego lasu, w miejscu położonym zaledwie kilometr od tamy, gdzie dawniej znajdowało się obozowisko budowniczych zwane Butlers Gorge, a gdzie teraz nie było absolutnie niczego godnego nazwania, tylko skrzek dziwnych ptaków i wiatr, i chłód, i dziesięć smukłych palców z obgryzionymi paznokciami wpijających się w bładą ziemię, najpierw powoli, jakby z respektem dla jej tajemnicy, potem z zawziętością przechodzącą w furję.

Na chwilę palce zastygły, gdy w śliskim ile Sonja wypatrzyła coś białego i połyskliwego. Ale tylko na chwilę. Potem rzuciły się na tę biel, wydarły ją spulchnionej ziemi, otarły z piachu, ukazując odłamek porcelany ze szlaczkiem szkarłatnych jeżyn.

Chmury zaprzestały wędrówki po niebie i chlusnęły deszczem na tę dziwną i piękną krainę, lecz Sonja nie ustawała w wysiłkach. Woda przesączała się przez wysokie paprocie na wiekowe pnie olbrzymich eukaliptusów ściętych dawno temu, aby zyskać przestrzeń na obóz. Na cichy szmer deszczu nakładały się smętne szorstkie glosy tasmańskiego lasu, szum wiatru hulającego w wysokim zielonym baldachimie, wrzaski czarnych kakadu i kruków. Ale Sonja na nic już nie zważała. Rozedrgane palce odrywały duże płyty darni, rozkruszały je, rozgniatały grudy ciężkiego piachu, wydobywając kawałki porcelany, potłuczone, kanciaste, z ostrymi krawędziami.

Dziesięć smukłych palców z obgryzionymi paznokciami ryło w torfie i dzikiej mokrej ziemi poniżej, szaleńczo, gwałtownie, jakby usiłowało dokopać się do pokładów zamkniętych w czaszce Sonji. Grzebiąc, nie wydała z siebie ani słowa, ani jednego okrzyku, tylko postękiwania i urywane westchnienia.

Jakby chciała dać życie tej ziemi zatraconej we własnej głowie.

ROZDZIAŁ 8

1989

Wnętrze spinały z obu stron jak klamra dwa masywne kominki, w których codziennie na próżno palono wielkie polana, bo w tym pubie w Tullah zawsze panował chłód, a nadpleśniały budynek — podobnie jak wielu tutejszych bywalców — wydawał się nasiąknięty jak gąbka. Sonja, wciąż przemoczona po deszczu, który złapał ją w Butlers Gorge kilka godzin wcześniej, przezornie zamówiła podwójną wódkę i usiadła przy stoliku w kącie w oczekiwaniu na spotkanie.

Przyszłość baru stała pod znakiem zapytania, podobnie jak położonej na uboczu górskiej osady, którą obsługiwał, co być może tłumaczyło szczególną melancholię, która udzieliła się Sonji w trakcie czekania. Tullah spokojnie przeszła różne zmiany i koleje losu: zarówno boom w połowie lat siedemdziesiątych, gdy stała się bazą dla budowniczych zapór, jak i obecną samolikwidację. Każdego dnia wyjeżdżało stąd coraz więcej ludzi — opuszczali miasteczko wcześnie rano, aby nie utknąć w korku na krętych górskich przełęczach za sunącymi powoli ciężarówkami, ciągnącymi przyczepy i barakowozy, które miały stać się kwaterami biedoty w innej części kraju.

Na drugim końcu sali zespół country bez powodzenia starał się zagłuszyć bębnienie deszczu o blaszany dach. Być może to z powodu głośnej ulewy goście toczyli zdawkowe rozmowy, ograniczone w dużej mierze do wzruszania ramionami, ironicznego uśmiechu, zdławionego chichotu, nieznacznego ruchu głową, a w tym wszystkim krył się osobliwy spokój, który był dla Sonji sporym zaskoczeniem.

Przyszedł w połowie piosenki; patrzyła, jak rozgląda się po sali. Odgłos deszczu dudniącego o blaszany dach był teraz ogłuszający, uznała więc, że nie ma sensu wołać. Wyglądał prawie dokładnie tak, jak go zapamiętała, co wstrząsnęło nią do tego stopnia, że w pierwszej chwili nie wiedziała, co robić. Przygotowała się na to, że zobaczy mężczyznę, którego z trudem rozpozna po tak długim czasie. Sądziła, że

roztył się od picia albo zmizerniał od beznadziei. Wskutek trybu życia, jaki prowadził, powinien być zmarniały lub opuchnięty, twarz powinien mieć zapadniętą albo nalaną i ordynarną. Spodziewała się, że ujrzy mężczyznę tylko minimalnie przypominającego tego, który wyrzył się w jej pamięci, mężczyznę w niedopasowanym ubraniu, który wyglądem i sylwetką potwierdzi, że jest ledwie cieniem siebie z czasów swej młodości.

Ale oto stał tam, taki sam jak dawniej, schludny jak zawsze, z włosami wciąż zadziwiająco gęstymi, opadającymi bujnymi, starannie obciętymi falami, przyprószonymi siwizną, ale tylko odrobinę. Wciąż był tym samym przystojniakiem, którego znała dawniej. Wbrew wszystkiemu, co także utkwilo jej w pamięci, nie mogła odmówić mu urody i niemal kobiecej delikatności — twarz w kształcie serca wieńcząca drobną postać, która — co widziała nawet z tej odległości — zachowała pełną wdzięku harmonię ruchów i gestów. Odziedziczyła ją po nim. Z uczuciem przelotnej radości, które udało jej się zdusić w zarodku, zauważyła, że wystroił się na to spotkanie — spodnie od garnituru, bawełniana koszula w paski i rozpinany beżowy sweter — sztyk, który już zawsze będzie się jej kojarzył z poznanymi w dzieciństwie Europejczykami z klasy robotniczej. Zachował dumę, pomyślała, i być może właśnie to zaskoczyło ją najbardziej.

Bojan Buloh w końcu dostrzegł Sonję i powitał ją uśmiechem oraz nerwowym machnięciem ręką. Podszedł do jej stolika, więc wstała, ale nie padli sobie w ramiona. Oboje przeżyli zbyt wiele, aby okazywać udawaną serdeczność. Nie tylko z jego ust, ale od całego ciała biła smrodliwa woń tytoniu i alkoholu, zupełnie tak jak dawniej, tyle że teraz zapach ten przywoływał w pamięci przeszłość, a dodatkowo, jak zawsze, przyszłość pozbawioną nadziei. Z bliska Sonja mogła stwierdzić, że jej pierwsze wrażenie było mimo wszystko mylące, bo upływ lat odcisnął jednak na Bojanie swój ślad. Oliwkową skórę na policzkach znaczyły popękane naczynka. Dostrzegła, że jego ruchy stały się niezdarne, jakby ciało nagle straciło orientację. Zastanawiała się, jak powinna się do niego zwracać: „Bojan”, co sugerowałoby równość między nimi, czy *ati*, jak po słoweńsku czule mówi się do ojca. W końcu nie użyła żadnego z tych słów, lecz zdecydowała się na trzecie, pochodzące z języka obcego tak

dla niej, jak dla niego, które w odczuciu ich obojga miało oficjalny ton.

— Dobrze wyglądasz, tato — odezwała się wreszcie.

Zdawała sobie sprawę, że to nie jest do końca prawda, tak samo jak i nieprawda. Zaszła w nim jakaś zmiana, ponieważ jednak nie wiedziała, na czym ona polega, postanowiła skupić się na tym, co na pierwszy rzut oka pozostało takie samo.

— Zabawne — powiedziała. — Minęły dwadzieścia dwa lata, a nie postarzałeś się ani o dzień.

W jego twarzy widziała własną twarz, w jego zachowaniu — własne gesty. Wydało jej się dziwne, że i o tym zapomniała. Jej pamięć — a raczej figle, które pamięć płatała — zachowała obraz obcego człowieka, z którym spędziła kilka lat życia, choć wolałaby ich z nim nie spędzić. Nic ponadto. Ale oto stał tam, a jego szorstkie dłonie wykonywały te same zwinne i eleganckie gesty co jej dłonie, gdy coś podnosiła, trzymała, przesuwawała, niosła.

Uśmiechnął się. Rozbrajający szarmancki uśmiech, którego nie pamiętała podobnie jak wielu innych rzeczy. Uśmiech, którym nerwowo akcentował wypowiedane zdania — niewymuszony. łagodny, pokrzepiający — uśmiech, który pojawiał się na jej ustach, gdy czuła się niepewnie, uśmiech, którym zjednywała sobie ludzi, dzięki któremu sprawiała wrażenie osoby otwartej, choć w środku była zaryglowana. W ojcu ujrzała całą siebie, co dodało jej otuchy i zarazem wzbudziło strach. W córce ujrzał coś, co wydało mu się dziwną drwiną: jego nędzne życie zrodziło jakieś dobro.

Oboje odwrócili więc wzrok, żeby nie widzieć w drugim tych części siebie, które woleli pozostawić w ukryciu.

— Nie okłamujmy się — powiedział po pewnym czasie, słowami naznaczonymi silnym akcentem i czymś więcej, czymś innym.

Sonja podniosła wzrok.

— Wyglądam na tego, kim jestem — stwierdził. — Starego bambo pijaka.

Zaśmiał się cicho, smutno.

W pubie iskrzył się ogień, a za oknami zacinał deszcz. Milczeli przez chwilę, zatopieni w myślach, zażenowani tym, że znają się nawzajem na wylot, ale nie znajdują słów, choć mają sobie tak wiele do

powiedzenia.

Bojan znów podjął rozmowę:

— Ja... ech, nie. Nie... — Urwał, próbując zebrać myśli i ułożyć z nich w miarę poprawno zdanie. — Pisałbym do ciebie, no te, listy, ale, ech, ten mój angielski, do roboty się może i nada, do pubu się nada, ale na papierze nie wygląda za dobrze.

Wzruszył ramionami i wymownie rozłożył ręce. Sonja, widząc jego zażenowanie, jego eleganckie ruchy, tak dobrze znajome i tak zapomniane, tak inne od wszystkich, uśmiechnęła się lekko i wybaczyła mu machnięciem dłoni.

— Są rzeczy, które znaczą więcej niż słowa — odrzekła i zamilkła.

Ta odpowiedź poruszyła Bojana. Ożywił się nagle, ale w jego sprzeciwie nie było złości.

— Łatwo ci tak mówić, bo znasz wiele słów — odparł. — Znajdujesz mowę. A ja tracę. Nigdy nie starczało mi słów, coby powiedzieć ludziom, jak myślę i czuję. Nigdy nie starczało mi słów, coby znaleźć dobrą robotę.

Urwał. Niespodziewanie. Sonja spojrzała na niego i poczuła, że w jej wnętrzu wzbiera coś ogromnego, tak wielkiego, że nie mogła zrozumieć, jakim cudem dotąd tego nie zauważała. Choć nie miała takiego zamiaru — nigdy nie chciała go w ten sposób dotknąć — wyciągnęła dłoń i delikatnie pogłaskała go po skórzanym policzku.

W chwili gdy oboje uświadomili sobie sens jej wielkodusznego gestu, Bojan odskoczył jakby trafiony pociskiem. Uniósł rękę i strzepnął dłoń Sonji z taką siłą, że przygryzła wargę, aby nie krzyknąć z bólu.

Potem ręka opadła, tak samo gwałtownie, jak skoczyła w górę, a Bojan wbił spojrzenie w córkę. Przemówił cicho, jakby do siebie, tak cicho, że musiała się nachylić, aby usłyszeć, jak mówi, a właściwie przeprasza za swoje życie.

Łamiącym się głosem.

Szepcząc:

— Nie starczyło mi słów dla ciebie.

ROZDZIAŁ 9

1954

Dawniej było inaczej, pomyślał Bojan Buloh. Dawniej nawet w swoim okaleczonym wnętrzu umiał znaleźć to coś, tę tajemnicę, która łączyła go z wszystkimi ludźmi. Ale to, co jednoczyło go z samym sobą i z innymi, to coś przepadło, poprzedniego wieczoru tajemnica odfrunęła do lasu razem z wściekłym wichrem śnieżycy, a pozostała mu tylko przerażająca pewność, że nie jest już mężczyzną, lecz roztrzaskanymi kawałkami eksplodującymi na zewnątrz.

Tego dnia, który nastął po nocy, gdy Maria Buloh przepadła w zawiei, Bojan Buloh stał w milczeniu z innymi przyszłymi nowymi Australijczykami, ich rodzinami i przyjaciółmi w wielkiej chacie zbitej z desek, która była kinem w Butlers Gorge, czekając, aż miejscowy polityk zakończy swoje przemówienie wygłaszane z zakurzonego podium.

— Wy, mężczyźni i kobiety, postanowiliście złączyć dziś swój los z losem Australii poprzez naturalizację — powiedział polityk, słowami tak wyświechtanymi od częstego używania jak kołnierz jego wytłuszczonej marynarki. — W ten sposób tworzycie lepszy świat dla siebie i swoich dzieci. Ten dzień, piąty maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, jest dla was doniosłym dniem. Wy i wasze dzieci jesteście częścią nowej wizji nowej Australii.

Za politykiem siedziało przy stole dwóch urzędników, a za ich plecami rozpięto czerwoną flagę Australii połączoną z Union Jack. W złudnej nadziei na stworzenie w tym miejscu uroczystej atmosfery zawieszono pod krokwiami jakieś zeszmaczone chorągiewki, a portrety młodej królowej i Alexa „Minga” Menziesa wisały na gwoździach wbitych w nieotynkowany szkielet budynku. Dla urzędników państwowych ceremonia naturalizacji była radosną, odświętną chwilą, kiedy uchodźcy wyrzekali się dotychczasowego obywatelstwa — dotychczasowej ojczyzny i przeszłości — żeby stać się

Australijczykami. Dla naturalizowanych był to smutny, ale konieczny krok.

Polityk spojrzął znad mównicy na tłum, unosząc podbródek i zastygając w swoim mniemaniu we właściwej pozie wizjonera. Kolejną część przemówienia wygłosił bez notatek, ponieważ słowa płynęły z serca:

— Drogę wiodącą do nowej Australii oświetla nie tylko elektryczność, która powstanie dzięki waszej pracy tutaj, w Butlers Gorge, ale także wasze przekonanie, że nowy świat może być lepszy od starego.

Sala zawirowała przed oczami Bojana Buloha. Młoda królowa i „Ming” Menzies krążyli dokoła niego jak wilki, i cały tłum, i całe pomieszczenie, wszyscy i wszystko kręcili się wokół jak karuzela w czas karnawału. Poczul zawrót głowy, poczul, że podłoga pod stopami wybrzusza się i przechyla pod dziwnym kątem, jakby płynął po morzu, jakby dopadł go gwałtowny sztorm na Adriatyku i jedyne, co może zrobić, to starać się utrzymać równowagę i próbować zwalczyć ten straszliwy lęk wywołany przez zamęt, który opętał jego ciało i duszę. Poczul, że głowa staje się nieznośnie ciężka, że zwisa groteskowo, rozsadzana jakimś nienazwanym bólem, lecz poczul też silną wolę, która jawiła się jako obca i jednocześnie osobliwie, niezaprzeczalnie swojska, i przemógł to wszystko, wrócił do stanu, który być może wydawał się normalny. Nie mógł jednak powstrzymać drżenia dolnej wargi, nie mógł pohamować dygotu głowy.

Poczul, że jego trzyletnia córeczka Sonja zaciska dłoń na jego palcu, poczul uścisk z całej — drobnej — siły i miał wrażenie, jakby jego ręka znajdowała się w innym kraju, z którego wyjeżdża na zawsze i do którego być może już nigdy nie wróci. Ażeby więc jego głowa nie odpadła od szyi, aby pozostała na ramionach i nie potoczyła się po podłodze, kula z pustymi oczodołami, z których wytrysnęłyby tańczące płomienie, odwrócił ją bardzo powoli i upewnił się, że ona, Sonja, wciąż tu stoi, obok niego, trzyletnia dziewczynka, śliczna w odświętnej sukience, ze wstążkami we włosach.

Bojan wiedział, że nadal ma rękę, bo czuł dłoń Sonji ściskającą go za palec. To znaczy, że palec jest połączony z dłonią, a dłoń z ręką, to

nie może znaczyć nic innego, pomyślał.

I wiedział, że nadal ma oczy — choć w to powątpiewał — bo widział Sonję. To musi znaczyć, pomyślał Bojan Buloh, że mam oczy, połączone z umysłem, to nie może znaczyć nic innego. A gdyby nie widział już Sonji, gdyby nie czuł jej obecności, co by to oznaczało? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ogarnięty najstraszliwszym lękiem, którego za nic nie mógł pokonać.

— Przybywacie pełni nadziei i determinacji — ciągnął polityk. — W zamian za to otrzymujecie wielki dar w postaci angielskiej cywilizacji, języka angielskiego i naszej wiary w sprawiedliwość i fair play.

Odezwał się polski robotnik stojący obok Bojana, ale nie do niego bezpośrednio, tylko półgębkiem do wszystkich w pobliżu:

— Ja tam bym wolał to dobre mięso, jarzyny i świeże owoce, co je dostają angolskie inżynierzy i ich rodziny.

Przez tłum przetoczył się stłumiony śmiech.

Jest tylko to, pomyślał Bojan. Mięso i rozciągnięte kości. gówno i drewno w rosnących drzewach, które rozciąga mięso i kości, a te spłaszczają drewno, żeby powstały takie bezsensowne rzeczy jak ta chata, w której stoimy, i ten bezsensowny hałas. Były narodziny, była miłość i była śmierć, a w życiu są tylko te trzy historie, nic innego, jeszcze ten hałas. ten ciągły hałas, co ogłupia ludzi, przez co zapominają, że są tylko narodziny i miłość i że każdy z nich umrze. Jest tylko to. pomyślał Bojan i podniósł Sonję do piersi. Zaczął szlochać, najpierw cicho, potem niepohamowanie, a wtedy ona objęła rączkami ojca za głowę i przytuliła ją do siebie, jakby to była najkruchsza rzecz na świecie. jakby była z porcelany i mogła się stłuc.

Spojrząwszy kątem oka na Bojana, polityk zapewnił wszystkich, że łkający imigrant nie posiada się ze szczęścia z powodu tego doniosłego dnia. Aby pokryć zmieszanie, w jakie wprawił jego samego i pozostałych urzędników ten niestosowny — choć. jak zdawał sobie sprawę, wynikający z cech narodowych — przejaw emocjonalności, poczuł się zachęcony do wzbogacenia swojego przemówienia przydługimi spostrzeżeniami na temat sytuacji na świecie, poczynionymi podczas gospodarskiego objazdu imperium, który odbył niedawno w

towarzystwie paru innych mężów stanu. Kilku przyjaciół podeszło do Bojana. Poczuł, że obejmują rękami to, co uznał za swoje ciało, poczuł, że to ciało ich odpycha, poczuł, że usta wykrzywają się, rozciągają i wypowiadają słowo w języku, który ledwo znał i uważał za oschły: — Spierdalać, spierdalać... — I stał tam rozdygotany, z wysoko podniesioną głową, pozbawiony wsparcia, patrząc na wylot przez polityka, jakby przenikał spojrzeniem przez ściany prosto w las i jego straszliwą tajemnicę, samotny w tłumie, z Sonją, łkający.

Kiedy później tego samego popołudnia żony dwóch inżynierów zabrały Sonję, a on nie oponował — choć ona próbowała się sprzeciwić, ale na próżno — ktoś stwierdził, że jej buzia nie wyraża żadnych emocji. Dziewczynka wciąż miała na sobie odświętną sukienkę. Nie wydawała się ani smutna, ani wesół. Przez długą chwilę stała nieruchomo na ośnieżonej ziemi, jakby stanowiła element starannie zakomponowanego malowidła: w tle wysoki eukaliptus i tęskne niebo pełne przemykających chmur, na drugim planie prymitywne szopy z desek w osadzie budowniczych, dawniej soczyście zielone drewno kamforowca, teraz zszarzałe i poskręcane. Na pierwszy plan zaś kobiety wysunęły odwróconą do góry dnem skrzynię po żelatynie wybuchowej, przykryły ją prowizorycznym obrusem w czerwoną kratę, a na nim ustawiły zabawkowy porcelanowy serwis do herbaty, aby miała się czym zająć.

Sonja wzięła imbryk, wysunęła rękę w bok i upuściła go na ziemię, tłukąc.

W tej czynności nie było żadnej energii, raczej jej brak, brak emocji, pragnień. Rozbicie imbryka nie wywołało radości, wypuszczenie go z ręki nie było wyrazem gniewku. I robiła tak dalej, metodycznie, zupełnie beznamietnie, tłukąc cały serwis. Choć na jej twarzy nie odmalowały się żadne gwałtowne uczucia, była zaskoczona, że trzask rozbijanej porcelany nie zagłusza innych odgłosów, które w niej rozbrzmiewały. Najpierw imbryk, potem dzbanuszek do mleka, spodeczki i filiżanki, wszystko gruchnęło o ziemię i rozleciało się na drobne kawałki. Lecz bez względu na to, ile serwisów do herbaty spadłoby na beton, pozostałe odgłosy wciąż powracały, a wycie w środku głowy za nic nie chciało ucichnąć: szloch ojca, ryk śnieżycy, która smagała ich chatę ostatniej nocy, matczyiny śpiew, matczyiny

śpiew. Imbryk i dzbanuszek, spodki i filiżanki na betonie. Porcelana, perłowo gładka z zewnątrz, ostra jak szkło i sucha jak śmierć, gdy stłuczona. Czy oni też? Też się tak potłukli?

Rozbity imbryk i dzbanuszek. Śpiew matki. Szloch ojca. Roztrzaskane spodeczki i filiżanki. Wycie w środku, które nie chce ucichnąć. Ojciec i matka.

Spodek i filiżanka.

Śpiew.

Spodek i filiżanka.

Trach.

ROZDZIAŁ 10

1989

Trzaski, śpiew, tkanin i wycie z. czasem osłabły i ucichły. Na szczęście odgłos zimnego wichru grającego jęklonie na drutach wysokiego napięcia to/ odpłynął w dawno minione czasy. Sonja wzięła kilka głębokich wdechów. Żeby odegnać od siebie to wszystko, oby na zawsze, skupiła się na dziwnym natarczywym rytmie deszczu bębniącego o aluminiowe okno w hotelu; szeleścił, drapał i cofał się. Jakby najpierw przychodził wiedziony nadzieją, że dostanie się do środka, a potem rozczarowany zniknął.

Gdy wreszcie upewniła się co do obecnego czasu i miejsca, uspokojona, że czas nie zawrócił i nie zabrał jej ponownie w przeszłość, z którą nie chciała mieć nic wspólnego, otworzyła powoli oczy. Zapaliła lampkę przy łóżku. Przekonała samą siebie, że czuje się już lepiej. Potem spróbowała zapomnieć o śnie, skupiając uwagę na dziwnych szczegółach hotelowego pokoju. Tania niska lampka roztaczała mdłe światło, sięgające ściennej szafy z od łączący mi płatami forniru przyklejonymi przylepcem. Sonja poczuła się pewniej. Przylepiec się zawijał. Zrobiło jej się lepiej. Zlew wmontowany w szafę. Wyżej lustro ze zbrązowiałymi rogami.

Gdy zsuwała się z łóżka, zaszeleścił foliowy pokrowiec na materacu. Podeszła do lustra, stanęła przed nim i spojrzała na swoje odbicie. Uniosła halkę i prawą ręką nakreśliła na brzuchu okrąg, powoli masując skórę kolistymi ruchami, jakby chciała przywołać jakiś nowy magiczny kształt, dzina z czarodziejskiej lampy swego tułowia. Ale w tym miejscu, tego wieczoru, nie można było liczyć na żadną magię. Nawet w słabym żółtym świetle dostrzegła, bez uczucia zadowolenia czy rozpaczy, że brzuch jest płaski.

Obok umywalki leżała wilgotna chusta zawiązana na supeł. Sonja opuściła halkę, podniosła chustę, rozplątała węzeł i spojrzała na uwalane kawałki porcelany, które odkopała wcześniej. Starannie oczyściła

wszystkie z brudu, który uporczywie czepiał się powierzchni odłamków jak smar ochronny, spłukując go pod kranem, pstryknięciem usuwając większe grudki ziemi, a potem dokładniej szorując wszystko szczoteczką do zębów. Patrzyła, jak z ciemności wyłaniają się powoli biel i wzór w jeżyny, jakby była malarzem po raz pierwszy odkrywającym w granicach płótna tajemnicę obranego tematu. Potem wytarła odłamki hotelowym ręcznikiem, ułożyła je na łóżku i skierowała odpowiednio światło lampy, zaczęła składać je w całość.

Pracowała uważnie, cierpliwie, najpierw próbując w ten sposób, potem w inny, aż udało się jej uzyskać pewien ład, który przywoływał na myśl mały imbryk o staroświeckim kształcie. Uporała się może z jedną czwartą, po czym zniechęcona skapitulowała. Fragmenty nie chciały się dopasować, nie dały się ułożyć z powrotem w żadnym sensownym porządku, który coś by oznaczał, cokolwiek.

Tylko w lustrze dygotało małe dziecko ściskające imbryk.

ROZDZIAŁ 11

1989

Sonja wstała i podeszła do otwartych drzwi w pokoju Bojana, żeby spojrzeć na świat na zewnątrz. Nastąpiło późne popołudnie. W jej oczach Tullah było nie tyle miasteczkiem zagnieżdżonym w wysoko położonej dolinie otoczonej dzikimi górami, ile stertą przemysłowych odpadów pozostawionych samym sobie, aby wchłonął je bagnisty grunt. Tutaj wszystko i wszyscy byli tymczasowi. Z wyjątkiem lasów deszczowych i agastachysa, które powrócą, gdy to krótkotrwałe najście dobiegnie końca. Nie było to miejsce, w którym ludzie się rodzą albo chcieliby umrzeć, lecz takie, o którego opuszczeniu się marzy.

Obietnica złożona napływowym robotnikom, oferta lepszego życia w Australii niż w zniszczonej wojną Europie, nieuchwytna tęcza dobrobytu i łatwiejszych, spokojnych czasów wyświechtała się i przygasła, aż utraciła całkowicie realność, stała się przywoływanym z trudem barwnym marzeniem, o którym najlepiej byłoby zapomnieć. Aż wreszcie przemieniła się w sporadyczny okrzyk bólu, piskliwy i niespodziewany, który, przy odpowiednim wysiłku, można było zagłuszyć jednostajnym szmerem nudnych codziennych pewników. Wszyscy snuli posępne myśli w tym kwaśnym bagnisku o nazwie Tullah, czekając na chwilowe katharsis zdolne rozproszyć monotonię: śmierć robotnika przy budowie zapory, bijatykę w stołówce zakończoną zrzuceniem garnka z wrzątkiem, losowanie prostytutek w pubie, które przyjechały z Melbourne na pracowity weekend.

W ten sposób uchodźcy zestarzelili się na hydrobudowach, zanim się zorientowali, że ich czas dobiegi końca. Popatrywali na młodych, którzy śmiali się z nich za plecami, choć w duchu bali się ich zahartowania i tego, że może ono stanowić zapowiedź także ich życia. Starzy mężczyźni patrzyli też, jak nowe narkotyki, marihuana, speed i kwas, coraz częściej wypierają grog jako nieodłączny element tej nieszczęsnej egzystencji. Zmiana polegała w zasadzie na większej różnorodności, bo gdy dawniej

ucieczkę i zapomnienie można było znaleźć tylko w trunkach, teraz to samo oferowały niezliczone tabletki, proszki i zioła. Starzy mieli oczy jak wrzątek po ugotowanej kiełbasie, młodzi jak łepki szpilek. Starzy wypijali dzban piwa jednym haustem, młodzi zaś wypalali sześć skrętów i brali niebywałe ilości amfetaminy, aż ich serca dostawały takiego kopa jak ich nieszczęśliwe dusze, ale takie zjednoczenie ciała i ducha budziło tylko łzy gorzkości.

Sonja spojrzała z pokoju Bojana na identyczne, jakby skopiowane kwatery robotników: jeszcze jeden długi wąski parterowy barak pokryty blachą falistą, rząd drzwi przez całą długość, weranda, od frontu pranie wiszące na kawałkach nylonowego sznurka rozpiętych między palikami: poprzecierane podkoszulki, robocze teksasy w kolorze khaki, wyblakłe aż po piękny odcień zwietrzałego piaskowca, swetry ze zgrzebnej wełny we wszystkich kolorach, T-shirty z przesłaniami dla świata odmawiającego obywatelstwa tym, którzy je nosili. Robota na zmiany, jedna za drugą, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Mężczyźni przybywali do tej kurzej fermy, a potem z niej uciekali, a Sonja patrzyła teraz, jak u odległego krańca kwater zaciska się i otwiera, zamyka i rozkurcza dłoń złożona z osowiałych robotników, wypowiadających krótkie zdania zakończone długim skrępowanym śmiechem, jakby już zawsze miała ich trawić niepewność, czy ich siła fizyczna nie jest przypadkiem jakimś okrutnym kalectwem.

Za każdymi drzwiami znajdowała się nędzna cela, taka sama jak ta, w której Sonja teraz stała, taka sama jak każda z tych, których Bojan nigdy nie chciał nazwać domem, ale w których mieszkał od dziesięcioleci, w różnych wcieleniach w różnych obozowiskach budowniczych elektrowni wodnych, każda nowa izba podobna do poprzedniej, utwierdzająca go w przekonaniu, że żadna nie może się wyróżniać. Standardowe umeblowanie składało się z metalowego łóżka i na tym koniec, ponieważ władze słusznie uznały, że wszystko inne zostałoby rozkradzione. Poza tym w tej skąpej przestrzeni niewiele więcej by się zmieściło, choć niektórzy lokatorzy usiłowali przemienić klatki w saloniki godne podmiejskich domów, snując niedorzeczne, poronione marzenia o domowych pieleszach. Inni traktowali swoje pokoiki tylko jako biwak, który wkrótce opuszczą na zawsze, podążając

za swoim przeznaczeniem do innego miejsca, dokądkolwiek, byle nie było to Tullah.

Pokój Bojana, podobnie jak on sam, był bezpański. Pozbawiony aspiracji, złudzeń, marzeń. Był dość schludny, lśnił ascetyczną surowością tego dnia, gdy zjawiała się Sonja, domyślając się, że ojciec zawsze utrzymuje go w takim stanie. Nienawidził brudu, bałaganu i świadectw przeszłości. Oprócz metalowego łóżka Bojan miał mały telewizor. Stare radio tranzystorowe w skórzanym etui, które pamiętała z dzieciństwa. Komodę. Krzesło kuchenne ze stalowych rurek i pomarańczowego winylu. Małą lodówkę. Niewielką drewnianą szafę, której dwuskrzydłowe drzwi sam ozdobił, malując białe kwiaty o spiczastych płatkach. Zapomniała o tym jego dziwactwie, o malowaniu kwiatów na różnych przedmiotach, nawet na swoim kasku budowlanym i na jej pierwszym kiju hokejowym.

Za dnia pokój Bojana, tak jak wszystkie inne, rozjaśniało zakurzone światło wpadające przez małe okno wybite wysoko w ścianie naprzeciw drzwi. Czasem przesiadywał pod tym oknem — sylwetka mężczyzny połączonego z tym światem tylko ukośną smugą światła, którą drobinki pyłu przedłużały jak iluminowane litery w średniowiecznym manuskrypcie — wyobrażając sobie, że jest mnichem w jakimś odległym monasterze na Bałkanach. Sylwetka mężczyzny, który wyrzekł się wszystkiego i biczował codziennie swoje ciało w nadziei, nigdy niespełnionej, zawsze złudnej, że uwolni swoją duszę od straszliwych demonów. Okrutnie karał swoje niewinne ciało alkoholem i katorżniczą pracą, czuł, jak ono ścina się i więdnie, czuł, jak jego wnętrzności puchną niczym u trupa, czuł, jak w głowie go łupie od tępej agonii tego wszystkiego, ale w jego wnętrzu coś ostrego wciąż zadawało rany, coś niezaprzeczalnego, a dopóki czuł ten ból, dopóty wiedział, że siedzi w nim dusza, gotów był zaś na wszystko, aby się jej pozbyć, wyrzekłby się jej, przehandlował ją, wyrzucił jak odpadki na drogę i pomaszerował dalej.

Lecz to było niemożliwe.

ROZDZIAŁ 12

1989

Ciemny cień Bojana Buloha padał na stół i rozłożone na nim jedzenie, na te specjały z jej dzieciństwa, wędliny i sałatki, które przygotowywał z takim pietyzmem i zamiłowaniem, że wiedziała, iż mężczyzna, który ją bije, nie jest tym samym mężczyzną co jej ojciec, którego dłonie z wielką delikatnością wciskają mielone mięso i zioła do kiszki, że mężczyzna wykrzykujący ordynarne słowa to ktoś inny, bo ojciec dostrzega piękno w beczce kiszzonej kapusty, chichocze z radości na widok pierwszych pędów w swoim warzywniku wczesną wiosną, a pewnego razu otarł łzę z policzka, bo zobaczył pomidory połyskujące w deszczu przy słonecznej pogodzie.

Odsunęła się nieco z krzesłem, żeby nie pozostawać w cieniu ojca i dzięki temu lepiej go widzieć.

— Co jest? — spytał. — Nie smakuje? To inne niż żarcie w Sydney. Przestałaś jeść bambo żarcie?

— Tak.

— A ja to faken lubię — odparł i się uśmiechnął. — Przepraszam.

Sonja też się uśmiechnęła, ze zdziwieniem, ze smutkiem, bo ojciec po chłopięcemu przeproszał za jedno wulgarne słowo, podczas gdy dawniej innych nie używał. Mało innych w ogóle znał.

Bojan wydawał się teraz bardziej pewny siebie, gdyż znalazł się na swoim terytorium, ale wciąż oboje byli speszeni swoim towarzystwem. Poruszył więc neutralny temat, choć dla niego ważny.

— W stołówce dają australijskie jedzenie, znasz przecież te górskie obozowiska: kotlety i potrawki, ciasta i kotlety. Dobre, wiesz, ale nie dla mnie, więc... — urwał uśmiechnięty i zarechotał pod nosem, czekając na odpowiedź Sonji.

— Więc?

— Więc — powtórzył z odcieniem triumfu — muszę sam robić

dla siebie jedzenie albo bym głodował, cholera.

Zamaszystym ruchem otworzył lodówkę i wtedy zobaczyła obfitość najprzeróżniejszych wędlin — niczego podobnego nie widziała od dzieciństwa. Bojan zaczął sięgać do lodówki i szafy używanej do suszenia innych frykasów, przygotowując wystawny popołudniowy posiłek. Na stoliku karcianym ułożył salami, sery, sałatki z fasoli, ziemniaków i pomidorów, grzyby marynowane, podsmażoną paprykę, wędzonego pstrąga i pieczywo. Następnie usiedli do jedzenia, on na swoim łóżku po jednej stronie stolika, ona naprzeciwko, na krześle obitym pomarańczowym winylem.

— Co myślisz o tym? — spytał Bojan, wskazując talerz z plastrami wędliny.

— Wspaniała szynka — odparła Sonja.

— Chuj, nie szynka. Wiesz, co to jest? Tysiąc razy lepsze od cholernej szynki. To kangur!

Spojrzała na niego zdziwiona. Roześmiał się.

— Tak, kangur. Poluję, marynuję, potem wędzę. Cudowne, cholera, cudowne. Zero cholest-o-rolu — dodał, kalecząc słowo. — A to ważne dla zdrowia.

Uśmiechnęła się. Nieznacznie.

— Założę się, że w Sydney nie zjesz kangura — powiedział Bojan.

— Nie.

— Ano nie — potwierdził, nalewając przezroczysty płyn z butelki po coli do dwóch szklaneczek. — Zgadza się, cholera. Nie ma mowy. Jesteś niezdrowa, bo jesz śmiecie. — Podał Sonji szklaneczkę. — A teraz golnij sobie.

Przed wypiciem Bojan obowiązkowo wznosił toast po słoweńsku:

— *Na zdravje.*

Oboje pociągnęli łyk.

— Dobrze, co? — spytał. — Sznaps z moreli z miodem rzemienicowym. Oni i my. — Roześmiał się na myśl o tym dziwnym połączeniu środkowoeuropejskiego trunku i płodów Tasmanii. — Robi to jeden Chorwat, co mieszka tam dalej.

Jedli więc i pili, aż na stoliku karcianym nie zostało prawie nic

oprócz butelki ze sznapssem z dodatkiem miodu. Spytała, co on myśli o tych wszystkich rzekach grodzonych zaporami, czy według niego to dobrze, czy źle, no i wtedy się rozgadał:

— No jasne, że źle, faken źle. Mówię ci, dawniej chodziłem brzegiem Murchison River i Mackintosh River, i Pieman River, aż do tego cholernego lasu i bardzo mi się tam podoba. Cały faken dzień, a czasem nawet i przez noc, i na drugi dzień też. Robiłem sobie gniazdo jak jaki faken ptak, a piękne gniazdo robiłem, cholernie piękne, piękne gałęzie mirtu wyścielone miękkimi zeschniętymi liśćmi paproci. Łowiłem pstrągi i przyrządzałem na podwieczorek i śniadanie, jak się budziłem, a tak pięknie spałem, nie uwierzysz, jakie piękne rzeczy widziałem, a jeszcze dziwniejsze, bo jak jednego ranka leżę sobie w moim gnieździe i raptem go widzę, faken, tygrys tasmański. Wiem, że podobno wymarły, a przedtem piłem całą noc w tym gnieździe, piłem sznapsa brzoskwiнового i owocowego jabola, to wiem, że nie czułem się najlepiej, ale wiem, co wiem, jak co widzę, a widziałem tego faken tygrysa tasmańskiego, z tej odległości, trzy metry najdalej. Zaśmiałem się, no bo to śmieszne, wiesz, ja w gnieździe, a dokoła tygrys sobie łązi, no to zaczynam do niego gadać. „Może to ja powinienem nie żyć”, mówię. Ten tylko patrzy na mnie. „A może nie żyję”, mówię i myślę sobie, że może ten jabol owocowy mnie wykończył, umarłem i jestem w niebie. A może w tym drugim miejscu. No to go pytam: „Stary, czy to jest piekło?”. I znowu się śmieję. Tygrys ciągle nic nie mówi, ale potem otwiera szeroko paszczę, tak szeroko, że byś nie uwierzyła. Jezu Chryste, pomyślałem, że szczęka mu się rozpadnie, a w tej paszczy zobaczyłem wszystkie straszne rzeczy z dzieciństwa, no i powiem ci, że więcej już tego cholernego jabola do ust nie wziąłem.

Pili więc i rozmawiali. Aż butelka była prawie pusta, a wtedy Bojan spojrział na Sonję, wciągnął powietrze w płuca i spytał:

— Masz faceta?

Starła się nie dopuszczać do tego, żeby ludzie stawali się częścią jej życia, bo zaproszenie do przestąpienia tego progu oznaczało nieuchronnie zaproszenie do odejścia, a wtedy ból samotności stawał się tak dojmujący, widoczny i niezaprzeczalny jak brzask po nocy. Oczywiście nie można było trwać w stanie odosobnienia, prowadzić

życia będącego tylko zaprzeczeniem życia. Od czasu do czasu zaznawała więc słodkiego ciepła i ciężkich woni dzielonego łóżka i bliskości, spała z wieloma mężczyznami, a gdy była młodsza, robiła to nawet z kilkoma kobietami, niekiedy powodowana autentycznym pożądaniem, ale najczęściej z potrzeby zwykłego wytchnienia. Ale potem się przekonała, że nie potrafi ani zaspokoić jednego, ani doświadczyć drugiego.

Nie odpowiedziała więc, spojrzała tylko na Bojana z lekkim uśmiechem i pokręciła głową. Wyczuł, że poruszył ważną sprawę, ale błędnie zinterpretował jej gesty. Uśmiechnął się, jakby właśnie upolował dzikie zwierzę.

— Ech, wiem — rzucił. — Masz faceta.

Wiedziała, jak dogodzić mężczyznom, poza tym to było bardzo łatwe. Na ogół nie skąpiła im swojego ciała. Czuła, jak się porusza w reakcji na ich napór i pulsacje, a czasem nawet wsłuchiwała się we własne tłumione porywy. Ale w jej głowie nic nie drgnęło. W jej duszy nic nie zadrżało. Wszystko, czego mężczyźni od niej oczekiwali, robiła z zimnym zapalem, który uznawali za seksowny.

Lecz jeśli potem mężczyzna odwracał się we śnie i spontanicznie się w nią wtulał, nagle ciepło natychmiast ją budziło, a wtedy ona budziła jego, odsuwała go z powrotem na drugą połowę łóżka, palcem wskazującym rysowała wyimaginowaną granicę pośrodku, mówiąc:

— Nie dotykaj mnie, nie zniosę tego, że ktoś mnie dotyka, gdy śpię.

Jej sny były dziwną, niezbadaną, niepoznawalną głębią, w którą zapadała się w poszukiwaniu tego, co utraciła dawno, dawno temu. Tego, co niegdyś drgało, tętniło nieodpartą mocą.

— Za dużo miałam facetów — odparła wreszcie bezbarwnym tonem.

Bojan opacznie zrozumiał to, co próbowała mu powiedzieć.

— Nie. Wiem. — Zakręcił palcem w powietrzu. — Teraz masz jakiegoś wyjątkowego, nie?

Czasem, choć rzadko, dopuszczała mężczyznę bliżej. Niektórych lubiła, trudno zaprzeczyć. Niekiedy opanowywała ją mglista tęsknota, żeby kogoś dotknąć, przytulić. Lecz w chwili, kiedy to uczucie ją ogarniało, natychmiast ziębła, pozwalała mężczyźnie się oddalić,

szybko, szybko, zanim to się przerodzi w coś głębszego. Bo tacy byli gorsi od tych, których nie lubiła, bo rozwierali jej skorupę, jakby była ostrygą, a ich miłość była tylko miłością smakosza, otwierającą w niej zakamarki, które chciała pozostawić zamknięte. Chłód wobec nich dopadał ją jak zmiana pory roku, prawie niepostrzeżenie, nie przeradzał się w gniew, nie krzyczała sfrustrowana z wściekłości jak niektórzy — po prostu przychodziła oziębłość, która ją wypełniała i nie chciała odejść, dopóki nie odszedł mężczyzna będący jej przyczyną.

Wolała więc łatwiejszą, nieskomplikowaną obecność mężczyzn, którzy ją okłamywali, mężczyzn, którzy wracali późno do domu przesiąknięci obcymi zapachami, z naręczem kwiatów, mężczyzn, którzy spotykali się z nią dla seksu, towarzystwa, pieniędzy albo różnych kombinacji tych trzech powodów. U ich boku czuła się swojsko, bo stanowili doraźny problem, istniejący tylko w teraźniejszości, niesięgający skomplikowanego charakteru jej losów.

Dała sobie spokój z udawaniem, że mówi ojcu prawdę, i tylko pokręciła głową z lekkim wyrzutem. Bojan Buloh ciągnął niezrażony:

— Wiem. Nie moja sprawa, ale kiedy poznam tego twojego faceta?

Przeczesał dłonią schludne, pofalowane włosy. Jego krnąbrne, głupawe włosy, pomyślała. Irytowało ją to. To, że wciąż mu się wydaje, że wszystko rozumie, kiedy nie rozumiał niczego, co dotyczyło ich obojga albo tylko jej. A już najmniej tego, co dotyczyło jego. Poczwała rozpacz, więc uśmiechnęła się i skłamała kolejny raz:

— Na razie... na razie nie poznasz. Nie przyjechał. Jest w Sydney. Pracuje. — Wzruszyła ramionami. Uśmiechnęła się czarująco. — Jest zajęty.

— Ale honorowy z niego człowiek, tak? - spytał Bojan. — Ożeni się z tobą jak nałóży, co? Milczała, więc zrobił się natarczywy: — Co skurwiel na to? Powiem ci, jak będzie śpiewał, gdy Bojan Buloh go znajdzie i przyłoży mu nóż do gardła.

Swoją groźbę poparł wymownym gestem, żeby każdy wiedział, co czeka tego mężczyznę, gdyby miał na tyle wielkiego pecha, że wpadłby w ręce Bojana Buloha. Sonja ujęła jego skore do przemocy dłoń, ale był to pusty gest, bo niczego nie dało się już naprawić.

— Jest dobrze — powiedziała do ojca. — Będzie dobrze.

Wzięła butelkę z morelowym sznapsom i nalała hojnie do szklanek, opróżniając ją do końca. Wyczuł, że ona coś zataja.

Uznał, że córka ukrywa ojca przed narzeczonym.

— Rozumiem — powiedział. — Nie chcesz, coby mnie poznał. Rozumiem. Czemu miałabyś chcieć? Nie. Jestem nikim. Nie ma się czym chwalić. — Wzruszył ramionami i ciągnął dalej pod dyktando swoich myśli, bez uzalania się nad sobą, bez emocji: — Zero na końcu świata. Jak go kochasz, to wiadomo, że nie chciałabyś mu pokazać swojego ojca.

— Nie — zaprzeczyła Sonja — To nie tak.

— Ale kochasz go, co? A to...

Lecz ona już podała mu szklanekę, drugą zbliżając do ust. z kolejnym uśmiechem wznosząc toast, choć melancholijnie: — *Na zdravje* — odrzucając do tyłu głowę i wypijając wszystko zgodnie z tradycją jednym haustem. Następnie, też na modłę środkowoeuropejską, przyłożywszy kciuk prawej dłoni do policzka, palcem wskazującym szybko otarła do sucha górną wargę. Potem palec opadł. Znowu się uśmiechnęła. Ale jej twarz była osobliwie pozbawiona wyrazu, pozbawiona nadziei. Zawiesisty alkohol przyjemnie grzał jej gardło. Miłość znów wydała się jej czymś lekko komicznym, zdradliwym i nieuchwytnym na zawsze.

— Kto — odezwała się bezbarwnym, rzeczowym tonem — kto pragnąłby takiej miłości?

Bojan Buloh chciał spuścić wzrok, ale nadział się na spojrzenie córki. Jego oczy jak rozbita butelka po piwie. Wydał dolną wargę, zamyślił się i już chciał przytaknąć, żeby podtrzymać to kłamstwo Sonji, ale zamilkł. I spojrział w bok.

Kto?

ROZDZIAŁ 13

1954

Wszystko, co wydarzyło się później, należałoby opowiedzieć jak najszybciej, bo taki właśnie zdawało się mieć przebieg, a teraz można odnieść wrażenie, że potoczyło się jeszcze szybciej, w ciągu zaledwie kilku godzin czy minut, choć oczywiście mogło trwać dłużej, być może kilka dni. a nawet tygodni. Tak czy owak, na Bojana Buloha i jego małą córkę spadło to jak szarża kawalerii — straszliwa katastrofa o coraz większym zasięgu, jakby najgorszy nie był pierwszy akt przemocy, ale jego nieuchronne, nawarstwiające się konsekwencje.

Nikt nie rozmawiał za wiele z Bajanem Bulohem. Niektórzy z nim pili, ale alkohol w ogóle nie oddziaływał na jego ciało, bo było tak, jakby dusza z niego wyfrunęła w ślad za żoną do lasu. Wlewał w siebie piwo i sznapsy domowej roboty z taką samą obojętnością, z jaką chłonał modlitwy księdza Flannery'ego, który przychodził z wizytą. Dawniej wyrzuciłby księdza za drzwi, ale teraz tylko nalewał hojnie do kieliszków jemu i sobie, aż duchowny był tak pijany, że widziano go później wymiotującego za zajezdnia dla ciężarówek.

Bojan nie dbał o to, czy czuje cokolwiek, czy nic. ani czy da radę wlać w siebie lak ogromne ilości alkoholu, a jednocześnie nie mógł się nadziwić, że tyle potrafi w sobie pomieścić i nie pęknąć, tyle wody i innych rzeczy, jakby się zmieniał w zaporę, przy której tyrał każdego dnia.

Ta świadomość przywiodła go prawie do łez, bo uznał to za cień rzucany przez ogromne bezkształtne zjawy, które go odmieniły. Czuł się tak, jakby szedł ogromnym ciemnym tunelem ku iskierce światła hen daleko na końcu i pewnego późnego wieczoru, w chwili nagłej przytomności, zrozumiał, że tą iskierką jest Sonja. Ale uczucie to zaraz wyparły frustracja i rozpacz, bo bez względu na to, jak długo i daleko wędrował w ciemności, nie mógł dotrzeć do tej iskierki. Miotaly nim sprzeczne ogłupiające uczucia i jeszcze inne też. W tym myśleniu nie

było wyraźnego szlaku, którym można by podążać. Był tylko chaos i Bojan będący naczyniem dla tego chaosu.

Należałoby to opowiedzieć tak wolno i starannie, jak tylko można, bo podobne sprawy wymagają spokojnych wyjaśnień i zrozumienia, ale żadna relacja nie odda pełni obrazu. Dni i tygodnie mijały z prędkością pędzących sekund, a kilka sekund rozciągało się w wiekuiste cierpienie. To przekraczało ludzką wytrzymałość i pojmowanie, a zatem nie sposób tego zrozumieć ani wyjaśnić.

Brygadzysta pomówił z kierownikiem budowy, a kierownik budowy pomówił z inspektorem nadzoru, którego żona była niewyczerpaną wylęgarnią plotek rozsiewanych po obozowisku, tłumaczących, dlaczego tak się stało i na czym polega dziwactwo uchodźcy i jego żony, no i ich córki, która w ogóle nie przypominała dziecka, a jej twarz była niczym maska ukrywająca Bóg raczy wiedzieć jakie cudaczne myśli. Inspektor nadzoru powiedział kierownikowi budowy, który powiedział brygadziście, który powiedział Bojanowi o dwutygodniowym urlopie okolicznościowym, ale ten był skołowany, bo nie miał pojęcia, co po angielsku znaczy słowo „okoliczność”. Zignorował wiadomość od brygadzysty i nadal przychodził codziennie do pracy, ponieważ dawała mu przynajmniej poczucie istnienia poza ciemnym tunelem, choć wciąż widział siebie jakby z dala, jakby to była kraina, do której pewnego dnia być może przybędzie. Nie obijał się w pracy. Nic z tych rzeczy.

Młotem kowalskim rozłupywał kamienie, jakby to był jego umysł. Młot wznosił się i opadał niczym pałka werblisty wybijająca nierówny obłąkańczy rytm na głazach w dolinie, a gdy kamienie rozpadały się w żwir od uderzeń, ten nadzwyczajny znój obserwowali z zadziwieniem wszyscy pracujący przy zaporze. Kiedy zjawiała się ekipa filmowa, żeby nakręcić dla komisji reportaż o budowie zapory, przybyłym wskazano oszalałego bambo jako jedną z ciekawostek zasługujących na upamiętnienie.

Kamerzysta Earl Kane uchwycił niecodzienną scenę w ramce zrobionej ze swoich palców. Szczerze powiedziawszy, nie miał bladego pojęcia, jak nakręcić to wszystko tym obsranym sprzętem, w który go wyposażono na wyjazd. Dobre czasy dla ekip kroniki filmowej w

Sydney dawno minęły. Dobry sprzęt, dobre zlecenia, dobrzy operatorzy. Ale praca to praca, a w tych czasach zajęcia dla kamerzysty było tyle co kot nasikał, chyba że człowiek chciał się zatrudnić w jednym z tych nowych studiów telewizyjnych i dostawać już do końca świata po dupie. Earl Kane westchnął. Odkręcił nogi statywu i zobaczył, że jedna jest złamana. Jezusie, pomyślał, jak do cholery mam tu cokolwiek...? W jego myśli wdarł się głos dobiegający od zrytej koleinami żwirówki.

— Ej, Earl, rusz tu swoje cztery litery! Stąd możemy objąć całą budowę.

Takiego wała, pomyślał Earl. Takiego wała. Ale zdawał sobie sprawę, że w ostateczności to bez znaczenia. Komisja była tylko kolejnym ważnym organem, który chciał mieć to wszystko zarejestrowane — na papierze, na zdjęciach, na taśmie filmowej. Przecież nie będą tego pokazywać w kinie. To materiał do archiwum. Ziemia dawno mnie już przykryje, pomyślał Earl, gdy w końcu ktoś to zobaczy.

Kiedy tydzień po wizycie dostali materiał po pierwszej obróbce, szef Earla, dawniej członek partii, był zachwycony efektem.

— Tylko popatrz! — powiedział, z papierosem w zębach, takim w amerykańskim stylu, zakończonym nowoczesnym filtrem z korka. — Tym razem oddałeś istotę sprawy, Earl. To... — zaczął szukać właściwego słowa i wreszcie rzucił: — heroiczne, ot co. Heroiczne, kurwa.

Pomachał papierosem nad ekranem stołu montażowego, na którym tam i z powrotem przesuwali się czarno-białe kadry.

— Równie dobrze to może być jakaś ogromna sowiecka hydrobudowa na Syberii albo Uralu. Albo zapora Hoovera.

Gwałtowne ruchy kamery i sporadyczne prześwietlenia sugerowały niemożność uchwycenia skali tego przedsięwzięcia — tego, że człowiek, ostatecznie, gwałtownie i z pozoru nieodwracalnie, narzucił światu przyrody swoje panowanie.

— Ale to my jesteśmy, Earl. My, kurwa. To my to robimy — powiedział szef. — Nareszcie, do kurwy nędzy, ten kraj na to stać.

Oko kamery objęło podstawę budowanej zapory. Różni ludzie przy pracy na różnych dziwnych podwyższeniach, ale właściwie nie było

widać, czy tworzą cud nowego świata, czy może prowadzą wykopaliska archeologiczne w jakimś egzotycznym zakątku, odsłaniając cud świata antycznego. To coś wydawało się monumentalne, w połowie zbudowane, w połowie zniszczone. Obiektów przesunął się po rzece do miejsca, w którym koparki parowe ryły w skale jak gryzonie, następnie powoli ku wierzchołkowi nowego urwiska wyciosanego w dolinie porośniętej lasem deszczowym. Wyżej pod ostrym kątem przecinały się drogi, jakby wykrojone nożem ulicznego bandyty. Nieśpieszny przechył kamery ku licu zapory, zwieńczonej niedokończoną koroną, po której ludzie przemykali jak mrówki na łyżce szpadla. Duży betonowy kubeł zsunął się na skomplikowanym wyciągu na szczyt zapory, a jego zawartość wysypali mężczyźni wiszący w powietrzu na ogromnym podnośniku, jak szczenięta zębami uczipione nogawki. Inni, po kostki w cemencie, z mozołem wlewali beton w zbrojenie, upewniając się, że nie ma żadnych dziur ani szczelin. Przeskok kamery na pojedynczego mężczyznę walącego dźwięczącym młotem kowalskim w otoczeniu skał. Mężczyzna podnosił i opuszczał młot z taką zawziętością, że robiło to wrażenie nawet na ludziach w zaciemnionej montażowni. Po każdym uderzeniu młot podskakiwał, jakby grzmotnął w gumę, a nie w kamień.

— Patrz na tego skurwiela, Earl! — powiedział szef redakcji. — Aż chciałoby się spytać, w imię czego haruje jak diabeł.

Patrzyli na zamachy młotem.

Przeskok na stalową ramę z sitem opuszczaną do wnętrza zapory, gdzie miała być zamontowana u wejścia do tunelu wodnego. Mężczyzna czekający na dole na ramę. Nagle Earl wcisnął stop-klatkę, cofnął i odtworzył nagranie ponownie.

— Popatrz — powiedział. — To ten sam świrnięty uchodźca.

Puścił kolejny fragment. Sito znieruchomiało kilkadziesiąt centymetrów nad betonowym podłożem. Patrzyli, jak Bojan Buloh ustawia ramę we właściwej pozycji.

— Wygląda, jakby dostał dożywocie za tą kratą — skwitował Earl.

ROZDZIAŁ 14

1989

Jak armia widm, złych i podstępnych, bezcielesne płaszcze i sukienki zafalowały w natarciu. Sonja spięła się mimo woli — odruch osoby zawsze gotowej na cios — i odwróciła bokiem, aby jak najmniejszą powierzchnią ciała wystawić się na atak napierających upiorów. A potem ciało się rozluźniło, choć powoli, bo umysł ze sporym trudem je przekonał, że w tym miejscu nie ma żadnego zagrożenia. Było jej wstyd, że boi się czegoś takiego, że zachowuje się jak dziecko. Po chwili, która wydawała się długa, ale długa nie była, uświadomiła sobie, że nie ma powodu do niepokoju. Gdy się otrząsnęła i rozejrzała dokoła, zobaczyła, że jej idiotyczny strach minął niezauważony. W ogłuszającym hałasie i przytłaczającym rozgardiaszu olbrzymiej szwalni w zakładach włókienniczych w Hobart wszyscy byli zbyt pochłonięci wypełnianiem dziennych norm, żeby dostrzec dziwne zachowanie obcej kobiety, a cóż dopiero się tym przejąć.

Spojrzała na wypukły sufit, na kurz w smugach światła zwięzających się ku małym okienkom u góry, jakby ulatywały tam wszystkie gasnące nadzieje i marzenia kobiet, które harowały na dole. Wśród milionów kłaczek na zmechanizowanych suwnicach sunęły ubrania od jednej włóknarki do drugiej, a każdą bez reszty pochłaniał własny odcinek pracy: szycie, krojenie, przyszywanie ozdób i guzików, pakowanie.

Ruszając dalej przez ogromną halę, Sonja usłyszała, jak stukot overlocków połączony z nasilającym się i słabnącym szumem innych maszyn wypełnia przestrzeń dziwnym ogłuszającym hukiem, który pod pewnym względem niósł pokrzepienie. Mijała rzędy szwaczek, ocierając się czasem o brygadzystę, i kluczyła między sunącymi ubraniami — owiewały ją, na mgnienie oka ukazując się jako pół zjawa, pół człowiek. W każdej pochylonej głowie wypatrywała twarzy, której być może nie rozpozna. Trudno było odróżnić te kobiety, a cóż dopiero dostrzec twarz

z dawnej pogmatwanej przeszłości.

Przy końcu hali jej uwagę przyciągnęła para dłoni. Zatrzymała się. Z siedzącej postaci widziała jedynie spuszczoną głowę w chustce oraz to ręce. W ruchach rąk było coś, co pobudziło pamięć Sonji. jej wzrok przykuła płynna wędrówka materiału przesuwanego szybko i fachowo pod igłą. Stała i patrzyła. Dłonie skończyły obrębianie i głowa w chustce uniosła się powoli.

Drobna wyrazista twarz spojrzała na obserwującą ją nieznaną kobietę.

Patrzyły nieruchomo na swoje zastygłe rysy. pozwalając zaintrygowanym oczom obmacywać twarze, które dawno temu nauczyły się nie wyrażać niczego.

Potem usta starej kobiety drgnęły.

— Mój Boże, mój Boże.

Czas odmienił tę twarz, więc w pierwszej chwili Sonja jej nie rozpoznała, dopiero po chwili ukazały się egzotyczny obrys policzków, usta, które zdawały się uśmiechać, choć się nie uśmiechały, rozbrajająca wielkoduszność w oczach, które przy baczniejszym przyjrzeniu były o dziwo właśnie takie, jakie się wydawały — jedno niebieskie, drugie brązowe — te zadziwiające różnokolorowe oczy, które dawniej bez reszty oczarowywały Sonję.

W urwanym potoku słów wyznała starej kobiecie prawdę:

— Wróciłam, bo czułam, że muszę go zobaczyć, bo...

— Nie słyszę — odparła tamta, pukając się w płatek ucha. — Słuch tutaj... — Uniosła głowę i zatoczyła wkoło rękami w geście bezradności, po rzędach szwaczek, maszyn, suwnic, po całej tej przemysłowej katastrofie, która stała się jej chlebem powszednim — Słuch mam słaby

Sonja się opanowała. Przecież nie klęczy przy konfesjonale, a stara kobieta nie jest księdzem.

— Przyjechałam na urlop — powiedziała dużo głośniejszym głosem, udając, że powtarza to, co przed chwilą. — Tasmania jest dobra. Na wakacje. Mnóstwo drzew. Na wakacje.

— Tak myślę — odparła stara kobieta. — I chyba nie winię dziewczyny. Kto by winił po tym wszystkim?

Po chwili uświadomiła sobie z przerażeniem, że się przesłyszała. że mówią o czymś zupełnie innym i że Sonja nie ma pojęcia, o co chodzi.

Uniosła dłonie do oczu, bo wypełniły się łzami. Palcami, ruchami, które utraciły pewność siebie i były raczej nieporadne i nerwowe, najpierw jednym palcem, a gdy to nie wystarczyło, także drugim i trzecim, otarła łzy z nadzwyczajnych oczu, jakby w ten sposób można się było pozbyć uczuć. Potem opuściła głowę i Sonja widziała już tylko chustę. lekko drżącą, i odgadła, że stara kobieta szlocha.

Wymówiła imię, którego nie wymawiała od ponad dwudziestu lat.

— Helvi.

Słaba kobieta, choć nie usłyszała i nie podniosła wzroku, wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń.

ROZDZIAŁ 15

1989

Być może to właśnie wtedy Sonja osłabła w swoim postanowieniu, choć w tamtej chwili tak się nie wydawało. Po zakończeniu zmiany poszły z Helvi do kawiarni w Salamanca Place. Usiadły przy okrągłym stoliku na dworze, właściwie stoliczku, pod którym wciąż ścisnęły się za ręce jak podlotki. Te dłonie się rozłączają, pomyślała Sonja, tym razem na zawsze — jej dłonie wkrótce podadzą kartę pokładową stewardowi linii lotniczej, a dłonie Helvi zaczną przesuwac kolejne miliony metrów materiału pod dziobiącą igłą maszyny do szycia.

O tej późnej popołudniowej porze w Salamanca Place było osobliwie pusto i cicho. Za sędziwymi magazynami z piaskowca powinny stać dzieła architektoniczne o kilkusetletnim rodowodzie, ale majaczyła tylko zimna dzicz góry. Sonję natychmiast uderzyła ta myśl, niespójność tego miejsca, które nie zdołało stać się kosmopolityczne, ale za to było zjawiskiem o wiele rzadziej spotykanym: sobą. To był świat niesymetryczny, dziwny i piękny, i Sonja zobaczyła nagle, że Helvi jest ptakiem z obcej krainy, który przypadkiem tutaj przyfrunął — usłyszała jej angielszczyznę z fińskim zaśpiewem przypominającym świergot zięby, a w jej drobnych, gibkich ruchach ujrzała wróbla podlatującego z konaru na gałąź, z gałęzi na konar.

Spytała ją o nazwiska z przeszłości, o jej dzieci, które po kolei opuściły dom rodzinny, czasem nawet Tasmanię, aż została sama z Jirim. Helvi opowiedziała o nich i o innych ludziach i śmiały się ze znanych im dawnych historii i z historii nowych, o których Sonja dotąd nie słyszała. Przycichła jednak, gdy Helvi poprosiła ją, aby opowiedziała o swoim życiu, bo to przecież był najmniej interesujący temat. Inni ludzie — ich losy, ich dzieje, ich uniki — zawsze wydawały się o wiele ciekawsze, o wiele bardziej rzeczywiste niż własne przeżycia. Nadmierne rozmyślanie o sobie zakrawało nie tylko na akt samowoli, ale także — choć oczywiście trudno byłoby jej tak pomyśleć, a cóż dopiero

powiedzieć — na niebezpieczeństwo. W każdym razie — właściwie w najlepszym razie, choć do Sonji ten przymiotnik się nie odnosił — niełatwo było opisać własne życie, życie dziwne i tajemnicze, nieuchwytnie nawet dla niej, choć była jego bohaterką.

Patrzyła na swoje życie jako na stawianą dzień po dniu hipotezę i w tym sensie było to, jak powiedziała, życie dobre. I tutaj wcale nie kłamała. Miała inną pracę niż ojciec i przyjaciele, którzy harowali latami, wyniszczając się fizycznie. Awansowała z maszynistki na sekretarkę, a z sekretarki na niższe stanowisko administracyjne w firmie ubezpieczeniowej, potem znalazła zatrudnienie jako asystentka producenta w firmie nagrywającej teleturnieje. Nie było to nic nadzwyczajnego, a płaca równała się płacy urzędnika. Ale nie pękał przy tymi kręgosłup, nie urywało palców, nie niszczyło słuchu, nie skazywało człowieka na życie w diasporach desperatów, takich jak obozowiska budowniczych i przedmieścia Hobart z czasów jej dzieciństwa. Wynajmowane przez nią mieszkanie nie znajdowało się w modnej dzielnicy, było za to jedynym miejscem, w którym spędziła ponad pięć lat. Nie było to wspaniałe życie, ale dobre, bardzo dobre, a nawet o wiele lepsze niż to, którego we własnym mniemaniu miała prawo oczekiwać. Stać ją było na rzeczy, których nie znała jako dziecko: porządne ubrania, biżuterię, czasem posiłek w niedrogiej restauracji.

— Dobre życie — powtórzyła. — Nie wspaniałe, ale dobre.

— No i telewizja! — odparła Helvi, wyobrażając sobie, że świat szklanego ekranu to cudowna, bajeczna kraina.

Sonja się roześmiała. Przypomniała Helvi o zakładach mięsnych w Derwent Park, gdzie obie dawniej pracowały, Helvi na cały etat, Sonja dopiero po lekcjach i w wakacje, robiąc salami i kielbasy z taniego mięsa.

— Telewizja niczym się od tego nie różni. Trzeba opakować wszystko, co ma trafić na rynek.

Choć zdawała sobie sprawę, że Helvi myli się, sądząc, że jakiegokolwiek jej dokonania można uznać za życiowy sukces, to jednak po raz pierwszy dostrzegła pewien mały triumf w swojej historii. Z drugiej strony w obecności Helvi Sonja zawsze czuła się coś warta.

— Nieźle jak na wieśniaczkę z Moonah — powiedziała.

— Musisz zaraz wracać?

Skinęła głową i się uśmiechnęła, bo musiała się uśmiechnąć, bo musiała wierzyć, że każdy dzień przynosi tyle dobrego, na ile można mieć nadzieję, że każda podjęta decyzja jest decyzją najlepszą i jedyną możliwą. Sydney gwarantowało stabilną pracę i integralność osoby o nazwisku Sonja Buloh, którą stworzyła. Tasmania była wiatrem. Widziała teraz, jak nawiewa podskakujące niepewnie po chodniku kwity z parkomatu i porzucone opakowania po jedzeniu, czuła jego pierwsze podmuchy pod stolikiem. I nagle odwróciła się śmiało w stronę wiatru, choć nie było w niej ani śladu determinacji, a w żołądku obudził się sfermentowany strach, który już podchodził do gardła, i zaczęła mówić powoli i dobitnie w nadziei, że wiatr dostrzeże jej stanowczość i ulegnie, że zostawi ją w spokoju, aby mogła wrócić do swoich smutnych pewników:

— Praca mnie wzywa, Helvi. Wiesz, jak to jest.

Wyczuwszy, że ten z pozoru niewinny temat w istocie taki nie jest, Helvi skierowała rozmowę na inne tory:

— Gdzie się zatrzymałaś?

— W motelu Sundowner — odparła Sonja. — Pod Warrane.

Kelner postawił na stoliku filiżanki z czarną kawą i herbatą.

— Nie. moje dziecko — powiedziała Helvi, ściskając Sonję za rękę. Sonja poczuła twarde nagniotki, poczuła skórę przemienioną przez lata pracy w pierwszorzędny mięsisty bukat. — Nie — powtórzyła Helvi, poluzniając uścisk i kręcąc głową. — Zatrzymasz się u mnie i Jirego.

Oczywiście Sonja zaprotestowała, mówiąc, że to niepraktyczne, niewłaściwe i niepotrzebne, a poza tym co powiedziałby Jiri? Chciała zabrać dłoń spod ręki Helvi, żeby poprzeć swoje słowa gestem, podkreślić, że nie może, że jak by mogła, ale szorstkie palce znów się zacisnęły, jak skórzany pasek na brzuchu przed walką, Helvi nalegała, wiał zimny wiatr, wreszcie powiedziała, że pora iść, więc Sonja. pomimo obaw, uległa.

*

Tak oto, wbrew sobie, znalazła się w środku nocy w łazience

Helvi, wytrzeszczając oczy, przygnana zmęczeniem, które było czymś więcej niż zwykłym brakiem snu, całkowicie bezradna, bo nie mogła opanować nudności, nie mogła przyzwyczać wzroku do ostrego światła elektrycznego odbijającego się od białej porcelany. Wiedziała, że ma potargane włosy, że jej twarz nabrała chorej ziemistej barwy. Tutaj, pomyślała, z wszystkich miejsc właśnie tutaj wychodzą ze mnie te dziwne gnilne wonie i gwałtowne odgłosy, właśnie tutaj wymiotuję.

Podniosła głowę znad muszli klozetowej i odwróciła się, nagle świadoma, że nie zamknęła drzwi do łazienki. Na końcu ciemnego korytarza zobaczyła ubraną w podomkę Helvi, która prawdopodobnie obejrzała całe to żałosne widowisko swoimi dziwnymi wszystkowidzącymi oczami.

Weszła do łazienki, bez słowa położyła Sonji dłoń na ramieniu i zajrzała jej w twarz.

Ale drobna, pomyślała Sonja, zaskoczona tym, że dotąd nie uświadamiała sobie, jak filigranową kobietą jest Helvi, i tym, że to ostatnia rzecz, o której teraz powinna myśleć. Odwróciła się, a Helvi cofnęła rękę i wyszła z łazienki, po czym wróciła z wiadrem i mopem. Odezwała się tylko po to, żeby zagnać Sonję do łóżka. Potem w milczeniu sprzątnęła łazienkę i sedes.

Na dworze pogoda zrobiła wolnę. Leżąc w łóżku, Sonja słyszała zachodni wiatr grzechoczący szybami w aluminiowych oknach, jakby więźniowie w narastającym gniewie szarpali za kraty.

ROZDZIAŁ 16

1959

Minęło pięć lat.

Z piątego roku swego życia Sonja powinna była zapamiętać więcej. Miała trzy lata, kiedy Bojan Buloh ją zostawił, osiem, kiedy zabrał ją z powrotem. Jako pięcioletnia dziewczynka powinna zapamiętać zawartą umowę, ale nie. Pamiętała natomiast to: siedziała na popękany betonowym murze przed domem, starając się odciąć dopływ krwi do nóg — tylko siłą woli, sprawiając, że cierpły i mrowiły, i próbowała to samo zrobić z sercem, ale nie czuła nic i zastanawiała się, czy tak w ogóle można, czy tak to jest i czy jej serce zdrętwiało jak nogi.

Głupstwa, usłyszy potem od niej Helvi, bzdury — tylko takie rzeczy zachowała w pamięci. Nic, co byłoby warte zapamiętania.

Pamiętała swoją sukienkę do pierwszej komunii i to, jak się rumieniła, gdy ją w nią wystrojono — niczym jedna z truskawek, które ojciec później hodował i podawał z jogurtem — stojąc w kuchni na starym stole z nowym laminowanym blatem i czerwoną plastikową listwą na krawędziach; pamiętała, jak powoli kręciła się w kółko, uśmiechając się i dumnie zakasując sukienkę zamaszystym ruchem, wykonując teatralne obroty, chichocząc, a trzy Europejki, stojące dokoła ze szpilkami, igłami i kawałkami bawełny, odwzajemniały uśmiechy. Sukienka była piękna. Sonja pamiętała, jak piękna była i jak bardzo się jej podobała: przedwojenny krój i długość, fantazyjne koronki. Na środku niewielkiej kuchni zawirowała ponownie w stroju do pierwszej komunii i choć kilka zakładek wciąż było spiętych szpilkami, a brzegi nieobrębione, była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miała na sobie, suknia z dalekiego świata, dowód na to, że życie może być inne niż to, które dotąd знаła, i przez krótką cudowną chwilę wydawało jej się, że wzbije się zaraz w niebo jak anioł i odleci.

Później nastał wieczór. Sonja siedziała w starej koszulce nocnej na łóżku, w sypialni tonącej w mroku, który rozpraszała tylko poświata

wypadająca z kuchni przez uchylone drzwi. Wpatrywała się uporczywie w wierzch lewej dłoni, a z kuchni dobiegała rozmowa kobiet.

Być może siedziały przy stole z laminowanym blatem, na którym wcześniej tańczyła, na którym zaznała chwili łaski. Być może kobiety — ich potężne ciała zahartowane przez ciężką pracę i przeszłość, twarze zacięte i wychudzone z powodu niemożności ucieczki, wyrwania się — usiłowały przykroić cud tego stołu do rozmiaru własnego życia, używając go tylko jako tymczasowej sceny dla opowieści o ucieczkach i karach, o tych, którzy łamali uświęcony porządek i zawsze ponosili straszliwe konsekwencje. Może piły kawę.

Sonja zapamiętała tylko to, co usłyszała tej nocy, po tym, jak zdała sobie sprawę, że może stać się aniołem i wznieść ponad grzech. Zapamiętała tylko głosy kobiet.

— Czyli teraz ty się nią opiekujesz — rzekła Włoszka.

Pani Marita Michnik odparła:

— Ktoś musi. Jej ojciec nie może, pracuje w jednym z tych obozowisk w buszu, a to nie miejsce dla dziecka.

— Zwłaszcza że tyle pije — prychnęła Włoszka.

Być może pani Marita i Włoszka uśmiechnęły się domyślnie. Być może trzecia kobieta, też Polka tak samo jak pani Marita, miała zdeorientowaną minę. To zapewne jej głos, chrapliwy jak u starego psa, usłyszała Sonja chwilę później:

— A matka? Co to w ogóle za matka? Jak można zrobić coś takiego własnemu dziecku?

Sonja zapamiętała, że patrzyła wtedy na swoje dłonie, zwłaszcza na lewą, nie skupiając się na niczym, słysząc każde słowo.

— Przecież znasz tę historię — odpowiedziała pani Marita Michnik.

— Grzech śmiertelny — dorzuciła Włoszka.

Słuchając rozmowy o swojej matce, powoli odwróciła lewą dłoń i spojrzała na nią. A potem narysowała na dłoni kółko palcem wskazującym prawej ręki.

— E, ludzie gadają o rzeczach, o których nie mają pojęcia! — stwierdziła pani Marita Michnik. Matka odeszła, ojciec pijak. Ale płaci nam, ile chcemy, więc dziewczynka ma dom. Dobry katolicki dom. Jakie

znaczenie ma przeszłość? Matka przepadła dawno temu. dziewczynka pewnie jej nie pamięta. Była za mała, a nikt jej o tym nie mówił. On płaci, ona siedzi cicho, tylko to się liczy.

Wtedy Sonja chwyciła prawą ręką cztery wyprostowane palce lewej dłoni i powoli zgięła je do końca.

A więc: sukienka, anioł, zabawy palcami. Tyle zapamiętała jako pięciolatka. Głupstwa i bzdury.

Nic ważnego.

ROZDZIAŁ 17

1959

Gdyby zapamiętała więcej, być może potrafiłaby odtworzyć, jak to wszystko się zaczęło. Ale przypominała sobie tylko urywki, fragmenty obrazu, które wyłaniały się jako ostre i twarde odłamki, aby zaraz potem, gdy próbowała się na nich skupić, znów przybrać bezkształtną postać. Jak gdyby ponownie odmawiały dziesiątki *Różańca* tamtej nieprzejednanej nocy zimą dawno temu, wszystkie na klęczkach w kręgu w salonie u pani Marity Michnik, z paciorkami w dłoniach, ona, dziewięcioletnia Sonja, ubrana w nocną koszulkę, i trzy nadęte kobiety — Polka, Włoszka i pani Marita Michnik — w fartuchach. Poplamione koraliki w różańcach trzech kobiet były misternymi cudёнkami z drewna, podczas gdy plastikowy różaniec Sonji był tanią wersją dla dziewcząt. Wszystkie oczy wbite w podłogę, nieskupione na niczym konkretnym, i chóralna modlitwa:

— ŚwiętaMariołaskiśpełnaPanzTobą...

Z dworu dobiegły odgłosy samochodu wtaczającego się na podjazd, gaszonego silnika, otwieranych i zamykanych drzwi. Ten szczególny cichnący warkot i lekkie skrzypienie zawiasów Sonja знаła jako swój świat, swoją własność, jako głos holdena FJ, którego ojciec kupił rok wcześniej i z którego oboje byli bardzo dumni. Na palcach jednej ręki mogłaby policzyć tych kilka weekendów, kiedy przyjeżdżał nowym samochodem w odwiedziny i całą sobotę czyścili go, myli i pucowali, aż błyszczał w słońcu jak drogocenny klejnot, w niedzielę zaś, ku rozgoryczeniu pani Marity Michnik. jechali nad Huon na grzybobranie albo na plażę, żeby popływać.

FJ był prawie nowy, kiedy Bojan go kupił — przedmiot zazdrości wielu znajomych. Z początku był to piękny samochód i z początku Bojan uważał go pewnie za przyszłość, do której może uciec od przykrew terażniejszości. Przecież żaden z ludzi, których znał w Słowenii, nie miał nigdy takiego auta — rodem z amerykańskich filmów. Ponadto był to

dowód — zarówno dla tych w Słowenii, jak i tych tutaj — że Bojan stał się tym, kim usiłował się stać: Australijczykiem.

— Oto — oznajmił pewnego dnia, przerywając pastowanie karoserii i wyciągając rękę do FJ, jakby był boską zjawą — dlaczego tu przybyliśmy.

Z biegiem czasu samochód stał się jeszcze jednym elementem ograniczonej teraźniejszości — dachem nad głową i towarzyszem, kochanką i ciepłym łóżkiem, obietnicą i pociechą, a wszystko zręcznie upakowane w ten ruchomy stalowy tobołek. W końcu stał się jego przeszłością, z którą nie umiał dojść do ładu, czując wobec niej tylko niszczącą pogardę.

Gdy więc w salonie pani Marity Michnik Sonja usłyszała warkot FJ, natychmiast zapomniała o modlitwie i żarliwej wierze gospodyni i ośmielona podniosła wzrok, ale pani Marita Michnik szybko przygięła krnąbrną głowę ku dołowi, szepcząc:

— Skup się.

I ciągnęły:

— ... BłogosławionyowoczywotaTwojego...

Sonja znów zerknęła w górę, słysząc odgłos otwieranych drzwi...

— ...JezusŚwiętaMario...

I zamykanych.

— ... MatkoBożamódl sięzanamigrzesznymi....

A potem jej serce zabiło jak młotem, bo drzwi do salonu się otworzyły i zadudniły dwa, trzy, cztery kroki. Sonja zebrała się na odwagę i znów zerknęła i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że chóralna modlitwa ucichła, a pozostałe głowy też się podniosły. Przed nimi stał ojciec Sonii. Bojan Buloh.

Zastygł, wiodąc spojrzeniem po kręgu klęczących. Jego usta zionęły piwem, a w oczach majaczyło coś na kształt głębokiego smutku. Tym razem pani Marita Michnik nie przygięła Sonji karku.

Wreszcie Bojan podszedł do córki i wyciągnął do niej rękę, którą od razu chwyciła.

— Chodź — powiedział — idziesz stąd.

Przeszli z salonu do sypialni Sonji, a tam Bojan szybko i bez ceregieli wrzucił kilka jej ciuszków i rzeczy do starej tekturowej walizki.

Oboje milczeli, i w sypialni, i potem, gdy ruszyli do wyjścia, wymijając kobiety, które próbowały zastąpić im drogę, i jeszcze później, gdy Bojan wrzucił walizkę na tylną kanapę FJ, i gdy Sonja, już w szlafroku, wcisnęła się na przednie siedzenie. Pani Marita Michnik jedną ręką zapięła blezer, żeby obronić się przed chłodnym nocnym powietrzem, a drugą zaczęła gwałtownie gestykulować.

— Jak pan może ją zabierać?! — wykrzyknęła.

Bojan zachowywał wojownicze milczenie, więcej, milczenie groźne, kipiąc z wściekłości, czego pani Marita Michnik chyba nie zauważyła, bo inaczej przestałaby wyrażać sprzeciw.

— Nie ma pan gdzie jej zabrać. A pierwsza komunia? Będzie w tę niedzielę...

Bojan, już przygarbiony żeby wcisnąć się do FJ, wyprostował się jak struna, pochylił nad dachem i wbił w panią

Maritę Michnik spojrzenie pełne tak lodowatej furii, że aż się skrzywiła.

— Nie życzę sobie, coby się zbliżała do cholernego kościoła. Mówię to pani — powiedział ostrym, zawziętym tonem. — Mówiłem na początku. I co, przyjeżdżam tu i widzę, że pani każe się jej modlić na klęczkach. — Marita Michnik przełknęła ślinę. — Dałem pani dobre pieniądze. — Poszperał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków, ale znalazł tylko garść drobniaków po wizycie w pubie. — Faken forsa — syknął i rzucił monety na dach samochodu z taką siłą, że rykoszetem trafiły w panią Maritę Michnik jak odłamki pocisku. — Faken kościół.

Wsunął się za kierownicę i zatrzasnął drzwi. Pani Marita Michnik, próbując odzyskać godność i strategiczną przewagę, wrzasnęła w okno od strony Sonji, reagując na bluźnierstwo:

— Co pan wiesz o Bogu?!

— To, co widzę — odparł Bojan, wyraźnie już rozjuszony. Gdy szperał dalej w kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków, Sonja odkręciła nieco szybę. — To, co widziałem w Słowenii, jak Niemcy weszli! — wrzeszczał. — I jak cholerny Kościół poparł cholernych faszystów! — Wreszcie znalazł kluczyki i wcisnął jeden w stacyjkę. — Wszyscy tam byli — kontynuował natarcie — zachęcali Domobran, oddawali listy z naszymi nazwiskami do SS. — Włączył zapłon i wrzasnął jeszcze

głośniej, żeby przekrzyczeć warkot silnika: — SS! Już ja znam pani Boga!

Z całą siłą, na jaką było ją stać, Sonja rzuciła plastikowy różaniec pani Maricie Michnik w twarz i szybko zamknęła okno. Bojan spojrział w bok i za szybą od strony pasażera zobaczył niedorzeczne oblicze pani Marity Michnik, na ułamek sekundy przystrojone girlandą różowych paciorków, zanim ziemia przyciągnęła je ku sobie, i wtedy ryknął śmiechem.

Sonja nie miała odwagi choćby się uśmiechnąć czy zerknąć na kobietę, u której mieszkała przez pięć lat niebędących jej życiem, więc siedziała wyprostowana, patrząc z obojętną miną przez okno. Pożerała wzrokiem mrok z przodu, ignorując rozsierdzoną panią Maritę Michnik, wymachującą teraz zaciśniętą pięścią z różowym różańcem, chwyconym tuż przed upadkiem na ziemię. Przekrzykując warkot silnika o pojemności 2.261 litra, gospodyni skierowała mściwe słowa do Sonji:

— Ty niewdzięczna mała suko! Taka sama jak matka! Zostawiasz tych, co cię kochają. Myśmy cię nigdy nie bili!

Lecz twarz pani Marity Michnik, wykrzywioną słusznym gniewem, wchłonął już mrok, bo samochód ruszył do tyłu w objęcia czarnej nocy. Złorzeczenia cichły:

— Niech ci się nie wydaje, że możesz wrócić! Nigdy. Ty...

Uciekali ze zmęczonego miasteczka pustą i odludną drogą w kierunku Hobart, zagłębiając się w las posrebrzony już szronem w tę bezchmurną chłodną noc. Sonja przetarła ręką okno i w tej krótkiej chwili, zanim znów się zamgliło, z ulgą zobaczyła tylko ciemność.

*

Skuliła się na przednim siedzeniu obok Bojana, w objęciach ogromnego ojcowskiego palta; jego beznamietną twarz oświetlał papierosowy żar prędkościomierza, jej twarz była pogrążona w mroku. Nie wiedziała, dokąd jadą, tylko że odjeżdżają od Michników, że rozpoczęli ucieczkę pod osłoną nocy, a to wystarczało: cokolwiek więcej mogłoby sprowadzić rzeczywistość jutrzejszego dnia, a w ciągu ośmiu lat życia Sonja przekonała się, że jutro zawsze przynosi coś gorszego.

Zza klap palta z czarnej zgrzebnej wełny spojrzała ku roslým

eukaliptusom tworzącym po obu stronach drogi szpaler podświetlonych kolumn, z prawej, z lewej, nawet z przodu; nacierały na nią i Bojana. W odstępach między napierającymi drzewami dostrzegła księżyc i gwiazdy. Dokąd prowadzi ten przerażający korytarz, do przeszłości czy przyszłości, tego nie wiedziała. Drzewa nie dały odpowiedzi, nie wołały, nie wydały z siebie żadnych widmowych głosów wyjaśniających to wszystko. Były tylko pytaniem. I nie chciały zniknąć.

Po pewnym czasie, który dłużył się w nieskończoność, Sonja odwróciła głowę i spojrzała na ojca. Odsunął rękę od kierownicy i przetarł kłykciami zapiaszczone oczy, żeby się skupić na pustej ciemnej drodze, którą jechali.

— Ja tam nie wrócę, prawda, *ati*? — spytała.

Milczał, więc nie dawała za wygraną:

— Mogę teraz z tobą mieszkać? W domu? W naszym domu?

Spojrzał na nią, oczami jak nikomu niepotrzebne zardzewiałe bretnale, z zatroskaną miną, bo prawda była inna.

— Przepraszam, Sonju — odparł. Nabrał powietrza w płuca i znów przemówił, grobowym głosem: — Wiesz, że to niemożliwe. Muszę pracować na hydrobudowie w górach, a ty... musisz zamieszkać gdzie indziej.

Ponownie spojrzała na odfruwające eukaliptusy, roztrącane na boki przez pędzącego FJ. Teraz już nie wiedziała, czy uciekają z ojcem od tych drzew, czy to drzewa uciekają przed nimi. A potem przyszło jej do głowy, że to nie FJ się porusza, lecz las, przelewając się dokoła samochodu jak rzeka przez głaz.

Z początku ta myśl przyniosła pociechę, ale potem ją przeraziła, bo jej najgorętszym pragnieniem było zostać na zawsze z ojcem, a między ich obecnym szczęściem a drzewami spychającymi ich w niebyt stała tylko ojcowska wola, nie wiedziała więc, czy jest ona dostatecznie silna, żeby wytrzymać napór lasu i nie pozwolić ich rozdzielić.

Bojan znów zerknął w dół i zobaczył, że Sonja śpi, z mokrą głową na jego kolanie. Jechał dalej w las, aż wreszcie FJ prychnął i zakaształ kilka razy, a potem ucichł zupełnie i wtedy Bojan sobie uświadomił, że zabrakło benzyny. Klnąc w duchu, skierował wytracające prędkość auto na pobocze. Ze zwinnością człowieka nawykłego do pracy fizycznej,

umiejącego poruszać się delikatnie, a zarazem zdecydowanie, wysunął powoli nogi spod policzka Sonji. Zdjął sweter, zwinął i ostrożnie wcisnął go córce pod głowę jak poduszkę, a potem przykrył całą małą postać paltem jak kocem.

Zamknął drzwi i stanął w samej koszuli i spodniach na przenikliwym zimnie w tę noc na odludnej leśnej drodze. Pod podeszwami butów czuł brązowy żwir zrytego pobocza, w drżącym ciele czuł przenikliwy chłód, podniósł oczy na rozległe nocne niebo od południa, poruszające się powoły, ale bez ustanku.

Potem, skulony jak płód, zapadł w dziwny sen, dygocząc na tylnym siedzeniu FJ, zdumiony i przerażony, że podobnej ulotnej chwili beztroski można zaznać w takim miejscu i o takiej porze.

ROZDZIAŁ 18

1959

Co miał przynieść ranek wsączający się do FJ, tego nie wiedzieli ani Bojan, ani Sonja.

Znowu przetarł kłykciami oczy i przypomniawszy sobie o braku benzyny, zaklął po włosku, żeby nie profanować ojczystego języka. Wyprostował się i zobaczył, że Sonja wciąż śpi na przednim siedzeniu.

Gdy się obudziła, zabrali się ciężarówką z drewnem do najbliższego miasta. Kierowca gadał jak nakrecony, a Bojan kiwał głową, uśmiechał się i rzucał przekleństwami tak często, że tamten się rozluźnił.

Wszystkie historie, które opowiadał kierowca, koncentrowały się na dniu, kiedy jego syn, jeżdżący skidderem na tym samym wyrębie, został przygnieciony przez wielkie drzewo.

— Nie trzeba się bać, jak wieje wiatr — powiedział. — Trzeba się bać, jak jest spokojny dzień po burzy. Jak burza osłabi drzewo i po nocy ono obeschnie. Wtedy te wielkie cholerne konary spadają jak deszcz, walą się gałęzie, lepiej, żeby nikt nie podchodził do tych zbutwiałych wielkich skurwieli. Piękny był wtedy dzień, jak Kenny poszedł, co za dzień, wspaniały dzień, żeby umrzeć. Matka się załamała, kompletnie. Ja dałem radę. Muszę dać. Przebolełem. Mówiłem sobie, że muszę. — Urwał, włożył papierosa do ust i wcisnął zapalniczkę w desce rozdzielczej. — Ale matka nie, matka nie przeboleła. — Ani razu na nich nie spojrział, cały czas patrzył na drogę, jakby dalej, w lesie, czaiły się duchy zbyt przerażające, żeby oswoić się z ich obecnością. — Nie — powtórzył. — Matka nie przeboleła.

*

Gdy wreszcie znowu ruszyli FJ w trasę, skierowali się do Hobart, w gęstniejącym deszczu przygnanym z zachodu przez nowy front pogody. Sonja milczała, a Bojan, choć raz wolny od poczucia winy i

smutku, stał się nadzwyczaj rozmowny.

— O nic się nie martw — powiedział raźno. — Za kilka miesięcy znajdę pracę w Hobart, to rzucę hydrobudowę, urządzę dla nas jakiś kąt, będziemy mieszkać razem.

Nic nie odpowiedziała.

— A do tego czasu zostaniesz u Picottich, zaopiekują się tobą jak trzeba.

Nic nie odpowiedziała.

— Gadałem z Bertiem, to równy chłop, będzie uważał, żeby ci się nie stała krzywda. Żadnej religii. Co ty na to?

— Zabiorą mnie na pierwszą komunię?

Bojan spojrzał na córkę. Wyszczrzył się konspiracyjnie, mając nadzieję, że wywoła tym na twarzy Sonji tę samą żartobliwą wzgardę. Ale nie zareagowała.

— Ej tam! — odrzekł, wciąż uśmiechnięty. — Cholerna komunia, co z niej dobrego? — Nadal miała poważną minę, więc przestał się uśmiechać. — Zabiorą cię na coś lepszego.

— *Ati ...* Moja sukienka... Sukienka... Chcę mieć moją sukienkę do pierwszej komunii.

— Kupię ci inną, nową, cholerną nową piękną sukienkę.

— Dlaczego nie możemy pójść razem na pierwszą komunię? Jak inne rodziny.

Przypalił nerwowo papierosa zapalniczką na benzynę, wypuścił dym, wyjął papierosa z ust i strząsnął odrobinę popiołu przez okno. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Zamiast spojrzeć znowu na Sonję, przecesał włosy dłonią i wlepił wzrok w drogę. Córka też patrzyła przed siebie. Po chwili zerknął na nią ukradkiem i dyskretnym ruchem pełnym wielkiego cierpienia włożył papierosa z powrotem do ust, po czym prawie natychmiast znów go wyjął.

— Sonja... Ja... Jezu Chryste...

— Moja komunia. Przyjdź i patrz na mnie.

Chciał coś odpowiedzieć, ale zabrakło mu słów. więc znowu wcisnął papierosa do ust. Oboje patrzyli na półkoliste smugi rozmazane na szybie przez świszczące wycieraczki. Przez drogę przebiegł kot. Bojan odbił w bok, żeby go wyminąć, ale nie zdążył. Samochód

podskoczył lekko i rozległ się stłumiony huk. Bojan zerknął w lusterko wsteczne. Wyjął papierosa z ust i pokręcił głową.

— Ominęliśmy go? — spytała Sonja.

— Nie — odparł głucho. — Cholerny głupi kot.

Z jego ust wydobywały się kłęby siwego dymu. Sonja poczuła strach.

Powiedziała:

— Pani Michnik mówi, że jak się będę modliła do Boga, to on sprawi, że wszystko będzie dobrze. Jak się bo de modliła, z kotem będzie dobrze. — Z narastającym panicznym lękiem w głosie dodała: — Tak jest, prawda, *ati*? Jak się modlimy, jak się modlimy, to z nim będzie dobrze.

— Nie — odparł Bojan. — Kot nie żyje. nie rozumiesz? Nie żyje.

Udręczony, podniósł prawą rękę i otarł twarz, ściskając zapadnięte policzki. Obrócił się i spojrzał na córkę, z miną wyrażającą tak wielkie cierpienie, że odruchowo się cofnęła, napierając na drzwi.

— Nic nie poradzisz na śmierć, rozumiesz?

A potem, uświadomiwszy sobie, że niechcący wystraszył córkę, poklepał ją po kolanie, zmusił się do uśmiechu i położył dłoń na dźwigni, żeby wrzucić drugi bieg przed ostrym skretem. Samochód zatrząsł się w reakcji na nagłą zmianę biegów, po czym ojciec i córka, drżąc z niepewności, skretili na nową drogę.

ROZDZIAŁ 19

1989

Gdy kilka minut po siódmej rano Sonja weszła do kuchni, Helvi, która nie mogła się obejść bez kawy tak samo jak bez powietrza, właśnie piła piątą filiżankę i miała kolejną porcję ziaren na następny dzbanek. Jiri, ubrany w kombinezon khaki — pod okazałą klatką piersiową jeszcze okazałszy brzuch jak głaz pchany przez lemiesz spychacza, w palcach grubych jak parówki trzymany delikatnie kawałek tosta — wertował „Picture Post” przy własnoręcznie zrobionym sześciokątnym stoliku z mirtu.

Niektóre tajemnice od razu rzucają się w oczy, Sonja jednak wolała swoje skrywać. Nigdy nie próbowała się tłumaczyć, nie wierzyła też, że z „przegadania sprawy” płynie jakikolwiek pożytek. Słowa były dla niej interesujące, a nawet pełne mocy, ale zawodne, niewiarygodne zwłaszcza gdy chodziło o zgłębianie nieznanego krainy własnego serca. Tego ranka musiała jednak wyjaśnić to i owo Helvi i Jiremu, wypowiedzieć słowa, których wypowiedzieć nie chciała, których próbowałyby uniknąć, gdyby mogła, ponieważ w głębi ducha przewrotnie strzegła swojej tajemnicy jako jedynej rzeczy, która pewnego dnia może jej przynieść ratunek.

Gdy więc poranne światło wpadło przez okno do kuchni, usiedli we troje w milczeniu, czując się nieswojo. Ale coś trzeba było powiedzieć, więc w końcu odezwała się Helvi:

— Zatrucie żołądka?

— Helvi! — syknął Jiri z gniewem, rozkładając ręce, jakby chciał podeprzeć upadającą ścianę, a potem, popijając kawę, schronił się za zwiniętą gazetą, którą trzymał teraz jak packę na muchy, gotów odpierać wszelkie kolejne niestosowne wypowiedzi żony.

Zapadło długie milczenie. Następnie Sonja odparła krótko:

— Z moim żołądkiem wszystko w porządku.

Nic jednak nie było w porządku i wszyscy to wiedzieli. Chciała

złagodzić wymowę swoich słów, więc dodała: — W tej chwili.

Wzięła papierosa z paczki Jirego, włożyła go do ust i sięgnęła po zapalniczkę.

— Jesteś w ciąży — stwierdziła Helvi.

Zszokowany Jiri podniósł wzrok znad gazety i prychnął w kawę.

Zapalniczka zastygła przy końcu papierosa tkwiącego między wargami. Sonja przechyliła głowę w lewo, uniósłszy ją lekko w pozie wyrażającej sztuczną pewność siebie, przybieranej przez niektórych ludzi zapalających papierosa. Spojrzała na Helvi, z twarzą pozbawioną emocji, a jednak pełną godności. Wciąż patrząc na Helvi, potarła krzesiwo zapalniczki. Słychać było tylko cichy syk gazu.

Koniec papierosa zatlił się płomieniem, po czym przygasł, a Sonja zaciągnęła się głęboko, wyzywająco. Gdy połknęła dym, jej twarz, zwłaszcza wokół policzków i ust, zadrżała lekko, zdradzając nerwowość przeczącą dumnej pozie. Przejechała niepewnie palcem po policzku. Wyjęła papierosa z ust i nie wypuszczając dymu, odparła:

— Tak.

Potem spomiędzy warg buchnął długi kłęb dymu, zasłaniając ją przed wzrokiem gospodarzy.

— A więc nie wolno ci pić kawy — stwierdziła Helvi. Był to żart, małe ofiarowanie. Sonja się uśmiechnęła.

— Nie — przyznała, chichocząc. — Nie dziś. W ogóle chyba przez jakiś czas nie wolno.

Uśmiechnęli się we troje, choć z wahaniem, kurtuazyjnie. Znown zapadło długie milczenie, zastanawiali się gorączkowo, co powiedzieć.

— Jestem... — zaczęła Sonja, ale w tej samej chwili odezwała się Helvi:

— A kiedy... — Zamilkła, żeby Sonja mogła dokończyć.

— Jestem zdecydowana usunąć. Po powrocie. Do Sydney. I tak muszę wrócić. — Wyprostowała palce i potarła czoło nasadą dłoni. Papieros zgasł. — Już się umówiłam. W szpitalu. Wiesz, jak to jest.

Zapaliła ponownie papierosa, ale gdy tylko lekko się zaciągnęła, odłożyła go na popielniczkę, żeby się dopalał, owiewając całą trójkę ulotnymi znakami zapytania.

Wreszcie wzruszyła ramionami, wzięła papierosa i mocno się

zaciągnęła.

— Jakie to ma znaczenie? — rzuciła, a Helvi i Jiri nie wiedzieli, czy to pytanie, czy stwierdzenie.

Jezusie, pomyślał Jiri.

Ma ogromne znaczenie, pomyślała Helvi.

Milczeli.

Nie ma żadnego znaczenia, pomyślała Sonja. Żadnego, kurwa. Tak samo jak ja.

ROZDZIAŁ 20

1989

Sonja miała nadzieję, że w snach znajdzie niewinność, która w jej przekonaniu omijała ją w życiu. Ponieważ na jawie nękało ją poczucie winy. uważała, że wszystko, w szczególności własne „ja”, jest występkiem i sprowadza się do charakteru. do bycia kimś w gruncie rzeczy niezdolnym do dobra. To było niemądre, zdawała sobie z tego sprawę, ale łatwiej było przegnać to wyobrażenie z głowy, niż oczyścić z niego duszę. Być może dlatego tak długo wytrzymywała z wieloma złymi mężczyznami i być może dlatego, gdy w końcu trafił się dobry, w osobie Koló Amado, zaczęła go traktować prawie tak samo podle, jak traktowali ją faceci, z którymi miała do tej pory do czynienia. To było dziwaczne i z tego też zdawała sobie sprawę. Nie pragnęła jednak wziąć go w ramiona ani pieścić, a w łóżku leżała jak kłoda, zadziwiona gorączkowymi zabiegami, które czynił, zresztą na próżno, aby ją podniecić. W takich chwilach wyobrażała sobie swoje ciało jako rozciągniętą na ziemi autostradę, po której brutalnie przejeżdżają niezliczone samochody, a sprasowywane ciało przemienia się w kwaśną martwą glinę uwięzioną pod kolejnymi warstwami czerni. Swoje coraz rozpaczliwsze starania zdeorientowany Koló Amado zawsze kończył przeprosinami, jakby to była jego wina. Chciała go kochać, czasem nawet myślała, że być może stać ją na to, nie umiała jednak okazać leży miłości i była zdegustowana tym, że on tego nie rozumie, mimo że podobno ją kocha.

— Mój biedny chłopaczek z przedmieścia — szeptała czasem, choć Koló Amado, owoc przelotnego romansu timorskiego sklepikarza z albańską pielęgniarką, był od niej o rok starszy i pochodził z północnego Queensland. Miał w sobie potulność, która ją pociągała i zniechęcała zarazem. Aby mimo wszystko dotrzeć jakoś do Sonji, zdesperowany Koló Amado uciekł się do perwersji i choć lekko ją to rozbawiło, szybko znudziła się tą pustą teatralną erotyką i znów miała poczucie winy, aż

wreszcie poradziła mu, by dał sobie z tym spokój, bo najlepsza strategia to szybkość i prostota, tak żeby mieli to od razu z głowy, a ona mogła zasnąć i śnić. Jednak choć to właśnie w snach poszukiwała wytchnienia, dawały jej tylko to, czego zdołała uniknąć na jawie. Tak żyła przez wiele lat, miotając się między przeszłością ze snów i teraźniejszością na jawie, pragnąc uniknąć obu, niezdolna ich pogodzić.

Budząc się więc co rano u boku Koló Amado, leżącego za nią, z ręką zarzuconą na jej biodro, z udami oplatającymi jej pośladki, zawsze przeżywała chwilę nieuzasadnionego gniewu. I prawdopodobnie dlatego poprosiła go, żeby się wyprowadził, gdy się zorientowała, że jest w ciąży.

Koló Amado zaprotestował. Ponieważ miał dobre serce, nigdy by od niej nie odszedł, gdyby wiedział, że w jej ciele rośnie dziecko, ale ponieważ miał dobre serce, w końcu odszedł, bo tak sobie życzyła, choć niewiele z tego wszystkiego rozumiał.

*

Nie mogąc zasnąć osierocona w dziwnym jednoosobowym łóżku, przykryta ręcznie tkaną fińską kołdrą, olśniewająca w znoszonej flanelowej piżamie Jirego, Sonja usiadła prosto i spojrzała na wąwóz w pościeli zrobiony przez jej nogi i na leżące tam kawałki potłuczonej porcelany z Butlers Gorge. Wokół panowała dziwna cisza, zaklęta w deszczu padającym na blaszany dach. Stara dziecięca lampka na taniej komódce rozrzucała niski krąg światła dodającego otuchy. Łóżko przystawione było bokiem do ściany z wygładzonych i zabejcowanych sosnowych bali, pnących się w ciemność, a na innej ocienionej ścianie wisiał stary sztucer myśliwski, nad nim zaś kangurza skóra. Fińskie wnętrza ozdobione dekoracją z antypodów.

Kolejny raz próbowała poskładać kawałki porcelany. Zgarnięte w dłoń, stały się częścią trójwymiarowej układanki — czegoś, co dawniej było imbryczkiem; tu wyraźnie widoczna podstawa, a tu fragment dzióbka — która uparcie się rozsypanywała.

Po pewnym czasie Sonja dała za wygraną i wypuściła odłamki ze stulonych dłoni na przykryte kołdrą kolana. Następnie chwyciła dół koszuli i zakasała ją do piersi, odsłaniając brzuch. Prawą ręką wzięła

jeden z porcelanowych odłamków i przyłożyła go do miękkiej skóry pod pępkiem, potem pociągnęła powoli w górę, naciskając mocno, jakby to był nóż. Czowała, że ostra krawędź zaraz rozetnie tkankę, i znów usłyszała jego głos.

Mówił: „Nic nie poradzisz na śmierć”.

Odłamek zostawił piekącą czerwoną smugę. Dotarłszy do zagłębienia pępka, zmienił kurs. Nie zmniejszając nacisku, Sonja przesunęła ostrze w prawo, w dół i dokoła, aż narysowała na brzuchu księżyc w pełni. Ale wtedy ucisk palców zelżał, ruchy spowolniły, stały się bardziej rytmiczne i nagle zaczęła głaskać brzuch kawałkiem porcelany. Potem, jakby przypadkiem, odłamek spadł na kolana i pozostała sama dłoń, z osobliwym zadziwieniem masująca puchnący powoli brzuch.

ROZDZIAŁ 21

1989

Ta sama noc, ale bębnienie innego deszczu o inny dach z blachy falistej. Inny mrok. A w nim, po drugiej stronie wyspy, w granicach odległego górskiego obozowiska, w swojej kwaterze dla robotników w Tullah, Bojan Buloh usiadł nagle na łóżku, zapalił światło i potarł dłońmi oczy i całą głowę.

Zaszczuta twarz człowieka osaczonego przez koszmary.

Spojrzał na spocone ręce. Znow przeciągnął dłonią po twarzy i uświadomił sobie, że też jest mokra.

Wstał i otworzył drzwi. Na dworze szalał wiatr. Bojan pozostawił drzwi uchylone, wpychając pod spód klocek, żeby się nie zatrzasnęły. Nie wrócił od razu do łóżka i nie usiadł, lecz dalej tam stał, ciemna sylwetka obramowana drzwiami, w głębi niewielki pokój jasno oświetlony przez nagą żarówkę, klęby pary buchające z ust na zimnie.

Czasem nastawała równowaga, choć bardzo krucha, czasem umiał znaleźć złoty środek i się go trzymać. Trzymać się tygodniami, miesiącami, nawet przez całe lata. Ale potem coś się pojawiało, zapach, piosenka, biały kwiatek — i znow atakowało, zalewała go ogromna fala i choć z wszystkich sił próbował uciec, uciec nie mógł. Żałował, że ona tego nie przeżywa, bo wtedy nie dzieliłaby ich ta wodnista ściana wspomnień, która nocą napierała na jego ciało. Może dlatego lubił pić z Jo, Pawłem i innymi. Nie dlatego, że ich lubił.

Bo jeśli już, to raczej nie cierpiał.

Banda pijaków. Czasem stawali się brutalni. Czasem źli. Widział. Ale to przekraczało lubienie i nielubienie. Gdyby go spytano, co o nich myśli, musiałby zapewne przyznać, że przerażają go ich nienawiść, agresja i zamiłowanie do rzeczy mrocznych, że najbardziej przeraża go to, jak bardzo się do nich upodobnił. Ale oni też widzieli niejedno i też rzadko — jeśli w ogóle — o tym rozmawiali.

Paweł najpierw służył w Wojsku Polskim, potem w Armii

Czerwonej, wreszcie, po ofensywie Wehrmachtu w 1941 roku, zmuszono go do wstąpienia do rosyjskich oddziałów walczących po stronie Niemców. Kiedy w 1943 roku dostał się znowu do niewoli — radzieckiej — elokwencja i legitymacja komsomolca, ukrywana od dawna, uchroniły go od kuli w łeb. Został skazany na siedem lat łagru na Kołymie.

O czym mówił Paweł? O tym, jak w regionie arktycznym pozbywasz się wszy — zakopujesz ubranie na noc w wiecznej zmarzlinie, zostawiając na wierzchu tylko poję. Kołymski ogon, jak ją nazywał żartem Paweł, bo właśnie na tej części ubrania zbierały się wszystkie wszy, żeby nie zamarznąć. Potem wypalało się ten rój ogniem.

Ogon kołymski, mówił Paweł żartem. To my.

Takie właśnie historie opowiadali: zabawne, dziwne, wdzierające się echem w terażniejszość. Siedem lat gułagu.

I to, jak w podaniu o pracę na hydrobudowie angielski personalny z działu kadr wpisał: „Siedem lat w leśnictwie w Związku Radzieckim”, to było zabawne, wszyscy się uśmieśli. O tym można gadać. Ale wiele innych spraw skrętnie pomijali w rozmowach.

O czym Paweł nie mówił?

O tym, że gdy wrócił do Polski, nie odnalazł żony ani dzieci, bo podobno, jak twierdziły władze komunistyczne, zabili ich Niemcy, którzy potem zaprzeczyli, twierdząc, że to robota Rosjan. Kto był sprawcą, to już Pawła nie obchodziło. Jego bliscy zostali zamordowani okrutnie razem z niezliczonymi innymi, wrzuceni do dołu i zasypani ziemią, która podobno oddychała potem przez kilka godzin.

A o czym mówił Bojan Buloh? O tym, jak będąc łącznikiem partyzantów w 1944 roku, został wysłany do domu położonego w odległej dolinie, który z bliska od razu wzbudził jego podejrzenia. Kilkaset metrów od celu mały Bojan odwrócił się nagle i rzucił do ucieczki, a wtedy z chałupy wypadło kilkunastu niemieckich żołnierzy, którzy ruszyli w pogoń, trochę podobni, jak ujął to Bojan, do policjantów w ślapstickach.

A o czym nie mówił Bojan Buloh?

O tym, że gdy nazajutrz o czwartej nad ranem dotarł wreszcie do rodzinnego domu, wszyscy byli już na nogach, gotowi do ucieczki,

sądząc, że mały Bojan wpadł w zasadzkę i został zmuszony do zdrady, więc Niemcy zaraz się zjawia. W kącie, przywiązana do krzesła, żeby nie zrobiła sobie znowu krzywdy, zobaczył ciocię Angelikę, która wcześniej tak się przeraziła, że próbowała popełnić samobójstwo, podrzynając sobie gardło. Patrzył ze zgrozą na grubą przesiąkniętą krwią ścierkę na jej szyi, na ciemnoczerwony szlak niewymownego strachu.

Nie mówił o tym ani o różnych przypadkach dramatycznej śmierci, które widział na własne oczy, o tym, co wciąż powracało w koszmarach: gdy wypasał krowy w Alpach, zobaczył, jak niemiecki oddział prowadzony przez słoweńskich faszystów organizuje zasadzkę w pobliżu rozpadającej się rudery na granicy, używanej czasem przez partyzantów. Bojan zobaczył żołnierzy maszerujących w kierunku chaty, ukrył się więc w gałęziach sosny kilkaset metrów wyżej na zboczu. Widział, jak Niemcy strzelają do wybiegających z chaty partyzantów jak do królików, ale nic nie zapowiadało tego, co wydarzyło się potem.

Zabili wszystkich oprócz jednego. Ostatniego zmusili, żeby wykopał dół w ziemi. Był wczesny ranek i mniej więcej pół godziny później, kiedy się okazało, że partyzant niewiele się wbił w skalisty grunt, Niemcom znudziło się czekanie, bo dół wciąż był za płytki do ich celów. Kazali mu więc ukucnąć w tym zagłębieniu i zasypali go, tak że wystawała tylko głowa.

Potem kopali tę głowę ile wlezie jak jakąś dziwną piłkę na uwięzi, aż partyzant zmarł. Odeszli w doskonałych humorach, jak po całodziennym udanym polowaniu. Bojan, lękając się, że zostanie zauważony, pozostał na drzewie przez cały ranek i popołudnie, a zszedł dopiero o zachodzie słońca. Przez cały ten długi czas siedział na sośnie. Szlochał cicho, patrząc na głowę wyrastającą z ziemi pod dziwnym kątem jak kwiat ze złamaną łodygą.

Teraz Bojan zaprzyjaźniał się — jeśli można to nazwać przyjaźnią — z ludźmi, którzy rozumieli potworność swoich losów bez potrzeby opowiadania o nich, którzy nie dopraszali się wyjaśnień i nie usprawiedliwiali własnego podłego postępowania. Nigdy nie opowiadali takich historii, bo być może zdawali sobie sprawę, że nie ma w nich nic nadzwyczajnego, że podobne przeżycia stały się udziałem milionów ludzi, że to, czego byli świadkami, nauczyło ich jednej straszliwej

prawdy, z którą nikt nie powinien być zmuszony żyć: że ludzie to bestie, a zło przerasta najokropniejsze wyobrażenia. Było jeszcze gorzej. Bojan nosił w sobie takie potworności, że nie potrafił ich nawet ubrać w żadną historię, tylko utrzymywał je w bezkształtnej formie z nadzieją, się rozpuszczą.

Lecz czasem, gdy wczesnym zimowym porankiem wybierał się na polowanie do buszu, a niebo było na tyle pogodne, że słońce rozcinało czarne chmury, czuł, że rak strachu wykluwa się z żołądka na wszystkie strony, i choć najchętniej odwróciłby głowę, musiał to zobaczyć jeszcze raz, ponownie, więc patrzył na drzewa.

Na drzewa, Chryste, westchnął w duchu Bojan Buloh, siedząc na łóżku, co lo za myśl?

Zdjął ręcznik z haczyka na drzwiach i otarł pot z ramion i szyi, po czym ściągnął podkoszulek i wytarł tułów. Starannie powiesił ręcznik na poręczu łóżka. Zapalił papierosa i przysiadł w samych majtkach, zaciągając się, rozmyślając. Sonja odeszła. Sonja wróciła.

Jak upiór, którego nie chcę widzieć. Jak upiory, do których wrzeszczała Maria, gdy szliśmy do łóżka, i które błagała, żeby zabrały ją, ale nie jej ojca. Maria odeszła. Ale ani ona, ani jej upiory nie wróciły. Do tej pory. Do teraz.

Sonja wróciła.

Czego chce, czego ta faken dziwka chce ode mnie? Bardziej ją lubiłem, jak mnie nienawidziła. No właśnie, to można zrozumieć, w tym można się połapać. Ale tamtego nijak zrozumieć nie można, połapać się nie można. Bo sensu w tym nie ma. Jak w przeszłości.

Na dworze robotnik w czarnym kombinezonie z odblaskowymi naramiennikami przemknął obok kwater w ciemność. Gdyby odwrócił się na chwilę i spojrzął, zobaczyłby deszcz rysujący ukośne smugi w otwartych drzwiach, a dalej zgarbionego półnagiego niewysokiego mężczyznę na brzegu łóżka, drżące ciało w aureoli żółtego światła. Ale znikająca postać się nie odwróciła oczywiście. Gapić się w taką noc na starego bambo, a po co? Nienawidzę ich, jasna cholera, nienawidzę tych starych spraw. Stare domy, które teraz się lubi, dla mnie to faken gruz, co to w ogóle ludzi obchodzi? Lubię okna z laminatu i aluminium i zapach schnącego biota między cegłami. To lubię. Nowe rzeczy, co je

widać, co jo można powąchać, a pachną tylko potem, który człowiek z siebie wycisnął, żeby je zrobić. Aha, no i klejem, jasne, i różnymi takimi.

Stare rzeczy pachną tym wszystkim, czym pachną starzy ludzie, co je przeżyli. Wszystkim, co się wydarzyło. Śmierdzą jak gówno. Nienawidzę tego smrodu. Lubię nowy zapach potu i klejów, i zaprawy, i kurzu z płyt gipsowych. Lubię nowe, wiadomo, bo nie ma w tym pamięci.

Chuj jeden.

Po co wróciła?

Po pewnym czasie Bojan zmarł i zaczął dygotać. Zdjął palto z haczyka na drzwiach i naciągnął je na ramiona. Otulony czernią sztywnej wełny, usiadł, trzęsąc się, paląc, rozmyślając.

*

Snów Jirego, w przeciwieństwie do snów jego starego przyjaciela Bojana Buloha, nie mącił żaden niepokój. Jadł obficie, pił nadmiernie i spał spokojnie. W snach przeżywał ciągle trudności, żeby pozostać na ziemi, skory do wzbijania się w powietrze, czasem tylko na grubość palca, kiedy indziej na wiele metrów. Z tego niecodziennego punktu obserwacyjnego w tamtej chwili tamtej konkretnej nocy zyskał moc wnikania spojrzeniem w ludzkie dusze, które, jak się przekonał, tkwiły, nieco osobliwie, niczym czubek kakadu, przyczepione do czerepów. Zobaczył Bojana, starego ptaka w klatce, bez ustanku wyrrywającego sobie wszystkie pióra, które każdego dnia, ku jego rozgoryczeniu, odrastały. Zobaczył czubek Sonji, wyglądający, o dziwo, jak upierzone jajo.

Obwąchał śpiącą sylwetkę Helvi, która leżała obok. Ciepła i ciężka woń. Jak kompost, pomyślał. Przez wszystkie długie lata wspólnego życia zawsze rozkoszował się tą sekretną przyjemnością, tą konspiracją, nadzwyczajnym doznaniem płynącym z obwąchiwania śpiącej Helvi. Ostrożnie przysunął nos do jej okrytych nylonem pleców i odurzony silnym zapachem, wonią czegoś pomiędzy owocem a chlebem, po raz kolejny zaczął szybować we śnie, wysoko nad ziemią, szukając papuzich czubów.

Ale nagle spadł z nieba, runął w dół i obudził się gwałtownie,

postępując, jęcząc dziko, po czym zorientował się, że Helvi nie leży obok, lecz siedzi na krześle przy łóżku i ogląda stare fotografie.

— Nie mogę spać — powiedziała, widząc przebudzonego męża.

Odburknął coś potakująco, odgarnął kołdrę i poszedł do łazienki za potrzebą. Robotnik, co miał już na karku sześćdziesiąt cztery z okładem niełatwe lata, pokręcił głową z rozpaczą na widok wątlej strużki moczu kapiącej powoli do muszli klozetowej, z zazdrością przypominając sobie, jak to wyglądało w czasach młodości.

Gdy wrócił do sypialni, Helvi nadal oglądała zdjęcia.

— Wiesz co, znowu się wtrącasz — powiedział. — Ona i tak ma ciężko, biedaczka. Niech sama z tym dojdzie do ładu.

— Jestem to winna jej matce — odparła.

Podniosła wzrok na męża. Jego twarz przypominała pokiereszowany kapitel z niezmiennie zdziwioną miną.

— Tak czuję, Jiri. Robię lo dla Marii.

Zobaczył, że ona jest bardziej udręczona, niż z początku sądził. Machnął wielką dłonią lekceważąco.

— Ech, Helvi, po co patrzysz na te zdjęcia? Tylko się zdenerwujesz. Odłóż to.

Nagle jej opanowanie się ulotniło i łzy trysnęły z oczu. Jiri przysiadł obok na łóżku. Objął ją. ale ona. pochłonięta wspomnieniami, nie dała się pocieszyć, nie chciała się przytulić. Siedziała i płakała. I tak płacząc, odezwała się jeszcze raz, choć wydawało się, że słowa kieruje nie do Jirego. ale do czegoś, co było zarazem odległe i wszechobecne:

— Po tych wszystkich latach ciągle mnie boli.

ROZDZIAŁ 22

1989

Zabawna sprawa to całe moje życie, pomyślał Jiri, kładąc się z powrotem do łóżka. W Czechosłowacji pił z Cyganami. Na Tasmanii pił z Aborygenami. Ani jedni, ani drudzy go nie zaakceptowali, ale w końcu, jako w połowie Niemiec sudecki, w połowie Czech, nigdzie nie czuł się u siebie.

Po wielkim exodusie Niemców sudeckich, będącym pokłosiem wojny, rodzina Jirego pozostała na Morawach, ponieważ czuli się tymi, za których Czesi ich nie uważali: Czechami. Cyganie, przybywszy licznie na Morawy ze Słowacji, gdzie podczas wojny byli prześladowani przez faszystowską Gwardię Hlinkową, wierzyli, że wiecznie wędrują *o lungo drom*, długą drogą, a porzucone przez Niemców domy były dla nich tylko przystankami. Jiri z kolei był dla nich *gadzio*, nie-Cygan, outsider dla narodu outsiderów. Dla Australijczyków Jiri najpierw był uchodźcą, potem bambo. Cyganie śpiewali pieśni o wiecznej wędrówce, ale nie były to romantyczne ballady, tylko posępny lament, a w nim Jiri słyszał coś o sobie, z czego dotąd nie zdawał sobie sprawy:

Wkrótce będzie koniec świata.

Niech nadejdzie

I co z tego.

Niewysoki tęgawy mężczyzna z nalaną twarzą i wciąż gęstymi blond włosami, miał skłonność do reagowania uśmiechem prawie na wszystko, co mówili inni, częściowo dlatego, że w młodości przekonał się, że to ułatwia wędrówkę przez życie, a częściowo dlatego, iż była to maska, a on rozmiłował się w tym oszustwie, w tym, że utrzymywał w ten sposób ludzi na dystans, zadowolonych, bo przekonanych, że jest taki sam jak oni. Podobnie jak Cyganie używał kilku masek: mowy, zachowania, osobowości. Aby pod spodem pozostać wierny sobie. Pomimo upływu lat i tuszy wciąż wyglądał chłopięco i często podtrzymywał to wrażenie, pijąc bez umiaru, rozrabiając, flirtując z

obcymi kobietami. Miał szczęście, że jego wady były zrównoważone przez zalety, tak samo duże, czasem tak samo dziwaczne. Prawda wyglądała bowiem tak, że lubił prawie wszystkich ludzi; kochał wielu i był gotów zrobić niejedno, żeby zadowolić każdego bez względu na to, czy było to głupie, pożyteczne czy szkodliwe dla niego. Był taki, ponieważ naprawdę był *godzio*, wiecznym outsiderem, niezdolnym do przynależenia gdziekolwiek i do czegokolwiek. W życiu Jiri kierował się zasadą, aby wykorzystać tę swoją przypadłość jak najlepiej, ponieważ podobnie jak Romowie i czarni nigdy nie miał innego wyboru.

Po przyjeździe do Australii jako młody człowiek został skierowany przez władze do fabryki cynku w Hobart, paskudnych rozległych zakładów przemysłowych sprawiających wrażenie, jakby przeniesiono je z innego stulecia, gdzie pchał wózki z odpadami. W pokrytych rdzą przepastnych czeluściach przepracował rok z Niemcami i Polakami, Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami, z Bułgarami, Węgrami i współbraćmi Czechami, a wszyscy, nawet awanturnicy, marzyli tylko o zwykłym kraju, o świecie, który wydawałby się mniej bezkresny, mniej zapalny i bardziej zrozumiały, łatwiejszy do ogarnięcia przez niewielką kluchę szarej masy zamkniętą w kruchej ludzkiej czaszce. Australia była zwykłym krajem, a nawet jeśli nie była, to nie chcieli nic o tym wiedzieć. Pragnęli tylko świata, któremu nadzieja nada ład, w którym porządek może przetrwać tak długo, aby człowiek stworzył sobie dom, założył rodzinę i doczekał się wnuków, a potem umarł ze świadomością, że dokonał tyje, ile miał prawo oczekiwać od życia wolnego od tragicznych wojen, okupacji, rewolucji, niszczenia domów, miast, narodów, krajów, języków, ludów.

W fabryce cynku Jiri przetrwał rok. Mógłby dłużej, ale zakolegował się z Polakiem, byłym profesorem historii z Krakowa, wyrzuconym z uniwersytetu z powodu podejrzeń o burżuazyjne sympatie. Profesor chętnie wziął na siebie rolę zwierzęcia jucznego, bo choć był już w średnim wieku i miał siłę komara, w nowym upokorzeniu znalazł formę prywatnego zadośćuczynienia. Odkrył w sobie nadzwyczajną zdolność do pracy fizycznej, jakby w umyśle uczonego zawsze pokutował duch robotnika, a im ciężiej tyrał, tym bardziej się śmiał, bo nie było dla niego nic zabawniejszego niż myśl, że człowiek

prześladowany dawniej za rzekome burżuazyjne poglądy udowodnił, że jest wzorowym proletariuszem, stachanowcem fabryki cynku w Risdon. I odwrotnie, im bardziej się śmiał, tym ciężiej pracował, bo widział wyraźnie, że jego przeznaczeniem jest życie mające sens wyłącznie jako żart i na tym właśnie polegała pointa tego dowcipu, taką właśnie korzyść przyniósł ten niekończący się figiel, który dotąd zmuszony był znosić jako cierpienie. Uszczęśliwiony tym, że los nie odmówił mu tej osobliwej sprawiedliwości, pewnego dnia doznał rozległego wylewu. Niczym śnięta ryba pływająca brzuchem do góry przy nabrzeżu fabryki osunął się na szyny. W tej samej chwili z naprzeciwka nadjechał wózek pchany przez Białorusina nazywanego przez Australijczyków „Panem Taczka”, ponieważ jego nazwiska nie dało się wymówić, oraz Łotysza, którego nazwiska nikt nie znał. Zanim Jiri zdążył dopaść do bezwładnego kolegi, wózek Pana Taczki przejechał Polakowi po głowie. Tak oto dawny profesor historii z Krakowa zakończył życie, z przepołowioną czaszką na szynach prowadzących do pieca w fabryce cynku w Risdon na Tasmanii, a poczerniały żwir pod torowiskiem połyskiwał wilgocią, obryzgany przez małą kluchę szarej masy, jeszcze chwilę wcześniej zamkniętą pod czerepem.

Odtąd fabryka cynku straciła w oczach Jirego ten nikły powab, jaki dotąd miała, zgłosił się więc do władz z prośbą o przeniesienie — taka zachcianka rzadko doprowadzała do jakichkolwiek zmian, oczekiwano bowiem, że przez pierwsze dwa lata bambo będą bez szemrania, mało tego, z wdzięcznością, tkwić tam, gdzie im kazano. W końcu bycie zwyczajnym człowiekiem ma swoją cenę, podobnie jak ma ją bycie człowiekiem nadzwyczajnym.

Lecz ku swemu zaskoczeniu Jiri został przeniesiony, a ku swemu żalowi został przeniesiony na odległą hydrobudowę w górach Tasmanii. Decyzję przetłumaczył mu rumuński lingwista, który pracował przy ogniwie elektrolitycznym do odzyskiwania metali. Jiri poprosił go o powtórzenie nazwy obozowiska, w którym miał zamieszkać.

— Butleres Gordze — odparł Rumun. Przesylabizował: — But-le-res Gor-dze.

Specjalizował się w językach Indii.

W Butlers Gorge Jiri po raz pierwszy legł obok kobiety — Helvi

— która potem została jego żoną, a na dworze wiatr był głośniejszy niż wszystko, co oboje dotąd słyszeli. I to właśnie tam, nazajutrz, Jiri wybrał się na tę fatalną jazdę ciężarówką z młodym jugosłowiańskim robotnikiem o nazwisku Bojan Buloh.

ROZDZIAŁ 23

1959

W tamtym kwietniu długiej jesieni roku 1959, kiedy świat przeczuwał nadejście zmian tak dużych i trudnych, że było to jak drżenie ziemi zapowiadające wciąż niewidoczną za zakrętem lokomotywę, w Hobart nic nie wskazywało na to, że cokolwiek może się zmienić — w tym mieście, które stało się odbytem dla wszystkiego, co uznano za niepotrzebne, wrednym, nieprzyjaznym i brudnym, w Hobart, gdzie aspiracje obywatelskie oznaczały zakup starych kolonialnych budynków i jak najszybsze zrównanie ich spychaczami z ziemią, żeby wzbity kurz zalać natychmiast asfaltem z myślą o samochodach, których większość mieszkańców jeszcze nie miała, w Hobart, gdzie miejska duma oznaczała wrzucenie każdego pechowego żuła leżącego w parku do mamra, w Hobart, gdzie poczucie wspólnoty sprowadzało się do nazwania każdego o skórze o ton ciemniejszej od jasnej skurwysyńskim smoluchem, chyba że miał eleganckie ubranie, wtedy był wstrętnym skurwysyńskim bambo — w kwietniu, kiedy chłód wyruszył powoli w swoją zimową wędrówkę, schodząc tygodniami ze stalowoniebieskich górskich stoków, wczesnego sobotniego poranka obskurnymi zaułkami północnego Hobart FJ zmierzał do domu Umberta Picottiego.

Gdyby Sonja potrafiła przewidzieć, co się święci, czułaby się inaczej w samochodzie tego dnia. Bała się, owszem, ale jej strach ukończy obietnice Bojana, że tym razem rozłaka będzie tymczasowa, że tym razem będzie ją odwiedzał co tydzień, że każdy weekend spędzą razem, że szybko znajdzie w Hobart dom, w którym zamieszkają oboje, córka i ojciec, słowem — rodzina.

— Co ty na to, Sonju?

A Sonja odpowiedziała:

— Tylko tego chcę, *ati*, niczego innego.

Być może zbliżyła ich ta wspólna podróż i ucieczka od Michników i jeszcze to jej przebudzenie w ogromnym zimnym lesie, ze straszliwą

myśla, że się zgubiła i jest sama, aby chwilę później zobaczyć ojca podnoszącego się z tylnego siedzenia, chichoczący wesołek, strojący miny, gdakający jak kura, drwiący z pani Marity Michnik: „Niech ci się nie wydaje, że możesz wrócić”, i wtedy oboje zarechotali i Bojan powiedział:

— Cholerna suka, jakbyśmy zamiarowali kiedykolwiek wrócić.

Sonja wiedziała już, że nie jest sama, że wśród tych ogromnych drzew zahaczających o słońce i księżyc połączyło ich coś, co zawsze wydawało się jej pełne nadzwyczajnej mocy bez względu na to, jak często czuła się bezsilna, coś odpornego na sprzeniewierzenia niezależnie od tego, ile razy ojciec się temu sprzeniewierzył. Poczwała to w pędzie i oceanicznym rozchybotaniu FJ, poczwała to w woni tapicerki i stęchłego dymu papierosowego, usłyszała w dudnieniu szosy pod kołami i warkocie silnika.

Lecz gdy tego ranka dziurawą drogą dotarli wreszcie przed podniszczony dom z desek w North Hobart, to wrażenie prysło, wyparte przez złe przeczucie kłuszące wnętrze.

Maja Picotti, zażywna, z twarzą miękką jak miąższ śliwki zbyt długo pozostawionej w nalewce, wyszła im na powitanie, zanim zdążyli wysiąść z auta. Wzięła Sonję w ramiona i podniosła ją do góry, powiedziała, że nie powinna się rumienić, bo teraz tutaj jest jej dom. Sonja odparła, że wcale się nie rumieni. Nie powiedziała, że jest czerwona, bo się panicznie boi. Nie spytała, jak to możliwe, że tutaj ma być jej dom, skoro Bojan nie będzie z nią mieszkał.

Umberto ociągał się przy drzwiach. Niewysoki, z orlą twarzą cwaniaka i mocnymi szczeciniastymi czarnymi włosami nasmarowanymi brylantyną — choć niektóre niesforne kosmyki sterczały — z oczami nieustannie śledzącymi żonę w poszukiwaniu najmniejszych oznak niewierności oraz każdą inną kobietę w nadziei na okazję do romansu. Gdy podeszli do domu, Umberto odwrócił się i wycofał do środka, niczym kolczatka zagrzebująca się w ciemnej norze. Zastali go w kuchni, czekającego przy stole, z łokciami opartymi na blacie i papierosem w ustach.

Wtedy Sonja poczuła jego zapach i od razu go rozszyfrowała. Pachniał zapowiedzią nieproszonej, natarczywej intymności. Była to

między innymi woń taniej wody ko-łońskiej i płynu do płukania ust oraz papierosów mentolowych, słodczy zjadanych na śniadanie i kwaśniejących w niedomytej jamie ustnej, sznapsów domowej roboty i mocnej kawy rozpuszczalnej, cierpkiego przemysłowego dymu zmieszanego z naftalenem w ubraniach, słowem zapach brudu udającego czystość. Umberto Picotti obrzucił Sonję obojętnym spojrzeniem. Potem starannie przeliczył na stole pieniądze, które dał mu Bojan za opiekę nad córką. Przez cały ten czas Bojan śmiał się i żartował z nowym opiekunem, a ona po raz kolejny zobaczyła, jak ojciec znajduje pokrzepienie w okrutnym męskim pobratymstwie.

Gdyby była starsza, być może zakrzyknęłaby:

„A gdzie honor?!“.

Lecz tylko patrzyła z lękiem i fascynacją, jak Picotti obmacuje ostentacyjnie upierścienionymi palcami każdy banknot, ze zmysłową przyjemnością dotyka powoli każdej monety, jakby pieścił ciało, nie pieniądz, i choć nie zamienili jeszcze ani słowa, Sonja pomyślała, z przenikliwością i jasnością, na jakie stać tylko dzieci:

Jak ja go nienawidzę.

ROZDZIAŁ 24

1959

Odtąd życie Sonji skupiało się w dużej mierze na unikaniu Picottiego i pomaganiu Mai w niekończącym się cyklu prania, suszenia, prasowania i składania ubrań, mycia naczyń, sprzątania łazienki, ubikacji, sypialń, kuchni, szafek oraz doglądania warzywnika. W monotonii tych zajęć Sonja odkryła pewną przyjemność: mogła uniknąć myślenia. Bojan dzwonił czasem, przeważnie z pubu, i choć nie mogła go powąchać przez telefon, żeby się upewnić, wiedziała, że jest pijany. Po każdym takim kontakcie ze zdwojonym wysiłkiem pomagała Mai rąbać i układać drwa pod domem, robić salami i szatkować kapustę, upychać kawałeczki chrupkich liści do plastikowych pojemników na śmieci, aż bolały ją nadgarstki, a obtarte kłykcie szczypały. Każdego ranka Sonja obowiązkowo musiała zdjąć kamienie z deski, która przygniatała kiszającą się kapustę, a zbierając ścierką leniwą musującą pianę, zastanawiała się, w co sama się przemienia.

Pewnego ranka podczas wakacji, gdy Picotti wyszedł do pracy, Maja otworzyła wszystkie okna, pozamykane przez męża, bo skwar powodował u niego alergię, a wtedy wiatr wślizgnął się do środka jak mile widziany stary przyjaciel, który wreszcie zjawił się z wizytą, po czym obie spędziły przedpołudnie na marynowaniu moreli. Sonja myślała każdy złotobrazowy plamisty owoc, jakby był szorstką starą twarzą, którą darzy miłością, kroić każdą pulchną morelę na pół, z każdej wydłubywała porowatą pestkę do zlewu, następnie razem z Mają wpychały setki połówki do wysokich zielonych butelek — plon zebrany poprzedniego popołudnia z czterech starych sękatych drzew, które rosły na tyłach domu Picottich. Ustawianie na stole butelek z zamarynowanymi owocami w kuchni wypełnionej słodkim aromatem moreli sprawiało im przyjemność. To dobry dzień, pomyślała Sonja.

— Dzień najlepszy z najlepszych — dopowiedziała Maja.

Kiedy skończyły, wyszła z dzieckiem na zakupy, zostawiając

Sonję, aby pozmywała naczynia.

Gdybym mogła wybrać kolor dla Picottiego. pomyślała Sonja, nalewając wody do zlewu, byłaby to czerń, ale nie kruczoczarna, w której jest coś powabnego i magicznego, lecz matowa jak dno tego przypalonego garnka, który zaraz wyszoruję, tak ciemna, przerażająca i dusząca jak koc narzucony na głowę. Lecz Umberto Picotti nie ubierał się zgodnie z jej wyobrażeniami — nigdy, również tego dnia, gdy wrócił wcześniej z pracy, najwyraźniej wstąpiwszy gdzieś po drodze, bo nie miał na sobie utyłanych oliwkowych spodni roboczych, starej koszuli i znoszonego puloweru, lecz wystroił się, mało stylowo, w niebieską hawajską koszulę w żółte banany wetkniętą w szare spodnie z połyskliwego sztucznego jedwabiu. Nie zastawszy Mai w domu, natychmiast powziął podejrzenie, że spotyka się z innym mężczyzną. Usiadł przy stole w kuchni, zapalił papierosa, rozejrzał się. Mimo krzykliwego ubrania jego osowiała twarz pozostawała dla Sonji niewiadomą. Gdy wreszcie się odezwał, przemówił cichym, zbolałym głosem, jakby właśnie doznał straszliwej krzywdy albo straty.

— Gdzie ona jest? — spytał.

Odwróciła się od zlewu twarzą do niego, ale nie odpowiedziała.

— Gdzie ona jest? Gdzie jest Maja?

— Poszła po mięso na podwieczorek dla pana — odparła.

Picotti znów się rozejrzał, wyduł dolną wargę i skinął głową, jakby wyciągnął własne wnioski z nieobecności żony. W ocienionej krainie jego twarzy widziała oczy mrugające szybko, w nagłych drgawkach — oznaka nerwowości ujawniająca się, ilekroć byli sam na sam, czego Sonja nie znosiła. Nadal mówił cicho, ale jego nastrój jakby się zmienił. Wypuścił dym z ust i rzekł:

— Tak, tak mówi, mówi tak, ale ja wiem lepiej. Popołudniami prawie nigdy jej nie ma. — Wydawał się zmęczony jakby roztrząsał w myśli sprawę wielkiej wagi. Zdawkowym ruchem, ręki strącił ze stołu butelkę z marynowanymi owocami. Sonja spięła się mimowolnie, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił. Patrzyła, jak butelka powoli obraca się w powietrzu.

Cała ta praca.

Cała ta miłość.

Gdy odbiła się lekko od podłogi, w Sonji błysnęła iskierka nadziei, że szkło wytrzyma. Ale to tylko pęknięcia potrzebowały ułamka sekundy, aby rozsiać się po całej powierzchni i rozewrzeć ścianki, a potem butelka z powrotem wylądowała na podłodze, już jako masa odłamków szkła, syropu i owoców. Gdy Sonja obserwowała rozbijającą się butelkę. Picotti obserwował Sonję, pożerał ją wzrokiem, w milczeniu, nieruchomo, drapieźnik o semaforowych ślepiach taksujący swoją ofiarę. Rozmowa zmieniała się w przesłuchanie, chociaż żadne nie odezwało się przez dłuższą chwilę.

— Gdzie? — spytał znowu. — Gdzie poszła?

Wpatrywał się w twarz Sonji, szukając potwierdzenia swych podejrzeń, a gdy go nie znalazł, poczuł wściekłość, przypomniawszy sobie o skłonności podłych kobiet do intryg, skłonności pewnej i oczywistej. Wsunął palce pod blat,

poczuł ciężar stołu, następnie podniósł jeden koniec i znieruchomiał.

— Dlaczego? Dlaczego poszła? Do mężczyzny, dlatego. Wiesz? — wymamrotał, wciąż łagodnym tonem, trzymając uniesiony stół na palcach. — Poszła do łóżka z innym mężczyzną. Wiesz, co robią? — Uśmiechnął się, a potem twarz mu stężała, a Sonja zrozumiała, że jest niezadowolony, jakby to ona się uśmiechnęła i w ten sposób go obraziła, jakby to ona prowadziła z nim grę. — Ty wiesz? — spytał wciąż cichym głosem.

Nagle eksplodował.

Szarpnął za stół i go wyrzucił. Sonja odskoczyła do tyłu. Stół pofrunął do góry i spadł z hukiem, butelki roztrzaskiwały się o butelki i wszystko runęło ze straszliwym łoskotem na pokrytą linoleum podłogę.

— Jasne, że wiesz! — ryknął Picotti, a jego głos przemienił się w cyklon, który mógłby zmieść Sonję z powierzchni ziemi.

Przerażona, chwyciła się kurczowo zlewu za plecami i spojrzała na podłogę, na abstrakcyjny wzór linoleum, jasne kolorowe linie i kwadraty powielone na całej powierzchni, które — na przekór nieustannym wysiłkom jej i Mai — widziały już lepsze dni. Tu i ówdzie linoleum było wytarte aż do podkładu z płótna jutowego, a na tle tego wyblakłego wzoru sunęły teraz w lodowcowym pochodzie połówki dorodnych

moreli w syropie, zostawiając na swoim szlaku moreny rozbitego szkła.

A potem Sonja zadarła głowę i zobaczyła, że Picotti przestał mrugać — tak samo dziwacznie i tajemniczo jak zaczął — i wycelował w nią oskarżycielsko palec.

Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć czy zrobić, bała się jednak, co on zrobi, jeśli będzie milczała. Chwyciła więc mop i zawołała: — Posprzątam, proszę pana! — najpierw piskliwie, jakby to była jej wina, potem łamiącym się głosem, bo próbowała obniżyć ton, aby ukryć strach.

— Nie — odpowiedział. — Nie, ty mi pokaż.

Uniósł głowę przechyloną w bok, jakby właśnie wygrał w bójce na noże w knajpie, ale nadal czujnie obserwował otoczenie w obawie przed ostatnią nieoczekiwaną fintą. Sonja słyszała jego przyśpieszony oddech.

— Ty mi pokaż, gdzie ona jest.

Rzucił niedopałek na pobojuwisko marynowanych moreli rozpościerających się na podłodze, jakby w pracy wykonywanej z przyjemnością przez kobiety było coś obraźliwego.

Kazał Sonji wsiąść do swojego ciemnopomarańczowego pontiaca i ruszyli na poszukiwania jego niewiernej żony i jej urojonego kochanka. Na tylnej kanapie ogromnego samochodu Sonja czuła się jak w potrzasku, uwięziona w objęciach miękkiej jasnobeżowej tapicerki niczym w obezwładniającym uścisku silnych ramion. Gdy zsunęła się na brzeg siedzenia, aby mieć jak najmniejszy kontakt z samochodem, Picotti zasypał ją szczegółami domniemanej niewierności swojej żony:

— Suka — żalił się — ona śpi z innym. Wiem to, znam Maję, zaraz ich znajdę i oboje mi zapłacą za moją hańbę. — Zauważyła, że wargi ma mokre od śliny. Gestykulował lewą ręką tak zamasyście, tak energicznie, że nasmarowana brylantyną grzywka zsunęła się z miejsca wyznaczonego jej przez grzebień. — Ja! Umberto Picotti! Suka! Kurwa parszywa! Takie kobiety to nic dobrego, Sonja. Są złe dla mężów i złe dla dzieci! — Wsunął palce prawej dłoni pod grzywkę, która przyklepiła mu się do twarzy jak rozlany siarkowy bitum, i przepchnął ją na właściwe miejsce. — Tak jak twoja matka, wiesz.

Ostatnie słowa rzucił mimochodem, ale w lusterku wstecznym dostrzegł, że Sonja gwałtownie unosi głowę, więc spróbował zatrzeć złe

wrażenie, po części ze wstydu, po części z ciekawości, aby zobaczyć, czy dziewczynka interesuje się swoją matką, z którą, o czym wiedział, nie miała żadnego kontaktu od wielu lat.

— Mówię to, bo dobre z ciebie stworzenie — ciągnął, wpatrując się w lusterko — bo jesteś podobna do ojca, to ci mówię, że twoja matka nie była mu wierna i dlatego właśnie... Dlatego jej tu nie ma. — Sonja uciekła spojrzeniem w bok, jak najdalej od Picottiego. Skuliła się przy drzwiach, wpatrzona w przejeżdżające samochody, jakby w ogóle nie słuchała. — Nie kochała twojego ojca — dodał Picotti i pomyślał: Słuchasz. Słuchasz każdego mojego słowa. — Ciebie też nie kochała. — Zamilkł, żeby zapalić papierosa. — Twoja matka cię nie kochała, inaczej by tu była. E? Byłaby. Jak by cię kochała, byłaby tutaj, opiekowała się tobą. Rozumiesz, co mówię? Że twoja matka cię nie kochała. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale lepiej wiedzieć, jak sprawy stoją.

Znowu zamilkł.

Zaciągnął się papierosem.

Wydmuchał.

Zastanawiał się, co powiedzieć w następnej kolejności.

— Kurwa z niej była i tyle, sprośna kurwa i powiem ci prawdę, że lepiej, że jej nie ma.

Bez uprzedzenia zatrzymał pontiaca na poboczu. Wielki samochód przechylił się i zakołysał jak pozbawiona steru łódź miotana przez wzburzone fale.

— Ej, Sonja! Usiądź tu obok mnie.

Uśmiechnął się do jej pleców, gdy bez entuzjazmu i świadomości przeciskała się na przedni fotel. Zajęła wskazane miejsce i spojrzała na niego. Zobaczyła, że znowu mruga gwałtownie. Wyciągnął rękę w bok. Położył dłoń na jej udzie i zaczął ją przesuwając ku górze.

Poczuła nagły ucisk w brzuchu — to doznanie powracało potem wiele razy — poczuła okropny strach, poczuła, że ulega mocy Picottiego. Ale jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Wiedziała, że musi zachować kamienną twarz, aby przetrwać tę chwilę. Jego dłoń dotarła do rąbka sukienki i uparcie sunęła dalej.

— Co pan robi? — spytała Sonja, próbując opanować drżenie głosu.

Wciąż uśmiechnięty, przemówił cicho, delikatnie, tak ujmująco, że zapragnęła uwierzyć w jego słowa:

— Nie bój się, moje dziecko.

Nie uwierzyła mu, nie uwierzyłaby za żadne skarby świata. Ręka zbliżała się do końca uda, gdy nagle kichnął, a Sonja, wykorzystując tę krótką chwilę rozkojarzenia, odsunęła się i chwyciła za klamkę. Wpatrzona w jego mrugające oczy, otworzyła gwałtownie drzwi i wyskoczyła z samochodu. Picotti zrezygnował z dalszych zalotów. Sonja ruszyła ulicą. Gdy przeszła mniej więcej dziesięć metrów, przechylił się i zatrzasnął drzwi.

Zjechał ze wzgórza, nie oglądając się za siebie, zostawiając Sonję na ulicy, żeby na własną rękę wróciła do domu,

ROZDZIAŁ 25

1960

Dni przeszły w tygodnie, potem w miesiące. Jesień ustąpiła zimie, wreszcie zima zmieniła się w wiosnę. Nadciągnęły ulewne deszcze, ale Bojan się nie zjawił i mówiono o strasznych powodziach na północy, a potem minęła też wiosna i nastąpiło lato, lecz on wciąż nie wracał, a Sonja stała się częścią małej dziwnej rodziny. Co wieczór modliła się do Bozi, o której uczyła ją pani Michnik, co wieczór błagała Boga, żeby sprowadził jej ojca w najbliższy weekend, i w każdy weekend czekała, ale ojciec nie wracał, doszła więc nieuchronnie do wniosku, że podobnie jak wielu innych dorosłych Bóg gniewa się na nią z niewiadomego powodu. Picotti często przebywał poza domem, pracował na zmiany przy ogniwach elektrolitycznych w fabryce cynku albo pił, co odpowiadało zarówno Sonji, jak i Mai, która — wbrew swoim protestom — wydawała się o wiele szczęśliwsza, gdy była uwolniona od towarzystwa męża.

Maja Picotti przyglądała się dziewczynce, zastanawiając, kim ona jest. Sonja pomagała w domu, ale rzadko się odzywała. Maja przekonała się, że jest sumienna i pracowita, ale dziwna. Wszystkie powierzone jej obowiązki wykonywała bez szemrania czy słowa komentarza. Aż do dnia, gdy Maja Picotti wybrała się na zakupy i zostawiła pod opieką Sonji swoje małe dziecko.

Gdy tylko wyszła, maleństwo obudziło się i zaczęło płakać. Sonja patrzyła, czekała niewzruszona. Nawet nie drgnęła, nie podeszła, żeby ulżyć dziecku, żeby je wziąć na ręce i uspokoić. Czekala na powrót Mai Picotti, ale tę zatrzymały plotki z koleżanką, więc wciąż nie wracała, a dziecko płakało.

— Ona jest jak jej tata — powiedziała Maja przed wyjściem. — Budzi się dopiero, gdy pora zjeść i się napić.

Jednak dziecko się obudziło, a matka nie wracała. Płakało i płakało i nagle Sonja nie mogła dłużej znieść tych krzyków. Chwyciła za

łóżeczko, szarpnęła nim lekko, a kiedy to nie pomogło, szarpnęła mocniej, żeby uciszyć niemowlę. Płacz przeszedł w ryk. Sonja z całej siły zaczęła trząść łóżeczkiem. W tej samej chwili Maja Picotti weszła do domu. zobaczyła., co się dzieje, porwała dziecko w ramiona i zganiła Sonję:

— Matko Boska! Co ty wyprawiasz, głupia dziewczyno?! Nie widzisz, że mała płacze?

Zaczęła kołysać dziecko przytulone do ramienia i po chwili wrzaski przycichły. Odwróciła się i spojrzała wściekle na Sonję. Szukała w jej twarzy jakiegoś wytłumaczenia tego osobliwego postępowania. Wpatrywała się uważnie, ale niczego nie dostrzegła. Dziewczyna najprawdopodobniej bała się tego, co mogło nastąpić za chwilę, ale nawet nie drgnęła i nie próbowała przeproszać.

— No więc? — spytała Maja Picotti. — Co masz do powiedzenia?

Sonja najchętniej wytłumaczyłaby, że dziecko się obudziło i rozplakało, a ona nie mogła wytrzymać jego krzyków.

— Nigdy nie wolno płakać — rzekła. — Żebyśmy nie wiem jak źle się czuli, nigdy nie wolno płakać.

Chciała powiedzieć, że żal jej dziecka, ale ono musi nauczyć się tego, czego ona sama się nauczyła, inaczej umrze. Chciała jednak powiedzieć to wszystko niemowlęciu, a nie matce; pragnęła powiedzieć: uważaj, uważaj, ucz się ode mnie — nigdy nie czuj się, nie czuj jak ja.

Mała znów zaczęła kwilić. Sonja nie zbliżyła się do łóżeczka, lecz stała w tym samym miejscu, w którym w milczeniu przyjęła naganę Mai Picotti. Patrząc w dal, zaśpiewała:

Nie płacz, mała rybko.

Nie płacz, nie płacz,

Nie płacz, mała rybko.

Maja Picotti popatrzyła na nią, nic nie rozumiejąc, zbita z tropu dziwnym zachowaniem dziewczynki. Pokręciła głową i nagle zapragnęła chwycić Sonję w ramiona i nigdy jej nie puścić.

Sonja wciąż śpiewała:

Nie płacz, nie płacz, mała rybko,

Nie płacz, nie płacz.

Potem Maję Picotti dręczył jednak niepokój z powodu tego, co się wydarzyło i co czuła, więc przed snem odmówiła *Różaniec* za bezpieczny powrót duszy Sonji z miejsca, do którego najwyraźniej uciekła.

Mała rybko

śpiewała Sonja tego wieczoru w łóżku

Nie płacz, nie płacz.

śpiewała Sonja.

Lecz zabrakło słów, aby wyśpiewać pustkę. Z biegiem czasu przestała śpiewać na głos piosenki, które знаła, tylko poruszała ustami, bezdźwięcznie wypowiadając nieistniejące słowa, aby opisać uczucia niemające nazwy, ściągając wargi w ciup i rozciągając, jak złakniona życiodajnej wody ryba konająca w koszu rybaka wystawionym na cuchnące powietrze.

*

Niedługo potem wrócił Bojan.

On, Umberto, Maja Picotti i Sonja usiedli wokół kuchennego stołu. Sonję dopadła nagle straszliwa wizja: Picotti odtrącający ich wszystkich szerokim ruchem ręki, jakby byli butelkami z morelami, a oni troje — Bojan, Maja, ona — spadają na podłogę i rozbijają się na kawałki, on zaś z uśmiechem strząsa na nich popiół z papierosa. Zamrugał oczami, raz lub dwa. powoli. Bojan się uśmiechnął. Sonja zadrżała. Ojciec nie miał pojęcia o tym, co się zdarzyło wcześniej i dlaczego Umberto Picotti chce zerwać umowę dotyczącą opieki nad Sonją. Przecież zapłacił im sownie. Atmosfera tężała, kawa zaparzona przez Maję była niewypita, ciastka na tacy pośrodku stołu nietknięte. Umberto Picotti odliczył trochę banknotów i przesunął je po stole w kierunku Bojana, obok talerza z rosółem, którego nie pozwolił Mai zabrać, gdy zjawił się gość.

— To twoje minus część za czas, gdyśmy się nią opiekowali — powiedział.

Bojan nic nie odrzekł. Był zdezorientowany. Nie podnosząc wzroku znad talerza z zupą, Umberto Picotti dodał:

— Zabierz ją teraz.

Potał mrugające oczy, wciskając zaciśnięte pięści w oczodoły,

jakby chciał wywiercić w nich głębsze otwory.

Bojan poczuł zakłopotanie.

— Ej, Bertie... — zaczął, ale Picotti natychmiast mu przerwał.

— Nie będzie mi jej brakować — odparł, mrugając do klusek pływających w rosole. — Nieposłuszna mała suka.

ROZDZIAŁ 26

1989

Tasmański obłąd — skurwysyństwo stu pięćdziesięcioletniej rozpaczliwej rozpleniającej się w formie jeszcze bardziej niebywałych fantazji — dość dyskretnie wdzierał się na lotnisko w Hobart: kilka lat wcześniej, w złudnej nadziei, że taka infrastruktura nieuchronnie przyciągnie nieobecnych dotąd zagranicznych podróżnych, wybudowano dodatkowy terminal i powiększono płytę lotniska, żeby można było obsługiwać jumbo jety. Gdy miejscowi satrapowie, na modłę dawnych wodzów kultu cargo, z uporem obserwowali niebo, wypatrując osławionych odrzutowców pełnych zamożnych azjatyckich turystów, i wygłaszali przemowy, zapewniając swoich zwolenników, że zbawienie Tasmanii jest bliskie, bo wkrótce stanie się ona Singapurem Południa, z międzynarodowego terminalu użytek zrobiła pewna malutka firma przewożąca tutejszych mieszkańców sześciomiejscowymi samolotami do odleglejszych zakątków wyspy.

Pomijając tę miłą ekscentryczność, lotnisko hobarckie, choć małe, było przeciętne i właśnie to napawało Sonję otuchą, gdy u boku Helvi czekała w kolejce do stanowiska rezerwacji, gotowa na powrót do Sydney. Lotniska zawsze działały na nią pocrzepiająco — konkret rozpuszczał się w wielkim ogóle, charakterystyczny szczegół niknął w masowej nijakości, będącej piłą w rękach drwala cywilizacji, aż ze specyfiki danego miejsca pozostawał pusty wyręb, powielony jak świat długi i szeroki. Ludzie palą papierosy, ludzie płaczą. Popiół i chusteczki higieniczne, pomyślała Sonja, podając bilet pracownikowi na stanowisku rezerwacji. Jiri, który dotąd trzymał się dyskretnie z tyłu, wysunął się teraz naprzód, w swej najlepszej dwudziestoletniej skrzypiącej kurtce ze skaju, podał walizkę do odprawy i się cofnął.

— Mogłabyś zostać — powiedziała Helvi. Pracownik lotniska oddał Sonji bilet razem z kartą pokładową, jakby chciał zaprzeczyć tym słowom. — Wiesz o tym. Jeszcze nie jest za późno — dodała cicho, co

dowodziło, że sama nie wierzy w to, co mówi.

Sonja podniosła wymownie bilet i kartę pokładową, jakby to był wyrok, który Helvi musi zaakceptować. Wzruszyła ramionami, pokręciła głową, a potem uśmiechnęła się w reakcji na ten upór. Z udawaną surowością, jakby upominała dziecko, odparła:

— Helvi!

Tamta spojrzała na Sonję i znowu to zobaczyła. Poczowała smutek, jakby ogromne kamienie ugniatały jej żołądek i czoło, a doznanie to było prawie obezwładniające.

— Nie powiesz ojcu o ciąży? — spytała, zmieniając taktykę.

Sonja wydawała się nieobecna.

— Nie — odparła. — A co miałabym powiedzieć?

— Prawdę.

— Aha, prawdę — mruknęła beznamyślnie. Ruszyła różnym krokiem do sali odlotów. — Prawdę. — Maszerowała lekko uśmiechnięta, próbując przełknąć ślinę, ale w ustach miała sucho, a potem, nie patrząc na Helvi, dodała: — On chce wierzyć, że znalazłam wielką miłość, że przynajmniej jestem szczęśliwa. — I choć była zła na Helvi za jej natręctwo, zaśmiała się krótko i cierpko. — Prawda rzadko kiedy warta jest poznania, wiesz o tym? Prawda boli. Kłamstwa są łatwiejsze. — Przez cały czas maszerowała, patrząc przed siebie. — Po co mu mówić, że nie ma mężczyzny, który chciałby przyjąć to dziecko jako swoje, nie ma porządnego domu, a ja nie mam czasu, bo pracuję. Nie mam pieniędzy. Nie mam nic. Niczego nie mogłabym ofiarować temu dziecku. — Zatrzymała się nagle i wbiła w Helvi wzrok. — Jestem biedna pod każdym względem, a aborcja jest najtańsza, to mam mu powiedzieć?

Walka była przegrana, lecz Helvi nie zamierzała przyznać się do porażki.

— Czasem aborcja jest słuszną decyzją — odparła. — Czasem kobieta ma bardzo niewiele, a dziecko by to zniszczyło. — Sonja odwróciła głowę, zastanawiając się, ile jeszcze będzie musiała znieść, zanim wreszcie odleci, choć w tej chwili była Helvi nawet wdzięczna, bo sądziła, że wreszcie bierze jej stronę. — Ale czasem jest zła. Czasem dziecko może pomóc ranom się zabliznić.

Tego było za wiele. Sonja pośpiesznie uściskała i pocałowała Helvi i Jirego na pożegnanie, po czym ruszyła szybko do sali odlotów.

Przeszła przez bramkę kontrolną i patrzyła, jak jej torebka wyjeżdża na ruchomej taśmie z urządzenia do prześwietlania bagażu, umysł pusty, świadomy jedynie najbardziej banalnych szczegółów. Oczywiście zobaczyły mankiet munduru i wyciągniętą dłoń, odsuwającą jej torebkę na bok, lecz umysł nie przypisał tej czynności żadnego znaczenia. Zobaczyła tylko podobne do łonowych włoski na palcach dłoni chwytającej torebkę za pasek i grubą złotą obrączkę, zobaczyła niebieski rękaw munduru i zaczęła się zastanawiać bezsensownie, czy to czysta wełna, czy z domieszką akrylu. W pierwszej chwili nawet nie uświadomiła sobie, że funkcjonariusz straży granicznej do niej kieruje swoje słowa:

— Przepraszam, zechciałaby pani otworzyć torebkę?

Poczuła, że stojąca obok kobieta w średnim wieku trąca ją łokciem, więc przeszła na drugą stronę taśmy i otworzyła torebkę na laminowanej półce. Rozsupłała znajdującą się w środku chustkę, w którą wcześniej zawinęła kawałki rozbitego imbryka.

— Ach, takie buty — mruknął funkcjonariusz. — Może powinna pani zacząć pić kawę. — Uśmiechnął się. — Dziękuję pani. To wszystko.

Lecz Sonja nie dotknęła odłamków, nie próbowała zawinąć ich w chustkę ani zamknąć torebki. Wpatrzona w kawałki imbryka, nie mogła opanować natłoku myśli, jej ciało płonęło, głowa drżała.

— Dziękuję pani — powtórzył funkcjonariusz, świadom, że kolejni pasażerowie czekają na kontrolę. — Mogłaby pani zabrać torebkę? Bardzo proszę. Proszę pani! Dobrze się pani czuje? Żartowałem z tą kawą. Żartowałem tylko.

Wpatrywała się w odłamki. Zobaczyła mnóstwo rzeczy. Miała łzy w oczach. Zobaczyła zamykające się drzwi. Tłukący się imbryk. Ojca. Matkę. Siebie. Czy się porzypadali? Porzypadali się?

Nagle się ocknęła, chwyciła torebkę, posłała funkcjonariuszowi zakłopotany uśmiech i mruknęła:

— Tak, tak, przepraszam. Kawa. Zamiast herbaty. Świetny żart.

Nie poszła jednak do stanowiska odlotów, tylko odwróciła się i

skierowała w przeciwną stronę, najpierw spokojnym krokiem, potem szybciej, truchtem, wreszcie biegiem. Ludzie odsuwali się na boki, lekko zaskoczeni takim niecodziennym zachowaniem.

Gnała, ale nie uciekała od swojej tożsamości, lecz wracała do niej. Wpadała na podróżnych, nie zatrzymując się, przeciskała się obok, płynęła pod prąd. walcząc z potężnym strumieniem ludzi, który chciał ją porwać, unieść daleko — wszyscy pozacierani w jej oczach, lotnisko rozmazane w dziwne plamy koloru i dźwięku, bo widziała wyraźnie tylko jedno: kawałek koronki, odtruwający w cyklonicznych wirach przylatujących i odlatujących ludzi, przylatujących i odlatujących, teraz już każdy z nich był uchodźcą umykającym przed tym, co bezimienne i niewypowiedziane, i przez chwilę myślała, że przeniosła się z powrotem do powojennego obozu imigrantów, ale nadal goniła koronkę wśród tych wszystkich biznesmenów i surfistów, turystów i rodzin, ubranych teraz w bure łachmany niosących nie walizki z plastiku i plecaki, ale pakunki z szarego papieru obwiązane sznurkiem, i oni wszyscy, wszyscy, wyglądali na zagubionych, a koronka wciąż wymykała się Sonji, lecz wreszcie udało się ją dopaść i wtedy przemieniła się w czerwony płaszcz i kurtkę ze skaju z lat siedemdziesiątych, ona zaś płynęła ku nim, ile tylko starczyło jej sił. wołając nagle:

— Nie jest za późno?!

Kobieta i mężczyzna znajdujący się przy wyjściu odwrócili się zaskoczeni, oszołomieni, a tym ruchem Hehi i Jiri nieświadomie udzielili odpowiedzi na pytanie Sonji.

ROZDZIAŁ 27

1960

Późnopołudniowe słońce oblało FJ magiczną pożąłą i pyszniący się wszystkimi metalicznymi kolorami samochód podążał teraz niczym ogromny australijski skarabeusz przez północne przedmieścia Hobart, mijając stare kamienice z cegły i kamienia, mijając nowe czynszowe domy z desek i betonu, jakby w poszukiwaniu znajomej gałęzi eukaliptusa, na której znalazłby schronienie. W FJ Sonja zerknęła z boku na Bojana z nadzieją, że i on zaszczyci ją spojrzeniem.

Nie zaszczycił. Patrzył uparcie przed siebie. Oboje milczeli. Ona myślała o Picottim. Zobaczyła go znowu, jak kiwa na nią, aby się przepchnęła na przednie siedzenie. „Chodź!” Nienawidziła tych jego ciuchów cwaniaka. Wypomadowanych włosów. Przegoniła jego postać. Z rozmysłem wciągnęła nosem słodką ojcowską woń dymu papierosowego. Z rozmysłem popatrzyła na kwadratowe domy z desek i betonu. Z rozmysłem zapamiętała obraz zwirowych rynsztoków, w których bawiły się dzieci. Żadnych drzew, ozdób, różnic. Jałowość.

Milczenie połączyło ich jak życiodajny chleb i jak życiodajny chleb je przełamali.

Powoli. Jakby z respektem na myśl o tym, co to może oznaczać.

— Sonju — odezwał się wreszcie Bojan. — Nie smucisz się, że odchodzisz od Picottich?

— Nie — odparła po chwili. Nie patrzyła na niego, tylko przed siebie, tak samo jak on. Odkasznęła. — Nie — powtórzyła chrapliwie.

Zerknął na nią, a potem na nitkę drogi.

— Nie wiem, czemu poprosili, cobym przyjechał i cię zabrał — powiedział, autentycznie zbity z tropu. — Byłaś grzeczna?

Milczała. Bojan domyślił się mgliście, co się wydarzyło.

— I tak nie lubiłem skurwiela.

Poczuł zadawnioną, niezmienną grozę, lecz jechał dalej, jakby to od niej próbował uciec, ale przecież tkwiła w nim i niełatwo było się od

niej uwolnić. Kierownica drżała, jakby pod jego rozdygotanymi rękoma koła się scentrowały.

— To z kim teraz będę mieszkać, *ati*?

— Ze mną — odpowiedział. Cicho. A potem powtórzył, tym razem z uśmiechem, bo pomyślał o miłej niecodzienności tego pomysłu i nawet dłonie przestały mu drżeć: — Ze mną.

Słyszając to, Sonja poczuła nadzieję. Przyptyw euforii i zaciekawienia.

— W obozie? Ty i ja w obozie?

— Nie. Tutaj. Tutaj, w Hobart. Rzuciłem hydrobudowę i znalazłem dla nas kąt, zanim cię odebrałem. Jak ten kutas zadzwonił, że muszę cię zabrać, no to... to — urwał nagle, rozemocjonowany, a potem podjął na nowo, wypluwając z siebie słowa: — ...pomyślałem, że może dobrze będzie, jakbyśmy mieszkali razem. To chyba niedobrze, że ty u obcych ludzi.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Będziesz się mną opiekował?

Wyrzucił rękę do góry w wyrazie irytacji i skruchy.

— Jezu Chryste, w końcu jestem twój cholerny *ati*, nie?

Patrzyła na niego długo i uważnie.

— Wiem, co myślisz — powiedział.

Czuł na sobie jej spojrzenie, okropne i sondujące, zdawał sobie sprawę z jej dziecięcej mocy czytania między słowami.

Następnie opisał swoje uczucia, spokojnie, stanowczo, jakby wreszcie pogodził się z losem, od którego niepodobna uciec. Chciał to powiedzieć beznamiętnie, ale zabrzmiało jak coś między pytaniem a objawieniem:

— Przecież jestem twój *ati*.

*

FJ dotarł do jakiegoś budynku, skręcił na długi podjazd, minął dość nowy drewniany dom w kolorze akwamaryny przykryty wklęsłym dachem z blachy. Dalej, w rogu na tyłach ogrodu, rzut kamieniem od suszarki obrotowej, stała chatka z surowych pionowych desek poczerniałych od wcierania oleju odpadowego.

Wysiedli z samochodu. Bojan zamachał nieporadnie ręką do kobiety — ich gospodyni — zmywającej naczynia za nylonową firanką w głównym domu. Sonja mszyła za ojcem do chatki, a właściwie szopy, którą przerobiono na mieszkanie, bardzo brudne i surowo urządzone. A potem przespacerowali się dokoła. Bojan wskazywał miejsca, w których posadzą pomidory i zrobią sobie meble. Wreszcie wrócili do środka i stanęli w kuchni.

Uśmiechnął się krzywo. Rozłożył ręce na boki, jakby to, co zyskali, było naprawdę ogromne, a nie jakby chodziło o trzy małe, zagracone pomieszczenia — kuchniosalonik, sypialnię i łazienkę.

— *Dorna* — powiedział. — Wiesz, co to znaczy, Sonju? To po słoweńsku. Jesteśmy w domu. A wiesz, jak Australijczycy nazywają takie miejsca? Klity dla bambusów.

Właśnie tak. To znaczy, że nie są dla Australijczyków. To znaczy, że są dobre tylko dla bambo. Dla nas. — A potem znowu się uśmiechnął i zarechotał, głośno, swobodnie, szczerze. Sonja zerknęła na niego i widząc, że jest szczęśliwy, też się uśmiechnęła i zachichotała.

Przez następny tydzień starali się zmienić szopę w prawdziwy dom. Bojan kupił używane bakelitowe radio i postawił je na parapecie w kuchni, gdzie grało bez ustanku. Kupił wersalkę, fotel i lodówkę marki Silent King na raty, ale za odkurzacz zapłacił gotówką i oboje byli zachwyceni jego opływowym kształtem rakiety kosmicznej. Kupił starą szafę, nowy materac, cztery rondle, jedną patelnię i w nieświadomej nadziei na przyszłość lepszą od terażniejszości — komplet czterech noży, widelców, łyżeczek i talerzy w Woolworths. Elvis i Dean Martin chrypieli niewyraźnie pośród szumów z radia, a Sonja i Bojan położyli na podłodze z linoleum stare koce, wycięli zdjęcia z „Woman’s Weekly” i wcisnęli je w ramki zrobione przez niego z wyżebranego drewna, a przez nią pomalowane na jasnoniebiesko i fioletowo.

Z początku mieli tylko jedno łóżko, więc spali razem. Bojan tak się wychował: znaczy się, mówił, tak to jest, dzielisz łóżko ze starszymi braćmi i siostrami i choć nie przyznał się do tego nawet przed samym sobą, wspólne spanie dodawało mu otuchy, mimo że Sonja kopała i wierciła się przez sen. Australijska idea jednego łóżka dla jednej osoby wydawała mu się dziwna i szkodliwa. Spanie samemu było karą,

smutkiem, kłamstwem, że najbardziej podstawowe, przyziemne aspekty życia dzielą ludzi, nie łączą. Gdyby mu powiedziano, że spanie z córką można różnie interpretować, byłby wstrząśnięty. Wiedział aż za dobrze, co niektórzy dorośli wyczyniają z dziećmi, sam zaznał tego od własnego wuja jako dwunastoletni chłopiec. Ale gdyby znali Bojana Buloha, wiedzieliby, że nie jest taki, i dla niego na tym sprawa się kończyła. Znał siebie: w swojej zatwardziałości nigdy nie sądził, że inni mogą myśleć o nim inaczej, nie do końca zgodnie z tym, kim naprawdę jest.

Pewnego wieczoru Sonja wciąż była na nogach, kiedy Bojan położył się do łóżka. Przeglądała stare fotografie trzymane w tekturowym pudełku po butach. Zaintrygowało ją szczególnie jedno zdjęcie, czarno-białe, przedstawiające chudego mężczyznę w średnim wieku w trumnie pełnej kwiatów. Bojan położył się i odwrócił plecami do córki, próbując zasnąć. Podsunęła mu zdjęcie pod nos.

— A to?

— To twój dziadek. *Ati* mamy — mruknął w koc.

— Po co go obłożyli kwiatami, jak śpi?

— Nie żyje. Jak człowiek umrze, to lubią go przykrywać kwiatami. Tak się tam robi. A teraz chodź spać.

— Piękne.

— A pewnie.

— A mama? Gdzie zdjęcia mamy?

— Nie wiem — odparł Bojan niezgodnie z prawdą. — Gdzieś.

— Mogę je obejrzeć?

— No pewnie.

— Teraz?

— Nie, kiedy indziej obejrzysz. Teraz śpimy.

Nie mógł zasnąć. Sonja od dawna spała, a on wciąż czuwał. Wyjął zdjęcie ojca Marii w otoczeniu bliskich z zaciśniętej spoczonej dłoni córki i je odłożył, umyślnie patrząc w bok, bo było to najlepsze zdjęcie Marii, jakie miał, ale jak to wytłumaczyć Sonji, to albo cokolwiek, czego sam nie rozumiał? Mężczyzna może być tak dumny, jak chce, pomyślał Bojan Buloh, może stawać na głowie, żeby z klitki dla bam busów zrobić dom, może postarać się ze złego życia upleść dobre, ale przeszłość zawsze się o niego upomni jak bagno wyniszczające turzycę. Może

starać się ochronić córkę, ale przegrać, może być nawet obsypany kwiatami, gdy umrze, jednak wszystkie trupy są takie same, nawet ten, którego kiedyś widział z kwiatem w ustach w chwili uwolnienia.

Ale co to znaczyło? Co znaczyło cokolwiek z tego wszystkiego? Mógłby płakać, ale wierzył, że łązy są dla żywych tym samym, czym kwiaty dla zmarłych: dowodem na daremność uczuć.

ROZDZIAŁ 28

1960

Każdy talerz, każdy nóż, każdy widelec wyszorowała tak starannie, jakby przygotowywała narzędzia chirurgiczne do operacji. Ojciec, zauważyła, był bardzo pedantycznym człowiekiem. Bojan Buloh nie znosił „brudu”, jak sam mówił. Określał tym słowem wszystko, co jego zdaniem nie było sterylnie czyste. Czyli wszystko. Od zakurzonej framugi okiennej po kufel, w którym piwo się nie perliło, bo nie wypłukano go po detergencie. Wszystko było brudne, wszystko go irytowało i w jego domu nie było na to miejsca. Odprawianie rytuałów porządku i czystości należało do kobiet i na tym polegała rola Sonji już od dziewiątego roku życia — niekończąca się lista prac, których od niej wymagał, a wykonanie musiało spełniać jego wytyczne i standardy.

Wycierała akurat naczynia ścierką, gdy Bojan wrócił z ganku, gdzie kończył zbijać szafki na sprzedaż. Zauważył, że córka popłakuje cicho. Jej sztywne ramiona drgały szybko, jakby każdy ruch kosztował ją sporo bólu.

— Sonja? — rzucił, a gdy się odwróciła, w jej załzawionych oczach dostrzegł niepewność. Zdławiła szloch. Kiedy znów się odezwał, zrozumiała, że nie chodzi mu o żadne naruszenie zasad czystości. — Wszystko dobrze? — spytał spokojnie, podchodząc do stoika, na którym stała.

Położyła głowę na jogo piersi. Zauważył, że jej ciepłe dłonie są pokryte czerwoną wysypką. Czubkami palców dotknął jej obolałej skóry, spierzchniętej i złuszczonej jak czerstwe ciastko. Ostatni raz dotykał takiej skóry, kiedy był z Marią. Cierpiała na tę samą przypadłość. Powoli zgiął rękę Sonji w łokciu i wyprostował, delikatnie i tylko odrobinę, raz, drugi, a potem objął ją za ramię i spytał:

— Boli, jak ruszam?

Pokiwała głową.

— Od kiedy tak?

— Od czasu Picottich — odpowiedziała. Pozwoliła, aby ujął jej chude przedramię, zadziwiona tym, że trzyma je jak coś drogocennego, zachwycona jego troskliwym dotykiem. Wzruszyła ramionami. — Wszystko dobrze — skłamała, aby mu zaimponować. — Wcale tak bardzo nie boli.

— To egzema — stwierdził. Nie dodał jednak, że to kolejna cecha, po temperamencie i wyglądzie, którą odziedziczyła po matce.

Tego wieczoru Bojan napisał list w ojczystym języku, po raz pierwszy od dawna i dopiero przy trzeciej próbie wszystko wyszło jak trzeba. Nigdy nie był człowiekiem uczonym, a po tych latach na obczyźnie z trudem dobierał słowa, żeby przelać na papier wszystko, co sobie umyślił, a choćby powiedzieć to na głos. Pisał powoli, starannie, w staroświeckim i eleganckim stylu kreśląc łuki i zawijasy. Na pięknym dla oka charakterze pisma zależało mu tak samo jak na jasnym wyrażaniu myśli. W młodości w Słowenii był wziętym malarzem miejscowych uli, które ozdabiał alpejskimi widoczkami, czasem typowymi, czasem z odrobiną pikanterii w zależności od kaprysu zamawiającego. Na Tasmanii uli się nie zdołało, podobnie jak wielu innych rzeczy, musiał więc porzucić swoją prymitywną sztukę. Po tym wszystkim pozostała tylko dobra pamięć o nim wśród ludzi żyjących bardzo daleko (miał nadzieję, że pozostało też kilka uli), nie zamierzał więc zniszczyć swojej reputacji nieskładnym listem. Kiedy wreszcie był zadowolony ze swoich starań, potrząsnął dłonią, aby ulżyć obolałemu nadgarstkowi, wsunął kartkę do koperty i ją zaadresował, a na samym końcu dopisał słowo „Jugosławia”.

Kilka tygodni później Sonja zobaczyła, jak groźnie wyglądającym nożem zrobionym z brzeszczotu piły mechanicznej rozcina sznurek na brązowej paczce oblepionej znaczkami z Jugosławii. W środku był list i druga, mniejsza paczuszka z szarego papieru. Bojan ostrożnie ją rozwinął, ale ku rozczarowaniu Sonji nie było w niej nic egzotycznego, cennego czy choćby interesującego. Tylko kilka garści zakurzonych ususzonych kwiatków.

Tego wieczoru Bojan przygotował kąpiel w starej zardzewiałej wannie. Kiedy Sonja rozebrała się w kłębach pary, on rozsypywał kwiatki nad wanną i mieszał wodę rękami, aż zaczęła przypominać

płynną, wirującą pryzmę kompostu. Zachichotała.

— Co robisz, *ati*?

Wsunęła nogę do wanny, potem drugą, stała tak przez minutę, aby ciało przyzwyczało się do ciepła, wreszcie usiadła w wodzie. Bojan uśmiechnął się i posypał jej włosy kilkoma kwiatkami.

— Nie cudownie, tak popływać w kwiatkach? — spytał. Wziął jeden i przysunął do jej twarzy. — *Kamilica* — rzekł. — Napisałem do Słowenii, do twojej babci. Powiedziałem o twojej skórze, a ona zebrała i ususzyła dla ciebie kamilicę, wysłała ją przez ocean, bo chce pomóc swojej Sonji. — Mokrą oblepioną kwiatami ręką wskazał taflę wody. — Musisz się położyć.

Wyszedł z łazienki. Sonja zanurzyła się w rumianku. Z oczami i nosem nad powierzchnią ujęła jeden kwiatek i obróciła go w palcach, przyglądając się mu uważnie.

— *Kamilica* — wyszeptała cicho. — *Kamilica*.

*

W nocy miała dziwny piękny sen. Przyśniła jej się czarodziejska kraina łącząca to, co Sonja wiedziała o Tasmanii, z tym, jak wyobrażała sobie Słowenię.

Czuła woń, mocną, parną, cudowną, zapach łąki i mokrej ziemi u stóp wielkiej góry tuż po wschodzie słońca. Widziała stromą łąkę na niebieskim zboczu, znajdowała się w okolicy Mount Roland, gdzie kiedyś polowała z Bojanem na kangury. Na zboczu zgięta w pół zrywała kwiaty stara kobieta, ubrana jak słoweńskie wieśniaczki na fotografiach Bojana — chusta na głowie, ciało w długiej czarnej sukni i kwiecistym fartuchu zawiązanym na plecach. Twarz guzowata i plamista jak kartofel wyrosły w twardej glebie, a na niej tylko wyraz nieprzejednanej chęci przetrwania. Wyprostowała się, z kwiatami w załamku spódnicy, i zaczęła schodzić zboczem do miejsca, gdzie — jakby to było najbardziej naturalne miejsce na coś takiego — leżała otwarta trumna, a w niej nieżywy dziadek Sonji, z otwartymi oczami. Sonja usłyszała dokoła głosy mówiące, że po śmierci wygląda lepiej niż za życia.

Gdy stara kobieta doczłapała do trumny i zajrzała do niej, nie zobaczyła mężczyzny, lecz Sonję, która spojrzała w górę spomiędzy

drewnianych ścianek i ujrzała deszcz spadających na nią kwiatów, najpiękniejszych kwiatów na świecie. Czowała spokój, wolna od strachu, wpatrzona w sfruwające płatki. Przesunęła wzrok od ciężkich butów przez zgrzebne pończochy i kwiecisty fartuch aż na twarz, nadzwyczajną, ocienioną chustą, kanciastą, piękną i młodą, tak młodą, że nie była to już twarz starej kobiety, lecz jej matki Marii.

W deszczu płatków uśmiechała się do Sonji.

Gdy Sonja obudziła się ze snu, wstała tak, jak wstawała przez kilka ostatnich miesięcy: ostrożnie, powoli, w strachu przed bólem. Spojrzała na ręce. Czyste. Suche zaczerwienienia prawie zupełnie zniknęły, skóra nie przypominała już czerstwego ciastka.

Była niedziela, Bojan nie pracował. Zastała go w kuchni, akurat stawił na stole, na drewnianej desce do krojenia, starą żeliwną patelnię, na której smakowicie strzelał i skwierczał tłuszcz. Świeżo usmażone jajka, żółtka wciąż wilgotne, białka bulgoczące jak rozgrzana lawa, a wszystko upstrzone pomidorami i plastrami polskiej kiełbasy.

Zanim Bojan zdążył podnieść wzrok, Sonja wykrzyknęła:

— *Ati! Ati!* Wyzdrowiałam!

Odwrócił się, uniósł ją do góry i przyjrzał się dokładnie skórze na rękach. W jej włosach zauważył kwiatek rumianku, wyjął go, połaskotał ją nim w nos i musnął skórę od ramienia po łokieć.

— *Kamilica!* — zawołał ze śmiechem. A później, przybrawszy żartobliwie poważny ton, powtórzył: — *Kamilica!*

Roześmiali się oboje.

Bojan postawił Sonję na podłodze.

— Teraz śniadanie.

Zaczęli jeść jajecznicę po słoweńsku, wygarniając ją prosto z patelni pajdami chleba pełnoziarnistego, rozgniatając żółtka, nabierając ścięte białko, kiełbaski i pomidory na kawałki kromek, uśmiechnięci i rozradowani, bo jedzenie było dobre i się nim dzielili, wpychając do ust biel, żółcie i czerwień, czując na języku słodycz, ciepło, pikantność i tłuszcz.

ROZDZIAŁ 29

1960

Heaneyowie byli rodziną wszędobylską, z dziećmi rozlewającymi się po okolicy jak olej po jezdni — brudne i brązowe, tu, tam i siam, i trudno to ominąć, i trudno się tego pozbyć — z dziećmi, które wystają pod płótem sąsiada, zadając mu setki pytań, dlaczego robi to lub coś innego w ogrodzie, a potem zanudzając go szczegółami o tym, jak ich tata — który w opinii sąsiada przeważnie nie robi nic poza tym, że czasem, a więc najczęściej, zmyka na morze łowić ryby, bo już nie wytrzymuje z rodziną — jak ich tata robi takie rzeczy i jak należy to robić właśnie tatusiowym sposobem. Rodziną z dziećmi terroryzującymi ulicę na starych rozklekotanych rowerach wydających się zagrożeniem bez względu na prędkość, a cóż dopiero gdy są rozpędzone do prędkości bliskiej ponaddźwiękowej, z którą urwis naciera na nadjeżdżający samochód, żeby w ostatniej chwili odbić z radosnym chichotem w bok. Rodziną z dziećmi o rozpaplanych ustach, z których wylewało się więcej słów niż gilów z wiecznie zakatarzonych nosów, ale która zawsze pomagała sąsiadom, gdy zachodziła taka potrzeba, a czasem nawet wtedy, gdy nie było takiej potrzeby. Ilu było tych Heaneyów? Bóg raczy wiedzieć, odpowiedziałyby ulica z westchnieniem, albowiem pozostawało to kwestią sporną: ostrożne szacunki określały liczbę dzieci na sześcioro, ale częste wizyty krewnych, trwające od kilku godzin do kilku miesięcy, utrudniały jakiekolwiek rzetelne obliczenia.

Dla Sonji Heaneyowie byli istotami z innego świata — piegowatymi zakatarzonymi kosmitami. Zwykle siadała na początku podjazdu wiodącego do bambo klitki i patrzyła zafascynowana na czeredę dzieciaków, bawiących się w podnieszczonym niepomalowanym domu z betonu po drugiej stronie ulicy i w pobliżu, nie tyle z nadzieją, że mogłaby się przyłączyć do zabawy, ile z chęci obserwowania ich i ich wygłupów. Długo nie potrafiła wyjaśnić, co przyciągało ją do Heaneyów — aż do dnia, kiedy zobaczyła jednego z nich pędzącego ulicą na za

dużym rowerze, jadącego bez trzymanki, bo żonglował trzema mandarynkami, które, jak się okazało, nie należały do niego, lecz do greckiego sklepikarza pana Johna Kerra — urzędowa zmiana jego prawdziwego nazwiska, jak pokazała historia, była niefortunna — biegnącego teraz susami w pewnej odległości za chłopcem i wrzeszczącego z gniewu. Był to przecudowny widok: chude jak patyk dziecko na niedorzecznym dezelu, pochłonięte bez reszty marzeniami o zwinności i magii, ścigane przez obłą ludzką rakieta. Czyste szaleństwo. Nie radząc sobie z żonglerką, chłopiec upuścił najpierw jedną, potem drugą mandarynkę i straciwszy płynność ruchów i dwie trzecie swojego marzenia, wychylił się zanadto w lewo, żeby złapać ostatni owoc. Przednie koło skręciło nagle, rower bryknął i zahamował — w przeciwieństwie do małego kolarza, który wyleciał w powietrze i wylądował, według oceny Sonji, spory kawałek dalej na jezdni. Przy zderzeniu z ziemią chciał zawyć z bólu, ale nad sobą zobaczył poczerwieniałe oblicze wściekłego pana Kerra.

— Ojej — wystękał. — Z arbusami to bym nie dał rady.

Jakby kradzież mandarynek była czymś skromnym i przyzwoitym.

Sonja — w odróżnieniu od pana Kerra, który chwycił chłopca za ucho, żeby go zaciągnąć do matki — wybuchnęła śmiechem. Uświadomiła sobie, że dzięki Heaneyom jest szczęśliwa.

Matka dzieci, wysoka, szybko się starzejąca i wiecznie ciężarna kobieta, znana w sąsiedztwie jako pani Hea-ney, zdążyła już wybiec z domu, zobaczywszy całe zdarzenie z okna salonu. Jej wypad na ulicę przypominał desant piechoty morskiej w filmach wojennych, bo tym pokazem siły — w dużej mierze iluzorycznej — próbowała nadrobić swoją gorszą pozycję negocjacyjną. Wrzasnęła na pana Kerra, aby zostawił jej biedne dziecko w spokoju, następnie zwróciła się do całej ulicy z pytaniem o sens posiadania kredytu w sklepie, skoro pan Kerr nie może do niego doliczyć kilku parszywych owoców, i po co w ogóle robić sprawunki u kogoś, kto nie rozumie zasad kupowania na krechę, a całej tej tyradzie towarzyszyły takie złorzeczenia, że w końcu sklepikarz, na pożegnanie wykręciwszy chłopcu wrednie ucho, obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, rzucając pod nosem kilka straszliwych przekleństw w języku swoich przodków.

Wtedy piechota morska skierowała ostrzał na nieszczęsnego żonglera mandarynkami.

— Jak będziesz tak chuliganił, to ostatni raz wsiadłeś na to cholerstwo! Nie wolno ci nic podwędzać! Wiesz o tym: żadnego podwędzania, jasna cholera. Jak ojciec wróci z morza... — Podniosła wzrok i zobaczyła Sonję siedzącą po drugiej stronie ulicy. Zdławiwszy przekleństwo w ustach, zawołała jedną z córek i coś powiedziała, wskazując palcem w stronę Sonji.

Dziewczynka zbliżyła się powoli, choć w podskokach. Podeszła i obie znalazły się twarzą w twarz, ale patrzyły uparcie na boki, nie na siebie.

— Cześć — odezwała się po chwili córka Heaneyów, wykrzywiając usta i spoglądając na prawą stopę, którą grzebała w brązowej żwirowce.

— Cześć — odparła Sonja, podnosząc wzrok na druty wysokiego napięcia nad głową.

— Mama mówi, że powinniśmy się z tobą bawić — powiedziała dziewczynka, zerkając w górę — inaczej sobie pomyślisz, że zadzieramy nosa, bo jesteś jakby bambo.

Ten wstęp wypadł źle, choć przyświecały mu dobre intencje. Sonja milczała, nie wiedząc, jak zareagować.

— Moira — rzuciła dziewczynka po długiej chwili, na próżno czekając na odpowiedź. — Moira Heaney.

W odróżnieniu od reszty Heaneyów, którzy byli mali i cherlawi, a do tego wielkością, szybkością i temperamentem przypominali fretki hodowane w klatce za domem przez pana Heaneya do polowań na króliki, Moira, choć również śniada, była tęgawa i miała odrobinę niezdarne ruchy. Długie włosy, bez przerwy potargane, związała tego dnia obcesowo w kok, który rozsiadł się nad uśmiechniętą buzią jak wyczerpany wykrzyknik. Głos miała mocny, śmiech donośny, a jej zabawy były nieuchronnie zapowiedzią jakiejś przygody albo katastrofy, na ogół jednego i drugiego. Mówiła śpiewnie i powoli, ze wznoszącą się intonacją na końcu zdania, i to właśnie tę wymowę Sonja przyswoiła na resztę życia, bo nieświadomie pragnęła być taka jak ta dziewczynka, która nie postrzegała siebie jako nieporadnej grubaski, lecz jako osobę,

która może czerpać z życia pełnymi garściami.

*

Z biegiem czasu ta nieoczekiwana przyjaźń się zacieśniła, głównie na zasadzie przyciągających się przeciwieństw, jako że Sonja była cicha i powściągliwa, a Moira hałaśliwa i pełna energii. Sonja nauczyła Moirę kilku słoweńskich słów. Moira nauczyła Sonję bajerowania. Bajerować oznaczało puszczać wodze fantazji, a to Moira lubiła robie najbardziej, skrzykując pozostałych Heaneyów i inne dzieci z ulicy do najrozmaitszych dziwnych zabaw.

Moira dokonała też jedynej w swoim rodzaju prezentacji Sonji: sypialnia państwa Heaneyów przemieniła się w krainę nieopanowanego chaosu, a dwuosobowe łóżko służyło za rozbudowaną scenę teatralną. Pokój wypełnili Heaneyowie i gromadka innych dzieci. Moira stanęła na łóżku i obwieściła:

— A z dalekich stron... — urwała, robiąc dramatyczną pauzę, podczas gdy Sonja, wystrojona w szokującą kreację z ubrań, starych chust i czapek pani Heaney, nadającą jej wygląd z jednej strony imponujący, z drugiej nedorzeczny, powoli wdrapała się po krzesłach na łóżko. Moira opuściła głowę i teatralnie potoczyła wzrokiem dokoła, jakby dopuszczała wszystkim do swojego wielkiego sekretu, po czym dokończyła niskim szeptem: — ...przybywa Księżniczka Orientu.

Dostojnym krokiem Sonja przeszła na środek łóżka i rozłożyła ręce na boki, a Moira kontynuowała prezentację, patrząc na nią z czułością i dumą.

Wreszcie wrzasnęła:

— Księżniczka Orientu! Najlepsza i najurodziwsza!

Wszyscy zaczęli wiwatować na cześć Sonji.

W tej samej chwili tylna noga łóżka ustąpiła pod ciężarem całego plemienia Heaneyów podskakujących jak na trampolinie. Zanim łóżko zważyło się na podłogę, zanim Sonja zdołała wstać, z pomieszczenia czmychnęli wszyscy uczestnicy zabawy z wyjątkiem Moiry, która ciągnęła ją teraz za ramię, mówiąc, że trzeba uciekać, zanim mama się zorientuje.

Lecz pani Heaney, która natychmiast zjawiała się na miejscu

przestępstwa, okazała anielską cierpliwość.

— Łóżko było skitrane już dawno, i tak by się niedługo rozwaliło — stwierdziła, pomagając Sonji wstać. — Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

Sonja się uśmiechnęła. Poczwała, jakby była kimś prawie rzeczywistym. Poczwała, że jej twarz tak rozciąga się w uśmiechu, jakby miała już nigdy nie spoważnieć. Poczwała się kimś innym. Osobnym. Poczwała, że to możliwe, aby być kimś innym i jednocześnie sobą. Zaczęła chichotać, bo to było bardzo zabawne, bo życie potrafiło być takie śmieszne i przyjazne, i śmiała się, i chichrała, i chichotała, i rechotała, bo choć się starała, nie mogła zamilknąć.

ROZDZIAŁ 30

1989

W woń ciała, śmiertelną i bujną, wtargnął ostry jak nóż odór denaturatu sprzątaczek. Strzępy zapachów dosięgły nosa Helvi niczym wyjąkane wzmianki o zastarzałym pocie, skrzepłej krwi i śluzie, i tylko z najwyższym trudem udawało się je pogodzić z porodem, jakże często wzbudzającym nadzieję na życie lepsze, bardziej spełnione i sensowniejsze od tego, którego ma być kontynuacją.

Otarła nos chusteczką i odwróciła się, żeby spojrzeć na długi stunożny rząd tanich plastikowych krzeseł ustawionych pod ścianą poczekalni szpitala położniczego — miniaturowe ogniwa łańcucha wyolbrzymione wzdętymi brzuchami kobiet. Niektóre były bardzo młode — czternasto- i piętnastoletnie dziewczęta — inne wyglądały już na sterane, pokonane przez życie. Ich ubrania — spodnie od dresu, góra marki Esprit i tym podobne — kojarzyły się wprawdzie z zamożnością, były jednak współczesną szatą ubóstwa. Tu i ówdzie matka przyszłej matki, starsza niż jej niestara metryka, o twarzy bardziej zaciętej niż smutnej z powodu tak żałosnego kresu pokładanej w córce nadziei. Czasem ojciec-chłopiec, chudy jak jaszczur, tylko meszek pod nosem, flanelowa koszula i palce szukające zakazanych papierosów, udający beztroskę, na co nikt nie daje się nabrać, a już najmniej on sam. Przyklejone do ścian płakały mówiące o przemocy domowej, gwałtach, wykorzystywaniu dzieci i AIDS, rozmaite gorzkie prawdy osłodzone zapowiedzią tego cudu, jakim mają być narodziny.

Jeden z wielu brzuchów w tym stunożnym szeregu — choć jeszcze niezbyt wydatny — należał do Sonji, siedzącej obok Helvi. Nie miała na sobie luźniejszego ubrania, choć odczuwała już napór do zewnątrz, ociężałość, która przygniatała ją do ziemi mocą snu. Zerknęła na Helvi, wciąż czujną jak ptak na gałęzi, lekko przygarbioną, lecz przepelnioną silną determinacją tych, którzy zaznali tylko ciężkiej pracy. Sonja zaczęła się zastanawiać, czy to własną przyszłość ma przed oczami i czy

takiej właśnie przyszłości pragnie.

Jakieś dzieci bawiły się piłką. Nieoczekiwanie piłka zbladziła i uderzyła Helvi w klatkę piersiową, po czym spadła jej na kolana. Zastygła, surowa stara twarz otworzyła się jak wysuszona ziemia na deszcz, Helvi zachichotała, potem wybuchnęła śmiechem, zaczęła się droczyć z dziećmi, w końcu rzuciła piłeczkę dalej, tak rozradowana, że kilka matek skarciło ją spojrzeniami.

Pielęgniarka z kartką na podkładce zerknęła na swoje zapiski, następnie popatrzyła mniej więcej w kierunku Sonji, lustrując twarze.

— Pani Buloh — powiedziała.

Nie czekając na Helvi, Sonja weszła pośpiesznie przez wskazane drzwi. Zanim Helvi sięgnęła do podłogi po torebkę i podniosła głowę, Sonja już zniknęła w gabinecie badań lekarskich. Poczula się trochę zdezorientowana, ale uświadomiwszy sobie, że jej towarzystwo nie jest mile widziane, usiadła z powrotem, żeby zaczekać.

*

Przezroczyste rękawiczki zsunęły się i wpadły do krokodylej paszczy jasnożółtego pojemnika na śmiecie. Mięiste dłonie lekarza położnika wylądowały na fornirowanym biurku i chwyciły długopis.

W pozbawionej okien celi gabinetu jego głos brzmiał młodo: melodyjny, pełen osiągnięć, oczekiwań, ufności. Akcent był tak gładki i wypielegnowany jak jego twarz. Wypowiadane cicho słowa nie miały żadnych ostrych krawędzi, nie zdradzały niczego oprócz spokoju.

— Gratulacje — powiedział z pochyloną głową. — Jest pani w dziesiątym tygodniu ciąży.

Leżąca na wznak Sonja usiadła. Z fotela ginekologicznego spojrziała tępo na lekarza i zobaczyła niewysokiego wymuskanego mężczyznę o rzednącej już, choć wciąż gęstej czarnej czuprynie, niezbyt przystojnego, ale wychuchanego, jakby właśnie wyszedł spod suszarki do włosów. Dziwne mięiste palce zaczęły się nerwowo poruszać.

— Oczywiście być może zajdzie potrzeba wykonania badań krwi. Ma pani trzydzieści osiem lat i dwie aborcje za sobą, więc w tym przypadku ryzyko powikłań jest, powiedzmy, większe niż w przypadku młodej kobiety z czystym kontem. Ale w tej chwili wszystko wydaje się

w porządku. — Czuł się w obowiązku kontynuować aż do momentu, gdy doczeka się reakcji: — Rzecz jasna ryzyko samoistnego poronienia też jest zwiększone. — Wreszcie, zauważywszy oznaki zainteresowania na twarzy Sonji, dodał: — Czyli poronienia z przyczyn naturalnych.

To zdumiewające, pomyślał lekarz położnik, jak ludźmi wstrząsa informacja, że wciąż występuje takie zjawisko jak naturalne poronienie. Mógłby powiedzieć tej kobiecie, że w istocie to dość powszechne, że mimo cudów dokonywanych przez medycynę płody i dzieci wciąż umierają. Mógłby jej też powiedzieć, że wybrał położnictwo, bo nienawidzi substancjalności ciała, jego uporczywej skłonności do rozkładu, której medycyna, pomimo swej cudownej genialności, nie potrafi powstrzymać. Lecz nawet tutaj, w dziedzinie, która dotyczy wspomagania ciąży i narodzin nowego człowieka, życie ukazywało się w nierozzerwalnym połączeniu ze śmiercią. Powziął postanowienie, że nigdy tego nie zaakceptuje, że będzie z tym walczył z całych sił, a jednak tego ranka musiał asystować przy porodzie martwego półrocznego płodu, którego rodzice — ku jego przerażeniu — uparli się, aby go nazwać i sfotografować, jakby był kimś, podczas gdy dla niego był niczym, jedynie świadectwem okrutnej anarchii fizycznego świata. Teraz z kolei miał przed sobą kobietę, która w obliczu szansy na nowe życie wydawała się tak obojętna, że zakrawało to na cichą wrogość.

Im więcej gromadził doświadczeń w wybranej przez siebie dziedzinie medycyny, tym bardziej się przekonywał, że życie jest nie tylko bezrozumne, ale też niewytłumaczalne. Oczywiście w rozmowie z pacjentką nie powiedział na ten temat ani słowa, zamiast tego usiłował uciec myślą do zawodów triatlonowych, w których miał rywalizować w przyszłym tygodniu.

— Ale, podkreślam, w tej chwili wszystko jest w porządku, a jeśli zachowa pani ostrożność, nadal tak będzie.

Sonja rejestrowała słowa, ale nie ich sens.

— Wszystko będzie dobrze? — spytała.

Popatrzyła na lekarza, młodego mężczyznę w kitlu usiłującego za wszelką cenę przekazać obcej kobiecie poczucie niezachwianej ufności. Nie podobało jej się, że kiedy mówił, wysuwał wojowniczo dolną wargę do przodu.

— Tak.

Odwróciła wzrok, zamyślona.

Lekarz miał wrażenie, że się zawahała.

— Jeszcze coś, proszę pani?

Podniosła głowę, myślami będąc gdzie indziej, po czym wstała, gotowa do wyjścia.

— Nie — odparła — nic.

Gdy ją żegnał, nie pamiętał nawet jej nazwiska, ale wiedział, jak sobie radzić z takimi lukami, żeby uniknąć żenujących sytuacji. Maniery to połowa sukcesu, pomyślał. Pacjentki i pielęgniarki w poczekalni spojrzwały na otwierające się drzwi.

Uśmiechnął się.

Niech zobaczą, pomyślał, że jestem dobrym, troskliwym człowiekiem.

ROZDZIAŁ 31

1990

Właśnie z takim osobliwym wahaniem Sonja Buloh powoli, pośród licznych wątpliwości, zaakceptowała wreszcie, że nie wraca do Sydney i nie podda się aborcji. Pogodziła się z tym, ale nie drogą słów i czynów, ale poprzez bierność, po prostu zdała się na los. Potrzebowała natomiast dużo więcej czasu, aby zacząć myśleć o swoim życiu w kategoriach tego, co należało robić, nie zaś w kategoriach zaniechań.

Powiadomienie przez telefon o odejściu z pracy, której — jak sobie nagle uświadomiła — szczerze nie cierpiała i od której w zasadzie teraz uciekła, zaaranżowanie wyprowadzki, pakowania i przesłania skromnego dobytku z Sydney na Tasmanię — bo zachowanie niewielkiego mieszkania byłoby sporym wydatkiem z szybko topniejącego konta — to jedno. W oczach Sonji te sprawy tylko potwierdzały, że przeznaczenie skierowało ją na nową drogę. Były proste jak przeprosiny za przegapioną wizytę u fryzjera. Zawarty z życiem układ, na mocy którego to ono, nie ona, decydowało o przyszłości. Zupełnie inną sprawą było jednak rzeczywiste zainicjowanie nowego kierunku w życiu, znalezienie nowej pracy, nowego dachu nad głową, oznajmienie ludziom tego, czego przez kilka miesięcy nie była zdolna powiedzieć sobie: „W przyszłym roku urodzę dziecko”.

Helvi sprzeciwiała się tym niemądrym pomysłom. Jednak dopóki nie przekona Sonji do swojego punktu widzenia, uznała, musi z wszystkich sił pomagać temu biednemu dziecku — nie potrafiła myśleć o niej inaczej, mimo że Sonja była kobietą prawie w średnim wieku — i jej nienarodzonemu jeszcze maleństwu.

Chciała, aby Sonja została z nią i Jirim do czasu porodu.

— Musisz — mówiła. — Może to nie pałac Buckingham, ale przynajmniej jest tanio.

Bardziej niż tanio, bo Sonja nie płaciła w ogóle, choć wiele razy próbowała dać Helvi pieniądze, robiła zatem niespodziewane zakupy i

prezenty, aby się odwdzińczyć. Dni były coraz krótsze i coraz chłodniejsze. Z nadejściem zimy Helvi zaczęła się zastanawiać, gdzie Sonja mogłaby zamieszkać, kiedy wreszcie dziecko przyjdzie na świat.

Zaparkowawszy obok wypatroszonego przez psy worka ze śmieciami, siedziały teraz w starej niebieskiej corolli Helvi i patrzyły na drugą stronę wąskiej ulicy, a dokładniej na podupadły obskurny domek z drewna, wciśnięty między równie zniszczone domki. Na jednym końcu Barracouta Row znajdował się zamknięty sklep ze sprzętem wideo, na drugim czynna pizzeria, teraz pusta. W trakcie rozmowy Helvi chłonęła wzrokiem smutny widok od frontu: obdrapana skrzynka na listy wypełniona po brzegi przesyłkami reklamowymi, ściany pokryte pomarszczoną od purchli i zszarzałą farbą, pordzewiały dach ganku, zbutwiałe framugi okienne, bardziej próchno niż drewno.

— Wpadłam ostatnio na żonę Albańczyka Ahmeta — powiedziała Helvi — i ona mówi, że ma taki kąś, co ci może przypaść do gustu.

Weszły do środka, używając klucza, który żona Ahmeta pożyczyła Helvi. Wnętrze nie było zniszczone, ale tchnęło autentyczną tandetą — brud, pęknięte ściany, odłaząca tapeta, wybite szyby w oknach, piec z niedomykającymi się drzwiczkami, tani nylonowy dywan, na którym nie było widać plam tylko dlatego, że przybrał niejednorodną ziemistą barwę, szafki, w których Sonja dostrzegła szczurze odchody. Próbowwała spuścić wodę w zażółconym sedesie. Rozległ się odgłos przypominający grzechot gwoździ w zardzewiałej puszcze. I nic więcej.

Z powodów, których Sonja nie potrafiła do końca rozszyfrować, Helvi bardzo zależało na tym, aby wynajęła ten dom.

— Mogłabyś tu zamieszkać, hę?

— Mogłabym — odparła bez cienia pewności czy entuzjazmu.

— Tanio. — Helvi dokładała starań, aby opłakany stan domu nie wpłynął na zmianę ich planów. — Wiem, że nie za dobrze to wygląda, ale możemy posprzątać. Jiri zreperuje wszystko, co zepsute, a Ahmet zgodzi się na jedną czwartą tego, co musiałabyś zapłacić wszędzie indziej.

— Spróbowałby inaczej, cholera.

— Znaczy, że się decydujesz?

— Nigdy o niczym nie decyduję, Helvi.

- Zdecydowałaś się wyjechać. I wrócić.
- Może. Ale dlaczego, tego nie wiem.
- Bo tego chciałaś. Bo wybierasz to, czego chcesz.
- A ty?

— Jasne, że ja też — odparła Helvi. Wskazała gzyms kominka pokryty wieloma warstwami popękanej jaskrawej emalii, białej, niebieskiej, na końcu pociągnięty czerwoną farbą, która się łuszczyła. Rozpadające się barwy Wspólnoty Brytyjskiej. — Charakter, co?

Sonja się uśmiechnęła. Helvi wyciągnęła z piekarnika kratkę oblepioną brudnym zjełczalym tłuszczem.

— O Boże, spójrz na to. Cholerny Ahmet.

— Bez wyglansowanego piekarnika nie wynajmę, choćby to był pałac! — powiedziała Sonja i obie parsknęły śmiechem.

Z triumfalnym hukiem Helvi wcisnęła z powrotem brudną kratkę do środka, po czym argumentowała dalej, nie napotykając poważniejszych obiekcji ze strony Sonji.

— Nie masz racji — stwierdziła. — Sama możesz wybrać to miejsce.

Sonja zaśmiała się lekko; był to raczej kurtuazyjny wydech niż cokolwiek innego.

— Pewnie bym mogła. — Wysunęła z powrotem kratkę i popatrzyła nieobecny wzrokiem na zjełczały tłuszcz. — Pewnie tak. Było jej wszystko jedno. Helvi chciała, żeby wzięła ten dom, a ona miała przecież wobec niej ogromny dług wdzięczności, za to tak mało pieniędzy, że absurdalnie niskiego czynszu — niskiego nawet za taką rudere — nie można było skwitować wzruszeniem ramion.

— Ważne, żeby woda w sedesie się spłukiwała i drzwi się zamykały, poza tym na niczym mi nie zależy — odezwała się w końcu.

— Ahmet powiedział, że przytrzyma dom do lata, jak będziesz gotowa się wprowadzić. Może coś tu porobi.

Tego dnia, kiedy stały obie w klaustrofobicznym nędznym wnętrzu obskurnej atrapy domu, nie czuła mdłości ani nawet zmęczenia. Zdawała sobie sprawę, że najgorsze jest to, że wszystko jej jedno, a tak być nie powinno, a im bardziej Helvi nalegała, tym bardziej Sonja nic nie czuła, świadoma, że nie da się tego wyjaśnić. Zdawała też sobie sprawę, że

Helvi ma słusność. Musiała znaleźć sobie dom i się zorganizować, zanim dz... — zanim to wszystko się wydarzy — ale przedtem pozostawało coś jeszcze do zrobienia. A ponieważ na razie nie wiedziała, co to jest, mogła tylko czekać, aż to coś ją odnajdzie, otworzy, obudzi.

Wiedziała, że wtedy przestanie jej być wszystko jedno.

— Biorę.

ROZDZIAŁ 32

1990

Gdy wyjeżdżały z domu Ahmeta, na szczyt wielkiej niebieskiej góry, która spiczastym zadem dźgała drżące miasto Hobart, padał deszcz ze śniegiem, a potem przestał i chmury się rozstały i wyszło słońce, osobliwie ogniste, jakby rozzłoszczone, że wcześniej spotkało się z odmową, później jeszcze wiatr ustał i góra zastygła.

Pogoda nadciągała do Hobart najczęściej od rozległych dzikich ziem południowo-zachodniej części wyspy i położonego dalej bezkresnego oceanu, wolnego od okowów lądu przez całą połowę globu w kierunku zachodnim, dopóki nie obleje falami plaż Ameryki Południowej, i przez ćwiartkę globu w kierunku południowym, dopóki nie ukształtuje przybrzeżnych lodowych ławic Antarktydy: dzika, wściekła, zgubiwszy swoje racje gdzieś po drodze w bolesnej pustce rybnych mórz, jej rytm rytmem ryczących czterdziestek i bałwanów, ogromnych ścian wody piętrzących się po to tylko, aby nagle runąć i przeistoczyć się w spienioną płaszczyznę, palące słońce następstwem deszczu ze śniegiem będącego następstwem gwałtownych siekających morze burz gradowych będących następstwem śniegu będącego następstwem słońca, a wszystkie te warunki pogodowe świata były doświadczane nie w cyklu nastających po sobie pór roku, lecz w ciągu jednego poranka lub popołudnia, wszelki czas, wszelki świat i wszelka pora życia zamknięte w nieskończoności godziny

W krótkotrwałym cieple późnopołudniowego słońca, które rozblęskło, rośliny parowały, ziemia dyszała, a nad głazami zrytymi porostami i nad porażonymi wrzosowiskami uniosła się mgła w postaci czarodziejskich wąsów, uchwycona zaś w każdym tchnieniu tego wilgotno-słodkiego zmierzchu — przeogromna boleść.

Sonja wchodziła czasem z Bojanem na szczyt tej góry, gdy wracali z porannego grzybobrania nad rzeką Huon. Razem wędrowali wtedy po ciężkich od rosy łąkach w długich ocienionych dolinach, bystroocy

łowcy grzybów, które zaledwie kilka godzin wcześniej wyłoniły się z wilgotnej, ciemnej, żyznej gleby. Jeśli miały kapelusz blaszkowy, przed zerwaniem Bojan pukał w jego krawędź kilka razy, żeby zarodniki wróciły do ziemi i następnym razem wyrosło więcej grzybów. Później, jeśli góra była przyprószona śniegiem, wracali starą Huon Road i bawili się przez moment w śniegu na szczycie, a gdy zmarzli, kierowali się do domu. We dwoje, dwa zarodniki miotane dzikim wiatrem, wędrujące po zastygłej mokrej ziemi.

Tego popołudnia Sonja była niespokojna, a jej nastroje i aura tak samo nieprzewidywalne jak nastroje i aura niebieskiej góry. Myślała intensywnie o swojej matce, o tym, jak kiedyś ułożyła list do niej. Oczywiście nie było żadnego adresu, który można by napisać na kopercie, nie mogło być więc także odpowiedzi, naturalnie zdawała sobie z tego sprawę — nie nadejdzie żaden list zaczynający się słowami: „Moja ukochana Sonju...”, a mimo to wyobrażała sobie, że w skrzynce znajduje odpowiedź od matki, w której Maria Buloh powie córce, co powinna robić w życiu, może poda jedną, dwie recepty, może dołączy choćby jedno drobne zdanie, żeby przekazać Sonji wszystko, co powinna wiedzieć, zdanie mówiące „kocham Cię”, ale oczywiście od samego początku były to głupie, idiotyczne fantazje, i choć zdawała sobie sprawę, że nie będzie odpowiedzi, znów miała rozdarte serce, bo uświadomiła sobie, że nie może nawet udawać, że nie jest samotna.

Nie uważała siebie za osobę silną ani dobrą czy choćby życzliwą. Zastanawiała się, czy gdyby знаła matkę i gdyby matka była przy niej, kiedy dorastała — czy wtedy byłaby innym człowiekiem: lepszym, życzliwszym, silniejszym, a nie zawsze karany? Bo czuła się karana, w dodatku uważała tę karę za całkowicie zasłużoną, ponieważ gdyby tak nie było, czym byłaby uzasadniona? Bo jeśli nie było uzasadnienia dla tego smutku, to możliwe również, że nie ma uzasadnienia dla całego cierpienia na świecie, że być może los ludzi polega na rodzeniu bólu, gdy rodzą siebie nawzajem. Sonja gasiła wtedy telewizor i przemykała pośpiesznie obok stojaka z gazetami, żeby nie musieć znosić tego, co było nie do zniesienia, pędziła do domu, wbrew logice, wbrew rzeczywistości mając nadzieję, nadzieję rozpaczliwą, że zostanie tam list od matki dowodzący, że nieprawdą jest, jakoby dzieci rodziły się po to, aby

cierpieć, a Maria, jako jej matka, o tym wie. Ale każdego wieczoru, gdy wracała do mieszkania, czekały na nią tylko katalogi domów towarowych zachwalające wartości rodziny oraz niepoważne materiały reklamowe podpisane poważnym nazwiskiem, aby wyłudzić pieniądze albo głos w wyborach, nie było zaś listu od matki mówiącego o miłości.

Sonja odwróciła się i zobaczyła Helvi nadchodzącą z bukietem zerwanych dzikich kwiatów. Wbiła w nią spojrzenie.

— Co się stało z mamą? — spytała. Pośród gęstwiny małych drzew kanuka, przygarbionych, wykrzywionych, powyginanych, jakby cierpiały na artretyzm, zmuszonych do ukłonów przez kolejne nieubłagane pory okrutnych zimnych wiatrów, podobnie przygarbiona postać Sonji wyprostowała się nagle, jej sylwetka w kontraście z roślinnością dokoła. — Co się z nią stało?

Powykręcane palce jednej dłoni zadrżały przy małych łodygach trzymanyh w drugiej, tu i ówdzie ułamując niesforny listek, porządkując wiązanekę, żeby całość wyglądała ładniej. Helvi najpierw pomyślała o wszystkim, co mogła powiedzieć Sonji o jej matce, a potem o wszystkim, z powodu czego było to niemożliwe. Wręczyła jej bukiet, jakby to on był odpowiedzią, a Sonja przyjęła go z uśmiechem, choć przecież niczego nie wyjaśniał.

— Co się stało, Helvi? — spytała znowu.

Tak naprawdę nie chciała wiedzieć, tak samo jak Helvi nie chciała niczego wyjawic. Było to po prostu coś, co pojawiło się między nimi, a gdyby dało się tę kwestię podnieść jak kamyk i rzucić na pobliskie pole głazów, Sonja zrobiłaby to bez wahania. Pragnęła nowego życia i złościło ją, że odczuwa potrzebę rozrachunku z częścią swej przeszłości, istniejącą przecież tylko jako nieobecność. Nigdy nie miała matki — to powinno być aż tak proste, ale nie było. Myślała o tym wszystkim, a także o tym, jak pięknie wygląda góra, i o tym, że tamto też powinno być proste i piękne jak ten szczyt, ale nie było i nie będzie. Pomyślała, że w tej chwili z całego serca nienawidzi matki, bo nie pozwala jej zaznać spokoju nawet na tej górze. Pomyślała też, że w tej chwili z całego serca nienawidzi tej góry.

Helvi często chciała opowiedzieć historię Marii Buloh. Ale tak jak Sonja miała tę historię usłyszeć, tak to nie Helvi wiała ją opowiedzieć.

Nie była kronikarzem, który może niemądrze udawać, że zdoła zgromadzić wszystkie szczegóły, Po czym zacznie od początku i skończy na końcu, lecz starą kobietą, krawcową tak mało pojętą i niekonsekwentną jak jej oczy, oddychającą płytkimi haustami i rozumiejącą tylko niewymowne sedno bolesnych spraw.

Wciąż patrzyła więc na drugą stronę kanału, unikając spojrzenia Sonji.

— Powiedz, proszę.

— Maria była nieszczęśliwa — odezwała się Helvi znużonym tonem, jakby komentowała widok przed oczami.

— To wiem — odparła Sonja. — Ale dlaczego? Co się stało?

Helvi spróbowała zakończyć tę rozmowę słowami, które okazały się równie niezadowolające, jak zagadkowe:

— Widziała złe rzeczy w czasie wojny — powiedziała cicho. — Bardzo złe.

— Kiepska z niej była matka — stwierdziła lodowato Sonja.

— Matka z niej była dobra — odrzekła Helvi jeszcze ciszej, wciąż patrząc przed siebie. — Maria była dobrą kobietą, dobrą matką. A jak cię kochała. Nazywała cię swoim małym knedelkiem. To chyba coś jak pierożek. Ale ty to przecież wiesz. I wszyscy lubili twoją mamę. Była wesoła, potrafiła tańczyć, potrafiła osadzić mężczyznę jednym zdaniem.

Sonja nigdy dotąd nie słyszała, żeby matka nazywała ją jakoś pieszczotliwie. Powinna o tym wiedzieć, bo to była część jej życia, tak samo jak ręka jest częścią ciała, a jednak inna osoba przywłaszczyła sobie tę wiedzę na całe lata i do głowy jej nie przyszło, aby ją przekazać, aż do tej pory, w dodatku zrobiła to teraz tak niefrasobliwie i zdawkowo, właściwie rzucając ją Sonji w twarz. Powinna o tym wiedzieć, powinna wiedzieć znacznie więcej o swojej matce. Bo najgorsze było to, że nic nie czuła, a miała nadzieję, że gdyby się czegoś dowiedziała, wtedy to oświecenie by przyszło.

— Byli razem szczęśliwi? Mama i *ati*.

— Kochali się.

Nalegania Sonji przybrały rozpaczliwy ton:

— To nie to samo, Helvi. Musieli być szczęśliwi, choćby przez

jeden dzień. Musieli, choćby przez godzinę, prawda?

— Miłość to most. A bywają ciężary, co most pod nimi pęka.

Sonja odwróciła się i ruszyła przez szerokie pole, w drogę powrotną do odległego miejsca, w którym zaparkowały samochód. Helvi rozejrzała się, przełknęła ślinę i poszła za nią.

Hen w dole słońce rozpostarło się nad kanałem D'Entrecasteaux. Ogromna tafla połączanej wody, teraz nieruchomej, wyczekującej. Jiri patrzył z parkingu na posępnym szczycie, jak daleko, bardzo daleko dwa drobne zadrapania na bezkresnym polu gładów powoli i nieporadnie suną z powrotem. Za nimi morelowe niebo, bezmierne, otwarte, otulające je czule jak matczyna dłoń.

Jiri pragnął coś zrobić, aby pomóc Sonji, choć w jeszcze mniejszym stopniu niż Helvi znał słowa i wiedział, co należy zrobić. Ale się postara, obiecał temu niebu, obiecał, że się postara.

ROZDZIAŁ 33

1990

Być może o pewnej osobliwości tej historii przesądza charakter. Ale kto z nas kiedykolwiek potrafi wskazać tę jedną jedyną rzecz, która w naszym mniemaniu stanowi najbardziej fundamentalną zasadę, najprawdziwszy wyraz duszy? Ci, którzy znajdują się w dostatecznie dobrym położeniu i mogą zgłębiać niewyczerpany potencjał charakteru, wymyślając sobie na nowo jak gwiazdor rocka z lat siedemdziesiątych albo polityk z dziewięćdziesiątych, mogliby oczywiście zaprzeczyć, że charakter to coś, co nas czyni i odczynia, przeznaczenie, i stwierdzić, że to my decydujemy, czy przeżywamy swoje życie jako tragedię czy poezję, że możemy być tym, kim chcemy.

W głowie Bojana Buloha nie roily się takie mrzonki.

Trzymał się tylko tego, co mógł ująć w dłonie, a gdy nie pracował, najczęściej trzymał napoczętą butelkę albo kopącego się skręta.

Latami żył jakkolwiek i gdziekolwiek, w towarzystwie obojętnych mężczyzn, podobnie okaleczonych. Może z własnej woli wybrali takie życie, a może nie. Może początkowo zamierzali uciec, żeby uszyć coś więcej z lichej materii swojego trudu, dokonać postępu, rozwinąć się, zaznać jeśli nie szczęścia, to chociaż odrobiny spokoju. Kilku potem wyjechało, ale tylko garstka. Na koniec liczyło się jedynie to, że nie było widać wyjścia z tej sytuacji, niczego poza śmiercią i alkoholem. Z czasem cała reszta się rozmyła i niektórzy nawet ucieszyli się z tego powodu, inni nie, w każdym razie większość uznała ostatecznie, że najlepiej nie rozwodzić się nad jarzmem przeznaczenia, które tak okrutnie ich przygniata. Z czasem stracili prawie wszystko: rodzinę, pieniądze, nadzieję. Zachowali natomiast pewne powinowactwo ludzi przegranych, tyle, ile było warto, na ogół mało, raz na jakiś czas więcej. Rozumieli, że idą na zatracenie, jak drzewa, które powalili pod szlaki geologów, jak skały, które wybuchami kruszyli na żwir, jak rzeki, które starali się utopić, i wszystko to składało się na przekonanie, że los tych

rzek, skał i drzew, tak samo jak ich los, został dawno przesądzony, że zasługiwały na zgubę. Okrucieństwa, mniejsze i większe, były ignorowane jako pozbawione znaczenia, bo rzeczywiście nic nie znaczyły. Mężczyźni żyli w nicości i robili wszystko, aby nic nie budziło ich z potwornego snu na jawie. Jak duszę próbowali zakonserwować w pustce, tak ciało dawno temu wydali na pastwę alkoholu i mozołu całozyciowej fizycznej harówki. Ich ciała puchły i marszczyły się jak martwe rzeczy trzymane w formalinie, kręgosłupy przetrącone, słuch utracony razem z palcem, czasem z całą kończyną, mózgi obumarłe, gnijące wątroby, a mimo wszystko to wyniszczone ciało potrafiło się podnieść każdego ranka, aby dla cudownego potwierdzenia przewagi żywych nad umarłymi podjąć wysiłek wiążący je z tą osobliwą pokutą. Bo choć życie być może miało dla nich gorzki smak, to woleli, żeby im o tym nie przypominać, woleli zatracić się w jednostajnych rytmach i zakodowanym języku pracy oraz odrzucali to idiotyczne dziecinne twierdzenie, które mogliby wygłosić jedynie zuchwalcy lub głupcy: że ich sytuacja wynika z ich charakteru. Bojan Buloh trzymał się tylko tego, co mógł ująć w ręce, a tamtego wieczoru w jednej dłoni trzymał list, w drugiej fotografię.

Siedział na brzegu łóżka w swojej kwaterze. Położył na poduszce poźółkłe czarno-białe zdjęcie pary z dzieckiem. Spoglądał nieufnie na list, jakby to była bomba.

— Tak tam stoi napisane? — spytał drugi raz.

— No tak — potwierdził Włoch siedzący naprzeciwko na drewnianym krześle, jedynym w domu Bojana.

Bojan z powrotem podsunął Włochowi list.

Nie lubił słów, nie cierpiał nieznośnego grzęzawiska angielszczyzny, przez które od dawna przedzierał się speszony na prymitywnej tratwie skleconej z kilku rachitycznych karłowatych wyrażeń. Nie wierzył w takie słowa jak Naród. Jak Historia. Klasa Robotnicza. Kierownictwo. Efektywność. Dobro Narodu. Pełzający Socjalizm. A nawet w takie słowa jak Technika, Ekonomia. Natura. Styl Życia czy Przyszłość.

— Co one znaczą? — pytał Włocha, który za obopólnym porozumieniem był niby mądrzejszy z nich dwóch. — Co to faken

znaczy?

Nakłonił go nawet, aby zapisał te wszystkie bałamutne słowa, a potem zdefiniował je po kolei. Jednak po każdej definicji zaproponowanej przez Włocha Bojan udawał, że te słowa kompletnie nic nie znaczą, że są po prostu niezrozumieniem, niewidzeniem, niesłyszeniem, jak gdyby umyślną, świadomą odmową ujrzenia istoty smutnego, szalonego, złego świata. Bojan czasem pragnął wierzyć w te słowa, które widocznie tak wiele znaczyły dla innych, pragnął samej wiary, ale wiedział i rozumiał tylko tyle, że chleb to chleb, czasem smaczny, najczęściej nie, że papryka i pomidory pasują do siebie, zwłaszcza w misce z polentą, a czosnek i kiszona kapusta nie idą w parze, że objaśnienia Włocha przyprawiają o ból głowy, na co pomogłaby mocna kawa zaparzona po turecku, z sokiem z połowy cytryny, że laminat się zdziera, a drewno pęka. Nie pokładał żadnej wiary nawet w samego siebie, a jedynie w fachowość swoich rąk, które umiały mierzyć, ciąć i łączyć deski. Jego słowa były skąpe i surowe, do innych podchodził z uzasadnioną ostrożnością.

— Chcesz, żebym doczytał do końca? — spytał Włoch, zmęczony czekaniem na reakcję Bojana.

— Pewnie.

Bojan Buloh podniósł z podłogi niedopitą butelkę o długiej szyjce, pociągnął z niej, złożył dłonie luźno na kolanach i spuścił wzrok. Włoch odszukał miejsce, w którym przerwał czytanie, gdy Bojan wyszarpnął mu list z ręki, wreszcie od-kaszlnął, spojrzął na Bojana, potem znów na list i jeszcze raz spytał:

— Na pewno?

— Na pewno? Pewno, że faken na pewno.

ROZDZIAŁ 34

1990

Wymawiając słowa z wyraźnym akcentem, powoli i patetycznie, jakby deklamował na scenie, Włoch zaczął znowu czytać na głos:

— „...więc postanowiłam zostać na Tasmanii, żeby urodzić dziecko”. — Na końcu dorzucił mimochodem jako narrator: — Też tam kiedyś byłem. — Bojan skinął opuszczoną głową. — „Termin wypada w połowie roku, właściwie pierwszego czerwca, a przynajmniej tak przewidują lekarze”.

Bojan podniósł wzrok, żeby lepiej widzieć Włocha czytającego list. Sądząc, że Bojan otrząsnął się już z szoku, jego włoski kumpel autentycznie się ożywił.

— Ej, to zostaniesz dziadkiem. Cholerny Bojan dziadkiem. Jasny gwint. Gratulacje.

— To nie ma ze mną nic wspólnego. Jej sprawa. Czytaj faken dalej.

Włoch wstał, z listem w jednej ręce, butelką piwa w drugiej. Podobnie jak Bojan miał już swoje lata i widział niejedno, lecz był delikatniejszy, bardziej otwarty i bardziej skłonny do manipulacji. Był również speszony i nieco zaintrygowany reakcją Bojana. Potarł się butelką w głowę. Potem znów zaczął czytać dziwny list, od razu patetycznie i teatralnie, niedorzecznie, a jednak dość przejmująco jak na niego.

— „Może jak się urodzi, przyjedziemy do Ciebie, a Ty możesz czasem przyjeżdżać w odwiedziny do nas. W tej chwili mam pracę w pubie, zatrzymałam się u Helvi i Jirego, którzy traktują mnie wspaniale. Znaleźliśmy dla mnie mieszkanie, nic wyjątkowego, ale tanie. Wprowadzam się w przyszłym miesiącu. Helvi i Jiri przesyłają serdeczne pozdrowienia, ja tak samo. Mam nadzieję, że dobrze się macz. Twoja córka Sonja’.

Włoch się odprężył, usiadł z powrotem, pociągnął łyk z butelki i

rzekł swobodnym tonem:

— U dołu strony są buziaki. — Pociągnął znowu duży haust piwa, beknął i dodał: — Napiszę ci ładną odpowiedź. Będzie cię kosztowała tylko tuzin browarków.

Bojan Buloh chciał wierzyć, że on i Sonja mogą znaleźć w życiu coś wspólnego, chciał wierzyć, że możliwa jest choćby sama wiara w to, że znajdują, ale oczywiście wiedział, że możliwa nie jest.

Przypomniawszy sobie czasy dzieciństwa, przypomniał sobie wojnę i to, jak jego matka — obdarzona trzecim okiem — przewidziała, że rzeki spłyną krwią, bo spłynęły: w lepsze dni nurt tylko mienił się lekko, w dni złe pienił się na różowo. Przypomniawszy sobie, jak ludzie wierzyli wtedy w niejedno, w narodową rewolucję, która przepędzi najeźdźcę, w Domo-bran, który wprawdzie nie przegoni obcych z kraju, ale będzie z nimi współpracował na rozsądnych warunkach; wierzyli w siebie nawzajem, ale to wszystko zostało przekreślone.

Bojan Buloh często zwracał się do swojej od dawna zmarłej matki, bo w Tullah nie miał za bardzo z kim porozmawiać, zwłaszcza nie miał z kim porozmawiać o frykasach, które jadł jako dziecko. Zasięgał jej porad w sprawie przepisów kulinarnych, a głównie smaków. Unosił mokrą łyżkę znad garnka albo miski z sałatą polaną sosem i pytał: „Tak ma być, mam? Dobrze jest?”, po czym wskazywał usta i śmiał się, dodając skromnie, ale z dumą: „Jasna cholera, mam, według mnie to cholernie dobre”.

Chciał wierzyć, że podobne chwile mógłby przeżywać z Sonją, ale widział, jak świat rozpada się w rozbryzgach krwi, a ludzie wciąż zajmowali się codziennymi sprawami, wciąż byli opętani zawiścią i chciwością, postrzegali innych jako sprawców własnej niedoli. Jako dziecko widział tylko krew. Krew tryskająca z dziesięciu wieśniaków rozstrzelanych z karabinów maszynowych na oczach spędzonych uczniów w odwecie za zabicie żołnierza przez partyzantów i żadnemu dziecku nie wolno było zamknąć oczu. Krew krzepnąca w twardą skorupę na zwłokach partyzanta zastrzelonego przed stodołą w obejściu ciotki Bojana, na zwłokach, które zakazali ruszać przez trzy dni. Krew płynąca także z ich ran, w dniu, kiedy Bojan był świadkiem partyzanckiej zasadzki, kiedy czterdziestu żołnierzy osuwało się w

kałuże szkarłatu. W tamtym czasie ludzie padali jak muchy i tylko muchy się pleniły. Wydawało się, że dorośli nie widzą krwi, kiedy gęstniała w ciemne cienie na ulicznym żwirze, ale on widział ją wszędzie.

— Mama — mówił — dziś wieczorem robię farsz na kranjską klobasę, tak jak ty ją zawsze robiłaś. Podsmażę kiszoną kapustę na cebulce, czosnku i papryce, a potem włożę wszystko do brytfanki i zatopię w tym mięso, a skropię to jak rześnistym deszczem kawałkami boczku, a potem będę piekł powoli, bo powoli to najlepiej, a potem, mamó, zjem to i posmakuję czasów przedwojennych, połknę wiarę i nadzieję i będę się rozkoszował i mój talerz w mig się opróżni i nic nie zostanie.

Widział, jak świat rozpada się na kawałki, i nauczył się, że każda próba poskładania go na nowo jest skazana na fiasko. Przetrwał, obozując w jego gruzach, jedząc surową rzepę skradzioną nocą z zamarzniętych pól. Pamiętał, jak ludzie mówili o bitwach stoczonych w miejscach, o których wcześniej nie słyszał, jak mówili, że wojna niedługo się skończy. niektórzy pewni zwycięstwa, inni — przegranej.

— Nie — odparł Bojan Buloh. — Nie będzie żadnej odpowiedzi.

Włoch uśmiechnął się i rozłożył szeroko ręce, jakby przyznawał się do porażki.

— No to sześć browarków.

— Nie — powtórzył Bojan.

Po wojnie, mówili, życie wróci do normalności. Nie wiedział, czym jest normalność. Wiedział, że normalność ma smak. że chyba pachnie inaczej niż kordyt i strach, ale dla niego koniec wojny oznaczał koniec jego świata. Czy to było dobre, czy złe. nie miał pojęcia. Wiedział natomiast, jacy są ludzie. Ludzie są źli i tacy pozostaną bez względu na to, czy wojna dobiegnie końca za miesiąc, rok czy za pięć lat. Wiedział, jaki jest świat.

Świat pozbawiony był wszystkiego, co miałoby znaczenie.

„Ale czy to tak, mama? Tak dobrze?” — pytał, wskazując swoją głowę, a potem ze śmiechem wracając do gotowania, bo smak musiał być właściwy, choćby wszystko inne było nie tak. Smak musiał być właściwy.

— Co? — spytał Włoch.

— Głuchy jesteś? — odrzekł Bojan. — Faken głuchy czy jak?

Żadnej odpowiedzi.

— To twoja córka. Będzie miała dziecko.

— No pewnie. I jak chce czego ode mnie, to wie, gdzie mnie znaleźć.

— Powinieneś coś napisać.

— No to napisz, że nie mogę jej pomóc.

— Jak można coś takiego do córki?

— No to nie pisz nic. Ja nigdy nie nie piszę do faken nikogo.

ROZDZIAŁ 35

1961

Tak oto Bojan młotkiem i heblem nadawał pustce, którą widział wszędzie dokoła, kształt stołów i komód, sprzedawanych potem za kilka groszy, żeby mieć na dodatkowy kieliszek. Wyczarowywał coś ze świata, który był nicością, ot, drobne kłamstwo, że niektóre fragmenty można udanie złożyć z powrotem na dłużej w jakąś całość, oszustwo, którym on i Sonja żyli wspólnie przynajmniej do czasu ukończenia konkretnego stołu czy komody.

Długą jesień dzieciństwa Sonji Bojan Buloh ciął piłą na smutne smukłe deski pozbawione nieregularności czy fantazyjnych kształtów, a piłując, bijąc młotkiem, heblując i klejąc, znał umiar, który nadawał mu grację. Wiedział, jak długo wiórkować kawałek drewna i kiedy przestać; wiedział, jak nabrać farby pędzlem i trzymać równo rękę, póki włosie nie pozbędzie się do końca mokrego ładunku na długim odcinku blatu; wiedział, że nie należy przesadzać z lakierem, że nie powinno się konstruować ciężkich rzeczy: „Musi wyglądać lekko — mawiał — inaczej jest niedobre”. A w tańcu młotka i słodkim rytmie piły Sonja widziała innego człowieka, człowieka zacnego, którego kochała jako swojego ojca. I być może dlatego lubiła pracować z Bojanem w prowizorycznym warsztacie, który urządzał zawsze i wszędzie, gdzie przyszło im żyć, czasem tymczasowo na ganku, czasem bardziej na stałe w wynajętej szopie. Bo warsztat był jedynym miejscem, gdzie potrafili znaleźć odrobinę harmonii.

Sonja zdawała sobie sprawę, że stół, którym teraz cyzelują, jest inny niż wszystkie, które robili wieczorami i w weekendy — niż te, które Bojan sprzedawał kolegom z placu budowy za dnia albo kolegom od kieliszka w nocy. Jego stoły były zawsze starannie i solidnie wykonane, ale jak dotąd nikt nie widział tej pieczołowitości, którą wkładał w obecne dzieło. Wykończył ozdobnie krawędzie blatu i zamierzał zwięzić nogi, żeby nadać całości elegantszy wygląd.

Sonja przerwała gładzenie papierem ściernym drzewiczek szafki kuchennej, podeszła do ojca i stanęła obok. Zerknął na nią, uśmiechnął się i podsunął jej hebel. Wzięła go i zabrała się fachowo do strugania nogi. Bojan zbliżył się do drzewiczek i zaczął je gładzić papierem, co oprócz lakierowania było na ogół zadaniem córki. Spojrzała na niego i zobaczyła, że pogrążył się w rozmyślaniach, zauważyła, że się uśmiecha.

Zrobiłem dobry kwadratowy stół, pomyślał Bojan, szlifując drzewiczki szafki. Zrobiłem stół z akacji, akacji tasmańskiej, pięknej akacji tasmańskiej, dwa kawałki na blat kazałem wyciąć Finom w tartaku, usłojenie pasuje, a moje łączenie jest tak proste i naturalne, że prawie go nie widać. Piękna akacja tasmańska, nie ta gówniana sosna, co się wygina i jest barachłem i zaraz wygląda jak barachło, tylko dwa kawałki pięknej akacji tasmańskiej, na tyle wielkie, że pomieszczą się wszyscy: Jean, stary Archie, Sonja i ja.

Sonja patrzyła na długi zakręcony wiór akacji wysuwający się powoli z hebla, tworzący efektowny znak zapytania, który cofał się, gdy ostrze sunęło po nodze. Zerknęła na ojca i zaczęła się zastanawiać, o czym myśli. Strużyna sfrunęła na podłogę.

Kawał pięknej akacji tasmańskiej, pomyślał Bojan Buloh, pięknej akacji tasmańskiej, wystarczająco duży dla całej uczującej rodziny.

ROZDZIAŁ 36

1961

W okresie kiedy robili ten stół, a może nawet trochę wcześniej, Bojan zaczął zostawiać Sonję u Heaneyów w każdą niedzielę. Nie wyjaśnił, dokąd jeździ, ale nie jeździł do baru, bo gdy wracał, nie cuchnął skwaśniałym zbożem, lecz, o dziwo, kwiatem jabłoni. Sonja uznała, że jeździ grać w karty albo w odwiedziny, albo coś w tym rodzaju: tak naprawdę nie obchodziło jej to, bo wołała przebywać u Heaneyów — była Sonją Heaney, częścią rodziny, choćby przez jeden dzień w tygodniu. I to właśnie w którąś taką niedzielę, gdy zbił się półmisek, Sonja zobaczyła, że życie Moiry kryje coś jeszcze, i życie pozostałych Heaneyów też.

Na zewnątrz padało, a w środku panował chaos rozpętany przez dzieci, które nie mogły bawić się na dworze. Sonja patrzyła z wielkim zaciekawieniem, jak pani Heaney wyjmuje pokrojony chleb z pergaminowej torebki — jedzenie, które Bojan uważał za profanowanie rodzinnego stołu. Dom był teraz naczyniem, z którego wylewały się przeciągłe krzyki, piski i kłótnie o wielkim napięciu, chłopcy z pistoletami goniący innych chłopców, krzyczący „tra-ta-ta”, dziewczynki wrzeszczące na chłopców, bo stratowali ich namiot — koc rozpięty między krzesłami — w którym lalki i misie urządziły sobie piknik. Sonja przyjmowała tę wrzawę ze spokojem, bo dla niej była ożywieniem, ekscytacją, której pragnęła. Pani Heaney z kolei starała się wszystko ignorować. Skupiła się na opiekaniu chleba na ruszcie, po czym przywołała Sonję, żeby smarowała kromki masłem i kładła po dwie na talerze, sama zaś zaczęła serwować chochlą gotowaną fasolę.

— Pierwszy raz to widzisz, co. skarbie? — Pani Heaney oblizwała szybko łychę i włożyła ją do garnka. — Zdrowe jedzenie w narodzie. Dzięki lenni jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. — Urwała, a potem dodała beznamiętnie: — Nic dziwnego, że ludzie chcieliby zmienić jadłospis. — Chwilę później wrzasnęła z udawanym gniewem, na który siłą się

poirytowani, umęczeni rodzice: — Billy! Mówiłam ci już raz, mówiłam ci tysiąc razy, że jak masz fasolę, to nie smarujesz grzanki pastą z drożdży! — Podeszła szybko do ławy i skonfiskowała synowi nóż i otwarty słoik, z którego nabierał pastę, wyciągnąwszy namokłą kromkę spod fasoli. A potem słowa komentarza skierowane do Sonji: — Mówię ci, dziewczyno, dzieci to skaranie boskie. — Następnie potężny ryk: — No dobra, cyrkowe zwierzęta, podwieczorek gotowy!

Dzieci nie zwróciły na nią uwagi.

Pani Heaney znów krzyknęła:

— No już, na miłość boską, jazda mi tu! Wcinać podwieczorek, cholera. — Mali Heaneyowie nadal robili piekło. Próbowwała więc posłużyć się nieobecnym autorytetem. Wrzasnęła: — Ojciec zaraz wróci do domu!

To akurat odniosło jeszcze mniejszy skutek niż dotychczasowe nawoływania, ponieważ dzieci, podobnie jak ona, wiedziały, że gdyby nawet pan Heaney był obecny — a obecny nie był i to miało się nie zmienić jeszcze dość długo, bo trwał w najlepsze sezon na przegrzebki — nic by nie zrobił, zignorowałby to wszystko, napił się i zapalił, słuchając w spokoju radia.

Chaos się wzmagał, a krzyki matki tylko potęgowały kakofonię wypełniającą cały dom. Pani Heaney skłęła się za to, że zastosowała tak czczą, niemądrą groźbę, dowodzącą niezbitcie, że nie ma w tym stadzie żadnego posłuchu. Sonja zauważyła, że z kobiety jakby uszło powietrze, jakby zapadła się w sobie, i na moment dostrzegła coś, co tak naprawdę nie leżało w naturze pani Heaney, coś innego niż pełna pobłażliwej mocy matczyna obecność, przed którą Sonja czuła wielki respekt, coś innego niż ogromne niewzruszone centrum świata, wokół którego uwielbiała orbitować. Przez krótką nadzwyczajną chwilę Sonja ujrzała obnażoną słabość: zropaczoną kobietę, od której zależał los zbyt wielu osób — dźwigająca brzemień kolejnej ciąży, przedwcześnie postarzała, we własnych oczach tak nieatrakcyjna i zużyta jak brudna zeszmaccona ścierka przerzucona przez ramię.

Pani Heaney krzyknęła po raz trzeci, ale jej głos stracił siłę i był tylko rozpaczliwym błaganiem:

— Możecie przestać, proszę? Chodźcie na podwieczorek.

Ale dzieci uparcie nie zwracały na nią uwagi, wciąż skakały, wbiegały pod stół w kuchni. Jeden z chłopców zaczął się wspinać na kredens.

— Sean, złaż mi natychmiast — powiedziała pani Heaney, ale zanim dokończyła, rozległ się trzask tłuczonego szkła i Sonja zobaczyła na podłodze rozbity półmisek w kwiaty, prezent ślubny, jeden z niewielu cennych przedmiotów w dobytku pani Heaney. Dzieci ucichły, bieganina ustała, jakby ktoś wcisnął pstryczek. Sean, sprawca straszliwego czynu, ze zwieszoną głową zsunął się powoli z kredensu.

Pani Heaney wbiła wzrok w podłogę.

Przez chwilę, która wydała się Sonji nieznośnie długa, jej oczy ani drgnęły.

Zaraz potem, nieodwołalnie i z kretesem, w kobiecie coś pękło.

Płynnym ruchem obróciła się do ławki i wyrwała sznur elektryczny z gniazdka. Wywijając sznurem jak biczem, z poczerwieniałą twarzą, ryknęła:

— Do kąta wszystkie! Już!

Dzieci spojrzały po sobie lękliwie, unikając wzroku maiki.

— Moira mi mówiła... — zaczął zmyślać Sean, ale matka nie była w nastroju do słuchania.

— Buzia na kłódkę. Do kąta, powiedziałam. — Pani Heaney przestała krzyczeć, mówiła teraz spokojnym, beznamiętnym głosem, lodowatym jak wewnątrz zamrażarki. — Już.

Wszystkie dzieci z wyjątkiem Sonji, która stała po drugiej stronie jako widz, stłoczyły się w kącie w niespokojną, przerażoną gromadkę.

— Mam was powyżej dziurek w nosie — stwierdziła pani Heaney.

Oddychała szybko i ciężko. Z całego serca pragnęła, aby dzieci zrozumiały, jak trudno jest jej robić to wszystko, co robi, najpierw wydać je na ten świat, potem utrzymać za nędzne grosze, obywać się bez podstawowych rzeczy, pracować tak ciężko, że nagle, o wiele za wcześnie, stała się starą grubą wiedźmą, a one ciągle się biją i jęczą i czegoś żądają, męża nigdy nie ma, a kiedy jest, to chce ją mieć dla siebie przez cały czas, a ona jest taka zmęczona, taka zmęczona, a potem on już nawet nie chce jej znać — czy one wiedzą?, wiedzą?, jakie to wszystko

jest cholernie trudne, czy wiedzą cokolwiek, nie?, to teraz się dowiedzą, ona im powie, jaką katorgą jest jej życie.

— Dam ja wam wszystkim tak popalić, że do śmierci nie zapomnicie.

Ruszyła na przerażone dzieci.

Moira nie była najstarsza, ale to właśnie ona wysunęła się do przodu. Oczy matki i córki spotkały się. Dziewczynka się zatrzęsała, a jej melodyjny głos zadrżał ze strachu:

— Mamo...

Pani Heaney nacierała dalej.

— Mamo... mamo... — Moira przełknęła ślinę.

Pani Heaney była zdeterminowana.

— Proszę, mamo — powiedziała dziewczynka, rozkładając ręce w beznadziejnej próbie zasłonięcia sobą rodzeństwa skulonego za jej plecami. — Nie rób nam nic.

Pani Heaney stanęła. Przygryzła dolną wargę i nagle z zaskoczeniem stwierdziła, że jej ciało opanował gwałtowny dygot, który nadał jej straszliwą lekkość, jakby mogła teraz wzlecieć w niebo, jakby nie była już zakorzeniona w ziemi, jakby coś, co dotąd trzymała głęboko ukryte, uwolniło na moment jej ciało od codziennego jarzma. Zobaczyła okno poznaczone smugami deszczu, zobaczyła krople spływające po szybie jak łzy.

Sonja patrzyła, jak Moira z wahaniem, powoli, nieznośnie powoli, podchodzi do matki, przez cały czas zerkając na nią, jak zerka się na wściekłego psa, a gdy pani Heaney rozplakała się cicho, dziewczynka nie zatrzymała się, lecz dalej dzielnie pokonywała tę wielką odległość w małej kuchni, wyciągnąwszy rękę, a pani Heaney po prostu stała, jakby przygwożdżona, jakby świat dokoła odlatywał, jakby wirował coraz szybciej w szalonym tempie, rozbujany, a ona przez cały czas łkała. Moira wreszcie podeszła do matki i otworzyła jej zaciśniętą dłoń. Pani Heaney nie stawiała oporu. Dłoń miała twardą i suchą, pokrytą skaleczeniami i brudem, palce duże, mocne i błyszczące, paznokcie obgryzione i niedomyte. Moira wyjęła sznur elektryczny z tej nadzwyczajnej dłoni, poczuła, jak jej miękkie cienkie palce wysuwają się z tego czcigodnego kamieniołomu, ukształtowanego przez skradzione

życie. Odwróciła się, żeby odejść, ale pani Heaney chwyciła ją delikatnie za głowę i przytuliła do piersi.

Potem, po krótkiej chwili, wyciągnęła lewą rękę w bok. Pozostałe dzieci podeszły ostrożnie, powoli, ale jednak podeszły. Pani Heaney zerknęła na Sonję i nieznacznym kiwnięciem głowy zaprosiła ją do gromadki. Sonja dołączyła do pozostałych dzieci w objęciach wielkich, sflaczałych, serdecznych ramion. Pani Heaney zamknęła wszystkie w uścisku, a one się poddały, bo była ich mamą, ich piękną, piękną mamą, więc przygarnęła je do siebie, bezpieczne i stłoczone razem, tamtego dnia w kuchni.

Ale, pomyślała, na jak długo?

Przed chwilą o mało ich nie skrzywdziła, ona, która zrobiłaby wszystko, aby uchronić je od krzywd, byłaby gotowa dla nich umrzeć, więc gnębiło ją okropnie, że upadła tak nisko, że wobec nich i wobec siebie okazała się tak złym człowiekiem, poza tym jak może obronić dzieci przed innymi, skoro nie potrafi ich obronić przed sobą?

— Przepraszam — zachrypiąca ledwo słyszalnym głosem. — Tak bardzo przepraszam.

Dzieci milczały. Słyszały tylko matczyne szloch. Pani Heaney wciąż trzymała je w objęciach, z całego serca współczując im i sobie, a potem poczuła na piersi napór obecności tajemniczej i ogromnej jak cały wszechświat, na moment straciła poczucie czasu i siebie i ogarnęła ją nieskończona jak wszechświat żałość i miłość do wszystkiego, do tego, co w nim żywe i martwe, to właśnie zaistniało na krótką chwilę w jej wnętrzu i wnętrzu jej dzieci.

Potem deszcz ustał i Sonja wyszła z Heaneyami na dwór, żeby się pobawić. Nikt nie mówił o tym, co się wydarzyło. Miało za duży ciężar, więc nikt o tym nie mówił.

ROZDZIAŁ 37

1961

Dwa kraciaste talerze z grzankami posmarowanymi masłem stały na stole pokrytym różowym laminatem udającym marmur, na poczesnym miejscu w osobliwie pustym, nieurządzonym pomieszczeniu służącym za kuchniosalon w domu Bojana i Sonji. Dwa talerze z grzankami posmarowanymi masłem i gotowaną fasolą nakładaną teraz na pieczywo, a nad nimi, trzymając przechylony rondel. Sonja w fartuszku podająca australijski posiłek, który z dumą sama przygotowała. Oto wreszcie coś, na czym ona się zna. a on nie. Bojan siedział i ze zgrozą patrzył na dziwne jedzenie pojawiające się na talerzu, a w jego oczach odraza walczyła z najwyższym osłupieniem.

Spojrzał na stół, potem na Sonję, a dostrzegłszy w jej ruchach dumę, skupił się znów na posiłku. Nabrał na widelec polaną oliwą cykorię z miski sałaty stojącej na środku stołu i wsunął całą tę niewiarygodną kombinację do ust. Zaczął przeżuwać, z determinacją, ale nawet najwytrwalsza praca szczęk nie mogła zmienić absolutnej cudaczności tego, co miał w ustach. Nietypowo uniósł wzrok ku niebu i poprosił w duchu Matkę Boską, żeby dodała mu sił, po czym przełknął.

— Sonju — odezwał się, kiedy jego przełyk uporał się wreszcie z sałatką i fasolą — ci... Heaneyowie na pewno jedzą takie rzeczy?

— Tak — odparła z powagą, niemal z przejęciem. — Ale bez pasty z drożdży.

Spojrzał na córkę, potem na jedzenie, potem na córkę, potem znowu na jedzenie i zrobił minę, jakby zrozumiał.

— No tak, jasne, że bez.

Nabrał na widelec kolejną porcję sałatki i fasoli i jadł dalej, przez cały czas przeklinając w duchu to piekielne komiczne zacofanie Australijczyków i wszystkie rzeczy, które opacznie brali za pożywienie.

*

Później tego wieczoru Bojan zrobił coś dziwnego, zaskakującego, co zarazem było urocze. Podszedł do szafy, wspiął się na palcach i zdjął przedpotopową maszynę do szycia Singera. Postawił ją na stole pokrytym różowym marmurkowym laminatem. Potem rozwinął kawałki bibułki poznaczone przerywanymi liniami, nieczytelnymi dla Sonji tak samo jak alfabet Morse'a, i poprzypinał te papiery na córce, tu i tam przycinając nożyczkami, mrucząc, czasem klnąc cicho pod nosem. W końcu odpiął bibułki i z paczki owiniętej szarym papierem wyjął zwój błyszczącej różowej bawełny, do której następnie przypiął wykroje. Pochłonięty bez reszty pracą, zaczął wycinać, nie zauważając, że dawno minęła pora, o której zapędzał Sonję do łóżka, nie zauważając jej obecności, a jego widok, tak zaabsorbowanego swoim zadaniem, podziałał na nią zniewalająco. Oświetlone małą żółtą lampką w starej maszynie, jego dłonie z wprawą przesuwały kawałki różowej tkaniny pod podrygującą igłą. Te dłonie, tak nawykłe do tworzenia. Słuchała dudnienia rozpędzonego czarnego singera, przyśpieszającego i spowalniającego rytmicznego stukotu, jakby to była podróż, do której wszyscy się przyłączyli.

Potem, po upływie dość długiego czasu, stukot ucichł, a dziobiąca igła znieruchomiała. Bojan pstryknął stopkę, wstał, postawił bosą Sonję na środku stołu, zdjął z niej ubranie i przez głowę i uniesione ręce wsunął na nią zgrabnie uszytą wyjściową sukienkę.

Sonja okręciła się na pięcie.

Sukienka była dobrze dopasowana. Bojan się roześmiał. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie, przesunęła dłońmi po materiale, żeby poczuć sukienkę, wygładzić ją, pogłaskać. Działo się coś dziwnego — nie wiedziała, co to jest, ale czuła wdzięczność, choć niewiele z tego wszystkiego rozumiała. Nigdy dotąd nie miała eleganckiej sukienki. Owszem, Bojan wcześniej szył dla niej ubrania: sukienki do szkoły i tym podobne. Nigdy jednak nic tak kokieteryjnego jak wyjściowa sukienka. Działo się coś bardzo dziwnego. Najpierw piękny stół. Potem niepotrzebna sukienka. I on, tak dobry dla niej jak teraz, z otwartymi ramionami, i ona zeskakująca ze stołu w jego objęcia. Trzymał ją lekko przy piersi i zatańczyli razem dokoła maszyny do szycia do starej piosenki country granej w radiu. Potem postawił

córkę z powrotem na stole, żeby jeszcze raz mogli podziwiać jego dzieło.

Sonja poczuła się szczęśliwa. Poczła jakąś łaskę. Lekkość i zrozumienie, że w życiu jest ta fundamentalna dobroć, do której rytmu można zatańczyć, i że można być częścią tego tańca.

Zawirowała na stole, i jeszcze, i jeszcze...

Aż zakręciło się jej w głowie tak bardzo, że poczuła się jak kawałek koronki na wietrze, jakby wirowała w objęciach matki.

ROZDZIAŁ 38

1961

Ubrana w najśmielszą różową sukienkę z bawełny i biały rozpinany sweterek, Sonja siedziała w FJ, z długimi nogami podciągniętymi do piersi, z kolanami pokrytymi strupami drapiącymi podbródek. Bojan odwrócił się bokiem na miejscu kierowcy, z jedną nogą wywieszoną przez otwarte drzwi, drugą, w oczekiwaniu, podciągniętą lekko do góry, opartą na progu. Wstali wcześniej i w pośpiechu — nietypowe zachowanie jak na ojca, bo zazwyczaj robił wszystko miarowo i starannie — przywiązali stół z czarnej akacji do dachu samochodu. Pognali potem jak wariaci dziką krętą żwirówką nad Huon, FJ chybczący się na zakrętach, Sonja bliska wymiotów, i wreszcie zatrzymali się nagle na zboczu górskim. Tu i ówdzie unosiła się poranna mgła, niżej kurz okrywał sady. Znajdowali się dostatecznie wysoko, żeby uchwyciło ich słońce, ale pomimo intensywnego światła chłód wiosennej nocy ociągał się z odejściem, więc odczuwali zarazem ciepło i zimno.

— To tutaj — powiedział Bojan i choć nie pokazał palcem, Sonja domyśliła się, że patrzy na starą chatę w dole, z porośniętym krzakami pagórkiem na pierwszym planie, z sadem jabłoniowym w tle.

W oczach Sonji widziana ze wzgórza chata, z zadartym gankiem przypominającym starą czapkę, nasuniętym głęboko na deski pomalowane na zielono, falujące teraz w niskim świetle, wyglądała nieco inaczej niż setki innych domów, rozsianych w dolinie. Znajdowali się na tyle blisko, że dziewczynka dostrzegała szczegóły. Sad, jabłonie wciąż szkieletowate. Olśniewający ogród z krzewami róż u progu kwitnienia, kilka wysokich sosen, przed domem żwirowy podjazd w kształcie podkowy. Długie cienie i pofałdowane smugi porannego światła kładły się na boczne okno drżącymi pasami, poruszając się z taką gracją, że Sonja zaczęła się zastanawiać, czy chata nie ztraca stałej formy, czy nie przemienia się w opary i mgłę. Wokół okna, z odrapaną i

porysowaną framugą złaknioną nowej warstwy farby, podobnie zresztą jak złuszczone drewniane ściany, pięła się duża bujna róża o rozkwitających jasnofioletowych pąkach. W starym oknie Sonja dostrzegła nawet białą koronkową firankę powiewającą lekko na porannym wietrze.

Koronka i zniszczone drewno. Jedno i drugie w ruchu. Tam coś jest, uznała Sonja, coś dobrego. Lecz bliskość koronki w zestawieniu z drewnem wzbudziła w niej także niepokój — zbyt niebezpiecznie ocierały się o jej tożsamość, aby mogła poczuć się swojsko.

Przez dwie godziny siedzieli w FJ, patrząc na dom w sielskim otoczeniu, wreszcie Bojan wyrzucił przez okno niedopałek po dziesiątym papierosie wypalonym tego ranka, charknął i splunął potężnie, przyjrzał się sobie w lusterku wstecznym, zacisnął węzeł krawata, poluźnił węzeł krawata, zacisnął węzeł krawata, poślinił opuszki palców i przeciągnął nimi po bokach nowej fryzury, nabrał powietrza w płuca, włączył zapłon i ruszył ze wzgórza.

— Pamiętasz Hiskettów z zeszłego roku? — spytał, gdy podjechali bliżej w kłębach mgły.

Sonja kiwnęła głową.

— Pamiętasz tę Jean, którą poznaliśmy? — dodał, gdy skręcili z szosy i wtoczyli się na podjazd przed chatą.

Sonja znowu przytaknęła skinieniem głowy. Pamiętała. Jean Direen. Cicha, ale, o dziwo, nie ze strachu. Ptasia twarz w kocich okularach, dodatkowo uwydatniona przez przyprószone siwizną włosy zaczesane do tyłu i upięte w koński ogon. I te jej niezwykle oczy: zielone i łagodne. Sonja zazwyczaj nie patrzyła dorosłym w oczy, chyba że musiała, na przykład w szkole, kiedy nauczyciele się tego domagali. Teraz przekonała się, że może patrzeć Jean Direen w oczy bez poczucia zagrożenia. Kobieta wydawała się jej stara, być może nawet była starsza od ojca, ale miała nadspodziewanie młode ciało. Silne, gibkie, kontrastujące z jej twarzą i pospolitymi ubraniami, które nosiła. Była delikatna, zapamiętała Sonja. Delikatna i naturalna.

I nagle zrozumiała, dokąd ojciec jeździł w niedzielę, kiedy zostawiał ją u Heaneyów. Już wtedy, u Hiskettów, uczucia Jean do Bojana były dla Sonji aż nadto widoczne i być może dlatego tak dobrze

zapamiętała tę kobietę tylko po jednym przypadkowym spotkaniu. Bo zainteresowanie ojcem ujawniło się u Jean niczym rumieniec, a Sonja odczuła to jako ciepły żar. I w pierwszej chwili spodobała jej się myśl, że Bojan może nawiązać romantyczne relacje z kobietą, bo wydawało się to ciekawe, nawet ekscytujące i nieskończenie lepsze niż noce spędzane na obsłudze mężczyzn grających w karty albo wysiadanie w samochodzie na parkingu przed pubem w oczekiwaniu, aż ojciec doprawi się w środku.

*

Potem nastąpiła noc, potem ranek, minęło kilka tygodni, Później upłynęło wiele miesięcy, ciągnących się w nieskończoność, a jednak wydały się chwilą krótką jak ta, której ojciec potrzebował, żeby zacisnąć węzeł krawata, poluzować węzeł krawata i zacisnąć go ponownie. Życie nabrało rytmu, który przyniósł Sonji pokrzepienie, a nawet ją zachwycił. W tygodniu praca i szkoła w Hobart, ojciec teraz był innym człowiekiem, szczęśliwym, życzliwym dla niej. A w każdy weekend powrót nad Huon, do Jean. Bojan pomagał w sadzie, naprawiał sprzęt i płoty krzątał się przy drzewach, opryskując i przycinając gałęzie, zrywając i pakując owoce. Sonja też pomagała przy zrywaniu i pakowaniu jabłek, czasem uwijając się u boku Jean, czasem u boku Bojana. W pakowni było ciepło i jasno, grzechotały jabłka toczące się w stronę grupki pakowaczy, pół tuzina mężczyzn, kobiet i dzieci, Sonja zaś zawijała swoje owoce w miękkie fioletowe bibułki tak starannie i szybko, jak tylko potrafiła, a gdy się jej znudziło, biegła do sadu na zielonym stoku i pomagała przy zrywaniu, potem wracała do szopy i nigdy nie wchodziła nikomu w drogę, nigdy nikt się na nią nie złościł ani nie powiedział jej przykrego słowa, bo tamtego lata trudem tego małego sadu rządziła harmonia, a bycie częścią tego wszystkiego Sonja odczuwała jako dobrodziejstwo, jakby ta praca była jakąś niewypowiedzianą wspólną modlitwą, a ona nieodłącznym wersem tej modlitwy.

Każdego niedzielnego poranka wstawała tuż przed świtem, wyczuwając przez sen chwilę, kiedy pierwszy brzask wypełniał dom niskim światłem. Szła w nocnej koszuli do kuchni, przystawała między

zasłonką a oknem i patrzyła, jak wschodzące słońce maluje uciążliwe szare chmury morelową, różową i srebrzystą barwą, a niebo wydawało się jej wielkim pstrągiem tęczowym uchwyconym w skoku nad chatą Jean. Widziała sad, a dalej wzgórze porośnięte buszem, wymykające się jej oczom. Nawet z miejsca, w którym stała, widok, choć nie był rozległy, przywodził na myśl przestrzeń i otwartość.

Następnie otwierała przyprószone popiołem drzwiczki i podkładała papier i świeże gałązki pod palenisko starej kuchni. Podpalała papier i po chwili buzował już przyjemny ogień, tańczyły syczące głośno skoczne żółte płomienie. Aby kuchnia nie utonęła w dymie, Sonja zamykała oblepione kreozotem żeliwne drzwiczki. Przy akompaniamencie trzeszczących i pękających gałązek napełniała duży czarny czajnik wodą z mosiężnego kranu, stawiała na tacy kwiecisty imbryk, tak wielki i ciężki, że z trudem go unosiła, dwie filiżanki, cukier i mleko, następnie zdejmowała z półki puszkę i wsypywała liście herbaty do imbryka. Czekając, aż zagotuje się woda, często myślała o tym, jak zmieniło się ich życie od tego ranka, kiedy przyjechali tutaj ze stołem z czarnej akacji, na którym teraz stała taca.

Zgromadzili się wtedy w kuchni, żeby go podziwiać. Jean, Bojan, Sonja i stary Archie, który mieszkał w tym domu i od śmierci rodziców Jean pomagał jej bratu Mervowi w doglądaniu sadu, bo ona pracowała w kancelarii miejscowej szkoły. Przesuwali stół w różne strony, aby zobaczyć, w którym miejscu pasuje najlepiej. Jean podobało się to, że stół był pozbawiony wymyślnych ozdób, ale miał proporcjonalne kształty, niewymuszoną elegancję, wyraziła też opinię, że jest starannie wykonany. Przez całą tamtą wiosnę, całe lato i całą jesień Bojan i Sonja wracali w każdy weekend, aby jeść przy tym stole, aby zasiadać do posiłków składających się z dziwnych, egzotycznych potraw — niektórych Bojan nigdy nie wpuszczał do swojej kuchni — takich jak sos z dyni, pietruszki i mięty. Jedli pieczenie i duszone potrawy z jagnięciny, która — Bojan zawsze dotąd tak twierdził — nadaje się tylko dla Serbów, ale teraz zamiast ganić Jean, pochwalił ją, że jedzenie jest świetnie przyrządzone. Gotowali zupy, dodając śmietany i mleka, co zdumiewało i Bojana, i Sonję, za to chleb Jean, jak stwierdził Bojan, a mówił szczerze, był w istocie lepszy od chleba jego matki; jedli

przynajmniej kilkanaście różnych rodzajów jabłecznika i pili słodką białą herbatę z wielkich, przepastnych kubków, w których można by zrobić pranie.

Jean roztaczała dokoła zapach kwiatów jabłoni, a Sonja żartowała z ojcem na ten temat za jej plecami, bo woń ta była równie nieuchronna, jak — poza jedną porą roku — niewczesna.

Lecz kiedy pewnego dnia w głębi szopy Sonja odkryła drewnianą skrzynkę wyłożoną słomą, a w niej kurę z pisklętami, żywymi kulkami puchu, ćwierkającymi, popiskującymi, toczącymi się bezładnie dokoła, wtedy akurat obecności Jean nie zapowiedział zapach kwiatów jabłoni. Sądząc, że jest sama, Sonja zaczęła śpiewać do kurcząt:

*Spanček zaspanček,
čuden možic
hodi ponoči,
nimo nožic.*

Przepełniona miłością, śpiewała cicho kołysankę, którą знаła od tak dawna, że zatarło się w jej pamięci, kiedy się jej nauczyła.

*Tiho se duń,
okna odpro,
v zibelko leže,
zatisne oko.
Lunica ziblje
aja, aj, aj,
spanček se smeje
aja, aj, aj.*

I dopiero gdy zamierzała klasnąć w dłonie, poczuła zapach kwiatu jabłoni. Zaskoczona, podniosła głowę i zobaczyła Jean stojącą w głębi szopy, uśmiechniętą. Drgnęła.

— To było piękne — powiedziała Jean. — Co znaczą te słowa po australijsku?

Speszona Sonja zrewanżowała się uśmiechem. Przesunęła się przy ścianie, szybko jak pajak szukający schronienia, cały czas zwrócona twarzą do Jean, po czym wybiegła z szopy i pognała przez sad nad rzekę.

Co znaczyły te słowa? Właściwie nic, były nonsensowne jak *Humpty Dumpty*. A zarazem znaczyły wszystko. Wiedziała, że znaczą

wszystko. Wiedziała, że wyrażają miłość, ale dlaczego?

Biegła ile sił w nogach, z galopującym, walącym dziko sercem — i teraz nagle wróciła do rzeczywistości i uświadomiła sobie, że woda zagotowała się w czajniku, bulgocząc wściekle, plując syczącym wrzątkiem na rozżarzone fajerki.

Chwyciła czajnik dłonią owiniętą ścierką, zdjęła go z kuchni, parząc się lekko z powodu pośpiechu. Nalała wrzątku do imbryka. A potem, jak to robiła w każdą niedzielę rano, ruszyła z kuchni głównym korytarzem, wciąż ciemnym i zatechłym od spokojnej lepkiej woni snu. Weszła powoli tyłem do sypialni, ostrożnie, ze spuszczonego wzrokiem, skupiona bez reszty na ciężkiej tacy, uważnie ją trzymając, aby niczego nie wylać. Postawiła tacę na starym małym stoliku przy ścianie, pod firanką trzepoczącą w oknie.

Potem podniosła wzrok. Sypialnią Jean był śliczny pokój pomalowany pstrą bladozieloną farbą, wysoki, z widokiem na rozkwitający sad jabłoniowy. Słońce wpadało przez okno jak rzeka, oblewając Jean i Bojana, leżących razem na wysokim drewnianym łóżku.

Pomyślała, że biją od nich wielkie odprężenie i szczęście, że tutaj Jean i ojciec znaleźli oazę spokoju. Dotąd Sonja wielokrotnie przynosiła herbatę do sypialni, czasem nawet rozmawiała przez chwilę, ale wstydziła się Jean, więc zawsze wychodziła szybko pod byle pretekstem. Lecz tego ranka uświadomiła sobie, że jej nieśmiałość znikła, że najbardziej na świecie pragnie w tej chwili dołączyć do nich w tej oazie, wdrapać się na wysokie drewniane łóżko z Bojanem i Jean i poczuć tę rzekę światła rozlewającą się dokoła. Podniosła oczy na Jean, a ta odgarnęła kołdrę zapraszająco i Sonja ruszyła, znalazła się o krok od ciepłych rozmarzonych objęć, lecz nagle Bojan, poza polem widzenia Jean, pokręcił głową i przepędził córkę machnięciem ręki.

Dwa drobne gesty, nic więcej. A jednak rozdzierające.

Zastygła, popatrzyła twardo na ojca, po czym posłusznie zsunęła się z wielkiego łóżka. Jean odwróciła się i spojrzała na Bojana wtulonego w jej plecy. Uśmiechnął się i pocałował ją w nos, więc nie dostrzegła cienia samotności zasnuwającego w tamtej chwili twarz Sonji, idącej tuż obok koronkowej firanki do drzwi.

ROZDZIAŁ 39

1961

Nie poczuła woni skwaśniałego zboża, wiedziała więc, że nie ma powodu do obaw. A jednak nie codziennie zdarzało się, że Bojan odbierał ją ze szkoły, wiozł do domu w dziwnym nastroju, który odczuwała jako zaraźliwy, a w progu kazał jej się zatrzymać, zamknąć oczy, a dla pewności zakrył jej twarz dłonią.

W ciemności, całkowitej i nieprzejednanej, usłyszała głos ojca, ale nie tak jak w FJ i zawsze, przemawiający w melodyjnym języku słoweńskim, tylko dukający sztywno, po australijsku, jakby każde kolejne słowo lwio początkiem nowego zdania.

— Od tej pory mówimy po angielsku jak trzeba.

Jej własny głos w ciemności, nieprzeniknionej i tajemniczej, własny zaniepokojony głos:

— Ale, *ati!* Jesteś taki śmieszny, jak mówisz po słoweńsku i opowiadasz te wszystkie dowcipy.

Choć na ogół Bojan upierał się, aby rozmawiali po angielsku, a nie po słoweńsku, to w chwilach odprężenia droczył się z córką i bawił słowami w ojczystym języku.

Teraz, w zaciemnionym wszechświecie, jego angielszczyzna była niewzruszona.

— Nie, Sonju, nigdzie nie zajdziesz, jak będziesz mówiła po słoweńsku. Skończysz jak ja. Od tej pory masz mówić po angielsku jak należy. Wtedy może będziesz miała szansę.

— Angielski nie nadaje się do żartów.

— Za to nadaje się do zarabiania pieniędzy. — Wciąż zasłaniał jej oczy dużą dłonią. — A teraz chodź ze mną.

Mając go za plecami, ruszyła chwiejnym krokiem w stronę, w którą ją delikatnie kierował. Był to osobliwy taniec, który zawiódł ich przez drzwi do kuchniosalonu i dalej i znów się jej przypomniało, że ojciec potrafi się poruszać z wielką gracją. Potem się zatrzymali.

Roześmiał się i krzyknął wesoło, zabierając dłoń:

— Otwórz oczy!

Ukazał się jej najbardziej zdumiewający widok z możliwych: z przodu, w kącie jej pokoju, stała dwudziestoczerotomowa encyklopedia. Brązowo-czarne grzbiety były starannie ustawione w nowiutkiej biblioteczce z rodzaju tych karłowatych, dodawanych gratis do kompletu. W ich domu Bojan nadał książkom i meblowi rangę podobną do tej, jaką nadawano grotom rozsianym po polach w jego ojczystej Słowenii, konsekrowanym pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny w nadziei na Jej wstawiennictwo, albowiem był to dar miłości, który w jego zamyśle miał się okazać równie zbawienny. Aby podkreślić rolę encyklopedii, umieścił niską biblioteczkę na wykonanej własnoręcznie sosnowej komodzie, w której trzymali ubrania i pościel. Na komodzie zaś, po obu stronach biblioteczki, stała na spodku niezapalona świeczka. W biblioteczce znajdowała się tylko encyklopedia, ponieważ w domu nie było innych książek, więc nowy mebel Bojan zwieńczył triumfalnie misą na sałatki.

Sonja patrzyła szeroko otwartymi oczami. Była oszołomiona. Rozpromieniony ojciec cofnął się o krok.

— Encyklopedia-kurna-Britannica — oznajmił po długim milczeniu, a w jego głosie podziw łączył się z kołtuńską dumą. Był podekscytowany, jakby w końcu znalazł klucz do ich wspólnej wolności, klucz w kształcie dwudziestu czterech identycznie oprawionych tomów.

Czując narastające brzemie tej złudnej nadziei, Sonja podeszła do książek. Przesunęła palcami po stosie pacierzowym zestawionych razem grzbietów. Ośmielona, wyjęła jeden tom. zważyła go w dłoniach i zajrzała do środka, patrząc, jak kartki przesuwają się pod palcami.

— Teraz będziesz się uczyć porządnego angielskiego — powiedział z dumą Bojan. — Żebyś nie skończyła jak ja.

Prezent był osobliwy i nieoczekiwany, Sonja poczuła jednak podekscytowanie — po pierwsze, bo została obdarowana. po drugie, z powodu oczywistej przyjemności, jaką to obdarowanie sprawiło ojcu. Ale poczuła też lekki niepokój. Nie przeczytawszy jeszcze ani jednego zdania, zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie w stanie zrozumieć cokolwiek, bo nie było przecież żadnej historii, żadnej

konkretnej osoby, która przeprowadziłaby ją przez labirynt słów. Wiedziała, że pogubi się bez przewodnika. Był jeszcze jeden powód do zmartwień, z czego nagle zdała sobie sprawę.

— *Ati*, a ile to kosztowało? — spytała.

— Niech cię o to głowa nie boli. Załatwiłem ze sprzedawcą, że nie muszę teraz płacić. — Bojan uśmiechnął się łagodnie. — Będę spłacał przez trzy lata, po trochu. — Wzruszył ramionami. — To mój problem. — Osunął się na kolana obok Sonji, spojrzał rozanielony na komplet encyklopedii, jakby to była posłać Najświętszej Marii Panny, i objął córkę w pasie. — Ten sprzedawca, on mówi, że lepszego sposobu na naukę angielskiego nie ma, tylko czytać Encyklopedię Britannicę. — Sonja nie wydawała się przekonana, więc dodał, aby wzbudzić w niej zachwyty: — Ty musisz to tylko przeczytać.

Przez chwilę, krótką chwilę, trwającą może dwadzieścia minut, encyklopedia wydawała się interesująca. Potem Sonja czytała ją wyłącznie z szacunku do ojca. Zaczęła od pierwszego tomu, postanowiwszy, że wchłonie wszystko strona po stronie bez względu na to, jak żmudne okaże się to zadanie. Bojan uznał to za mądre i pragmatyczne podejście. Sumiennie przeczytała kilkaset stron, po czym przyłapała się na tym, że nie potrafi się powstrzymać od przeskakiwania wzrokiem całych zdań, akapitów, wreszcie całych dużych haseł. Uświadomiła sobie, że uważne czytanie takiego tekstu jest niemożliwością, że to nic dla niej nie znaczy, że w żaden sposób od tego nie mądrzeje, a kiedy w końcu przyznała to przed samą sobą, daremność jej aspiracji stała się jeszcze bardziej oczywista.

Mimo to przez kilka miesięcy siadali co rano do śniadania przy stole pokrytym różowym laminatem udającym marmur. Każde miało przed nosem dwie miski, jedną z parującą złotą polentą, drugą pustą. Do pustych misek Sonja nalewała gęstej czarnej kawy zaparzonej po turecku. Następnie wkładali łyżki do misek z polentą, nabierali jasnożółtej kaszy, po czym topili ją w ciemnej słodkiej kawie, nachylali się i wsuwali gęstą jak syrop namoczoną zawartość do ust. Bojan zerkał do „Sporting Globe”, złożonej dla wygody na cztery i trzymanej na wyciągnięcie ręki, bo właśnie w takich pozach czytali gazety starsi koledzy z pracy w przerwie na papierosa, bo tak wydawało się stosownie

i właściwie, mimo że rozumiał być może sens co trzeciego zdania i co drugiego zdjęcia, Sonja tymczasem miała pod ręką gruby tom encyklopedii. Czytała uważnie, lecz bez większego zapału czy zainteresowania, a on od czasu do czasu pytał ją, jak daleko zabrnęła, i wtedy odpowiadała: „Drugi tom, strona trzysta szesnaście” albo: „Tom trzeci, od Cy do Da, strona tysiąc pięćset sześćdziesiąt dwa”, i aby udowodnić swoje zaangażowanie i zapewnić go, że traktuje sprawę poważnie, zadawała mu osobliwe, niemożliwe pytania w rodzaju: „A wiesz, że jest około stu dwudziestu pięciu gatunków cyprysowatych?”.

— Niech mnie chuj strzeli — odpowiadał niezmiennie Bojan swoim najlepszym australijskim, a czasem parskął śmiechem, wykpiwając własną niewiedzę oraz czując dumę, że córka przyswaja sobie takie fakty.

Ale śmiał się też z nedorzecznego charakteru mądrości, bo nie był głupcem i sądził, słusznie, że taka wiedza jest na ogół bezużyteczna, zarazem jednak sądził, błędnie, że różnica między sukcesem a porażką w życiu polega właśnie na przyswojeniu sobie całego skarbcza takich bezużytecznych wiadomości. Sonja rewanżowała się uśmiechem, myśląc — jak zawsze na widok czubatej łyżki złotej polenty zanurzającej się w czarnej kawie — o słońcu przepadającym w nocy.

ROZDZIAŁ 40

1962

Zrywali jabłka, odmianę Cox's Orange Pippin, przez cały nietypowy jak na tę porę roku jasny i upalny dzień i większość dnia poprzedniego i cały czas Sonja zastanawiała się, kiedy wreszcie zapełni swój jutowy worek, czy stanie się to za tyle i tyle drzew i czy dotrze do ostatniej jabłoni w swoim rzędzie, zanim Bojan skończy po drugiej stronie, a jeśli tak, jeśli go ubiegnie, to czy on zostanie z nią na zawsze, czy już nic się nie zmieni, czy też nic nie zmieni się tylko wtedy, gdy on pierwszy upora się z zapełnieniem worka — bo zawsze zdążył zapełnić dwa, zanim ona zapełniła swój — i czy tak może być już na zawsze. Może? Pytanie pozostawało bez odpowiedzi, a worek pozostawał niezapełniony.

Potem poszła do ubikacji, którą uwielbiała za dnia i której bała się w nocy, czyli do drewnianego wychodka, przechylonego chyba bardziej niż krzywa wieża w Pizie, z wnętrzem iście magicznym w oczach dziecka, wytapetowanym od podłogi po dach zdjęciami z czasopism i gazet. Niektóre były stare i pożółkłe, odklejone, inne nowe i barwne. Część ściany pokrywały widokówki z dalekich krajów. Dawne zdjęcie przedstawiające turystów na weneckim placu; piętrowy autobus w Londynie; fotografia Dubrownika w sepii.

Jakże uwielbiała mitrzyć czas w przytulnym azylu wychodka. Przez szpary w drzwiach wpadało słońce rozświetlając wnętrze — drewniane siedzisko, pomalowane na zielono, na którym usiadła Sonja, z majtkami zsuniętymi do kostek, z ciężką jasnoczerwoną klapą za plecami. I te obrazki, te czarowne obrazki!

Usłyszała, że na niski pagórek wchodzi stary Archie, człapiąc do wychodka, podśpiewując swoim bezbarwnym głosem, klekoczącym jak sortownica jabłek i niosącym takie samo pokrzepienie. Po skończonej pracy żegnał się z koksami odmiany Orange Pippin:

Tegoroczne koksy leżą już w skrzynkach,

*Wiatr liście unosi w przestworza,
Ostatnia partia kolejną zmierza do portu,
A stamtąd dalej przez morza.
Harowaliśmy jak durne woły,
Pot bez przerwy zalewał brew,
Na przekór szkodnikom, deszczom i wiatrom
Co nastają na plony wśród drzew.*

Sonja siedziała zapatrzona w zdjęcia z gazet zdobiące ściany, obrazki dalekich i romantycznych miejsc, dawno zapomniawszy o praktycznym celu wizyty w wychodku, błędząc myślą wśród sepiowych snów o Europie, do których wiła się piosnka mrużana przez Archiego:

*Puściłem z rąk rogi pługa
I bez żalu odwracam wzrok,
I do jabłek, co rosną w przyszłości,
Krzyknę: Do zobaczenia za rok!*

— Byłeś kiedyś w Dubrowniku, Archie? — spytała Sonja. Zerknęła na pofałdowane zdjęcie miasta, wyglądające w jej oczach dokładnie tak, jak wyobrażała sobie otoczenie dżinów i sułtanów.

— Byłeś? W Dubrowniku?

Na zewnątrz Archie poprawił agrafkę spinającą szelki ze spodniami, wcisnął spraną niebieską flanelową koszulę do środka, a potem sztachnął się ostatni raz skrzyconym papierosem i wyrzucił niedopałek.

— Nie — odpowiedział, po czym dodał, jakby zwracał się do nieba: — Ale przechodzę jebane piekło, czekając, aż zleziesz z tego tronu.

*

Po południu upał i ciężka praca dały się Sonji we znaki, położyła się więc w sadzie, żeby odpocząć, i natychmiast zasnęła. Obudziła się półprzytomna i zobaczyła Jean stojącą na najwyższym szczeblu drabinki, zrywającą jabłka z pobliskiego drzewa. Niżej stał Bojan, wkładając owoce do skrzyni, a szpaler drzew tworzył dokoła zieloną grotę. Potem Jean zeszła na ziemię i objęła się delikatnie. Pocałowali.

— A mała...? — szepnęła.

Nie chcąc narażać Sonji na niestosowny widok, wskazała ręką nasłonecznione miejsce nieopodal, gdzie dziewczynka niby wciąż drzemała na trawie.

— Nie przejmuj się — odparł Bojan. — Śpi.

Sonja zatrzepotała powiekami, zmrużyła oczy i skupiła się na tym, co się dzieje. Patrzyła speszona, jak Bojan delikatnie rozgarnia włosy Jean, a potem, z taką samą czułością, ujmuje jej pierś. Te gesty wzbudziły w Sonji niepokój, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy zobaczyła ich w łóżku. W sypialni wydawali się jej swojscy, teraz jednak zapachniało intymnością, której dotąd nie zaznała w kontaktach z ojcem, a to ją poruszyło. Lecz słońce świeciło mocno, trawa była miękka, a senność połączona ze świadomością, że widzi *coś*, czego widzieć nie powinna, skłoniły ją do zamknięcia oczu.

Wtedy sen na jawie przemienił się w straszny koszmar. Znowu znajdowała się w pontiacu Picottiego, kuląc się w kącie tylnej kanapy. Picotti siedział za kierownicą, patrząc przez ramię na Sonję, uśmiechnięty, kiwając palcem, aby się przysunęła. Zerknęła ukradkiem przez okno i zobaczyła Bojana rozmawiającego z Jean w sadzie. Krzyknęła do ojca po pomoc, ale nie usłyszała własnego głosu, podobnie Bojan, jak sobie uświadomiła, nic nie usłyszał, bo odwrócił się plecami i objął Jean. Im większe czuła przerażenie, tym głośniejszy był jej niemy krzyk, oni zaś tym bardziej byli nieświadomi jej położenia i tym bardziej namiętne stawały się ich uściski i pocałunki. Wydawało się, że nie ma nadziei, nie ma szans na ratunek, na bezpieczeństwo.

Później Sonja przypomniawszy sobie, że koszmar płynnie przeszedł w rzeczywistość, bo ze snu stopniowo wyrwało ją podskakujące na wybojach auto i siadając, zobaczyła, że znajduje się w FJ, spod którego kół wzbija się ogromny tuman kurzu, a po obu stronach wiejskiej drogi ciągną się sady jabłoniowe. Bojan zerknął na córkę i się uśmiechnął.

— Nie śpisz już.

Wciąż była senna, więc tylko mruknęła coś w odpowiedzi. Bojan westchnął. Z przodu zobaczył zdezelowany płot z popękkanymi sztachetami wymagającymi wymiany, szopę z obluzowanym blaszanym dachem, który trzeba umocować Przed nadejściem zimy. Widział to, co należało naprawić, ale co z różnych przyczyn naprawiane nie było.

— Dobry weekend, he? — spytał.

Dla Sonji ten weekend był mniej więcej taki sam jak wszystkie inne tego lata. Skinęła głową niezobowiązująco.

- Sonju, co byś powiedziała, jakbym się ożenił z Jean? Jakby Jean została twoją mamą?

Rzucił to zdawkowym tonem, jak gdyby mówił o błałych sprawach, jakby pytał, czy chce więcej octu w polanej oliwą sałacie.

Oprzytomniała. Po śnie pozostało uczucie strachu, bezbronności, rozpaczliwe pragnienie posiadania ojca, który właśnie wyznał, że chciałby się poświęcić komuś innemu. Za oknami FJ zobaczyła zielony świat, błękitne niebo — świat, w którym ludzie zdawali się wieść uporządkowane życie, w którym sprawy toczyły się tak, jak powinny się toczyć. Doświadczyła już zbyt wielu zmian i więcej nie chciała. Poczła zamęt w sercu, poczuła pragnienie, aby wreszcie wszystko pozostało po staremu, na przekór tęsknocie, aby wszystko zmienić lub o wszystkim zapomnieć, poczuła lęk, że miłość innego człowieka może przyćmić jej miłość.

— Nie, *ati*, nie. Ja nie chcę... Ona... ona jest... — szukała powodu, aby zakwestionować ojcowski wybór, ale żadnego nie znalazła. Podobał jej się układ, który trwał przez całe lato, to, że Jean była szczodra, a oni się dzielili jej darami, bo nic z tego nie stanowiło zagrożenia. Uchwyciła się więc tego, co było oczywiste. — Jest za stara. Chcę tylko ciebie. Nie chcę jej. Chcę tylko nas dwoje.

Uśmiech spłynął z twarzy Bojana.

— Razem. My. W naszym domu.

Przełknął ślinę. Milczeli przez resztę długiej drogi powrotnej, tym razem dłuższej niż kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ 41

1962

Odtąd było już inaczej. W następną sobotę pracowali w warsztacie. Sonja wróciła do gładzenia drewna papierem ściernym. Bojan odmierzał kawałek taniej dębiny tasmańskiej, żeby zrobić półki do małej biblioteczki, z papierosem kopącym się w ustach, z otwartą butelką piwa na ławie.

Ten dzień był uciążliwy nie tylko z powodu duchoty nietypowej dla jesieni. Prawie się do siebie nie odzywali. Sonja, odczuwając ojcowskie przygnębienie jak fizyczne brzemie, w pewnej chwili zebrała się na odwagę i spytała o to, co dręczyło ich oboje:

— Nie jedziemy w ten weekend do sadu?

Tęskna melancholia Bojana natychmiast się ulotniła. Spojrzał uważnie na ekierkę, jakby następne cięcie piłą było o wiele ważniejsze niż wszystko, co mogłoby paść z ust córki.

— Mówiłeś, że kochasz Jean — dodała, choć nie zamierzała tego powiedzieć, właściwie nie zamierzała powiedzieć niczego, ale tak to wyszło, bo nie zamierzała dać się uciszyć.

— Jasne — odparł. — Znaczy się może. Tak mówiłem. A może nie. Mam ciebie. — Następnie dodał, właściwie nie tyle wyjaśniając, co ostatecznie zamykając kwestię: — Nie będziemy tam jeździć. Już nigdy. Tak chciałaś, to tak masz.

Nie była przerażona, bo w tamtej chwili nie zdawała sobie sprawy, co to znaczy. Widziała, że ojciec jest wzburzony, ale sądziła, że mu przejdzie, a wtedy pojedą do Jean i wszystko będzie po staremu. Nie rozumiała, że zamierzał przez długie lata udowadniać niewzruszoność swego postanowienia, konsekwentnie trzymać się okrutnej niesprawiedliwości swoich słów.

Sonja nie dawała za wygraną. Poruszyła inny temat, którego on nigdy nie poruszał, a który ostatnio ją zainteresował, uznała więc, że może zainteresować i jego.

— *Ati*, czy Słowenia jest piękna?

Wyprostował się i spojrział na nią. Uświadomiwszy sobie, że ojciec słucha i nie jest rozzłoszczony, ciągnęła:

— A Europa? Czy jest taka jak na zdjęciach w ubikacji Jean?

Te słowa najwyraźniej obudziły jakiś smutek w jego sercu.

Być może Bojan pragnął ożenić się z Jean, ale brakło mu sił, żeby do tego doprowadzić. Być może potrzebował zapachu Sonji, bo bardzo się bał. I być może, podobnie jak ona, w końcu poczuł się bezpieczniej, bo niczego nie musiał ryzykować. Odkąd w jego głowie narodził się pomysł, żeby znowu związać się z kobietą, co noc dopadały go straszliwe obawy, a w tle huczały wspomnienia, którym towarzyszyło poczucie, że jest człowiekiem nic niewartym i tak godnym pogardy, że przerażała go myśl o tym, co się stanie, gdy zaangażuje się w tak beznadziejne przedsięwzięcie jak kolejne małżeństwo. Kochał Jean, a Jean kochała jego, ale już nie wierzył w miłość. Są na tym świecie rzeczy silniejsze od miłości, doszedł do wniosku.

— Tak, *ati*?

Gdy odpowiedział, wydawało się, że w równej mierze mówi o Jean, co o sobie, o nich, o Europie. Przystawał przy każdym słowie, nieświadomie nadając całemu zdaniu odmienny sens.

— Cholera... aż... bierze... — Urwał, jakby zdezorientowany osobliwością angielskich słów. — Taka jest piękna.

Pochylił się i położył ponownie ekierkę na kawałku dębiny tasmańskiej, żeby pracować dalej, ale nagle, pod wpływem od dawna tłumionego wspomnienia, znów znieruchomiał i zaraz się wyprostował. Spojrział na Sonję.

— Opowiem ci najlepszą historię o Europie, jaką znam. To było przed wojną. Najbogatszy człowiek w naszej wiosce, wielki, gruby skurwiel z niego był, Jezu Chryste, szkoda, że go nie widziałaś! Prawie cały swój majątek zainwestował w świnie, co to je trzymał pod domem. Jednej nocy w środku zimy, wszędzie śnieg, zapalił się dom tego bogacza. Wszyscy wieśniacy przybiegli, żeby ratować świnie z pożaru. Ale jak tylko odciągnęli je od ognia, one na powrót pobiegły do płonącego domu.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył Bojan za córką. — Pytasz dlaczego? A kto wie? Taka jest Europa. O to właśnie chodzi. Potrafisz w to uwierzyć? Bo ja nie. Nikt nie potrafi. Jakby ogień rzucił na nie urok, jakby się w nim rozkochały. — Roześmiał się, choć opowieść najwyraźniej nie wydawała mu się zabawna. — Na końcu wszystkie świny spaliły się na śmierć, a cała wieś przez wiele dni śmierdziała przypaloną wieprzowiną.

— Ale śmieszne, co nie, *ati*?

Bojan miał poważną minę.

Tak to się skończyło. Przyszła zima. Biała koronkowa firanka w starym oknie pożółkła — kokon, z którego dawno wyfrunął motyl. W oknie stała Jean, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, wyglądała na dwór, patrzyła w dal, czekając na powrót Bojana i Sonji.

Stała tak przez wiele dni, mało tego, przez całe miesiące, jak mówili potem niektórzy ludzie znad Huon, a jeden nawet twierdził, że całe lata. Ale w tym przypadku czekanie nawet przez godzinę nie miało sensu. Charakterystyczne tumany kurzu wiele razy zapowiadały jadący w okolicy samochód, ale to nigdy nie był FJ pod pancierzem nowego mebla zrobionego w wyrazie niepewnego przekonania, że może istnieć coś większego niż jego miłość do niej albo coś piękniejszego niż jej miłość do niego, a na tym właśnie polega okrucieństwo łąski wiążący dwoje ludzi.

Zaczęło padać, wpierw zaledwie kilka delikatnych kropeł, potem rozległo się powolne bębnienie o blaszany dach. Ściemniło się. Po długim czasie Jean przestała patrzeć i myśleć, rozplotła ręce i zamknęła stare okno, po czym zaciągnęła ciężkie ciemne zasłony za firanką, która już nie powiewała na łagodnym porannym wietrze, tylko zastygła, krucha, pod warstwami ciężkiego kurzu. Deszcz siekł w okno, tworząc bruzdy i potoczki na brudnej szybie.

Pnąca róża za oknem zwiędła i obumarła, płatki spadły na ziemię, tracąc resztki koloru, kształtu i zapachu, a Jean nie znalazła pocieszenia w myśli, że kwiaty powracają powoli do wilgotnej ziemi, z której wyrosły. Dawno już doszła do wniosku, że odrobinę pocieszenia przynoszą nam tylko inni ludzie. Nie wiedziała jednak, czy ma jeszcze w sobie dość siły, aby poszukiwać takiej ulotnej otuchy.

ROZDZIAŁ 42

1962

A potem czytanie książek się rozpadło, jakby grzbiet tomu pęki cicho nocną porą, kiedy spali, i wszystko było nieuchronnie inaczej, niż chcieliby, inaczej nawet, niż było dotąd. i Bojan przeprosił się z butelką, a Sonja znienawidziła go za to. o Boże. jak go znienawidziła, ale musiała przy nim trwać, bo była dzieckiem, bo była jego córką, a on był jej ojcem, lecz jedno i drugie straciło znaczenie, stało się pustym słowem, którego nie rozumieli i któremu nie ufali. Nie miał pojęcia, co ze sobą począć, a cóż dopiero co począć z córką, a choć ona wiedziała, czego pragnie, nie miała pojęcia, jak to osiągnąć, więc każdego popołudnia po szkole szła po prostu do Bojana.

Szła na piechotę albo jechała autobusem, na ogół trochę tak. trochę tak. aż dotarła na plac budowy, na którym akurat pracował, po czym czekała w FJ przez całe godziny do końca zmiany. W samochodzie nie czytała podręczników, bo czytanie było obcym, z którym postanowiła się więcej nie zaprzyjaźniać. Zamiast tego rysowała kwiatki. Wysiadała z samochodu. szła na spacer, obserwowowała ojca z dala, podziwiając go, myśląc, że takiego na zawsze go zapamięta, zawsze ze zgarbionymi plecami, poruszającego się z gracją w luźnym starym ubraniu roboczym. W swoim krótkim życiu tak często widziała go przy pracy fizycznej, że nie zazdrościła mu tej harówki, jak to nazywał wzorem swoich kolegów z placu budowy. A jednak uwielbiała patrzeć na niego w takich sytuacjach, a czasem nawet pragnęła popracować razem z nim i owszem, niekiedy pracowała na budowie, sprzątając, przynosząc materiały i narzędzia, bo taki trud postrzegala jako najlepszą cechę ojca, bo rozumiała, że tak właśnie on widzi świat i ludzi na nim żyjących, przez pryzmat roboty.

Ale gdy dzień pracy dobiegał końca, zamiast wracać do domu, Bojan jechał do pubu i zostawiał Sonję w samochodzie na małym parkingu wysypanym żwirem.

— Nie martw się — powtarzał zawsze przy tej okazji. — Idę

tylko na jednego.

Słońce zniżało bieg. Złociło się na szybach, przemykało po lustrzanym chromie nowych zephyrów, hillmanów i holdenów, nurzało się w soczystych ziemnych barwach ochry na pordzewiałej karoserii starszych samochodów. Słońce zachodziło. Bojan siedział w pubie. Parking zasnuwała ciemność, zapalały się latarnie uliczne, a Sonja wciąż czekała w aucie.

A potem, kiedy najmniej się tego spodziewała, kiedy utraciła wszelką nadzieję, pojawiał się znikąd przy oknie samochodu, czymś wymachując. Nareszcie, myślała w pierwszej chwili, nareszcie pojedziemy do domu. Uśmiechała się. Wsuwał głowę przez okno i uśmiechając się półgębkiem, wręczał Sonji zapakowaną tabliczkę czekolady.

Patrzyła mu w oczy, nie zwracając uwagi na czekoladę. Patrzyła w jego zamglone piwem oczy. Cicho i beznamiętnie mówiła:

— *Ati*, możemy jechać do domu? Proszę.

Bojan, jak zawsze pijany, śmiał się i odpowiadał:

— To pub rodzinny. — Znowu się śmiał. — Czekolada...

Zawsze tak robił, gdy był pijany, wyjaśniał swoje żarty, jakby ich fiasko spowodowane było nieznaną języka u osób trzecich. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że żart po prostu może nie być śmieszny. Takie dowcipy doprowadzały ją do szału.

— Chcę jechać do domu.

— Gdzie? — pytał Bojan. — Do jakiego domu? My dwoje nie mamy domu. Nie rozumiesz, Sonju? — Znowu się śmiał, ale po chwili wesołość przechodziła we łzy. Piwna mgła osuwała się z oczu. — Mamy bambo klitkę, córeczko. Bambo klitkę. Nie rozumiesz?

Potem odwracał się na pięcie i szedł do pubu. Mężczyźni wytaczający się ze środka o późniejszej godzinie widzieli, jak zawsze, samochód z dziewczynką siedzącą w środku, oświetloną przez pobliską latarnię. Czasem widzieli, że siedzi za kierownicą, wpatrzona w widnokrąg, jakby zdążała do jakiegoś odległego celu, będąc od wielu, wielu godzin w podróży, czasem, podszedłszy bliżej, widzieli, że śpi na tylnej kanapie. A kiedy indziej, gdy już było bardzo późno, dostrzegali ją siedzącą z przodu na fotelu pasażera, z dłońmi przyklejonymi do szyby,

wrzeszczącą, krzyczącą coś przeciągle, błagalnie, cienkim głosem.

W środku panowało hałaśliwe męskie braterstwo, głęboko smutne, samolubne i rozpaczliwe. Z wysokości barowego stolika dziecko — o ile dziecko kiedykolwiek upiększyłoby swoją obecnością takie miejsce, bo oczywiście, podobnie jak kobiety, dzieci miały zakaz wstępu — widziałyby tylko podnoszone i odstawiane kufle, kałuże piwa na blacie, niedopałki gaszone w popielniczce, gestykulujące ręce. Zza rzędu kufli, prężących się jak pręty więziennej kraty, dziecko być może zdołałoby wyrzeć przez okno i zobaczyć samochód, w którym siedziała krzycząca Sonja. Ale zamiast wołania usłyszałoby brzęk szkła i śmiech rozradowanego męskiego towarzystwa. Być może usłyszałoby, jak jeden z kumpli Bojana szepcze dyskretnie do drugiego:

— Weź, niech ci ten bambo postawi piwo. Codziennie tu przychodzi. W dupie ma pieniądze. I tak używają ich tylko, żeby ściągnąć mamusię z Grecji.

I może usłyszałoby odpowiedź:

— Bojan, skurwielu, stawiasz następną kolejkę czy jak?

Może usłyszałoby odpowiedź i śmiech Bojana:

— Jasne, cholera, postawię ci, ile chcesz. Po chuja zarabiam tę forszę?

Rechot. Z perspektywy rozbawionego pubu Sonja wcale nie wyglądałaby na nieszczęśliwą w swoim samochodzie więzieniu, podobnie jak owad pod kloszem, z pozoru zadowolony ze swojego losu.

Mimo że owad krzyczał, a każdy krzyk oddalał go od jedynej osoby, z którą pragnął być i która mogłaby mu pomóc odzyskać człowieczeństwo.

ROZDZIAŁ 43

1990

Kiedy zatem to magiczne lato dawno temu dobiegło końca w strugach deszczu, Bojan porzucił Jean i ponownie nawiązał romans z butelką, Sonja przestała jeść jabłka, ale przez to tylko częściej jej się śniły. Potem znowu jadła, oczywiście, że jadła, ale to było wiele lat później, gdy jako dorosła kobieta mieszkała w Sydney i miała pewność, że nadgryziona skórka i miąższ, słodkokwaśny sok wypełniający usta nie przywołają starego świata. W Sydney nie można było kupić ani odmiany Geeveston Fanny, ani Tassie Snow, ani jonagoldów, ani koksów; na straganie na zatłoczonym dworcu kolejowym oferowano tylko Golden Delicious. Gryząc jabłko, Sonja miała poczucie pustki i straty, bo było kartoflane i smakowało jak trociny. I wtedy zrozumiała, że ma jedynie to, co nosi w sobie i co wypiera od tak dawna, że odzyskanie choćby cząstki wydawało się niepodobieństwem. Przygnieciona świadomością, że wszystko przeminęło, usiadła na chodniku przed straganem i wybuchnęła płaczem, a tysiące podróżnych najpierw omijało ją łukiem, a w końcu o mało jej nie stratowało.

*

W dniu wolnym od pracy w barze pożyczyła od Helvi starą corollę i pojechała nową szosą nad Huon. Po tym, jak kilkakrotnie pomyliła drogę na krzyżówkach i uporała się jakoś z przebitą oponą, dotarła wreszcie na wzgórze, na którym wiele lat temu siedziała w FJ, kiedy po raz pierwszy przyjechała z wizytą do Jean, a Bojan poluźniał i zaciskał węzeł krawata. Tyra razem padało i Sonja popatrzyła zza wahadeł zużytych wycieraczek skrobiących szybę na miejsce, gdzie dawniej rósł sad. Niewiele z niego zostało — przez półłuki rozmazywanej wody zobaczyła, że sad przemienił się w pastwisko, ogród zniknął bez śladu, a dom był teraz podniszczoną stodołą. Pnąca róża zniknęła. Koronkowa firanka też.

Wciąż padał ulewny deszcz i Sonja dostrzegła, że kawałek zniszczonej zardzewiałej rynny oderwał się od dachu, który dawniej okrywał dom Jean, i teraz z jego gardzieli deszczówka chlusta długim ciężkim strumieniem na rozkwitającego czerwonego tulipana, przygniatając go do ziemi.

Pozostałam tylko ja, nic więcej, pomyślała. I on. Lecz rozdzieleni, byli jak dom przerobiony na stodołę, zaorany sad zamieniony w pastwisko. Zapach drzew bez kwiecica. Okno bez koronkowej firanki w domu Jean. Kłaśnięcie jednej dłoni.

W latach pomiędzy czasem, kiedy Jean tuliła się do piersi Bojana, a dniem, gdy Sonja osunęła się na brudny chodnik pośrodku dworca, widok każdego sadu niezmiennie wzbudzał w niej poczucie winy z powodu własnego postępowania, które uważała za zdradę, a nazwy starych odmian jabłek zawsze przywoływały w okamgnieniu obraz ojca uszczęśliwionego widokiem Jean, a potem to szczęście znikające razem z koksami, a wraz z nimi stary Archie i jego skrzekliwe pożegnanie jabłkobrania:

*Puściłem z rąk rogi pluga
I bez żalu odwracam wzrok,
I do jabłek, co rosną w przyszłości,
Krzyknę: Do zobaczenia za rok!*

To wszystko przepadło: Jean i Bojan, i stary Archie, i koksy, i cudowny smak tego wszystkiego, zarazem kwaśny i słodki, i świeży.

ROZDZIAŁ 44

1990

Tej nocy, po powrocie z wycieczki nad Huon, Sonję nawiedził dawny sen.

Znowu była dzieckiem czekającym po szkole na placu budowy. Patrzyła, jak ojciec i inni wylewają beton pod dom, ogromne jezioro mokrego szarego błota. Gdy Bojan wpadł do betonu, Jirego nie było w pobliżu. Działo się to błyskawicznie, a jednocześnie powoli. Błyskawicznie, bo ojciec w ułamku sekundy zniknął pod powierzchnią, zostawiając po sobie mokrą chlupoczącą basem falę, powoli, bo wyraźnie to zobaczyła, zobaczyła, jak się przechyla i upada, na twarz, zobaczyła to wszystko bez uczucia paniki czy choćby strachu, spodziewając się, że Bojan wynurzy się zaraz ze swoimi przekleństwami. Ale gdy tylko zdołał wystawić głowę i ramiona, znów się zapadł. Nie wiedziała, nie mogła przecież wiedzieć, ale jakimś cudem domyśliła się, że zaczepił kombinezonem o niewidoczne pręty zbrojeniowe, a im bardziej się szarpał, tym bardziej zaplątywało się jego ubranie. Fala chlustała dokoła, a Bojan wynurzył się po raz drugi, twarz, włosy i kombinezon błyszczące od wilgoci i ciemne, jakby był pomnikiem, jakby był duchem, i wyciągnął rękę do córki, wołając ją po imieniu żałośnie, błagalnie, ale nie wiedziała, co robić ani jak mu pomóc. Zawahała się, gdy wyciągnął ku niej betonową dłoń w złudnej nadziei, że jej dosięgnie, jakby sądził, że ona może go ocalić, jakby mogła pokonać dzielącą ich przestrzeń, a przecież nawet nie wiedziała, czy powinna krzyczeć, czy wskoczyć do niebezpiecznego dołu, żeby przyjść ojcu z pomocą. Mimo woli pokręciła głową, a w tej samej chwili obok przemknął Jiri i wskoczył do betonowego jeziora jak ratownik w zdradliwe morze, a płynny beton zbulgotał dokoła jego dużej sylwetki i gumiaków. Pociągnął z taką siłą, że wyrwał kombinezon z potrzasku stalowych prętów, rozcinając przy tym Bojanowi paskudnie udo. Zaczął holować odwróconą foczą postać. Bojan wrzasnął z bólu, szoku i

jednocześnie radości, że przyszło wybawienie. Jiri roześmiał się i wielgachną dłonią klepnął go w mokre plecy, rozsiewając dokoła mgiełkę z drobinek szarego betonu, która uniosła się w papuzi błękit porannego nieba, po czym zaczęła opadać, zmieniając i kolor, i formę, stając się karmazynową zasłoną, którą jakaś dłoń odgarnęła z okna, wpuszczając słoneczne światło do pokoju.

— Jak twoja ciąża?

Sonja podniosła głowę z łóżka i zobaczyła Helvi ze śniadaniem na tacy: fińskie słodkie pieczywo i herbata. Zerknęła przez okno. Poczowała silne parcie na pęcherz.

— Dobrze. Już nie wymiotuję. — Odwróciła twarz i znów spojrzała przez okno, próbując odzyskać orientację w świecie umiejscowionym poza krainą snów. — Zrezygnowałam z kawy. Ale bolą mnie plecy, nogi drętwieją. — Wstała z łóżka. Wolałaby zostać sama, dopóki sen nie ulotni się ostatecznie, i teraz już wiedziała na pewno, że to nieprawda, że ojciec tonął w cemencie, a ona nie umiała go uratować. Muszę do ubikacji, bo zasikam całą podłogę.

ROZDZIAŁ 45

1990

Helvi ugniatała i rozciągała ciasto, żeby stało się tak plastyczne i uległe jak pulchna pupka niemowlaka, ugniatała, rozciągała, turlała.

— To sztuka — mawiała — umieć rozciągać ciasto, gdy się zagniata, nie wolno go walić, klepać, zabić w nim życia. Trzeba naciskać i rozciągać, naciskać i rozciągać, a wtedy zrobi się miększe, bardziej posłuszne, aż będzie żywe, gotowe urosnąć.

— Więcej nie trzeba, żeby wyszedł dobry chleb — mówiła do Sonji w te długie dni, kiedy krzątały się razem po domu. — Tylko pokazać drożdżom i mące, że razem mogą stworzyć coś lepszego. — Sonja patrzyła na gomółkę ciasta, okrągłą, sprężystą, ugniataną z wprawą przez stare guzowate dłonie. — Uwielbiam ten zapach — dodała Helvi i prawie dotknęła ciastem nosa, wdychając piwną woń. — Jak główka maleńkiego dziecka. Ciepło i drożdże. Czujesz?

— Szczerze mówiąc, nie bardzo.

— No tak, ciąża — skwitowała Helvi. — Kobieta wygląda pięknie, a czuje się parszywie. Bolą plecy, nogi drętwieją, mdłości i nawet kawy nie można się napić. A ty na domiar złego nie czujesz zapachu chleba.

Sonja się uśmiechnęła.

Helvi chwyciła ciasto, żeby jeszcze je trochę pougniatać, a Sonja odpowiedziała:

— Nie chodzi o ciążę. — Urwała, zamyśliła się, a po chwili ciągnęła, głosem zmęczonym, ledwo cedząc słowa: — Kiedy byłam mała, *ati* raz za mocno mnie uderzył.

Ciasto wypadło Helvi z rąk i z głuchym hukiem pacnęło na stolnicę. Chwilę później zaczęła znowu zagniatać, ale słuchała uważnie.

— Krew nie chciała przestać lecieć z nosa. Po kauteryzacji w szpitalu krwotok ustał. Ale teraz mam słaby węch. — Mówiąc to, Sonja przez cały czas miała na twarzy łagodny, ironiczny uśmiech. — Nie

czuję zapachu kwiatów. Chleba.

Helvi nie wiedziała, co odrzec. Miała wrażenie, że kwitowanie tej historii jakimkolwiek komentarzem byłoby niestosowne. Posłała Sonji uśmiech wyrażający smutną solidarność. Przesunęła ciasto po stolnicy w jej stronę.

— Masz, zagniataj.

Sonja zaczęła miętosić niezdarnie.

— Ojciec do ciebie pisał?

— Nie. I nie napisze. Nigdy do nikogo nie pisze.

— Może powinnaś do niego pojechać i porozmawiać.

— Po co? — spytała Sonja bez entuzjazmu, ale z iskrą nadziei w głosie. — Nie ma sensu. Za daleko. I za dużo czasu minęło. — A potem, jakby w przyływie tęsknoty, otworzyła się nieco: — Byłoby miło, Helvi. Naprawdę. Ale w życiu nie ma miejsca na miłe rzeczy, co?

Helvi wyrwała jej ciasto z rąk i zaczęła zagniatać jak należy.

— Rozciągać trzeba, rozciągać — powiedziała. — Jak nie będziesz rozciągać, chleb nie urośnie. — Roześmiała się. — Tak jak twój ojciec.

Pchnęła ciasto z powrotem do Sonji, a ta spróbowała ponownie, tym razem z większą wprawą, rozciągając żółtą masę na wszystkie strony.

— Bojan chlebem — mruknęła Sonja. Helvi wrzuciła ciasto do brytfanny, a brytfannę wsunęła do pieca. — Trzeba by mieć ławę do tortur, żeby rozciągnąć tego starego skurwiela.

Roześmiały się. Nagle Sonja ucichła i oderwała wzrok od piekarnika.

— A jak się okażę taka sama jak on? A jak będę taka jak ona? Czasem tak się zastanawiam, Helvi, co za matka będzie ze mnie. Czy będę złą matką. A jak nigdy mnie nie będzie, kiedy dziecko będzie mnie potrzebować? A jak w przyływie złości będę je biła?

Helvi milczała. Chciałaby coś odpowiedzieć, ale brakowało jej słów. Mogła zaofiarować Sonji tylko swój dom i swój chleb.

— Boję się — wyznała Sonja. — Czasem jestem przerażona, że nie będę umiała poskładać tego do kupy. Część mnie umarła, ale nie wiem, która to część.

Przypomniała sobie, jak przed laty po przyjeździe do Sydney nade wszystko uderzyła ją obojętność tego miasta. Na lotnisku nagle wykrzyczała imię ojca, ale nie było odpowiedzi, więc się roześmiała, ze strachu i ulgi — a ludzie starannie ją omijali, tak więc nastąpiła zmiana, bo jeszcze chwilę wcześniej w ogóle jej nie zauważali. Miasto nie interesowało się tym, czy człowiek jest przy zdrowych zmysłach, za wszelką cenę starało się tego nie wiedzieć, a w jego objęciach doznała poczucia wolności, poczucia, że przystąpiła do jakiegoś ogromnego braterstwa ludzi upadłych, zaprzeczających uparcie, że diabeł podąża ich śladem. Życie wzbogacone o cel istniało tylko w pogłoskach i reklamach. W wielkim smogu były miliardy cząsteczek sadzy, żrący osad złożony z milionów podobnie spopielenych egzystencji. Miasto nappełniło ją anonimowością innych, a w tej ogromnej fali wspólnej nicości, w której ludzie byli posegregowani jak kury na farmie i harowali jak osły, człowieczeństwo zaś odzyskiwali tylko w snach, Sonja wreszcie znalazła wytchnienie.

Pokrzepienie znalazła też w uciążliwej nachalności klimatu, w mdłym skwarze, który tłamsił wszystkie rzeczy i miejsca; znalazła w nim formę bezpieczeństwa. Nie pragnęła przestrzeni, za którą tęsknili inni ludzie w mieście, z radością witała jej brak, bo podsuwał nieskończone możliwości negowania życia osobistego. Wolała pozostać na powierzchni życia i niepokoiła się, gdy ludzie, którzy ją lubili, próbowali pociągnąć ją za sobą w mroczną głębię — w przekonaniu, że przyjaźń wymaga poznania fundamentalnej prawdy o drugim człowieku. Wolała trzymać się płycizny, skąd zawsze można uciec, pozostając zagadką nawet dla samej siebie.

Ale potem nadszedł ten dzień, ten dzień, ledwie kilka miesięcy wcześniej.

Poszła do montażowni w sprawie jakichś faktur, a tam akurat przygotowywali reportaż telewizyjny o manii budowania zapór w powojennej Australii.

Oglądali pobieżnie wywiad z dawnym związkowcem o nazwisku Preston, który opowiadał o uchodźcach, o przemocy, pijaństwie, samobójstwach i morderstwach. Próbowali zilustrować komentarz Prestona archiwalnymi zdjęciami, ziarnistymi, porysowanymi, bez

ścieżki dźwiękowej, dokumentującymi budowanie zapory na Tasmanii w połowie lat pięćdziesiątych.

I właśnie wtedy zobaczyła to oszalałe zwierzę wymachujące młotem.

Dopiero po dłuższej chwili go rozpoznała. Stary związkowiec Preston zaczął opowiadać niebywale smutną historię o kobiecie, której nigdy nie poznał, ale ich ścieżki przecięły się na mgnienie oka w czas śnieżycy przed wieloma laty. Widział ją w przelocie z motocykla, była noc, on jechał, padał

śnieg, zapamiętał jednak, że miała na sobie szkarłatne palto, a pod spodem sukienkę obszytą koronką.

— Wytniemy to — powiedziała niska rudowłosa kobieta siedząca obok montażysty. — Nieistotny, zbędny szczegół.

Taśmę cofnięto, po czym puszczone od nowa, ale Sonja już biegła, szybciej od klatek filmowych, po schodach, na ulicę, łapczywie chwytając ustami powietrze, jak człowiek uratowany z topieli.

*

Helvi nie nakazała ani nawet nie zasugerowała Sonji, żeby zrobiła to, co w konsekwencji zrobiła. To nie było nieuniknione, lecz brało się z przekonania, że jeśli sama nie podejmie decyzji, wmiesza się w to nieuchronność, która dotąd wytyczała jej życie. Może to wszystko było zapisane, jak lubił mawiać Jiri, lecz może to Helvi miała rację, gdy odpowiedziała tak:

— Może i zapisane, ale lepiej, żebyś to ty napisała niż jakiś skurwiel, co pokazuje tylko twoje wady.

Odtąd Sonja postanowiła, że przynajmniej w pewnym stopniu sama będzie pisała kronikę swego życia, że przynajmniej spróbuje nadać osaczającemu ją strumieniowi jakąś formę, zamiast pozwolić, aby życie jej i osób wokół zostało sprowadzone do rangi nieistotnych, zbędnych szczegółów lądujących w koszu montażowni.

Popatrzyła przez okno sypialni, pobiegła spojrzeniem jak najdalej ku porannemu niebu, aż poraziło ją słońce, które tkwiło w przestworzach jak płomień w bladej wodzie, więc zacisnęła powieki i odwróciła twarz, myśląc znowu o tym, o czym od tak dawna starała się nie myśleć,

zastanawiając się, gdzie jest jej ojciec i co myśli.

Zastanawiając się też: dlaczego on nie napisze? Dlaczego?

ROZDZIAŁ 46

1990

Jak barowy zabijaka, który za żadne skarby świata nie przestanie okładać przeciwnika pięściami, choć z biednego skurwiela została już tylko miazga, która nie jest w stanie dźwignąć się z zalanej krwią podłogi, deszcz wciąż walił w blaszany dach smętnych robotniczych kwater w Tullah tamtej nieszczęsnej zimowej nocy. Wiatr, potępieniec z zachodu, wył i smagał budynek kapryśnymi podmuchami. W parszywym pokoju Bojana mały przenośny grzejnik stojący na podłodze syczał cienką czerwoną linią, bałamutnie obiecując ciepło.

Bojan przeklinał pod nosem uporczywy hałaśliwy deszcz. Światło z nagiej żarówki padało wprost na prawie już opróżniony karton z piwem Cascade, stojący obok Bojana na środku łóżka, a pudło rzucało groteskowe cienie aż po granice małego pomieszczenia, jakby było tu jedyną żywą materialną istotą.

Pierdolić to, pomyślał Bojan Buloh. Pierdolić wszystko. Faken pierdolić to miejsce. Pierdolić mnie. Sięgnął do kartonu po kolejną butelkę. Wsunął szyjkę butelki w kącik ust i mocno przygryzł trzonowymi zębami metalowy kapsel. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że w pokoju ktoś jest. Usłyszał głos.

Mówiący:

— Jestem w ciąży.

Nie podniósł oczu, tylko przekreślił głowę w bok, powoli obracając butelkę w zębach, podważając kapsel. Piwo zasyczało pod wpływem uwolnionego ciśnienia. Wyciągnął otwartą butelkę z ust. Wypluł kapsel na podłogę.

A potem wypluł jedno słowo:

— Wiem.

— Myślałam, że może nie dostałeś mojego listu.

W jednej dłoni trzymał papierosa, w drugiej otwarte piwo. Był pijany, ale spokojny. Miał przygaszony głos. Na zewnątrz była zimna i

czarna noc. Na zmianę zaciągał się papierosem i popijał z butelki, gdy jedna ręka się unosiła, druga opadała. Cmokanie ust przy papierosie, bulgot piwa w butelce. Ruchy o zasięgu kilku centymetrów, ruchy całego życia. Pragnąłby się rozpuścić w zacinającym deszczu, zostać zmyty do rzek, które niedługo spierdolą stąd na zawsze. Pierdolić rzeki, pomyślał Bojan.

— Nie — odparł. — Dostałem.

Nad ich głowami deszcz dudnił wzmożonymi falami w znękaną blachę. Sonja odczuwała tę burzę jako dojmujący ciężar przygniatający ich oboje. Bojan odwrotnie, w hałasie znalazł schronienie, kokon, do którego mógł się wycofać, w którym mógł się poczuć bezpieczny z dala od innych, który zarówno go więził, jak i przynosił ratunek. Ta myśl dodała mu sił, żeby zadać pytanie:

— Co mogę zrobić?

Sonja milczała.

Wypuścił dym z płuc i wyciągnął do przodu ręce z butelką i papierosem.

— Nie mam domu — powiedział. Wciąż milczała. — Nie mam pieniędzy, nie mam dobytku, tylko tę robotę i ten pokój.

Mogłeś zadzwonić.

— Po co?

Aby pokazać, jak niewiele go to obchodzi, podniósł butelkę do ust i pociągnął łyk. Sonja patrzyła na to ze smutkiem i wstrętem. W dumnej ojcowskiej beznadziei było coś na poły fascynującego, na poły odrażającego. Gdy piwo spłynęło do gardła, porośnięta szczecina pomarszczona grdyka zaczęła się poruszać jak u mewy. Połknął jednym haustem chyba połowę zawartości, choć trudno to było stwierdzić, bo od gwałtownych ruchów reszta spieniła się w butelce.

— Nic dziwnego, że mama odeszła — powiedziała Sonja.

Odsunął odrobinę szkło od ust, trzymając je na wysokości piersi, wciąż nachylone, gotów ma następny łyk. Spojrzał na córkę, poirytowany, że przypomniała mu o istnieniu Marii.

— Co ty tam wiesz — prychnął z pogardą.

Pierdolić Sonję.

— Wiem, jaki jesteś — powiedziała.

Pierdolić ją.

— Gównu wiesz.

Może i tak, uznała Sonja. Ale wiem, kim sama jestem. Może to niewiele. Ale wiem. Potem, choć nawet nie sformułowała tych słów w myśli, usłyszała je wychodzące z jej własnych ust, nie wykrzywane znieńacka, jak u niego, lecz wyszeptane twardym głosem:

— Zamknij się.

To było zaskoczenie. Dla niego. I dla niej. On zachowywał się normalnie, prawie rytualnie, ona jednak swoim postępowaniem zdumiewała ich oboje.

— Zamknij się — powtórzyła, niemal jak pobożne życzenie, jakby to była uwaga rzucona na boku, nieadresowana do nikogo, ale przepełniona mocą.

A gdy to powiedziała, gdy po raz drugi kazała mu się zamknąć, głowa odskoczyła mu do tyłu, tylko odrobinę, ale oboje wiedzieli, że ta odrobina jest jak nokaut, jakby Sonja zadała niespodziewany cios, po którym go zamroczyło.

Potem usiłował udawać, że w ogóle tego nie poczuł, zadarł podbródek, trzymając głowę wysoko, jak gdyby w oczekiwaniu na powtórkę przestrzegając ją, aby nawet nie próbowała — jakby to była jedna z tych niezliczonych bójek przed pubem pod koniec wieczora, których Sonja naoglądała się zza szyby FJ.

Zauważyła.

Że on lekko dygocze.

Że twarz mu drga, jakby opanowana przez natłok tików, a na tej twarzy zobaczyła mnóstwo tego, co — jak sądziła — jest tylko jej udziałem. Teraz to wszystko ukazało się jej oczom. Uświadomiła sobie, siedząc tam w posępnej noc, że ta twarz — którą dotąd uznawała za nietkniętą przez czas — straszliwie się starzeje. Było to starzenie nieskończenie gorsze niż piwny bebecz i łysina. Starzenie się tak nieszczęsne i szkaradne, tak przyśpieszone, że lata odciskały swoje okrutne piętno w ciągu ledwie sekund, a dziesięciolecia w ciągu minut. Gdy patrzyła, nowe bruzdy pojawiły się na całej twarzy, jakby niewidzialny anioł żłobił niewidzialnym rylcem.

Na oczach Sonji Bojan przemieniał się z mężczyzny, którego

dawniej znała, z ojca, z *ati*, w kogoś innego, kogo z trudem rozpoznawała. Włosy wydały się nagle przerzedzone, jeszcze bardziej posiwiałe. Skóra zwiotczała, pomarszczyła się, obwisła. Oczy się zapadły, straciły blask. I te zmarszczki! Te bruzdy i żłobienia! Jakby za chwilę miały się otworzyć magicznie i krwawić, bała się tej straszliwie porytej twarzy i tego, co ją stworzyło, a czego ledwie się domyślała — bała się^{sie} anioła zemsty z jego rylcem i dziełem o wiele bardziej, niż kiedykolwiek bała się swego nieszczęsnego ojca.

Wiedziała jednak, że nie ma wyboru, że musi brnąć dalej. Powiedziała więc:

— Mam ciebie powyżej uszu. Myślałam, że może się zmieniłeś...

Nie dokończyła, bo otworzył drżące usta, dygocząc mocno na całym ciele, i krzyknął:

— Nic nie wiesz!

Ona zaś, wbrew sobie, nagle wrzasnęła:

— Zamknij się! Zamknij!

Uderzyła go mocno w chropawy poplamiony policzek, czując pod zadającą cios dłonią skórę szorstką jak papier ścierny.

Nigdy wcześniej nie zrobiła niczego podobnego. Nigdy nie odpłacała tą samą monetą. Spojrzał na nią tak, jak nigdy dotąd na nią nie patrzył: w osłupieniu.

Podniósł rękę do zaczerwienionego policzka i zaczął go pocierać, czując piekący ból. Przesunął dłoń do ust, ściągnął wargi, następnie odwrócił głowę. Może się zastanawiał, a może próbował zapomnieć jeszcze o czymś.

— Twarda wyrośłaś — powiedział w końcu.

Zatrzęsa się. A potem pokręciła głowę, popatrzyła na niego i powiedziała bez cienia litości czy gniewu:

— Bo miałam kurewsko twarde życie.

Powoli, ale nieodwołalnie, między jednym a drugim przyśpieszonym wdechem znalazła w słowach to, o czym nigdy nawet nie pomyślała, ale co było nieuchronnie prawdziwe.

— I lepiej się do tego, kurwa, przyzwyczaj.

O dziwo, jej słowa zdawały się zmieniać równowagę sił między nimi. Z głosu Bojana zniknęła pogardliwa, kpiarska nuta. Ostrze ich

konfrontacji stępiło się i teraz stali naprzeciw siebie jak równy z równym, współuczestnicy tragedii, której żadne do końca nie pojmowało. I być może dlatego żadne nie wiedziało, co teraz powiedzieć.

Twarz Bojana wydawała się tak miękka i bezwładna jak resztką piany wyciekająca z butelki. Odwrócił się do stolika przy łóżku i wyjął pudełko z fotografiami. Zaczął w nim szperać i wreszcie znalazł zdjęcie dziadka, który kiedyś przyśnił się Sonji. Przyłożył palec do twarzy nieboszczyka, a potem podał jej zdjęcie, pytając:

— Pamiętasz?

Sądząc, że ojciec usiłuje skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory, odparła oschle:

— *Ati* mamy. Mój dziadek.

— Jak umarł?

— Na wojnie, nosił partyzantom jedzenie — odparła Sonja, recytując fragment historii, którą słyszała nader często. — Proboszcz ze wsi powiedział domobrańcom. Przyszli z dywizji SS Prinz Eugen i go zastrzelili. To zdjęcie... To już później.

Bojan zadumał się nad jej odpowiedzią. Otworzył usta, lecz rozmyślił się, a po chwili zaczął od nowa:

— Maria...

Sonja odgadła, że nie wie wszystkiego.

— Mama... Czy mama to widziała?

Westchnął i odwrócił wzrok. Odłożył butelkę i zapalił kolejnego papierosa.

— No jasne — odpowiedział. Miał taką minę, jakby był rozczarowany, że córka nie rozumie, choć zawiedziony był sobą, bo zabrakło mu odwagi, aby opowiedzieć całą historię do końca. Dodał: — Musiała widzieć. Tak to było. Rozumiesz, co mówię?

Sonja skinęła głową. Czowała się odurzona. Nie wiedziała, że Maria musiała patrzeć na śmierć swojego ojca. Zaczęła łączyć tę informację z elementami swojej przeszłości, które dotąd nie miały żadnego sensu.

Bojan zerkał tu i tam, wszędzie, byle nie napotkać wzroku córki. Wciągnął powietrze w płuca, a potem, wciąż uciekając spojrzeniem, wpatrzony w podłogę między odwróconą literą V utworzoną z rąk

opartych łokciami na kolanach, zbiegających się u wierzchołka w postaci papierosa, zaczął snuć opowieść. Mówił powoli, bo była to przejmująca historia, a zarazem taka, którą można zamknąć w kilku słowach. Rzekł:

— Potem zgwałcili jej siostrę i matkę.

Urwał, przełknął ślinę.

— Potem zgwałcili Marię.

Sonja poczuła osobliwą lekkość, jakby nagle przecięto wszystkie więzy łączące ją z tym światem. Nigdy dotąd o tym nie słyszała. Czowała się otepiała, przygnieciona brzemieniem nowej świadomości. Wreszcie bezgłośnie poruszyła wargami, mówiąc dwukrotnie: — Zgwałcili Marię — czując w ustach ciężar każdego słowa jak suchy kamień. Chciała się upewnić, że dobrze usłyszała.— O kim mówisz? — spytała drżącym głosem, a jej strach był wyraźnie słyszalny w niepewnych tonach. — O kim ty mówisz?

Czując, że powiedział za dużo, Bojan zamilkł, a jego gniew natychmiast się ulotnił. Wreszcie spojrzał na córkę.

— O Marii — odparł.

Cicho.

Jakby wciąż nie rozumiała.

— Esesmani zgwałcili Marię?

Spuścił wzrok.

— No tak. Spójrz na tył fotografii.

Odwróciła zdjęcie. Na pofałdowanej, poplamionej kwasem powierzchni widniała data napisana wyblakłym niebieskim atramentem: „9 IV 1943”.

— Miała dwanaście lat — powiedział.

— Mówiła ci o tym?

Zareagował gwałtownie, jakby był poirytowany, że córka nie rozumie ogromu tego pohańbienia.

— Nic nie mówiła!

Z jeszcze większą porywcznością, wywołaną zarówno gniewem spowodowanym tym, co się stało, jak i dumą z tego, że Maria nigdy mu tego nie wyjawiała, przypieczętował dobitnie:

— Nigdy!

Jakże wyniośle to powiedział.

Uświadomił sobie, że Sonja spija każde słowo z jego ust, że nastąpiła jedyna w swoim rodzaju chwila wzajemnego zrozumienia, jakiej nigdy dotąd nie przeżyli. Zamilkł, a potem, choć mówił spokojnie, obudziła się w nim wściekłość. Wskazał córkę prawą ręką i każde kolejne słowo akcentował dźgnięciem rozżarzonego papierosa, gubiąc popiół, zostawiając smugi dymu w powietrzu:

— Ale cała wieś wiedziała. Rozumiesz?

Odebrał Sonji zdjęcie i znów popatrzył na nieboszczyka w trumnie. Przystawił papieros do głowy leżącej postaci i trzymał przez chwilę, wypalając dziurę w twarzy zabitego mężczyzny. Z pewnym rozkojarzeniem mówił dalej:

— Taka jest wojna — stwierdził, jakby opowiadał o odległym śnie, którego szczegółów nie można odtworzyć. — Niech ci nigdy nikt nie wmówi, że jest inaczej.

Podniósł głowę i spojrzał na Sonję. Podsunął jej zdjęcie, jakby to był niezaprzeczalny dowód, a ona, nie wiedząc, co zrobić, wcisnęła je do torebki. Jego oczy zaszyły łzami. Błagał ją, prosił w milczeniu, aby powiedziała, że rozumie całą potworność tego wszystkiego.

Ale Sonji zabrakło słów. Bojan otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale nic się z nich nie wydobyło. Poruszył wargami, językiem, lecz żadne słowa nie padły.

A potem, nagle, ogrom tej tragedii, którą nosił w sobie od tak dawna niczym niewidzialny ciężar na barkach, objawił się w całej ohydzie, napawając go przerażeniem.

— Zabili jej ojca! — krzyknął znienacka. — Potem ją wyruchali. Rozumiesz? Wyruchali!

Mówił z niepohamowaną żalnością, jakby recytował wiersz o cierpieniu przekraczającym ludzkie pojmowanie.

— Moją Marię.

Rozpłakał się.

— Wyruchali.

Zakrył głowę rękoma, jak gdyby się bał, że skronie mu eksplodują od bolesnych wspomnień.

Sonja odwróciła się i wyszła.

— Marię, Marię, Marię.

Na zewnątrz, w nocnym deszczu, ruszyła z kwater robotników do swojego samochodu, najpierw szybkim krokiem, potem truchtem, wreszcie biegiem, aby jak najszybciej zostawić to wszystko za sobą.

Zacząła szperać w torebce w poszukiwaniu kluczyków i upuściła ją w kałużę. Uklękła na mokrym żwirze i zgarnęła prędko wszystko, co się wysypało, wrzuciła z powrotem do przemoczonej torebki, przeocząc w pośpiechu zdjęcie zamordowanego dziadka. Najpierw wsunęła do zamka jeden kluczyk, potem dopiero drugi, właściwy. Słyszała tylko lament ojca. Wsiadła, zatrzasnęła drzwi, włączyła zapłon i wydusiła z silnika najwyższe obroty, żeby było głośno, żeby zagłuszyć Bojana, zagłuszyć to wszystko.

A jednak wciąż słyszała jego lament w pokoju, słowa będące straszliwą skargą przeplataną długim rwanym zawodzącym szlochem. Boleściwą modlitwą o stracie, która ściagała Sonję przez całą drogę do Hobart:

Madonna, Madonna, Madonna
Maria, Maria, Maria.

Jakiś czas po odjeździe samochodu wracający do domu pijany turecki lutowacz-spawacz przystanął na moment za potrzebą. W przyćmionym mgłą jarzeniowym świetle latarni zobaczył w kałuży rozbryzgiwanej strugą moczu dziwną rzecz: rozmokłe zdjęcie nieboszczyka leżącego w trumnie, z wypaloną dziurą zamiast twarzy. Miał się za wyczynowca, więc spróbował skierować strumień na to wypalone oko i po chwili trafił w cel. Ku najwyższemu zdumieniu pijanego lutowacza-spawacza w tym miejscu pojawiła się twarz, która uniosła się z kałuży i zaczęła rosnąć, aż stała się alabastrowa i tak duża jak jego twarz, patrząc na niego z przytłaczającą żalnością, która wzbudziła w nim wielką trwogę. Cofnął się chwiejnym krokiem w mrok i ruszył w swoją stronę, mruczając należne przeprosiny, ale przez kilka nocy nie mógł zmrużyć oka.

ROZDZIAŁ 47

1954

Matka była ubrana w koronki, tyle Sonja pamiętała.

Ile było tych koronek?

Tego nie pamiętała.

Jaki rodzaj? Wzór w lilie czy róże, szydełkowe czy igłowe?

Nie wiedziała.

W kolorze perkalu czy śnieżnobiałe?

Nie potrafiła sobie przypomnieć. Tak czy owak, nie miało to znaczenia. Czy koronkowe były tylko kołnierzyk i mankiety, jaki miały kolor i kształt, rozmiar i wzór, nieważne, były piękne i Sonja zapamiętała to jako piękno niosące wyzwolenie, przybierające rozmaite barwy, formy, wielkość w różnych chwilach, kiedy to sobie przypominała, i wcale jej to nie martwiło, bo niby czemu miałyby martwić? Wiedziała, że matka ubrała się tak samo jak na pogrzeb włoskiego kopacza tuneli, którego zmiażdżył spadający głaz: zdawała sobie sprawę, że okazję stanowi jakieś ważne odejście.

Mama miała na sobie koronki, które były piękne, i mama odchodziła, Sonja domyśliła się tego, a w jej mocy było tylko patrzeć, a potem pogrzebać to, co widziała, tak głęboko w swoim wnętrzu, że na duszy odcisnęły się ledwie mgliste zarysy utraconego wspomnienia. Jedynym słowem, jakie jej pozostało na opis tych zatartych śladów z przeszłości, była „koronka”. Nachodził ją sen, w którym strzep koronki trzepotał przed jej twarzą i wtedy usiłowała go złapać, ale odlatywał. Sonja rzucała się w pogoń. Za każdym razem pościg wyglądał inaczej, ale kończył się nieuchronnie tym samym: koronka przepadała na wietrze.

Mama miała na sobie koronkę, która była piękna, i mama odeszła, ale zanim to zrobiła, zaśpiewała cicho Sonji kołysankę w mowie łagodnej, przecudownej i swojskiej jak intymny zapach matczyngo mleka, która teraz brzmiała w jej uszach obco, której nie rozumiała, ale która w śpiewie była egzotyczna i przejmująco smutna. *Spanćek*

zaspanćek, zaśpiewała mama.

*...den moźic
hodi ponoći,
nima noźic...*

Koronka niosła ze sobą dziwne słowa, aż sfrunęła w śniegu do chaty w Butlers Gorge i przeobraziła się w mamę Sonji, w Marię Buloh, młodą kobietę w szkarłatnym palcie i znoszonych bordowych butach, a w jej rozkołysanych delikatnie objęciach zmaterializowała się trzyletnia Sonja, której mama cicho nuciła.

Co śpiewała?

Kołysankę w ojczystym języku, znajomą i niosącą pokrzepienie:

*Lunica ziblje aja,
aj, aj,
spanćek se smeje
aja, aj, aj.*

Jest oczywiście możliwe, że wyśpiewane słowa zabrały Marię do innego kraju, o którym próbowała zapomnieć, tak samo jak próbowała o nim pamiętać. Możliwe jest nawet, że gdy kołysała dziecko na kolanach, ujrzała swój rodzinny dom, prawie po dach zasypany śniegiem, zagnieżdżony w Alpach Julijskich, zobaczyła, jak śnieg topnieje, a góry się zielenią, ociążałe od wiosennego kwiecica. Być może wtedy zobaczyła to, o czym usiłowała zapomnieć, razem z tym, co pragnęła zapamiętać, a ból biorący się z nierozdzielnej natury wspomnień okazał się ponad jej siły. Z całą pewnością — w pamięci Sonji — po twarzy Marii pociekły łzy i być może, aby powstrzymać się od płaczu i odegnąć wspomnienia, przestała śpiewać słoweńską kołysankę i odezwała się po angielsku:

— Moje dziecko. Moje dziecko.

Po zwiewnej piosnce angielskie słowa wydawały się oschłe i ociążałe, brzmiały tak, jakby Maria miała okaleczony, może nawet wycięty język. Posadziła zdezorientowane dziecko obok i kolejny raz przemówiła niezborną angielszczyzną, a słowa padały z jej ust jak ostre kamyki, mała okrutna lawina przypieczętowująca los córki.

Co powiedziała?

Prawdę, dziwną i nieuchwytną.

— Sonju, mnie trzeba odejść.

Maria włożyła dziewczynkę z powrotem do łóżka. Ale kiedy ruszyła do wyjścia, dziecko wstało i patrzyło za nią z progu sypialni. Maria otworzyła frontowe drzwi. Na zewnątrz było ciemno.

— Nie martw się — powiedziała. — *Ati* niedługo wróci.

W elektrycznym świetle latarni Maria zobaczyła padający śnieg. Co, pomyślała, znajduje się poza kręgiem jasności?

— Sonja? — spytała Sonja.

— Nie, córeczko — odparła cicho Maria. — Mnie trzeba samej iść.

Wróciła do sypialni, po raz drugi położyła dziecko do łóżka, przytuliła je mocno, a potem cofnęła się szybko, okręciła na pięcie i ruszyła do wyjścia, próbując głosem ukołysać małą do snu, nie oglądając się przez ramię, powtarzając: — *Aja, aja* — zwracając się do ścian, do sufitu, a potem wyszła na dwór, podniosła wzrok i zobaczyła nocne niebo, które było nicością i niczego nie wyjaśniało, niczego nie oferowało, i poczuła bezdenną rozpacz, ale mimo błagań córeczki drzwi już się zamknęły i było tak, jak Sonja zawsze widziała w snach: koronka przepadła na zawsze.

ROZDZIAŁ 48

1966

A potem mocarne ramię otoczyło jej śpiące ciało i potrząsnęło nim z leniwą siłą, żeby się obudziła.

Nie wiedział, dlaczego nią potrząsnął.

Pragnął powiedzieć: jest to.

Pragnął powiedzieć: ale pięknie wyglądasz we śnie.

Nie chciał powiedzieć niczego.

Pragnął tylko, aby to usłyszała. Nie chciał, aby wiedziała cokolwiek o jego uczuciach. Pragnął, aby oboje uciekli, kolejny raz przemknęła mu nawet przez głowę straszliwa myśl, aby zabić siebie i ją, ale odpędził tę myśl jak złego ducha i zabrał dłoń, bo mimowolnie cofnął się i uniósł rękę, aby się przeżegnać, po czym zastygł zdjęty odrazą, uświadomił sobie bowiem, że był o krok od poszukiwania ratunku w religii.

Pragnął, aby uciekła od niego. I chciał, aby z nim została.

Bo ona rozumiała wszystko, choć nic nie wiedziała. Znowu nią potrząsnął.

W umyśle Sonji cisza padającego śniegu i znikającej koronki ustąpiła miejsca warkotowi samochodów parkujących na dworze, nagłemu hałasowi zatraskujących się z hukiem drzwi i pijackim głosem mówiącym mieszaniną europejskich języków.

— Manio — wyszeptała Sonja pod wpływem wspomnienia wyłaniającego się na powierzchni. — Mamo — zakwiliła.

Wysłuchiwała się w wiatr, czekała, aż odpowie: „Aja, aja”. Ale gdy spojrzała w zaszklone oczy, uświadomiła sobie, że to ojciec nią potrząsa, i odwróciła głowę w obronie przed podszyconymi alkoholem słowami:

— Budź się.

W środku nocy.

— Chodź. Szykuj jedzenie.

Aja, aja.

W czterech ścianach dużego pokoju szeroko otwarte przed chwilą we śnie oczy musiała teraz zmrużyć, żeby w blasku koloru moczu, przyćmionym dymem papierosowym, dostrzec kilku pijanych mężczyzn z Europy, mniej ich, niż sugerował wszechznany hałas. Siedzieli przy laminowanym stole, przesuniętym teraz na środek pomieszczenia, z musztardową tkaniną przykrywającą różowe marmurowe cudo, a na niej karty i butelki, niektóre pełne, inne puste, niektóre duże i wysokie, kipiące pianą, inne małe i pełne wrednego trunku, i przez chwilę, zanim oczy przywykły, nie wiedziała, kto opróżnia butelki, nie wiedziała, czy butelki są mężczyznami, czy może mężczyźni butelkami.

Pili nie po to, żeby cieszyć się terażniejszością, pili udręczeni dojmującym pragnieniem, żeby zapomnieć o przeszłości i wyprzeć się jutra. Ich celem nie była przyjemność, lecz wymazanie, a cel ten zamierzali osiągnąć jak najszybciej.

Pili wino z dzbanów.

Pili bimber z butelek po coli.

Pili piwo ze smukłych butelek.

Co drugą kolejkę uświęcali kieliszkiem sznapsa. Aby przyśpieszyć wędrówkę alkoholu do wnętrzości, odrzucali gwałtownie głowy do tyłu, jakby nagle wbito im nóż w serce ' przeżywali chwilę największej grozy, świadomi, że rana jest śmiertelna, a biedna dusza za chwilę uleci ze steranego ciała.

Chciała powiedzieć: *Ati*, muszę iść rano do szkoły.

Powiedziała.

— *Ati*, salami?

Zajadła dyskusja, gwałtowna gestykulacja, urywki łamanej polszczyzny, słoweńskiego, niemieckiego i nowoaustralijskiego, rozmowa wznająca się jak piła łańcuchowa w noc, zwiększająca obroty, spowalniająca, warkot, gdy ostrze tnie w tę i we w tę.

— No jasne — odparł Bojan, przekrzykując hałas. — I *kruh*, i prosciutto, i paprykę, co marynuję, i grzybki, co marynuję, i łososia, co wędzę.

Sonja rozumiała tych wszystkich mężczyzn, choć żadnego nie знаła. Nikt inny nie rozumiałby ich słów, nikt inny nie rozszyfrowałby ich serc, nikt inny nie zobaczyłby ich dusz. Rozumiała ich wszystkich, a

przez to jeszcze bardziej ich nienawidziła. I siebie też. Poszła do kuchni. Przygotowała talerze z salami, serami i chlebem. Ułożyła wszystko starannie, każdy kolejny plasterk salami nasunięty odrobinę na poprzedni, całość jak stonoga przyprawionej wieprzowiny i tłuszczu, drepcząca po brzegu talerza ku środkowi. Spojrzała na zegar kuchenny, który wskazywał kilka minut przed drugą w nocy, i uśmiechnęła się lekko na myśl o tym, że za kilka godzin znów będzie siedziała półprzytomna na lekcjach w szkole. Dawniej ją to złościło. Ale teraz uznała, że to wszystko zmierza do jedyne­go możliwego końca — jej odejścia. Kiedy i jak odejdzie, tego nie wiedziała. Wiedziała tylko, że jej pragnienie nieuchronnie weźmie górę nad tym, co do niedawna postrzegała jako swój los.

Gdy zwinnie krzątała się wokół mężczyzn, bez entuzjazmu czy zainteresowania, podając talerze i napełniając szklanki, jeden z nich próbował ją pomacać. Zignorowała go tak samo, jak pozostali ignorowali ją. Na ogół mężczyźni traktowali ją jak powietrze, jakby w ich obecności jedzenie i picie wyczarowywane było magicznie mocą ich upodobania do alkoholu, jakby była tak nieistotna dla nich, jak oni byli nieistotni dla świata, widziadło rodem z wyobraźni.

Naga żarówka nad ich głowami płonęła jak nieopisane przeżycia, które nosili w sercach. Próbowwała nie dostrzegać tych mężczyzn — kochających odległe zakątki świata i ludzi, którzy dawno już pomarli albo z którymi nie mieli kontaktu, więc na jedno wychodziło; w swoich rozmowach ci ważniacy starannie unikali spraw ważnych, wszelkich spraw związanych z miłością albo, jeśli już o to chodzi, nienawiścią. Próbowwała nie słyszeć ich głosów: bełkotu o pożądaniu i wódz­ie, i pracy, i innych bzdetach, przesyconego agresją, żeby w oczach pozostałych mężczyzn, a głównie we własnych, stworzyć wrażenie, że rozmawiają o czymś istotnym, że mają nad tym choć odrobinę kontroli, że to być może jest życie, a oni jeszcze nie umarli. Pili, gdy zachodził księżyc, pili, gdy wschodziło słońce, ale tak naprawdę nie należeli ani do nocy, ani do dnia. Pogubili się w czasie, tak jak pogubili się we wszystkim.

Kilku nadal żyło z kobietami, z którymi przybyli do nowego kraju, ale kleiste spoiwo ich młodego niegdyś związku przemieniło się w kamień o twardych, ostrych krawędziach. Inni stracili kobiety, z którymi

się wcześniej związali; ten i ów znalazł sobie Australijkę, najczęściej młodą i upartą istotę, gotową dzielić los z mężczyzną, którego większość Australijczyków nie tylko uważała za gorszego człowieka, ale jako takiego go znała, istotę przekonaną w swej naiwności, że miłość wszystko zwycięży, nawet taką nienawiść, i czasem, choć rzadko, ta głupota okazywała się mądrością, ale cena za to była wysoka.

Ale niejeden z tych mężczyzn przyjechał do Tasmanii sam i prędzej czy później uświadamiał sobie, że w samotności przeżyje resztę swoich dni i że w samotności odejdzie z tego świata i przez to jeszcze bardziej bał się nocy.

Tak oto stali się mężczyznami, którzy obywali się bez kobiet — z wyjątkiem tych nieczęstych chwil, kiedy łączyli się z jakąś, która przynajmniej przez jedną noc widziała w nich coś więcej, niż sami w sobie widzieli, albo z kurwą, która widziała tylko to, co mieli do zaoferowania, a więc niewiele: pieniądze i jęki wydawane w różnych dziwnych językach. Gdyby kurwy słuchały uważnie — co się zdarzało lub nie — gdyby przysunęły zimne ucho do tych okrutnych wrażliwych ust, wtedy w tych dźwiękach mogłyby złowić straszliwą tęsknotę, ale ponieważ dźwięki te należały do innej mowy, wydawały się prymitywne, zresztą takie przecież były, i pozbawione treści, choć takie akurat nie były. Tak więc mężczyźni wystawiali swoje głowy i butelki na palące elektryczne światło, aż głowy bolały, a butelki były puste. Sonja nie chciała nic o tym wiedzieć, ale rozumiała wszystko.

*

W wielkim lesie poza granicami osady diabły, nielazy, oposy, poturu, wombaty, walabie także wiodły osobliwą nocną egzystencję, przeczesując ziemię w poszukiwaniu byle czego, żeby utrzymać się przy życiu, a kiedy nieopatrznie zapuszczały się na nowe żwirówki, które wszędzie wdzierały się do ich świata, wtedy paraliżował je nagły szok wywołany hipnotyzującym ruchomym światłem reflektorów, przemieniającym je z mieszkańców ogromnych lasów i równin w biedne żałosne istoty skazane na starcie na miazgę przez gumę i metal. Zwierzęta, ujrawszy w blasku elektrycznym, że poza ostro podświetlonym zarysem swej sylwetki na drodze nie mają już znaczenia,

życia, sensu, były rozjeżdżane przez pijanych mężczyzn, którzy zdążali do pracy lub z niej wracali, krążyli między kurwami, wódą i kartami na szlaku większych miast.

Za dnia drogi były upstrzone czerwoną miazgą, a żerujące na ścierwie zdumione jastrzębie wlatywały do góry, ciągnąc za sobą powiewające trzewia — wstrząsający widok zakrwawionych jelit rozpiętych na tle błękitnego nieba, jakby to sam świat został ranny.

Niektórzy wierzą, powiedział Jiri Bojanowi, że te zwierzęta odradzają się jako duchy albo inne zwierzęta, a nawet jako ludzie. Ale wpadając rozpędzonym samochodem na bratniego niełaza czy wombata, Bojan miał nadzieję, że wyświadcza mu przysługę, bo uwalnia go na zawsze od brzemienia życia.

ROZDZIAŁ 49

1966

Gra w karty skończyła się około czwartej nad ranem tak samo, jak kończyła się zawsze: zażartą kłótnią. Zbliżał się świt, a tuż za nim kolejny dzień pracy, jednak nikt nie palił się, inaczej niż wtedy, gdy noc jest jeszcze młoda, do rozstrzygnięcia sporu za pomocą pięści. Sonja była im za to wdzięczna. Mężczyźni zaczęli wychodzić grupkami, aż w końcu zostali tylko ona i bardzo pijany Bojan, sprzątający bałagan w pokoju i kuchni.

Patrzyła na szalonego i rozmemłanego ojca, zastanawiając się, czy w ogóle wie, kim on jest w takich chwilach. Chciała go znać takim, jakim był w innych sytuacjach. Nie jak teraz. Może dlatego zapomniała się i powiedziała jak idiotka:

— Dokończę sama. Idź do łóżka. Łyknąłeś trochę, musisz się przespać.

Powiedziała to spokojnie, właściwie życzliwie. Ale przepity umysł Bojana zignorował łagodny ton jej słów, usłysza zaś to, czego w ogóle nie miała na myśli: że nie może znieść widoku ojca w takim stanie.

Wściekły, uniósł rękę nad głowę.

— Nie jestem pijany, cholera.

— Nie powiedziałam, że jesteś pijany — odparła Sonja, po czym natychmiast uświadomiła sobie, że tego też nie powinna mówić.

— Jak to faken pijany?

— Nie — zaprzeczyła, oddychając coraz gwałtowniej, wypowiadając słowa z coraz większym napięciem, jakby od początku miała na myśli to, co sugerował ojciec. Dodała szybko: — Nie, nie, nic, nieważne.

Ale nie słuchał.

— No to się raz na jakiś czas rozerwę. Nie wolno mi się rozerwać? Założę się, że ty się faken dobrze bawisz, jak mnie nie ma. Założę się, że ty faken chłopaków ten, no, faken założę, bo faken wiem,

ty faken ździro faken mi edziesz tu.

Zakręciło si jej w gowie. Sonja poczuła, e ziemia si unosi i kołysze, ale wiedziała, e musi zachowa równowag, e nie moe upa. Przyłya stulone donie do uszu, eby nie sysze, lecz gowa na zmian puchła i zapadała si w nico, a donie nadawały tej potwornoci dodatkowy ksztalt zamiast jej przeciwdziała.

Bojan wrzeszczał:

— Faken zdzira faken jak matka!

Wypluł z siebie ostatnie sowa. A potem Sonja zobaczyła, e jej donie tworzą tarcz, reka Bojana nadlatuje ku jej twarzy, rosnący coraz bardziej wierzch wielkiego łapska.

— Faken jak faken matka.

Krzykna, ale nie ze strachu, tylko powodowana czym gszym; nieumylnie go sprowokowała, bo przecie nie miała takiego zamiaru, nie miała.

— Nie! — wrzasna, przeraona tym, co miało nieuchronnie nastapi. — Nie, nie! — krzyczała.

Gos miał spokojny, pozbawiony emocji. Tylko twarz mu drała.

- Patrz — wycedził, jakby próbował udowodni sobie i jej, e jest trzewy. — Pokaż ci.

Uderzył j na odlew raz i drugi, ale zachowała bierno, nie zapłakała, a gdyby nie rozcita skora i struka krwi, mona by sadzi, e w jego ciosach nie byo siły. Twarz mu drała. Sonja bagała go teraz po soweńsku, wierkajc jak oszalały ptak w klatce:

— *Ne, ati, ne, ne, ne, ne...*

Ale w tej chwili do Bojana nie trafiłyby sowa w adnym jzyku. Uderzył j znowu i znowu. A gdy upadła na podłog, wrzasnął z wielkiego bou, jakby to jego bito:

— Pierdol ci! Pierdol!

Nienawidziła go. Pragna objc go tak mocno, jak dzieci objły pani Heaney, swoj matk, bo moe wtedy nie czuła by a takiej nienawici.

— Pierdol ci! — krzyknał Bojan po raz ostatni, po czym ruszył chwiejnym krokiem do łka, potykajc si po drodze o krzesło.

*

Nie pamiętała, kiedy to się zaczęło. Cofnięcie się do wcześniejszych czasów oznaczałoby dla nich obojga przyznanie, że terażniejszość jest do niczego, a przecież mieli tylko terażniejszość, nic więcej. Nie pamiętała początków, pierwszego lania. Dostrzegała natomiast zmianę w swoich reakcjach na bicie — od paraliżującego strachu do poczucia pokrewnego błogiemu uwolnieniu, kiedy padał pierwszy cios bo koniec był bliski, a strach, w którym żyła przez wiele dni aż do tej chwili, spływał z niej razem z krwią, krew zaś pachniała słodko jak deszcz zraszający ziemię umęczoną suszą. W końcu nadeszła noc, kiedy uświadomiła sobie, że w ogóle nie boi się jego ciosów nu odlew ani uderzeń pięścią, bo wiedziała, że ma w sobie coś, co nie zostało okaleczone, co nie krwawi i czego ojciec nigdy nie dosięgnie.

ROZDZIAŁ 50

1966

Nazajutrz rano Sonja leżała nieruchomo w łóżku, oczy otwarte, czujne pośrodku posiniaczonej i opuchniętej twarzy. Z pokoju Bojana dochodziło pijackie chrapanie. Poruszyła się, poczuła paraliżujący ból, kłujący ją w twarz, usiadła powoli i wysunęła się spod kołdry. Nie ubrała się, lecz w piżamie poszła do spiżarni, napełniła wiadro gorącą wodą, dorzuciła trochę detergentu, spod szafki z umywalką wyciągnęła szmatę i podeszła do ściany obryzanej własną, zakrzepłą teraz i pociemniałą krwią. Zakreśliła mokrą szmatą luk, potem drugi i trzeci, patrząc, jak w trakcie mycia ściany i tak samo zakrwawionej podłogi pojawiają się różowe półkola. Sprzątając, obserwując, jak tworzą się i znikają arabeski, koła w kołach w kołach, zaczęła śpiewać, żeby zagłuszyć chrapanie ojca.

— Och, Mr Sheen, ale to miło... — zanuciła cicho i powoli, wolniej, niż wykonywano tę piosenkę w reklamie detergentu w aerozolu — ...że wszystko... tak ładnie... się wyczyściło.

Uporawszy się ze ścianą, otworzyła okna i frontowe drzwi, wytarła podłogi i pozmywała po grze w karty, a potem wreszcie doprowadziła i siebie do porządku, próbując unikać widoku swojej twarzy. Później, kiedy ojciec wstanie, dom będzie lśnił czystością, a woń skwaśniałego zboża uleci na pewien, za każdym razem coraz krótszy, czas.

ROZDZIAŁ 51

1966

Teraz już się przyzwyczajam.

Do jego nastrojów, nieoczekiwanych wybuchów, straszliwych słów, straszliwych odgłosów wydobywających się z jego ust. Gdy wchodzi do pokoju, ja wychodzę, nie ostentacyjnie, nic z tych rzeczy, bez manifestacji, po cichu jak mysz, przyklejona do ściany, żeby nawet nie zauważył mojej obecności. Gdy mnie mija, odwracam się bokiem, żeby miał więcej miejsca, gdy mówi, nie odpowiadam, ani dobrze, ani źle, żadnych żartów, żadnych poważnych tematów. Nie odpowiadam. Czasem, gdy gada jak najęty, to wiem, że próbuje zwrócić moją uwagę, skłonić mnie, abym spojrzała mu w oczy. Ale nie patrzę, nie spojrzę, bo gdybym spojrzała, zakręciłoby mi się w głowie, jakby jego oczy były wielkimi niebieskimi jeziorami, a ja stoję nad nimi wysoko, bardzo wysoko i tak się boję, że stracę równowagę i spadnę daleko w dół i utonę w tych ciemnoniebieskich jeziorach. Wiem, że próbuje pochwycić moje spojrzenie, a wtedy dostaję dreszczy, więc muszę opanować to uczucie, bo ono też go wyprowadza z równowagi: „Co się tak trzęsiesz? — pyta, na początku niby życzliwie. — Co się dzieje?”. Ale potem się wścieka, bo wie, dlaczego mam dreszcze, i tego nie cierpi i wykrzykuje straszliwe słowa, mówi straszliwe rzeczy: „Przestań się faken trząść!”, wrzeszczy, i podnosi rękę nad głowę, a ja chcę uciekać, ale nogi mam jak z ołowiu i wiem, że w chwili, gdy dojrzy moje uczy, ręka na mnie spadnie. „Pierdol się — mówi. — Ci się wydaje, że kim jesteś? No kim?” Nie wiem, kim jestem. Powinnam wiedzieć, ale nie wiem i ponoszę za to karę. Może to w porządku. Może to słuszne. Może gdy będę wiedziała, kim jestem, gdy będę umiała spojrzeć mu w oczy, nie czując dreszczy, odpowiedzieć spokojnie na to pytanie, wtedy już więcej mnie nie uderzy. I nagle słyszę, jak sama wrzeszczę bez namysłu, głośno wrzeszczę: „Kocham cię, ati!”, i słucham swojego krzyku i myślę, że nic więcej nie wiem, że wiem tylko to, i uświadamiam sobie, że patrzę w te odległe jeziora jego oczu i tracę

równowagę i lecę. „Faken kocham — odpowiada i płacze — co to jest ta faken miłość, Sonja?” I jego ręka spada, a ja tonę, nie mogę wydostać się na powietrze, na światło, słońce w górze i tonę.

ROZDZIAŁ 52

1966

Daje mi faken popalić. Kombinuje, cobym chciał ją uderzyć, jak faken mysza, nigdy nie odpowiada, jak do niej mówię. Cholera za nic nie słucha, dopiero jak, no, ją uderzę. Ale nie mocno. Nie pięściami, nie mocno. Tylko wierzchem ręki. Najczęściej. Ale musi się nauczyć. Pójdzie jej w życiu jak mnie, jak się nie nauczy. Pójdzie na dno. Przyginam ją do dołu, żeby rośła do góry. Czego się nie zachowuje jak cholerne normalne dziecko? Wiem, że mnie nienawidzi, jak mi patrzy w oczy, nienawidzi mnie. W dupie to mam. A gdzie mam mieć? Jestem gównno. Jestem bambo, faken bambo cipa. Ona nie. Wygląda jak oni. Gada jak oni. To dobrze. Nie jak ja. Nie jak stary drewniany dom rozpadający się na kawałki. Czego mnie rani? Kiedy mi patrzy w oczy, czemu mówi takie okropne rzeczy bez słów, co nie wolno nigdy mówić nawet słowami, przez co się czuję, jak by mi wiertłem wwiercali się w czaszkę? Wiem, że mnie nienawidzi. Biję ją, coby to powiedziała. Coby powiedziała, że jestem gównno, hej, bambo, coby powiedziała, że mnie nienawidzi, ty faken stara bambo cipo. Biję ją, coby wiedziała, jak to jest, jaki jestem zły i coby powiedziała to, na co czekam, coby to się już skończyło, cobym został sam i już miał to za sobą.

Faken biję ją i nic się nie dzieje. Może taki jestem pijany, że mnie się wydaje, że ją biję, a wcale tego nie robię? Może oglądam film, w którym biję Sonję, ale to nie ja i nie ona, tylko film w telewizji. Bo im więcej i mocniej biję, tym bardziej jej twarz nic nie pokazuje. Ani usta, ani oczy, nic a nic nie mówi. Nic nie mówi, że to złe, niedobre. Nic mi nie mówi, że to się w ogóle dzieje, bo może się nie dzieje? Może to tylko zwidy od picia. Bo jakby było naprawdę, to ona by płakała, krzyczała, protestowała. Ale ja ją faken biję i nic się nie dzieje. Więc nic się nie dzieje. Czasem krew tryska, czasem zdaje mi się, że słyszę jej krzyki, a nawet swoje, ale z dala jakby, jakby przez ścianę, jakby to się działo z innymi ludźmi daleko. Czasem zdaje mi się, że nawet na ścianach widzę

krew, ale to nieprawda, bo następnego dnia wstaję, idę się myć jak zawsze, a jak wychodzę, nie ma żadnych śladów, ściany czyste tak samo jak wieczorem, bo Sonja to dobra dziewczyna, obrotna, utrzymuje porządek, dobra, choć nieporadna, czasem upadnie, zrobi sobie krzywdę, posiniaczy twarz.

No to ją biję, walę pasem naprawdę mocno i przy każdym uderzeniu dłonią proszę najdelikatniej: „Sonja, powiedz coś. Proszę — mówię przy każdym uderzeniu — proszę, powiedz coś”.

ROZDZIAŁ 53

1966

Wychodzę na zimną noc. W oddali widzę wielką rzekę, błyszczącą jak srebrzyste pastwisko w poświacie księżyca.

Schylam się, kładę na trawie, z twarzą blisko mokrej ziemi, z powodu siniaków tym bardziej czuję mokre od rosy długie źdźbła trawy. Twarz mi płonie jak ogień, a każde długie źdźbło śledzi kontury siniaków z wdziękiem chłodnego pióra. Jakżebym pragnęła być ziarnem w tej ziemi, kwiatem, który mógłby otworzyć się w słońcu razem z innymi roślinami, znać deszcz jako dawcę życia i umrzeć z innymi kwiatami, gdy dopadłoby mnie straszliwe zimno.

Przesuwam dłońmi po ziemi, zacieram ślady po dżdżownicach. Mokra trawa gładzi pręgi na moim ciele. Kiedy on mnie nie bije, wtedy nie czuję mokrej trawy w ten sposób. Korale łaski. Perły rosy rozsypane na mojej twarzy. Leżąc na mokrej ziemi, szepczę imię matki. Jej piękne imię.

Maria, mówię do ziemi, Maria.

ROZDZIAŁ 54

1966

Oto Bojan Buloh w noc skruchy.

Patrzcie, jak na kresach australijskich przedmieść za kierownicą swego FJ kolejny raz szuka ucieczki, mija domy, nowe i surowe jak wypatroszony kangur, ich zakrwawione trzewia wykrojone z buszu zaledwie przed chwilą, przy drogach, które zlewają się w głębokie błotniste ścieki, zdążając do krainy bezdroży, zamazanych konturów, sporadycznych ogrodów, w których kochankowie nie znaleźliby żadnego kwiatu w kształcie gwiazdy, patrzcie, jak Bojan lustruje tę ziemię jałową niedokończonych i dokończonych budynków w poszukiwaniu znaku, omenu, złudzenia rzeczywistości w świecie, który wydaje się coraz większym miazmatem, a jego głowa zaczyna szybować dokądś indziej. Jakby odcięta, stopa mocno naciska pedał sprzęgła, hamulca, gazu, FJ samotny na pustych i cichych drogach, które wyczekują z pragnieniem czasów, kiedy ten nowy świat będzie stać na samochód nie tylko dla każdej rodziny, ale każdego jej członka.

Patrzcie, jak szuka, szuka i szuka, tak długo, że nawet już nie wie, czego. On, Bojan Buloh, który dawniej miał taki urok, że przyciągał kobiety mimo swojego odstręczającego zachowania, a teraz widzi, że utracił go tak samo jak gładką cerę i gęste włosy. Kiedy spotykał ludzi, czuł się jak głupiec, nie wiedział, co mówić, czuł się nagi i czuł też, że ta jego nagość stanowi obrazę, miał wrażenie, że odpowiada po upływie zbyt długiej chwili, w dodatku niezręcznie, dając tamtym czas, aby przyjrzeni się z odrazą temu dygoczącemu nagiemu głupcowi niepotrafiącemu znaleźć słów, którymi mógłby opisać swoje przerażenie.

Czuł przytłaczającą potrzebę potwierdzenia, że wciąż żyje, że nierzeczywisty świat przepływający do tyłu za oknami FJ nie jest piekłem, a on sam nie został skazany na zgłębianie bezdennej studni swojego istnienia, że nie pozostanie na zawsze widziadłem udającym żywego człowieka w świecie ledwo zasługującym na to miano,

najokrutniejszy teatr, w którym karą było zwykle bycie, a w lędźwiach narastało silne gorące pragnienie, doznanie dziwne i niezaprzeczone.

Podróż Bojana zakończyła się na błotnistym podwórku, na którym zmieściłoby się kilka samochodów. Zaparkował FJ, wysiadł i uśmiechnął się lekko, bo burdel na przedmieściach niezbyt odpowiadał jego wyobrażeniom o kurwiarni, ukształtowanym jeszcze w Belgradzie, gdzie jako żołnierz świeżo wcielony do JNA w towarzystwie takich samych poborowych po raz pierwszy w życiu zapłacił za seks w przybytku, który w jego oczach wyglądał jak zacisze urządzone przez tureckiego paszę dla samego siebie, pełnym wspaniałych dywanów i zwisających draperii w każdym możliwym kolorze, wszystko przesycone wielką tajemnicą, której kres położyła nagła bójka między jego krajanem ze Słowenii a dwoma Macedończykami.

Burdel na przedmieściach był nijaki, pozbawiony tajemnicy tak samo jak świat, któremu służył: skromny otynkowany dom z cegły na końcu stromego podjazdu, dyskretnie osłonięty przed sąsiadami przez bujne krzewy mietelnika. Bojan poczuł chłód zacinającego wiatru, który przebył tysiące mil przez ocean od ogromnych białych krain Antarktydy, aby dotrzeć do tego dziwnego przystanku końcowego, pchając go mocno w plecy, kiedy ruszył po betonowych schodach bez poręczy i zadzwonił do drzwi. Usłyszał kroki, domyślił się, że jest obserwowany przez wizjer, a usłyszawszy zgrzyt odciąganej zasuwki, podniósł głowę i w progu zobaczył dystyngowaną kobietę w średnim wieku, ubraną w elegancką błyszczącą suknię w kremowym kolorze, na nosie okulary w rogowych oprawkach. Przypominała Bojanowi pustynną jaszczurkę podnoszącą kryzę, żeby odstraszyć drapieżniki. Powitała go, jakby przyszedł na marketingowe party dla kobiet:

— Brian. Jak się masz? April! April, chodź, Brian przyszedł do ciebie.

Bojan milczał. Zanim przestąpił próg, podał kobiecie banknot pięciodolarowy.

— Brian, tak mi przykro, ale nasze stawki poszły w górę. — Pokazała mu siedem palców. — Osiem. — Natychmiast dołączyła kciuk, żeby liczba palców się zgadzała. Poza tym w ogóle się nie poruszyła. — Osiem dolarów. — Potem dodała: — Pewnie nie możesz się połapać w

tym nowym dziesiętnym systemie monetarnym.

Bojan sięgnął do kieszeni i podał kobiecie jeszcze kilka brązowych banknotów. W duchu zadał sobie pytanie, bez powodu, bo nie było przecież odpowiedzi, dlaczego w ogóle się trzodzi, skoro wynik jest nieuchronny, równie nieuchronny, jak okropny.

Za plecami jaszczurki pojawiła się niewysoka brunetka o przenikliwych oczach, ubrana w ten sam czerwony szlafrok, który miała na sobie, gdy przyjechał pierwszy raz i z powodu którego, nie wiedzieć czemu, wybrał właśnie ją kosztem bardziej atrakcyjnej starszej kobiety.

Wiatr dmący z tyłu zakotłował się wokół Bojana i wdarł się do środka, podwiewając czerwony szlafrok na drobnym, ale silnym cieple kobiety o przenikliwych oczach, ukazując ją taką, jaka była — a nie jak ją i inne pracownice ukazywało przygaszone oświetlenie — jako kobietę, tak jak on był mężczyzną, kruchą i zwykłą istotą, jakby mówiąc: I po co to? Po to? Od pierwszej wizyty w burdelu na przedmieściach Bojan widział wiele kobiet, a jednak zawsze wybierał ubraną w czerwony szlafrok April o przenikliwych oczach, pragnąc odpowiedzieć: Tak, tak, właśnie po to, i zarazem chcąc zaprzeczyć, bo to nie było możliwe i nigdy możliwe nie będzie. Wyglądała jak zawsze, z tą różnicą, że włosy miała teraz obcięte pod dyktando nowej mody, ale uznał, że w tej fryzurze nie wygląda tak dobrze jak z długimi włosami, które miała, gdy przyjechał pierwszy raz. Ale jej tego nie powiedział, ona też nie powiedziała nic do niego. Zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 55

1966

Wącham ją, wącham rzeczy, które mnie kaleczą, pomyślał Bojan, próbując ujeździć April, która ujeździć się nie dawała, rzeczy, od których mnie mdli, taki silny jest zapach kobiety, jak baraniny, którą Serbowie pieką na rożnie, i nienawidzę tego, nienawidzę tych faken Serbów, nienawidzę zapachu kościelnego kadzidła, nienawidzę zapachu kwiatów jabłoni, mocne to i tak nachalne, że może się od tego w głowie zakręcić, że można upaść i nigdy się nie podnieść.

Próbując zrobić to, po co przyszedł, Bojan Buloh podniósł wzrok na Matkę Boską i przyłapał się na tym, że się do niej modli. Spowolnił rytm i pokręcił głową, chcąc sobie przypomnieć, jak to było z Marią, jak leżał u jej boku, próbując wyobrazić sobie, że to właśnie ją, a nie inną kobietę, ma pod sobą. W tym małym nagim pokoiku z sufitem, który Bojanowi zawsze wydawał się za niski, ze ścianami pokrytymi tapetą w fioletowe lilie z filcu, jedyną prawdziwą ozdobą był właśnie tani obrazek Matki Boskiej z krwawiącym sercem, zawieszony nad wezglowiem łóżka. Ale tego nienawidzę i jej też, pomyślał, nienawidzę tego faken obrazka. Spuścił wzrok i spojrzał na April, wciąż w szlafroku. W lewej ręce trzymała złożony na pół numer „Women’s Weekly”, zasłaniając nim twarz. Wsunął palce w jej prawą dłoń, próbując nawiązać jakikolwiek kontakt. Cofnęła rękę i chwyciła czasopismo z drugiej strony.

„Zmieszać majonez, wino i sok z cytryny — przeczytała — doprawić solą i pieprzem”.

Czuję ją, pomyślał Bojan, czuję jej ciało, zimne, lepkie jak noga prosciutto, czuję, jak wiotczeję, wiotczeję jak ucho zdechłej świni, nie mogąc wejść przez jej bramy w głąb, nie mogę wydymać tego zimnego mięcha.

— Jezu, jeszcze nie skończyłeś? — spytała April i wróciła do czytania przepisów kulinarnych.

Co bym zrobił, gdybym był prawdziwym mężczyzną? — pomyślał Bojan. Ale nie jestem, a ona to nie Maria, i ten zapach i jej ciało, ten zapach, Jezusie, nienawidzę tego faken zapachu, przegoniłbym go, jęczał, żeby odszedł, żeby przestał ze mnie drwić.

Gmerał bez skutku między udami April. „Jeśli nie mamy wina, zastąpmy je octem z cukrem”, przeczytała April, próbując z całych sił skupić się na słowach, gdy jej ciało kołysało się i trzęsło w reakcji na wysiłki Bojana. „Dołożyć nie-odsączony szpinak, dobrze zamieszać. Podgrzane paluszki rybne polać sosem”.

Oboje słyszeli tylko szelest czasopisma i powolny oddech Bojana, jego cichnące stękania, a potem kilka szlochów rozpaczy, płacz i nagle słowa:

— Przepraszam, nie mogę. Nie mogę.
Wstał, ubrał się szybko i już go nie było.

*

Gdy FJ odjechał, April zwróciła się do jaszczurki:

— Przypuszczam, że dałaś mu specjalną stawkę dla bambo, trzydzieści procent więcej niż dla naszych stuprocentowych Australów.

Jaszczurka milczała. Stała nieruchomo. April była trochę nakręcona. Ale tylko trochę. Dodała:

— Powinnaś go wpuszczać za pół ceny. On tu nie przychodzi dla seksu. Przychodzi płakać.

Jaszczurka miała dosyć. Oderwała nagle spojrzenie od drzwi i wbiła wzrok w April. Otworzyła usta i poruszyła sinym językiem.

— Nie mów ohydnych rzeczy — powiedziała. — To szanowany dom.

April odwróciła się i poszła na papierosa. Od podłogi bił mocny chłód. Czowała, że jej czerwony szlafrok jest zimniejszy niż lód. Pragnęła ciepła. Nie chciała wracać do pokoiku z filcowymi kwiatkami. Dzwonek do drzwi zapowiedział nowego klienta. April nie chciała, aby drzwi się otworzyły. Stała nieruchomo. Zdawała sobie sprawę, że musi tak stać, aby to wytrzymać, ale palce jej drżały.

Ktoś zadzwonił ponownie.

— Chryste — mruknęła. Sztachnęła się ostatni raz papierosem,

próbując uspokoić ręce, żeby nie prószyć popiołu na podłogę, zapragnęła być tym dymem, który może się rozwiać w nicość, po czym krzyknęła:
— Moment, moment! Chryste, trzeba poczekać.

Ale bez względu na to, jak długo czekała, nie mogła uspokoić rąk.

ROZDZIAŁ 56

1966

„Chcę was poinformować — powiedział Dean Martin — że będzie to program rodzinny. Taki, do którego mężczyzna może przyprowadzić żonę i dzieci, rodziców, może usiąść w barze i go pooglądać”. Widownia w studiu ryknęła śmiechem. Dino uśmiechnął się lekko, orkiestra zagrała pierwsze tony, on zaintonował piosenkę. W jednej trzeciej przerwał nagle: „Na wypadek, gdybyście — zwrócił się z przypomnieniem do Bojana i Sonji, którzy zwykle co tydzień siadali razem, żeby obejrzeć swój ulubiony program — pomyśleli sobie, że po usłyszeniu tych wszystkich nowych kawałków nie musicie iść do sklepu po nową płytę Dina”. Pozartował z Kenem Lane’em za fortepianem i obowiązkową cypatą blondyną, której pobazgrany flamastrem nagi brzuch posłużył mu za teleprompter do zapowiedzi następnego numeru. „Na wypadek, gdybym widział podwójnie” — rzucił, z twarzą niebezpiecznie blisko biustu blondyny. Dwuznaczne słowa i potrójne martini. Gruchanie i dekolty. Wielkie nazwiska i woda. Wszystko tak samo przemijające w Dean Martin Show, w którym Dino był zarówno nadzieją starego świata, jak i jego zemstą na nowym. Dino ma to głęboko w dupie, śmiał się Bojan, ale w odróżnieniu od Bojana nie cechowała go groza. Takiego ojca pragnęła Sonja — bez udręki, bez przeszłości, bez cienia.

Lubiła oglądać z ojcem program Deana Martina, a on lubił oglądać go z nią, siedzieli razem i śmiali się z głupich żartów, zazdrościli Dinowi jego błyskotliwego makaroniarskiego rysu, którym podbił świat, cudzoziemskiego rysu, którego Sonja nauczyła się wypierać. W niebieskiej poświacie z victrolki narodziło się coś, co połączyło Bojana i Sonję, a ona zaznała uczucia, którego nigdy potem nie potrafiła nazwać. Lecz podobnie jak dowcipy Dina uczucie to spowszedniało i się wyświechtało.

Latem poprzedniego roku przeprowadzili się po raz kolejny, do miejsca, w którym teraz mieszkali i które niczym nie różniło się od

wcześniejszych, było tylko trochę większe. Mimo wszystko bambo klitka. Sonja wciąż nie czuła się tam jak w domu i nawet nie miała złudzeń, że to się zmieni. Bojan zarabiał teraz więcej, dlatego na podłogach leżały porządne maty, a nie koce, i mieli kanapę obitą fioletowym winylem, z której Sonja patrzyła w nowy czarno-biały telewizor, ale Bojan coraz częściej zaglądał do kieliszka, więc nie było rodzinnej atmosfery.

Nadeszła zima, a Sonja wyobraziła sobie, że jej ciało zasnęło razem z roślinami w oczekiwaniu na powrót słońca, bo nie miała nic lepszego do roboty, niż czekać, a Bojan pił coraz więcej i nie czuła, że to jest jakiegokolwiek życie, wiedziała natomiast, że pewnego dnia czekanie się skończy i wtedy zacznie się prawdziwe życie. Wiosna tamtego roku była o wiele bardziej deszczowa niż na ogół i wszędzie pleniła się bujna roślinność, a Sonja podrosła jeszcze kilka centymetrów, osiągając swój ostateczny dorosły wzrost, jej ciało się wypełniało, wachała drzewa i chwasty, które zdawały się wyrastać spod wszystkiego, nawet spod nowej asfaltówki ułożonej przed domem. A potem deszcze nagle ustały i przyszło lato jeszcze bardziej nadzwyczajne niż wiosna, z długimi okresami upałów. Zieleń przestała się plenić, chwasty zwiędły, trawa uschła. Wydawało się, że słońce bez przerwy siedzi wysoko i praży mocno. Ziemia ucichła w oczekiwaniu.

Jakby wiedziała, co się wydarzy.

*

Tego wieczoru gdy Dino wdzięcznył się do widowni, Bojana nie było, nie dzielił tych chwil z Sonją. Oglądała program sama, próbując udawać, że ojciec siedzi obok jak zwykle, z twarzą nadętą od śmiechu. Uwielbiała radio, uwielbiała telewizję. Znała słowa ze wszystkich starych filmów, potrafiła chodzić jak John Wayne i tańczyć jak Ginger Rogers, zwędnzonego Bojanowi papierosa umiała trzymać w ustach jak Bette Davis. Uwielbiała świat bez cieni, uchwycony w ramy i przewidywalny, świat, w którym od samego początku wiedziała, jaki będzie koniec, w którym dobroć była nagradzana, nigdy karana, w którym życie zawsze toczyło się do przodu i nie trzeba było patrzeć wstecz — z wyjątkiem sporadycznej retrospekcji w celu wyjaśnienia

przebiegu zdarzeń — w którym nawet smutek był tylko pretekstem do zaśpiewania kolejnej piosenki, i do nich wszystkich Sonja też znała słowa.

Ale w kontaktach z ojcem jakby nie znała żadnych słów. Prawie w ogóle teraz ze sobą nie rozmawiali, a myśleli o sobie jeszcze mniej. Słowo „miłość” — jedyne słowo opisujące zasadniczą, choć ukrytą istotę losu Sonji — od tak dawna nie zagościło w ich umysłach i na językach, że nawet nie zauważali jego szczególnej nieobecności. Ale uwaga, słowo, słowo, a nie pojęcie. Ich mowa była teraz podobna do narzędzi, których używał Bojan: w celach praktycznych wypowiadali słowa, które wznęły się głęboko jak dłuto, albo takie, które padały ciężko jak walący młotek. A zatem w słowach kryło się pewno rzemiosło, temu zaprzeczyć nie możn. Narzędzi używali w wąskim zakresie, podobnie używali też słów — dopiero wtedy gdy należało coś opisać, wskazać albo zainicjować działanie.

Tego wieczoru, kiedy, jak zwykle po lekcjach, Sonja wróciła z wałęsania się po buszu na wzgórzach, położonych poza wstążką przedmieść, zastała ojca siedzącego przy stole pokrytym laminatem, nalewającego zaparzoną po turecku kawę z niepełnego imbryka do małej filiżanki. Wokół filiżanki leżały rozrzucone czarno-białe fotografie. Był to niecodzienny widok: nie pił, nie pracował, nie oglądał telewizji, nie pił i zarazem nie pracował, lecz siedział zamyślony.

A potem zgarnął zdjęcia ze stołu i włożył je do starego pudełka po butach, po czym wyszedł i stanął na małym ganku ich bambo mieszkania. Nie zmienił ubrania roboczego, był w niebieskim podkoszulku i spodniach khaki. Oparł się o ścianę pod nagą żarówką i zapalił papierosa. Dym uniósł się powoli ku żółtej poświacie dokoła żarówki. Ojciec najwyraźniej o czymś rozmyślał.

Wreszcie, choć był czwartkowy wieczór, a więc wieczór z Deanem Martinem, wyszedł. Sonja odnalazła karton ze zdjęciami schowany na dnie szafy. W środku były zdjęcia ludzi z nartami i karabinami w europejskim górzystym kraju. Dalej fotografie kobiety, zapewne jej matki. Była jedna ukazująca tę samą kobietę i Bojana w upozowanych objęciach na tle ośnieżonych Alp, on z białym kwiatkiem w kształcie gwiazdy w ręce, oboje przytykający do niego usta. Kobieta jest piękna,

pomyślała Sonja, a ojciec przystojny.

Zamyślona patrzyła na zdjęcie. Nie знаła odpowiedzi na wiele pytań, pytań natrętnych, choć tylko po części ukształtowanych i całkowicie niezrozumiałych. Włożyła karton z powrotem do szafy. Nic nie miało sensu. Zdjęcia zbyt przypominały filmy, a ona lubiła filmy właśnie dlatego, że zupełnie nie przypominały jej życia.

ROZDZIAŁ 57

1966

Dino kończył występ, gdy nagle drzwi się otworzyły i Bojan wtoczył się hałaśliwie do środka. Był bardzo pijany. Gdy mijał Sonję w drodze do łazienki, oderwała na moment wzrok od telewizora.

— Chcesz herbaty, *ati*? — spytała. — Zrobiłam kranjską klobasę.

Wyszedł z łazienki.

— Nie — odparł. — Nic nie chcę, cholera.

— Musisz tyle pić?

— Pierdol się — wymamrotał Bojan, a potem dodał głośniejszym głosem: — Faken młodym się wydaje... — Zgubił jednak myśl dotyczącą młodych ludzi, o krok od rozpętania tyrady, której nawet sam nie mógłby potraktować poważnie.

„Każdy kogoś czasem kocha” — nucił Dino z vicroli na zakończenie programu.

— Pierdol się — warknął Bojan. — Pierdol się, pierdol. Pierdol.

Sonja pragnęła Bojana, swojego Bojana, swojego *ati*, a przed nią stał żłopiący wódę cień człowieka, którego dawniej знаła.

— Chciałeś, żebym ją dla ciebie przyrzadziła.

— Robię, co faken chcę — odrzekł Bojan. — A ty rób. co faken chcesz.

„Nawet Ken — powiedział Dino z telewizora, szczerząc się do pianisty, który brzdąkał jeszcze przez chwilę, choć Martin stracił już zainteresowanie piosenką i tylko próbował wycisnąć coś jeszcze z występu, może kolejną salwę śmiechu. — Prawda, Ken?”

Przechodząc obok Sonji, Bojan o mało nie upadł. Odepchnął ją i odzyskał równowagę, po czym wymamrotał:

— Gdzie jest coś do picia, cholera. — Otworzył lodówkę i wyjął dużą butelkę piwa. — Nie można się napić w spokoju.

Nożem podważył kapsel i, wciąż na stojąco, z drgającą grdyką

pokrytą szczecina, opróżnił butelkę duszkiem. Potem usiadł przy stole w kuchni i spojrzał na Sonję.

Obcy sobie ludzie, pomyślał. Patrzył, jak córka siedzi bez ruchu na krześle, i nie zobaczył w niej nic dziecięcego. Wydawało się, że wszelka żwawość i energia ją opuściły. Popatrzył na mały zagracony pokój tchnący ubóstwem; wyrztał przez okno i zobaczył cudze pranie i wiedział tylko jedno, a mianowicie, że tego wieczoru znów popije, żeby zapomnieć. Życie nie jest życiem. Dzieci nie są dziećmi. Ojcowie są zagubieni, matki odeszły i nie mogą znaleźć swoich dzieci, które i tak opuściły już swoje ciało.

Ken roześmiał się z żartu, grając na fortepianie, Dino wdziękzył się dalej, a tłum reagował oklaskami na arogancki urok Martina i błyskające światło będące sygnałem do aplauzu.

„Tam-ta-dam-ta-dam — nucił Dino, po czym dodał: — Szkoda, że nie wiem, kto to śpiewał, bo nauczyłyby mnie słów. — Znowu wiwaty i śmiech. — Tam-ta-dam-ta-dam”.

— Więcej nie, *ati* — powiedziała Sonja. — Więcej nie.

— Pierdol się — zwrócił się Bojan do lodówki, przekręcając głowę, aby nie widzieć córki, po czym leniwie rzucił butelkę w jej kierunku.

Nie był to wyraz agresji, raczej niemrawy gest pogardy. Być może to była nienawiść, ale nie do Sonji, lecz do wszystkiego, co skłoniło go do rzucenia butelką w ten sposób. Butelka poleciała powoli wysokim łukiem, jakby odcinała ich od siebie ostrzem sierpa. Ominęła cel o co najmniej trzydzieści centymetrów, roztrzaskała się o ścianę za plecami Sonji, a Bojan w ogóle tego nie zobaczył, bo zanurkował już do lodówki po następne piwo.

W tym, co zrobił, było coś straszliwie poniżającego dla Sonji. Jakby zupełnie przestało mu zależeć, jakby już nie potrafił się zdobyć nawet na pełną gniewu przemoc, jakby bicie córki zdradzało jakieś jego uczucia do niej, poza pragnieniem autodestrukcji. Jego najwyższa obojętność na to, co stanie się z rzuconą butelką — czy trafił w Sonję, czy chybił — zabolęła w sposób niewspółmierny do takiego głupiego zachowania.

Gdy położył się do łóżka, Sonja wstała, wciągnęła dzinsy, sweter i

szarą budrysówkę, po czym wyszła na dwór, zamierzając pójść na spacer. Nie uciekała, po prostu ulatniała się na chwilę. Gdy obchodziła dom, zza bocznego okna dobiegło pijackie chrapanie Bojana. Odwróciła się i popatrzyła na okno, a jej twarz skamieniała jak skała. Przepeliła ją nienawiść do wszystkiego, głównie do siebie i swojego życia. Wydawało się, że chrapanie ojca staje się coraz głośniejsze i coraz bardziej nachalne. Prychał, parskął, rzeził, a ona poczuła, że dusi się w wulkanicznej paszczy tego, kim ojciec jest i kim nie jest, że los przywiązał ją do niego i że lawa jego stopionego snu pogrzebie ją na zawsze.

Uniosła jedną pięść, potem drugą, zamknęła oczy, powoli pokręciła głową, żeby odegnać odgłosy, żeby się wyrwać. Ale chrapanie tylko się nasilało, stawało natarczywe, pełniejsze i nieuchronne. Gdyby mogła się uwolnić i coś poczuć, cokolwiek. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, uderzyła pięściami w okno jego sypialni. Hałas wywołany tłuczeniem szyb wstrząsnął nią o wiele bardziej niż rozcięcie skóry.

Bo nic nie czuła.

Wyrosła poza ból. Pragnęła, żeby ją bolało, a teraz zrozumiała, że nic nie boli. Bez względu na to, jak bardzo siebie nienawidziła, jak bardzo siebie utraciła i pozwalała, aby inni ją krzywdzili, albo krzywdziła się sama, nigdy nie zdoła przebić tamy odcinającej jej cierpienie.

Dygotała. „Nic nie boli”. Była przerażona. „Nic nie boli”. Jak mogłaby zrozumieć, co się dzieje, skoro nie czuje nawet tego? Jej dłonie znajdowały się teraz w sypialni, ramiona na zewnątrz, drżące nadgarstki oparte na rozbitej szybie. Czy jest martwa? Czy trafiła do piekła? Czy jednak żyje? A mimo to trafiła do piekła? Żyła, ale nie zaznała życia.

Poczuła się słaba. Poczuła się zmęczona. Zabarwione na czerwono okruchy szkła odłamały się i spadły na ziemię.

Oczy miała przejrzyste i patrzyła teraz, jak jej gorąca krew spływa po przegubach na wilgotny zimny parapet. Poczuła się słaba. Poczuła się zmęczona. Ale nie czuła nic. Widziała niewiele. Przesunęła nadgarstki po krawędzi stłuczonej szyby, jakby przesuwiała nożem po szynce. Nic nie czuła. To nie miało znaczenia.

Nie miało też znaczenia, że jakiś czas później — po drugiej stronie

życia, śmierci, nieskończoności — znalazła ją na ziemi pani Heaney. Zawołała o pomoc i spytała:

— Gdzie twój ojciec?

Pani Heaney, która nigdy nie klęła, a przynajmniej nie tak jak mężczyźni, bluzgała teraz straszliwie, tuląc Sonję do piersi.

— Ten bezużyteczny pierdolony skurwiel — wycedziła szeptem. A potem znowu zapytała: — Gdzie on jest?

Sonja wiedziała, że ojciec śpi w łóżku, ale gdzie jest? Gdzie jest, na to pytanie nie umiała odpowiedzieć. Nie mogła mówić. Nie mogła powiedzieć pani Heaney tego, co brzmiało bezsensownie: że oboje czekają, aby wiatr znów się zerwał.

Potem Bojana obudziła syrena ambulansu. A potem ucichła. Przekreślił się na drugi bok i zasnął.

*

W ciszy przed wichurą, powoli nabierając mocy, napłynął pulsujący, falujący odgłos tętna na monitorze, brnącego z uporem, z uporem, przez mrok.

ROZDZIAŁ 58

1990

Bębnienie przyśpieszało coraz bardziej, jak natarczywy terkot karabinu maszynowego, *łosz-łysz, łosz-łysz, łosz-łysz*, i z początku białe cienie kształtów, które się pojawiły, zlewając się z innymi cieniami, a potem znikając w serii dziwnych rwanych ruchów na pokratkowanym ekranie, wydawały się tak samo trudne do zidentyfikowania jak głośny warkot maszyny. Następnie, z zaskakującą klarownością, zrozumiała, że to odgłos tętna pośród wirującego białego szumu, wzmocnione ultrasonografem bicie serca pięciomiesięcznego płodu żeglującego po oceanie matczynego łona.

Jej łono.

Jej dziecko.

Sonja przełknęła ślinę.

Wciąż było słycać hipnotyzujące tętno płodu na tle rytmicznego szumu, a na ekranie zaczął dominować jeden kształt, daleki od bezruchu.

Przed ekranem pojawił się miękki pulchny palec pokazujący biały obraz dziecka.

— Wydaje się, że z płodem wszystko w porządku. Żadnych oznak przodowania łożyska.

A na palcu duży, dość brzydki złoty sygnet z wyrytymi Półksiężycami.

Główka, ciało, rączki, nóżki... Wszystko wydaje się w porządku.

Palec z sygnetem zniknął.

— A krwotok? — spytał inny głos, ale Sonja nie znalazła w sobie siły ani energii, żeby podnieść wzrok i zobaczyć, kto zadał pytanie. Był to wysoki głos. Być może należał do młodszego lekarza. Być może do lekarki. Być może do jej matki. Nie wiedziała. Nie obchodziło jej to.

— Od sześciu godzin spokój — odparł głos, który prawdopodobnie należał do palca z sygnetem. — Wygląda na to, że brzeg łożyska się podniósł i to wywołało obfite krwawienie.

Świat zaczął się zamazywać, a postać, którą Sonja z trudem dostrzegła — uznała, że to z pewnością lekarz, bo sylwetka była w większości biała, nie mogła więc być jej matką, zapewne był to mężczyzna nienoszący koronki — ta postać przysunęła się bliżej, aż zamajaczyła groźnie nad Sonją jak upiór z jakiegoś filmu grozy. Mężczyzna uśmiechnął się groteskowo, jego głos jakby zniekształcony, daleki, jakby wołanie z oddali, z innego czasu i miejsca.

— Pani Buloh? Ma pani wielkie szczęście. Straciła pani mnóstwo krwi, ale nic pani nie będzie. Dziecku też nie.

Sonja zaczęła dygotać, jakby miała się rozkleić i zalać łzami, choć nie wiedziała, czy z ulgi, czy wskutek zawodu. Nie rozplakała się. Przypomniała sobie, że bez względu na to, co się dzieje, nigdy nie wolno płakać.

— Proszę pani?

Ale ona już wyslizgnęła się z ciała, zdążając dokądś, na zawsze i na chwilę, wyraźnie świadoma otoczenia — duszącego naporu szpitalnego powietrza, dziwnie twardego materaca, równie nieugiętego, jak niosącego pokrzepienie, bezwstydną szpitalną koszulę, lgnącej do jej ciała jak dwie luźno związane ścierki kuchenne — i jednocześnie czuła się coraz bardziej uwolniona od tych i wszystkich innych rzeczy.

Od tego świata, który trochę później stał się niebieski, a potem zielony. Po upływie kolejnego czasu, który trwał krótko i zarazem długo, ciągnął się w nieskończoność i dopiero nastał, zieleń się rozsunała i Sonja uświadomiła sobie, że stała się zasłoną, że leci w powietrzu i owija się dokoła osoby, która przyszła ją odwiedzić, ale nie mogła jej zobaczyć, bo przeistoczyła się w zasłonę, a ta osoba, teraz już rozpoznana jako Helvi, patrzyła uparcie na łóżko, w którym leżała kobieta wyglądająca na bardzo chorą, a to, Sonja zdała sobie sprawę, ona sama, ale przecież nie mogło tak być, bo była zasłoną — i nadeszła pielęgniarka, również zza zasłony, którą była Sonja, i obie kobiety, pielęgniarka i Helvi, patrzyły na chorą, którą była Sonja, która miała ziemistą, zielono-woskową twarz i z której wyciekło wszelkie życie, a jej ręce zwisały bezwładnie po bokach.

Helvi powiedziała:

— Tak się martwiłam, bałam się, że umrze.

A pielęgniarka odrzekła:

— Nie, nie umrze, wszystko będzie dobrze. Było blisko, ale już wszystko dobrze.

ROZDZIAŁ 59

1990

Sonja, ona jest moja.

Nie, kurwa, to znaczy...

Sonja, ona jest wszystkim i żyliśmy, no żyliśmy gorzej niż kundel, żadnemu kundlowi bym tak nie życzył, a już na pewno nie jej ani sobie, ale nic nie mogłem na to poradzić, że to ją musiałem bić, musiałem bić, żeby powstrzymać ten ból, musiałem zapisać ten ból, musiałem jej pokazać ten ból, musiałem jej pokazać, co czuję, że to mnie pali, że to rozżarzony do czerwoności nóż, co mnie tnie każdej nocy, aż ze mnie mniej niż faken kundel, a co rano odradzam się jako mężczyzna i tak to trwa. Matko Boska, znowu się zaczyna, ten rozżarzony do czerwoności nóż, co mnie kroi w psa, Sonja, mój ból to twój ból, muszę z nim walczyć, a ty musisz go czuć.

Boli, boli, boli.

I nigdy się nie kończy. A ja nie jestem kundel, co? Bo gdybym był, ktoś pewnie by mnie zastrzelił, przynajmniej tyle dobroci by mi okazał, taką życzliwość, ale wróciłaś i mnie nie uśpiłaś, to jak nie jestem kundlem, to kim ?

ROZDZIAŁ 60

1990

Kiedy wreszcie obudził ją narastający hałas, czuła się słabo, ale przynajmniej w głowie miała jasność, a jedynym dojmującym pragnieniem było wyzdrowieć, dojść do siebie i wyjść ze szpitala. Helvi wciąż siedziała u jej boku, choć ubranie miała inne, więc prawdopodobnie minął jeden dzień, a może kilka.

Hałas objawił się cieleśnie w postaci dużej kobiety w brązowym uniformie przedzierającej się przez zieloną zasłonę, nacierającej na Sonję z tacą, na której ułożono komplet nierdzewnych stalowych naczyń zapowiadających szpitalny posiłek.

Helvi wsunęła Sonji rękę pod plecy i ją podparła, poprawiając poduszki. Obie patrzyły na siebie porozumiewawczo, kiedy salowa postawiła jedzenie na stoliku i wyszła.

Helvi zdjęła plastikową pokrywkę z jednej miseczki, odsłaniając cienką rozwodnioną zupę, w której pływały kawałki ciągliwej czerwonej substancji udającej marchewkę. W innej miseczce znajdował się kleks czerwonej galaretki otoczonej zapadniętym wianuszkim budyniu błyskawicznego, a główne danie składało się z dwóch cienkich jak bibułka plastrów smażonej baraniny okraszonych kałużą sosu z torebki oraz dwóch małych wzgórków, żółtego, ze startej dyni, i białego, z tłuczonych ziemniaków.

Oni cię otrują, cholera — powiedziała Helvi z przerażeniem, szybko zakrywając to, co uznała za parodię jedzenia.

Jakby spod ziemi wyczarowała dwie grube pajdy chleba pełnoziarnistego. Poruszając się ostrożnie, Sonja nachyliła się i zerknęła w dół. Helvi grzebała w bardzo starej niebieskiej torbie lotniczej z zatartym wizerunkiem DC-10. Z tego czcigodnego podarku, który o mało nie wylądował na śmietniku całe dziesięciolecie wcześniej, wyciągnęła butelkę z oliwą i skropiła nią chleb. Butelka powróciła do torby, a wyłoniła się ręka z małym słoikiem po paście z drożdży.

Odkręciła żółte wieczko.

— A teraz — powiedziała Helvi — poczujesz się lepiej. — Zamachała nożem kuchennym, który zaraz potem wepchnęła głęboko do słoika. Ostrze pojawiło się z powrotem oblepione białą mazią, którą Helvi posmarowała grubo chleb. — Czosnek — oznajmiła. — Dobry dla dziecka, dobry dla duszy. — Wciąż wywijając palcem lewej ręki w powietrzu, z bezcennej torby Jirego wyjęła termos z prawdziwą kawą. Sonja skrzywiła się nagle, a potem grymas przemienił się w wyraz zdezorientowania. Przeciągnęła dłonią po brzuchu. — Kawa jest dobra dla... — powiedziała Helvi, opacznie rozumiejąc gest Sonji, i wsunęła dłonie pod biust, wciąż trzymając w jednej rączkę termosu — ...mleka. — Opuściła ręce, kiwając poważnie głową.

— Helvi. Wydaje mi się, że... się poruszyło.

— Musisz jeść.

Chwyciła kromkę chleba posmarowaną czosnkiem i z uśmiechem podała ją Sonji, ale ta zbyt była pochłonięta własnym ciałem, aby to zauważyć.

— Dziecko — powiedziała zadziwiona i podekscytowana Sonja. — Dziecko właśnie się poruszyło. — Odwróciła się i spojrzała na Helvi. — Poczułam, jak kopie.

— No oczywiście. Oczywiście, że się rusza. Później jeszcze nieźle ci dokopie. — Helvi zarechotała jak stara wiedźma. — A teraz jedz, skoro możesz.

Bez większej ochoty, ale ze zdecydowaniem, które wydawało się czymś nowym, Sonja wzięła chleb i ugryzła kęs. Uśmiechnęła się do Helvi. Potem zachichotała, wreszcie roześmiała się na cały głos.

— O Chryste — powiedziała nagle.

— Co się stało? — spytała Helvi.

— Chyba się zmoczyłam.

ROZDZIAŁ 61

1990

Bojan mógł się wyrwać z tego życia w jakiś spektakularny sposób, podobnie jak dawno temu wyrwał się ze Słowenii, kiedy przez całe miesiące wspinał się co rano potajemnie po Alpach Julijskich, żeby obserwować nawyki i trasy pograniczników, planując i weryfikując plany, przypatrując się, jak przyroda mogłaby zdemaskować ich ucieczkę i jak mogłaby ich osłonić. Zniecierpliwiona Maria wciąż pytała, kiedy wyruszą. Ale on czekał i czekał, aż jego brata zwolnią z więzienia, aż poczuje, że jest gotów. Wytyczając szlaki, sprawdzając wszystko w górnych zaśnieżonych partiach, obmyślając, kalkulując. Nosił lornetkę, którą jego brat zabrał zabitemu Niemcowi i która wciąż tchnęła niepokojąco ciepłem ludzkiego ciała, kiedy przysuwał ją do oczu. Bez względu na to, jak obfity padał śnieg i czy wiatr kłuł tysiącem lodowych noży, lornetka zawsze była ciepła jak krew, gdy przystawiał ją do twarzy. Pewnego dnia zobaczył przez nią najrzadszy kwiat, *edelweiss*, w jego ulubionym siedlisku, na klifie. Gwiazdzisty biały kwiat miłości, który mężczyźni zrywali z narażeniem życia dla swoich kobiet. Zaczekał do zmierzchu, kiedy patrole się zmieniały, po czym, bez liny, wyczołgał się na klif, żeby zerwać szarotkę. Dopiero po północy wrócił do domu, gdzie wszyscy odchodzili już od zmysłów, przekonani, że /ostał schwytany albo zastrzelony przez pograniczników.

Nazajutrz wieczorem dał Marii szarotkę. Spiczaste płatki przypominały różę wiatrów. Maria położyła kwiat na mapie, oderwała płatek wskazujący trasę ich ucieczki i wsunęła go do ust na oczach Bojana.

— Północny zachód — powiedziała, oblizując powoli usta językiem pokrytym białym nalotem.

Ten dziwny, dla Bojana osobliwie erotyczny gest powtórzyła dwa lata później w austriackim obozie dla uchodźców. Jakimś cudem zachowała ususzony kwiatek. Tym razem położyła go na mapie świata i

— dla uczczenia tego, że wreszcie zostali uznani oficjalnie za imigrantów — oderwała płatek wskazujący ich nową trasę.

— Południowy wschód — powiedziała, a Bojan spojrział na świat zamknięty w arkuszu papieru z dziecięcego atlasu i zobaczył, że czubek brakującego płatka dotknąłby północnego krańca Australii.

Teraz z kolei on zachował się jak dwa lata wcześniej. Nachylił się, żeby pocałować Marię, przesuwał dłoń po wewnętrznej stronie jej uda pod spódnicą, i podobnie jak wtedy pozwoliła, aby poczuł, jak rozpuszczający się płatek pieni się na jej języku. Tym razem nie odepchnęła jego ręki.

— A gdy skończą się płatki — powiedziała — nie zostanie już na świecie ani jedno miejsce, do którego moglibyśmy jechać.

Tak oto w dziwnym akcie płciowym, który wzbudził w Bojanie tyle samo niepokoju, co namiętności, została poczęta Sonja.

Bojan mógł wyrwać się ze swojego nieszczęsnego życia już wcześniej, ale czekał, czekał i czekał, aż coś się stanie — wiedział już co. Czasem dopadała go myśl, że powinien nie żyć, że lepiej byłoby, gdyby nie żył, ale powrócił ten ból, który czuł całym miesiącami, zanim przekroczyli Alpy, tyle że teraz był tępy i niewytłumaczalny. Cekał więc, żeby ten ból urósł do postaci czegoś, co można zidentyfikować, albo zniknął i zostawił go na pewną śmierć.

Siedząc na skraju swojego metalowego łóżka, wyglądając coraz mniej jak człowiek, a coraz bardziej jak wygięty wieszak, na którym wiszą wypłowiały niebieski podkoszulek i robocze spodnie khaki, Bojan kołysał się zamyślony. W jednej ręce trzymał niedopitą butelkę czarnego rumu Bundaberg, w drugiej trzy stare fotografie jak karty do gry. Ciało rozbujane delikatnie w przód i w tył wskazywało, że jest pijany, choć trudno było ocenić, jak bardzo.

Ktoś zapukał głośno do drzwi i krzyknął:

— Ej, Bojan! Idziesz do pubu?

— Nie. — Bojan zamilkł i wciągnął powietrze nosem. — Nie. Nie dziś. Odpieprzyj się. Muszę się napić.

Coś w nim wywróciło się do góry nogami, coś się zmieniło, przekroczył jakąś granicę. Stał się prawdziwym bambo nawet w oczach innych bambo, obcym nawet dla obcych.

Pokołysał się jeszcze trochę ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń przed sobą. Potem odstawił butelkę i z małej komody z płyt wiórowych wziął list od Sonji. Przysunął sobie list pod nos, potarł go palcami, jakby był napisany alfabetem Braille'a, jakby ukryto w nim jakąś wskazówkę, rozwiązanie jego nieszczęsnego dylematu. Podniósł do światła list w jednej ręce, fotografie w drugiej i spojrział najpierw na jedną drżącą dłoń, potem na drugą, jakby porównywał zdjęcia rentgenowskie, jakby szukał powiązań, jakby uważne patrzenie na jedno mogło rozwiązać zagadkę drugiego. Wreszcie ułożył wszystko w staranny plik na kolanach i znów popadł w zadumę.

Jakże tęsknię za takimi drobnostkami, pomyślał, dziwnymi drobnostkami, tak małymi, że prosić o nie mogłoby się wydawać niewłaściwe albo bezczelne, jeszcze raz poczuć oddech Marii, posłuchać melodii tego oddechu, gdy ona śpi, usłyszeć, jak sapie, chrapie nawet, dyszy i wzdycha w Bóg raczy wiedzieć jakim śnie, do kogo i czego, to mnie nie obchodzi, tyle tylko, że odleciał z wiatrem, a wiatr jest wszędzie i wiem, że jej oddech odleciał.

Pamiętał, jak szedł z nią do łóżka, wtedy kładła się na boku, a on przytulał się do niej od tyłu, przysuwając twarz do pleców, wachając ją, dozgonnie wdzięczny, że może ją wachać. Jej zapach znów do niego powrócił, splatając pamięć z pożądaniem. Przypomniawszy sobie, jak przyciskał biodra do jej pośladków, jak czuł jej moc, już na zawsze złęknioty, że ją poznał, jak jego ręka sunęła po jej tułowiu, wreszcie dłoń ujmowała miękki ciężar piersi, jak pragnął trzymać ten słodki ciężar po wsze czasy. Pamiętał, jak się kochali, czasem dziko i wtedy bardzo ją podniecał, a ona podniecała jego, jęczała jak zwierzę i był przerażony, że jej ciało dociera do rejonów, o których nie miał pojęcia — i widział, że lubi go o wiele mniej właśnie dlatego, że tak ją rozpalił. Kiedy indziej podniecał ją łagodniej, powściągał się w sztuce kochania, a wtedy lubiła go bardziej, choć przecież doznawała mniejszej rozkoszy, a ten paradoks zbijał go z tropu, bo sprawianie jej przyjemności uważał za sprawę honoru, a jednocześnie pragnął, aby kochała go tak mocno, jak on kochał ją.

Chwilami obiecywał jej różne głupstwa niemożliwe do spełnienia: dom zbudowany z perfum, ubrania utkane z piosenek; ona zaś

obiecowała mu to, co było możliwe: że będzie z nim pracowała, że będzie się z nim kładła, że w razie konieczności będzie za niego walczyć, jeśli tylko jej nie opuści. Poczłł wysuszoną szarotkę na końcu jej języka, a dłonią rozchylił jej uda, piękne, słodkie, silne uda, i wiedział, że wchłania go wiatr i pachniało morzem i czuć było morze, Palce drugiej ręki wsunął w jej włosy, owinał kosmyki wokół kłykci i ciągnąc, odchylił jej głowę do tyłu, aż usta i gardło i jego napór i jej serce i jego pożądanie — wszystko spłotło się w uniesieniu, a jej niepohamowane niskie jęki narastały, jakby wydobywały się z samej ziemi.

Po pewnym czasie znowu rozległo się pukanie do drzwi. Pukanie inne niż poprzednie, bardziej powściągliwe, prawie grzeczne. Bojan spojrział na drzwi i wrzasnął:

— Odpieprzyj się, Jezuuu Chrystee! Mówiłem już. Nie chcę iść do tego cholernego pubu. Nienawidzę go faken.

Ponownie ktoś zapukał delikatnie. Bojan niechętnie dźwignął się z łóżka i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi, klnąc po drodze. Kiedy otworzył, wyraz poirytowania na jego twarzy zmienił się w zaskoczenie. Jego złorzeczenia ucichły, gapił się na postać stojącą w progu, obramowaną mrokiem. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie, Bojan wstrząśnięty, Jiri skupiony nie na jego twarzy, lecz na ciele, ubraniu, postawie, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

— Bojan. Od tygodni dzwonię do baru. Ale nigdy cię tam nie ma. Tak przynajmniej mówią. Nie można cię znaleźć.

Bojan cofnął się o krok i zniecierpliwionym gestem otwartej dłoni wskazał wewnątrz.

— Włazisz czy jak?

Jiri wszedł. Bojan podsunął mu jedyne krzesło i butelkę z rumem. Jiri pokręcił głową, odmawiając przyjęcia jednego i drugiego. Jego misja była poważna, jego zachowanie niezręczne, oficjalne. Bojan usiadł na łóżku i czekał.

— Bojan... — zaczął Jiri i umilkł.

Przeciagnał grubymi palcami po długich kosmykach cienkich przeredzonych włosów. Połyskiwał od deszczu. Bojan się nie odzywał. Jiri spojrział na niego, zastanawiając się, czy przyjazd tutaj nie jest

najgłupszą rzeczą, jaką zrobił w życiu, pełnym przecież różnych głupstw, bo sześć godzin jechał starą corollą w zasnutej deszczem ciemności smaganą wiatrem zdradliwą szosą z Hobart do Tullah, żeby powiedzieć Bojanowi to, co miał mu do powiedzenia, a potem czekała go równie długa droga z powrotem. Ale nie było od tego ucieczki, musiał to powiedzieć.

— Niewiele brakowało, żeby umarła.

Bojan łyknął z butelki, lecz rum nie miał żadnego smaku, spłynął mu do gardła tak zwyczajnie jak letnia herbata, którą nalewali litrami w bufecie robotniczym, i wolałby opróżnić zaraz tę butelkę i zacząć następną i jeszcze jedną i jeszcze jedną i wykończyć wszystkie i przy okazji oby siebie też, niż słuchać tego, co Jiri chciał mu zakomunikować. Ale odsunął butelkę od ust, bo musiał coś powiedzieć, cokolwiek.

— Wiem o tym. No i co? — Zareagowawszy z obowiązku, znów pociągnął duży łyk.

— Musisz przestać, Bojan.

Powoli odsunął butelkę od ust, a potem, cicho i nie-śpiesznie, jakby mówił o kimś innym, a nie o sobie, odparł:

— Jak mogę przestać? Żeś taki mądry, Jiri, to mi powiedz. No jak?

Przypomniał sobie te wszystkie chwile, kiedy myślał, że może przestać, kiedy miał nadzieję, że zmieni duszę w bryłę lodu, której nic nie zrani, tak jak znieczulony alkoholem nie czuł żadnego bólu, kiedy upadał albo obrywał w barze, a wtedy ten drugi ból, pozbawiony fizycznej realności, również jakby znikał.

— To jak nóż — powiedział. Jego oczy zasły łzami. — Jak nóż, co mi się bez przerwy obraca we flakach.

Jego głos przebrzmiał. A potem rum skoczył mu do gardła jak płomień, całe ciało zaczęło drżeć, dygotać w przyływie ogromnego gniewu.

- Powiedz mi, Jiri, proszę, błagam, powiedz. Jak przestać?

ROZDZIAŁ 62

1967

W rzeczywistości nóż tkwił w ranie od tak dawna, że Bojan już nawet tego nie pamiętał, nóż obracał się i ciął w tę i we w tę i w rezultacie on, ona, oni rozpadali się od pewnego czasu, zmierzając ku chwili, ku działaniu, które oboje odczuwają intuicyjnie jako koniec. Nie chodziło o to, co zostało powiedziane, lecz o narastającą masę słów niewypowiedzianych, o milczenie, które dawniej łączyło ich jak metalowe klamry, a teraz tworzyło rosnącą przepaść.

Włóż w to duszę, mówił Jiri, weź się w garść, nie poddawaj się. Ale to było poza chceniem i niechceniem, bo było poza nimi, nawet jakby ich nie dotyczyło, bo nie dotyczyło czegoś, co mogliby wziąć w dłonie i czemu mogliby nadać kształt jak kawałkowi drewna, lecz raczej czegoś, co ich kształtowało. I choć żadne tego nie rozumiało, oboje intuicyjnie zdawali sobie z tego sprawę i czekali, jak on kiedyś czekał w osadzie budowniczych pośrodku zimnego bezludzia, sparaliżowany narastającym przerażeniem. Może Jiri miał rację, a oni się mylili, zdając się na przeznaczenie, ale nic nowego nie wynikało z tego, co robili, każdego dnia zaś powracała udręka, coraz silniejsza, gorsza, niepohamowana.

Tak oto tego spokojnego sobotniego ranka, kiedy jedynym dźwiękiem na świecie wydawały się pomruki Patsy Cline z radia tranzystorowego w ciemnym skórzanym etui na lodówce, Sonja stanęła w drzwiach sypialni z małą walizką w ręku. Bojan nawet nie musiał udawać, że jej nie widzi.

Siedział w pomieszczeniu służącym za kuchnię, popijając z małej filiżanki czarną kawę po turecku, znowu oglądając fotografie swojej żony i choć córka od razu zauważyła zdjęcie, ojciec nie zauważył jej.

Patrząc na niego, przypomniła sobie te wszystkie chwile, które przeżyli razem, i pomyślała, że z tego powinny narodzić się historie, które pewnego dnia mogłaby opowiedzieć swoim dzieciom, ale takich

historii nie było, nie było żadnych szczęśliwych historii, które mogłaby teraz przywołać, tylko historie smutne, niezasługujące na opowiadanie. A być może najsmutniejszą z nich była historia zaledwie sprzed kilku dni.

Sonja urządziła przyjęcie z okazji swoich szesnastych urodzin. Bojan zbyt dużo ostatnio pił, żeby ją w tym wesprzeć albo się temu sprzeciwić. Poprosiła o pieniądze, więc rzucił jej portfel, mówiąc, żeby wzięła, ile chce, żeby wzięła wszystko, bo ma to w dupie. Chciała, aby przyjęcie wyglądało tak, jak według jej wyobrażeń wyglądały przyjęcia dla dorosłych, a nie jak te, które widziała. Zrobiła ciasto — nie ciastka dla dzieci, tylko dwa puszyste torty czekoladowe i sernik, taki jaki lubią Australijczycy. Kupiła salami, sery i dobre pieczywo i ułożyła wszystko pięknie na talerzach. Posłała Bojana po cztery butelki wina Kaiser Stuhl Cold Duck. Czipсы i orzeszki nasypała do miseczek. Zaprosiła przyjaciół i jeszcze parę innych osób, które ledwo znała, ale lubiła.

W ciągu kilku godzin przed przyjęciem przebrała się cztery razy, rozdarta między pięknem swojej ulubionej — jedynej — sukienki a bezpretensjonalnością jedynych dzinsów. Bezpretensjonalność zwyciężyła. Sonja stanowczo poprosiła Bojana, żeby nie pił, i ten jeden raz jej posłuchał, nie tknął ani kropli. Czekali, oglądając telewizję. Sonja radosna i roześmiana, Bojan coraz bardziej pod wpływem zaraźliwego nastroju córki. Czekali, a czekając, żartowali i urządzali głupie zabawy, on z czipsem na każdym oku, bzyząc głośno, udając wielką muchę. Tak to właśnie powinno być, pomyślała, lecz nie powiedziała tego na głos. A potem, w przypływie śmiałości: tak będzie. Myśl ta zaczęła kiełkować jak zdrowa sadzonka, urastając do przekonania, że ich życie znalazło się w punkcie zwrotnym. I być może wreszcie będzie lepiej.

Czekali do szóstej, potem do wpół do siódmej, a gdy nikt się nie zjawił, Sonja sprawdziła zaproszenie, aby się upewnić, że podała właściwy czas i miejsce. Czekali do siódmej. Wesołość zniknęła z jej twarzy, śmiech ucichł. Czekali do ósmej, a potem Bojan poszedł do kuchni i wyjął z lodówki swoją pierwszą butelkę tego dnia.

Pół godziny później Sonja zrzuciła dzinsy.

Ludzie mieli różne wymówki, jak to zwykle bywa, niektóre lepsze, inne gorsze. Lecz nazajutrz w szkole usłyszała za plecami, jak

dziewczyna, której nawet nie znała, zwraca się do koleżanki teatralnym szeptem:

— Bambo śpi z nią w jednym łóżku. Ona i bambo. Wiesz, o co chodzi.

Sonja odwróciła się i spytała:

— O co? O co chodzi?

Wtedy dziewczyna powiedziała, że chodzi o to, o czym wszyscy wiedzą, i właśnie dlatego nikt nie przyszedł na jej szesnaste urodziny.

Nazajutrz Sonja nie poszła do szkoły, tylko do miasta, a za pieniądze, które Bojan dał jej na domowe sprawunki, kupiła sobie kremową bluzkę w jeżyny obszytą koronką, i pierwszy raz włożyła ją tego ranka, kiedy stała z walizką w kuchni, czekając, aż ojciec podniesie wzrok, aby mogła mu powiedzieć to, co nagle wydało się nieuchronne.

ROZDZIAŁ 63

1967

Bojan podniósł głowę i uśmiechnął się lekko. Był spokojny, przegrany. Wiedział, że nie może dłużej udawać, że trzyma razem rozsypujące się fragmenty. Że jego gniew i wściekłość powstrzymają rozpad. Nie miał się czego uchwycić poza butelką.

— Odchodzę — powiedziała tylko.

Zarechotał. Potem uśmiechnął się, ale ponuro. Był na to gotowy, próbował z honorem przyjąć to, co los mu zgotował. Życie odarło go z godności, ale chciał ją odzyskać w tamtej chwili. Może to była duma. Może tylko próbował sobie wmówić, że gdy Sonja odejdzie, coś ocaleje w gruzach.

— Lepiej to weź — powiedział. Wstał i z szafki nad lodówką wyjął pudełko zawinięte w elegancki papier. Był to prezent kupiony na jej urodziny, o którym zapomniał w pijackim zamroczeniu. Zbyt zawstydzony, aby przyznać się do błędu i dać córce spóźniony podarunek, zachował go na tę chwilę, której wyczekiwał o wiele dłużej, niż ona o niej myślała. — Nie otwieraj teraz. Przyda ci się to, co jest w środku. Ja tego nie potrzebuję. Tobie przyda się wszystko.

Wyciągnął rękę z pudełkiem. Jego oczy — złamane dyble w pękniętym starym meblu — spotkały się z oczami Sonji, tylko na moment. Wzięła pudełko, nachyliła się i pocałowała go niezdarnie w policzek, czego nie oczekiwał ani nijak nie skwitował, po czym pożegnała się z nim po słoweńsku:

— *Adijo*, ati.

Bojan Buloh spojrział na nią, na swoje piękne dziecko, i poczuł tak wielką miłość, że wydawało mu się, że zaraz sczeźnie, jakby była ogniem, który spali go na popiół. Bo miłość do córki wykraczała poza niego, trwała niewzruszenie tam, gdy on się zmieniał, namacalna, gdy rozpuszczał się w powietrzu. Pragnął, aby Sonja została, i jednocześnie chciał, żeby jak najszybciej odeszła, zanim on wkroczy między córkę a

swoją miłość do niej.

Odpowiedział po australijsku:

— Żegnaj, Sonja.

Nie podszedł, a ona była mu wdzięczna za to, że też nie daje po sobie poznać tego, co oboje czują. Nie dotknęli się. Odwróciła się i ruszyła do drzwi, gdy nagle Bojan Buloh krzyknął za nią:

— Sonju!

Obróciła się błyskawicznie i zobaczyła, że ojciec wysunął ręce do przodu, ale nie błagalnie, tylko poruszając nimi zawzięcie, jakby próbował nadać tajemnicy poznawalny kształt. Ustami też poruszał, lecz bezgłośnie. Stał przed nią, garncarz pozbawiony gliny, język pozbawiony mowy. A potem — jakby uświadomiwszy sobie własne absurdalne zachowanie — ręce nagle znieruchomiały i opadły, a za nimi podążyło spojrzenie jego oczu, ku podłodze. Potem Bojan odzyskał mowę.

— Sonju! — krzyknął, po raz ostatni w ciągu najbliższych dwudziestu dwóch lat zwracając się do niej po imieniu.

Bo gdy chwilę później podniósł oczy z nadzieją, że usłyszy słowa zadanej pokuty i rozgrzeszenia, nie zobaczył nic, nic, tylko pusty otwór drzwi.

Sonja odeszła.

I właśnie teraz, gdy znikła, wreszcie znalazł w sobie słowa, by wyrazić to, co od dawna pragnął jej powiedzieć:

— Ty i ja — wyszeptał łamiącym się głosem — ty i ja żyliśmy, żyliśmy gorzej od kundli. Przepraszam. Nie oczekuję, że wrócisz. Uwierz mi, nigdy tego nie chciałem, picia, walki, tych bambo klitek, czasem w życiu coś się dzieje i mimo wszystko, wbrew nadziei, nie można tego zmienić.

Gdy to wyznanie dobiegło końca, elokwencja opuściła go równie nagle, jak się pojawiła.

Zanim ruszył do lodówki po pierwszą butelkę tego dnia, nieświadom wczesnej pory, powiedział jeszcze jedno do wiatru wdzierającego się z zewnątrz:

— Przyjechaliśmy do Australii, żeby być wolni.

ROZDZIAŁ 64

1967

Latem tamtego roku wybuchł wielki pożar, tak potworny, że nawet najstarsi mieszkańcy niczego podobnego nie pamiętali, a młodszy, kuląc się jak wystraszone witlinki w płycznach wielkich rzek Derwent i Huon, mieli nigdy tego nie zapomnieć. Pewnego wczesnego ranka zaczął dąć porywisty wiatr, w miarę upływu dnia słońce prażyło coraz mocniej, wiatr przybierał na sile, niebo pociemniało, kilka rozproszonych iskier przemieniło się w płomień, płomień w ogień, a potem pożary zlały się w jeden niezwyciężony żywioł. Ludzie przestali walczyć z potworną pożogą, wielką jak połączone niebo i ziemia, uświadomiwszy sobie, że jedynym rozsądnym zachowaniem jest ucieczka przed ogniem trawiącym wyspę. Sonja, obserwując to ze swojego domu w Moonah — ogień wdzierał się do miasta, powietrze zmieniło się w dym, świat pociemniał jak w nocy, bo popioły wypełniły przestrzeń, a z nieba lał się deszcz iskier — poczuła trwogę i jednocześnie podekscytowanie.

Zanim tego sądniego dnia słońce stoczyło się ku ziemi jak ogromna czara wrzącej krwi, ponad tysiąc domów spłonęło do fundamentów, zginęły niezliczone zwierzęta domowe i dzikie, sześćdziesiąt dwie osoby straciły życie. W następnych tygodniach w którąkolwiek stronę spojrzeła Sonja, widok zawsze wypełniała posępna niema czerń. Wszystko zmieniło się nie do poznania. Miasto było otępiałe, pełne uciekinierów, którzy stracili cały dobytek w pochodzie żywego ognia, gdy ten zachłanną paszczą pochłonął połowę wyspy. Porośnięta lasem niebieska góra, stanowiąca tło dla miasta, była teraz hałdą czarnego żużlu. Tam gdzie rozciągały się rozległe lasy, gęsty tajemniczy soczystozielony świat, pozostały tylko nagie szkielety drzew, wielkie kikuty sterczące ze spalonej ziemi jak oskarżycielskie słupy soli, a niżej tylko sadza i popiół. A pod czarną ziemią? Pod czarną ziemią, wybrawszy się pewnego ranka na wzgórze i spulchniwszy powierzchnię, Sonja odkryła pierwsze załączki nowego życia — zielone pędy zapowiadające przyszły las.

Z powodu pożaru zaczęła myśleć, że życie może się zmienić gruntownie. I teraz pragnęła takiej zmiany, pragnęła dołączyć do uciekinierów i zostawić za sobą wszystko, co dotąd знаła. Pragnęła zostawić tę ziemię pełną wody i stać się jak ogień.

*

W tamtych latach nawet czas był inny, a dzieciństwo nie było po prostu etapem życia. Kilka żywotów złało się w jeden niekończący się duszny poranek. Sprawy wyglądały inaczej niż teraz i błędem byłoby myśleć wtedy o ludziach tak, jak myślimy o nich dziś. Stojąc tamtego ranka na przystanku i czekając na autobus — szczupłe nogi w tanich obcisłych spodniach, szczupły tułów w bluzce obszytej koronką, w jednej ręce prezent w eleganckim papierze, w drugiej stara tekturowa walizka — Sonja nie przypominała kobiety, którą się potem stała.

Coś strawiło wszystko, czym była w przeszłości. Czuła to, co pani Maja Picotti podejrzewała w swoich modlitwach: że jej dusza opuściła ciało. Mogłaby w najbardziej gorzkich słowach uskarżać się na swoje życie, ale wcale tak tego nie postrzegala i wcale się tak nie czuła. Czuła tylko, jakby jej ciało powlekało popiół i nic więcej. A gdy wsiadała do autobusu, zauważyła, że jej nagie ramiona pokrywają ciemne smugi nawiewane od wzgórz spustoszonych niedawno przez kataklizm, spalonych do cna, a kiedy potrząsnęła rękami i potarła skórę palcem, ślady szarej tłustej sadzy zmieniły się w czerń.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne. Z tyłu, za brudną szybą, żarzyło się słońce, a promienie podświetlały kurz wirujący leniwie w środku. Zobaczył, że w autobusie nie ma nikogo oprócz chudej młodej dziewczyny siedzącej z tyłu, która, uznał, starając ubrać się jak dorosła kobieta, tylko podkreśliła swój młody wiek.

Sonja rozpakowała prezent od Bojana. Wewnątrz znajdowała się pozytywka azjatyckiej produkcji, szkatułka z czarnej laki, tanizna zapewne niewarta swojej ceny. Otworzyła szkatułkę. Wieczko wyłożono od spodu lusterkami, a dno miało przegródki wyściełane czerwonym aksamitem. W środku była baletnica, która po nakręceniu mechanizmu tańczyła na okrągłym płaskim lusterku.

Głębiej, pod figurką, leżało pięć dwudziestodolarowych banknotów

zawiniętych w starą fotografię.

Sonja rozłożyła banknoty i wsunęła je do przegródki w głębi, a potem spojrzała na zdjęcie. Przedstawiało Bojana i Marię w Butlers Gorge. Maria trzymała dziecko — Sonję — przy biodrze. Na tym zdjęciu rodzice byli szczęśliwi. Uśmiechnęła się — byli szczęśliwi, zawsze to wiedziała, choć być może krótko, może przez rok, przez kilka miesięcy, tydzień, dzień, niechby tylko przez tę chwilę, kiedy zrobiono to zdjęcie, byli szczęśliwi i zaznali razem szczęścia. A potem uśmiech spłynął z jej twarzy i zebrało się jej na płacz, ale nie uroniła ani jednej łzy.

Nakręciła mechanizm i patrzyła na płasy i piruety baletnicy po miniaturowym lustrzanym parkiecie do melodii *Walca syberyjskiego z Doktora Żywago* wygrywanej przez pozytywkę. Patrzyła na postać baletnicy zwielokrotnioną w lusterkach osadzonych ukośnie w wieczku, jakby wyłącznie dla niej wyczarowano cudowną trupę tancerek.

W tamtych czasach Hobart świeciło pustkami, a wrażenie to potęgowały spustoszenia dokonane przez pożar, który nawiedził miasto niczym najstraszniejsza wojna. Wszystko spowiła ogromna cisza, nawet wielkie autobusy sunące z mozołem po ulicach, wiozące ledwie garstkę pasażerów zatraconych w swojej podróży, wśród nich Sonję, jadącą do śródmieścia Hobart z zamiarem opuszczenia go na zawsze, z otwartą, grającą pozytywką na kolanach, zapatrzoną w baletnicę i jej odbicia wirujące w tańcu po wnętrzu szkatułki z czerwonego aksamitu i lusterek, widzącą kilka żywotów kończących się z nieoczekiwaną nagłością kraksy samochodowej — a w cichym kokonie nie było żadnych dźwięków oprócz tonów pozytywki grającej melancholijną melodię *Walca syberyjskiego*.

W tej magicznej jaskini luster Sonja zobaczyła, że kręcąca się tancerka przyjmuje nową postać: jej postać w wieku ośmiu lat, gdy wirowała w sukience do pierwszej komunii na stole w kuchni Michników; jej postać nieco później, w nowej różowej sukience uszytej przez ojca, gdy płaśała na stole i tańczyła z Bojanem. Ale potem to przysło, bo mechanizm przestał działać i mała baletnica wykonała tylko kilka rwanych ruchów. Muzyka spowolniła i stała się jeszcze smutniejsza, aż wybrzmiały ostatnie smętne tony, tancerka całkiem

znieruchomiła, z pięknie uniesionymi rękami, z twarzą zastygłą w wiecznym uśmiechu, z lewą nogą nieustannie zgiętą w kolanie, ze stopą z idealnie obciążniętymi palcami dotykającą prawego kolana.

Gdybym tylko mogła być taką zabawkową baletnicą, pomyślała Sonja, gdybym tylko mogła zastygnąć na zawsze w pięknym tańcu, na zawsze kręcić się w koło.

Nie ma powrotu, pomyślała. Drewno i koronka. Nie ma ani jednego, ani drugiego. To luksusy przeznaczone dla innych. Drewno i koronka, przepadły, przepadły na zawsze. Gdy zamknęła szkatułkę, gdy wieczko z czarnej laki zakryło lusterka i przygniotło baletnicę, kilka żywotów i straszliwa cisza dobiegły kresu. Sonja podniosła wzrok i rozejrzała się, poczuła, jak wibracje rzeżącego silnika przenikają przez siedzenie do jej ciała.

W ciszy spowijającej wtedy Hobart — które nie przypomina dziś żadnego miasta na świecie — jedynym dźwiękiem był ostatni ton pozytywki.

Za oknem leciuteńki podmuch wiatru wzbił tuman popiołu, kierowca zaklął na widok czarnych smug zasnuwających przednią szybę, a obok drogi, wyglądając spod żyznej sadzy, ku światłu parły żółtozielone kielki.

ROZDZIAŁ 65

1967

Bojan Buloh siedział sam w kuchni, tak jak siedział rano, zatopiony w posępnej zadumie. Może wtedy zobaczył coś, czego nie chciał widzieć. Czy zobaczył potwory, pomór, czy wojnę, czy tylko swoją niezdolność do rozszyfrowania, do zrozumienia czegokolwiek z tego, co postrzegał jedynie jako złą tajemnicę, trudno rozsądzić. Zwykle takie uczucia były przelotne, a tego dnia, kiedy go dopadały, pił na umór i jeszcze przez kilka dni potem też, aby mieć pewność, że pozbył się ich na zawsze. Ale tego uczucia nie dało się tak łatwo odpędzić.

Kuchnię wypełniło przedwieczorne ospałe światło późnego lata. Mała filiżanka była pusta, więc odwrócił ją na spodeczku do góry dnem. Odczekał chwilę, aby odsączyły się ostatnie krople kawy, postawił ją z powrotem jak należy i zajrzał do środka, chcąc w fusach zobaczyć swój los.

Bojan Buloh patrzył na pokryty laminatem stół, na filiżankę, na prorocze fusy w środku, na rozmaite przedmioty, które w jego oczach zdawały się nie mieć ze sobą żadnego związku: popielniczka z kopącym niedopałkiem, zdjęcia rzucone byle jak, własna prawa ręka. Jego oczy widziały tylko abstrakcyjny zbiór form i kolorów. Nie dostrzegały żadnego wzoru, żadnej przepowiedzianej przyszłości. Tylko straszliwy chaos bez przyczyny i skutku, niekończąca się nawałnica niepowiązanego bólu. A w jego głowie uporczywie rozbrzmiewała nieszczęsna pozytywka grająca *Walca syberyjskiego*.

Chryste, jakże bym chciał, żeby było inaczej, pomyślał Bojan Buloh. Żeby nie słyszeć tej faken melodii granej w kółko. Chciałbym, żeby było inaczej i żeby to ucichło, i żebym ja był inny, niż chcę.

Wyprostowane palce zadrzały, gdy podniósł prawą rękę z pokrytego laminatem stołu i zakrył nią filiżankę, żeby nie widzieć straszliwych tajemnic odsłoniętych w fusach. Palce powoli — jakby ręka cierpiała katusze — zamknęły się w dygoczącą pięść ściskającą

filizankę.

Nagłym, szybkim ruchem uniósł rękę — razem z piekielną filizanką — i grzmotnął nią z hukiem w blat. Pięść otworzyła się jak rozkwitający raptem kwiat, palce rozczapierzyły jak płatki, filizanka na moment pręcikiem, zanim się roztrzaskała w drobny mak. Okruchy rozbitej porcelany pofrunęły we wszystkie strony spod rozpłaszczonej dłoni Bojana.

Już nie widział chaosu. Nawałnica minęła, melodia wreszcie ucichła. Z rozpostartej dłoni trysnęła krew, a Bojan, z dziwnym uczuciem graniczącym ze spokojnym przerażeniem, patrzył, jak wokół rozsypanych kawałków przepowiedzianego życia rozlewa się czerwona kałuża.

Chciałbym, pomyślał, i chciałbym, i chciałbym, i chciałbym.

ROZDZIAŁ 66

1990

Jezusie, pomyślał Bojan Buloh.

Marię pamiętał bardzo niewyraźnie, tak niewyraźnie, że wciąż wydawało mu się, że ją widzi. Czasem, gdy przyjeżdżał do Hobart, dostrzegał twarz w tłumie — ale przy bliższym przyjrzeniu się widział, że to ciało innej kobiety. Kiedy indziej coś mignęło — machnięcie dłonią, obrót bioder — lecz śledząc taki wyrazisty ruch, przekonywał się, że twarz należąca do tych dłoni lub bioder nie jest twarzą Marii. Jakby pozostało po niej coś, co odbijało się żalobnym echem w takich dziwnych, niesamowitych chwilach. Jakby postać Marii miała zbyt wielką moc, aby zwyczajnie zniknąć, a świat tworzył ulotne repliki różnych części jej ciała.

Czasem kobieta, za którą biegł ulicą, odwracała się na dźwięk jego głosu, a na widok jego twarzy — już nie twarzy, tylko pytania bez odpowiedzi — jej zaskoczenie przemieniało się w strach. Pewnego razu podszedł do kobiety, która miała straszliwie zdeformowaną twarz, pokrytą płatami skóry jak świńskie uszy i bez jednego oka. Nie odezwała się, tylko rzuciła mu takie samo bezduszne spojrzenie, jakby w tym, co zobaczyła, rozpoznała siebie. A potem spoliczkowała go mocno i odeszła jak wszystkie inne.

Niczym uwięziony wariat blade światło nagiej żarówki miało się po pokoju pomalowanym farbą emaliową, pobielając Bojana Buloha, aż jego flanelowa koszula w niebieską robocze spodnie khaki i majtki wydawały się wyblakłe, jego ciało i twarz bezkrwiste. Siedząc nieruchomo na skraju łóżka, sprawiał wrażenie trzeźwego, choć był pijany.

Słuchał deszczu bębniącego bez przerwy o blaszany dach, słyszał monotonny chlupot deszczówki w obluźwanych rynnach, czasem głośny jak huk wezbranej rzeki, potem cichnący, potem znów głośny, i był wdzięczny, że ten rytm zagłusza prawie wszystkie inne odgłosy

dochodzące z zewnątrz. Przestał patrzeć w czarny otwór okna i znów spojrzął na dwie fotografie, które trzymał w ręku.

Kim ona była? — pomyślał Bojan Buloh. Czasem dopadała go idiotyczna myśl, że rozpoznaje zarys jej ust na pomazanym czerwoną szminką filtrze niedopałka wciąż tłącego się w barowej popielniczce, ale gdy podnosił wzrok, odchodząca kobieta zawsze okazywała się kimś innym. Marią nie była też kobieta, której profil naśmiewał się z jego wspomnień; nie była nią też ta, która miała identyczny głos, tak boleśnie identyczny, pomyślał Bojan, że miał wrażenie, jakby w uszy wlano mu gorący olej, wdzierający się ogniem do udręczonego mózgu.

Z wyraźnym wahaniem, jakby to była karta tarota zapowiadająca straszliwy los, którego nie chciał poznać, ale na który był nieodwołalnie skazany, położył jedną ze starych fotografii na wypłowiałej akrylowej kołdrze, która dawniej pyszniła się opalizującym wzorem w rozkwitłe fioletowe irysy. Na zdjęciu Maria trzymała Sonję w Butlers Gorge.

Kim była Maria? Choć pragnął wiedzieć, wiedział coraz mniej. Myślał, że chce pamiętać, ale tak naprawdę wciąż próbował zapomnieć o niej całkowicie, bojąc się, że — jak wtedy, gdy zbyt długo pociera się drewno papierem ściernym — zniszczy wspomnienia, które mu pozostały, jeśli zbyt często i zbyt długo będzie się na nich skupiał. Nie potrafił się przyznać do poczucia, że gdzieś w jego umyśle, w jakiejś tajemniczej i odległej części, w niszy ukrytej głęboko dla własnego bezpieczeństwa, pamięć o Marii trwa nienaruszona, ale te ślady przeszłości, choć całe i nietknięte, staną się coraz bardziej kruche i rozpadną się w proch, jeśli spróbuje je wydobyć. Gdzieś głęboko w jego wnętrzu Maria żyła i dręczyło go to strasznie, ta świadomość, że nie może odzyskać tej pamięci, podległej wyłącznie własnym prawom, a nie jego dojmującemu pragnieniu. Coś w jego wnętrzu nie poddawało się zwierzęcej sile woli, a to bardzo go przygnębiało i jednocześnie pozwalało mu żyć dalej. Kim była Maria?

Położył drugą fotografię na kołdrze. Na zdjęciu znacznie młodszy mężczyzna, którym dawniej był, trzymał na rękach małą Sonję w Butlers Gorge. Nałożył jedno zdjęcie na drugie — Maria trzymająca Sonję i Bojan trzymający Sonję — aż wydawały się jednym. Jak to zdjęcie, którego brakowało, które dał Sonji, kiedy odchodziła z domu, zdjęcie

nieistniejącej już rodziny — Maria, Bojan i Sonja, we troje, razem.

Złożył fotografie, wstał i schował je z powrotem do starego pudełka po butach, na którym leżał list od Sonji.

Gorsza od roboty jest tylko przerwa w robocie, pomyślał Bojan Buloh. Gdy wypił odpowiednio dużo, czuł się jak człowiek nierzucający cienia. Tak właśnie powiedział Pawłowi:

— Tylko umarli nie rzuca cienia.

Dlatego w tamtej chwili zapragnął schronić się znowu w łonie swojej pracy, w stolarni, w otulającym hałasie pił taśmowych i strugarek, wiertel i wyciągów wentylacyjnych, w kurzu i strużynach i zapachu kleju, w miejscu, gdzie czasem można było się zatracić w świecie tworzenia. W stolarni nie robili niczego nadzwyczajnego, ot, zwykłe rzeczy, szafki, szafy, stoły i szuflady dla nowych osad przy hydrobudowach, dla biur kierownictwa, dla kwater robotniczych, w których mieszkali im podobni, zwykłe rzeczy dla zwykłych ludzi.

Czasem, gdy wiedział dokładnie, gdzie jest i kim jest, odstawiał fuszerkę, swoją nienawiść do tych ludzi wkładał w drzwi, które się klinowały, w biurka, które się chygotały, i w szuflady, które nie pasowały do otworów.

— Popatrz na to — powiedział pewnego dnia Paweł do Bojana Buloha, wskazując kawał płyty wiórowej. — Całe to drewno z odrzutu. To my.

Ale co trzyma nas w kupie?, pomyślał Bojan. Co sprawia, że w ogóle mamy jakiegokolwiek znaczenie?

I właśnie o tym myślał, pracując w dużej stolarni wypełnionej hałasem i jarzeniowym światłem, myślał o tym, do czego zmierzał Paweł, mówiąc, że są jak kawałki drewna, i znów poczuł się przegrany, straszliwie przegrany.

A potem zaczął robić rzeczy dla wszystkich innych, którzy w jego przekonaniu byli tak samo przegrani, zbijał dla nich stoły, szafy, drzwiczki, ale już bez nienawiści, lecz z miłością, jakby kładł kompres na ich obolałe rany, dobre, trwałe rzeczy, które miały im wiernie służyć, gdy wszystko inne w życiu zawiedzie, i miał nadzieję, że ci ludzie poczują to w wygładzonej powierzchni drewna, w starannie przyciętym laminacie, w trwałości płyty wiórowej, w prostocie i symetrii kątów; że

może domyśla się, że on wie, że widzieli śmierć swoich dzieci, że ich matki przepadły na zawsze, że musieli przedwcześnie pochować ojców, że widzieli mordowanie niewinnych, jak widział on, że widzieli, jak ludzie popadają w obłąd, tak samo dobrzy i źli, że widzieli, jak ich siostra oddaje się żołnierzowi za zmarznąętą rzepeę, że widzieli to, czego nikt nigdy nie powinien widzieć, człowieka przywiązanego do desek i wepchniętego w trak. Bojan Buloh nie dbał o to, czy ludzie ci wiedzą, że kawałki płyty wiórowej trzymają się razem dzięki jego łzom, że laminat podklejony jest jego miłością, po prostu każdego dnia z ogromnego warsztatu wysyłał do nich wszystkich potajemne przesłanie, podobnie jak dawniej nosił partyzantom meldunki ukryte w wydrążonej cebuli, a przesłanie było takie, że ci ludzie wiedzą — wiedzą — i łączy ich tylko jedno, tylko jedno czyni ich ludźmi i odróżnia od tych zapijaczonych wściekłych psów, za których inni ich uważają, mianowicie świadomość, że te potworności przeżyli wszyscy, nie tylko on — takie przesłanie było zakłęte w jego stołach i szafach i drzwiczkach, a on starał się je głosić z miłością.

Bojan Buloh wziął list od córki, pogładził się nim powoli po policzku, jakby ten dotyk mógł być zapowiedzią pieszczoty, przysunął list do nosa i powąchał go, jakby w zapachu kryła się jakaś wiadomość.

Maria, pomyślał Bojan Buloh. Moja Maria.

ROZDZIAŁ 67

1990

Drzwi były otwarte. W środku pracował Bojan. Po całym pokoju, zwykle utrzymanym w porządku, wałały się narzędzia, kawałki drewna, meble w różnych stadiach budowy. Na karcianym stoliku nieotwarta butelka piwa. Sypialnia zamieniona w warsztat. Bojan potarł ostatni raz papierem ściernym odwrócony kawałek drewna. Potem wpasował go w dłuższą deskę z rzędem identycznych czopów — część powstającego kojca.

Inni samotni mężczyźni, którzy w każdy weekend wałęsali się bez celu, nosząc pranie, przystając, żeby pogadać i zapalić, nie widywali już bambo pijanego w pubie. Zaglądali niekiedy do jego kwatery i wtedy widzieli go w smugach słońca wpadających do środka przez małe okno, widzieli sylwetkę uwijającą się w tumanach kurzu, jakby chciał wymazać siebie z tego świata.

W trakcie pracy, gdy jego młotek stukał, piła zgrzytała, wiertło rzeźbiło, on sam stękał i pojękiwał, dyszał i klął. Żadnych innych dźwięków, tylko odgłosy człowieka przy robocie. Żadnych innych obrazów, tylko zgarbiona postać, głowa, ręce i drewno splecione w jedno.

ROZDZIAŁ 68

1990

Bojan Buloh poczuł, że mgła osiadła, spowijając zdradliwe bagienne miasteczko, jakim było Tullah na dnie posępnej doliny, cuchnące trzęsawisko, w którym woda i ludzie gnili jednakowo, sparciały hamak rozpięty między wysokimi niebieskimi górami, i poczuł to z wdzięcznością, z wdzięcznością powitał duszną białą wilgoć ograniczającą jego pole widzenia do własnego FJ, do którego dachu przywiązywał mebel.

Jego ubranie nasiąkło wilgotną mgłą, stało się ciężkie i oślizłe jak węże.

— Nie wiesz, jaki kłopot jest z córką — powiedział do Włocha, który pomagał mu przykryć mebel kawałkiem brezentu. Gdy Bojan rozciągał i wiązał sznury, węże rozpełzły się po całym jego ciele. A potem się roześmiał. — I ja faken też nie. Nic faken nie wiem. Tyle wiem: faken nic. Wiem, że tu nic nie zostało — dodał, pukając się w głowę. — To niedobrze, ale nie pamiętam. Dziwne.

— Dokręcisz śruby? — spytał Włoch, wskazując zardzewiałe szyny bagażnika.

- Są w porządku.

— W każdym razie w lepszym stanie niż auto — stwierdził Włoch, słusznie powątpiewając, czy FJ podoła tak dłuższej podróży, obciążony dodatkowym ładunkiem. — Na pewno nie chcesz mojego chryslera?

Obawy Włocha były uzasadnione. FJ kopcił tak, że wyglądał jak pożar na kółkach, kierownica obracała się opornie, a w bagażniku — dla zminimalizowania przechyłów — leżały worki cementu; jeden Bojan rozpruł, rozrobił odrobinę i polał przednie drzwi od strony pasażera, żeby je zabezpieczyć przed korozją. Prędkościomierz nie działał od lat, licznik przebiegu obracał się kapryśnie, jakby był zwojami mózgowymi FJ — czasem zastygał, kiedy indziej zasuwał szybciej niż zegar

olimpijski. Szary koc z hydrobudowy zsuwał się z rozdartego przedniego siedzenia, które miał zakrywać, odsłaniając końskie włosie i zardzewiałe sprężyny. Uszczelki przy drzwiach dawno się wykruszyły i zostały zastąpione kawałkami przylepca wszędzie oprócz odcinka od strony kierowcy. Ten zabieg nie wyeliminował przecieków, tylko je ograniczył, więc gdy padał deszcz, i tak kapało do środka, wskutek czego w kabinie panowała parna duchota bardziej jak w szklarni niż samochodzie. FJ nie rozpadał się dzięki paście z włókna szklanego, którą byle jak zaszpachlowano liczne wgniecenia, dzięki silikonowi wtryskiwanemu w coraz większe dziury wyżarte przez rdzę i idiotycznym przekonaniu Bojana, że ten samochód zawsze dowiezie go do celu, bo jego wola i wola auta spotykały się w jakimś odległym punkcie. Mysi o pozbyciu się FJ. do czego był czasem namawiany przez Włocha i kilku innych głupców, napęłała go strachem, jaki się czuje przed amputacją kończyny. Bojan pokręcił głową.

— Po co miałbym chcieć twojego cholernego chryslera?

Mgła była teraz tak ciężka, że twarz ociekała mu wodą.

Woda spływała po nosie i policzkach, przypominając mu, kim jest, przypominając mu o własnej okropnej tożsamości. Bezrozumny mech na obliczu tej ziemi.

— A jednak musi ci strasznie na niej zależeć — powiedział Włoch.

Tego dnia jego oczy wydawały się szczególnie duże, przypominały ślepiec psa. Bo nie miał nawet córki, z którą zerwał kontakty. Wcześniej miał żonę i syna, lecz zginęli w pamiętnym wypadku samochodowym wiele lat wcześniej. Nic nie zostało z żony i syna, nic nie zostało nawet z drogi, na której zakończyli życie, bo na tym miejscu zbudowano czteropasmową autostradę.

Nie mam pojęcia, czy mi zależy, odpowiedział Bojan w duchu.

— Jadę do Hobart, tylko tyle wiem — rzekł na głos.

Może powinno mi zależeć, ale w ogóle nie wiem, co to słowo znaczy, pomyślał.

— Mnie zależy na Fabriziu — powiedział Włoch. — I na Adrianie.

Jego oczy jakby się rozwodniły, choć czy z powodu łez, kropelek

mgły, czy zażenowania, bo użył niewłaściwego czasu gramatycznego po angielsku, mówiąc o dawno zmarłym synu i żonie, których dusze przepadły na zlikwidowanej drodze, trudno było rozstrzygnąć. Może do głosu doszedł gniew, że nie zostało mu już nic, czego mógłby się uchwycić — ani życia, ani nawet miejsca śmierci.

Ale, pomyślał Bojan Buloh, może niektórzy coś jednak wiedzą. Może w coś wierzą. Może im na czymś zależy.

Ale nie mnie.

Mnie nie zależy na niczym. Już nie. Jestem tylko starym drzewem rosnącym nad jeziorem z nową hydrobudową, pomyślał Bojan, zbutwiałym i zżerany przez robactwo, z koroną nie bujną, tylko ciężką.

I czekam.

Ale aa co czekał, tego nie wiedział.

Słońce już zachodziło, a Bojan chciał przynajmniej pierwszą część trasy pokonać za dnia. Sprawdził ostatni raz węzły przytrzymujące niebieski brezent na nieporęcznym ładunku na dachu. Naciągnął grubymi palcami sznurki i przytrzymał je na chwilę, biorąc wdech.

A potem puścił. Następnie otworzył drzwi, wsiadł i zapalił silnik. W milczeniu skinął głową Włochowi na pożegnanie.

Pora ruszyć w drogę powrotną.

Gdy u dołu wzgórza wrzucił trzeci bieg i spojrzał na szosę, ze zdziwieniem pomyślał o rozpędzonym samochodzie — zabytkowym FJ mknącym jak wiatr — i zadał sobie w duchu pytanie, czy z takiego nagromadzenia zła może się narodzić cokolwiek dobrego.

ROZDZIAŁ 69

1990

Bojan Buloh pojechał krętą drogą najpierw do Rosebery, potem dalej do smutnego Queenstown, a w ostatnich promieniach słońca skręcił na wschód, podążając serpentyną uczeponą na zawrotnych wysokościach nagich wzgórz. Gdzieś za osadą widmem o nazwie Linda zapalił reflektory, a zaraz potem, gdy lunął deszcz, włączył wycieraczki. Kiedy wspinał się na przełęcz i powoli zjeżdżał po zdradliwych stromiznach pośrodku olbrzymiego bezludzia, od czasu do czasu błyskawica rozświetlała świat i wtedy przez ułamek sekundy widział dziką krainę, którą przemierzał.

Ulewa przybierała na sile.

Gdyby nie był tak zdeterminowany, aby dotrzeć do celu, prawdopodobnie już dawno by zawrócił, bo teraz deszcz nie padał kroplami ani nawet strugami, lecz był pionową ścianą wody i wycieraczki niewiele mogły działać. Widoczność była tak zła, że przez ponad godzinę Bojan sunął w ślimaczym tempie na pierwszym biegu, co tylko pogarszało sprawę, bo wycieraczki były sprzężone z silnikiem, pracowały więc w rytmie jego wolnych obrotów.

Poza polem widzenia deszcz obmywał góry i lasy, napelniał rzeki. Przesuwał rzeczy, które nie chciały się przemieszczać, ale których przeznaczeniem były nowe miejsce i przemiana.

Bojan powoli słabł w swoim postanowieniu. Jego samopoczucie, i tak przecież nie najlepsze, pogorszyło przeciekanie wody do środka, wskutek czego zmókł i zmarzł. Podjął się czegoś, co było trudne, bardzo trudne, i nie wiedział, czy starczy mu sił. Wątpliwości nękały go bardziej niż deszcz. A jeśli ona nie chce go widzieć? A jeśli nawet chce, to co będzie, jak znowu się pokłóca, bardziej niż kiedykolwiek, a on powie jej coś strasznego, czego wcale nie myśli? Co osiągnie swoimi nedorzecznymi darami, które na pewno wydadzą się jej brzydkie?

A potem tuż za Tungatinah, gdy zbliżał się do Tarraleah, ogarnęło

go nagle pragnienie, żeby wrócić do jedyne­go miejsca, do którego poprzysiągł nigdy nie wracać. Dlaczego akurat w tę noc ze wszystkich nocy smutnego przemokniętego Bojana Buloha dopadła taka dziwaczna potrzeba, pozostaje do dziś niewyjaśnione, tak samo jak niewyjaśnione było wtedy. Być może próbował nieświadomie uniknąć rozstrzygnięcia dylematu, czy wypełni do końca, czy też nie, swoją misję odnalezienia Sonji. Z pewnością nikt nie przewidział splotu nadzwyczajnych zdarzeń, które się potem rozegrały. Nie było znaków, zwiastunów, niczego, co można potraktować jako zapowiedź tego, co nastąpiło. A gdyby nawet były, wątpliwe, aby Bojan Buloh, zmagając się z przeszkodami takimi jak słaby wzrok i usterki w FJ — kiepskie reflektory, jeszcze gorsze wycieraczki i brak nawiewu — zwrócił na nie uwagę. Ale gdy słaby blask reflektorów oświetlił tablicę oznaczającą skręt z szosy na Butlers Gorge, wszystko potoczyło się tak, jakby w tamtą stronę skierowały go strugi deszczu i pokonał już spory odcinek żwirówki, gdy wreszcie w pełni sobie uświadomił, co robi.

Lecz nawet w tamtej chwili, gdy już wiedział, dokąd jedzie, nie zadał sobie pytania, dlaczego się na to zdecydował.

Uznał tylko, że jeśli ma się to stać po ciemku, w tym strasznym deszczu, to tym lepiej. Wracał, ale noc i zła pogoda oznaczały, że nie zostanie na tyle długo, aby miał się tym niepokoić.

Słabe reflektory FJ wyłuskiwały z ciemności zakręty żwirówki, która prowadziła go w daleką przeszłość.

Gdy zbliżył się do wzniesienia przed zaporą, uświadomił sobie, choć tego nie widział, że hen w dole rzeka Derwent toczy swoje wezbrane wody, że wielki nurt huczy w ciemności, zagłuszając warkot parującego silnika. Rowy po obu stronach drogi zmieniły się w rwące potoki, a rzeka w dole kotłowała się jak ogromny wodospad.

A potem w blasku reflektorów zobaczył coś, co nim wstrząsnęło. Wiedział oczywiście — jak mógłby nie wiedzieć? — że musi się stać coś nadzwyczajnego, aby pękła zapora. Woda to pieniądz, a wyciek wody to strata pieniędzy, bo takiej wody nie można już odzyskać do produkcji energii. Systemem zapór rzecznych zarządzano w taki sposób, aby zminimalizować groźbę powodzi, cały obieg wody charakteryzował umiar, co oznaczało stałe, niezmiennie przepływy. Zapora, którą w pocie

czoła pomógł zbudować wiele lat temu, której beton zdawał się zrosnięty z jego mięśniami, która odcisnęła swój kształt na jego duszy — ta zapora miała wytrzymać wszystko. Ale oto zobaczył wodę przelewającą się wściekle na drugą stronę i pomyślał, że nigdy dotąd w swoim życiu nie widział czegoś tak niesamowitego. Zapora ustąpiła pod naporem, lawina wody runęła w dół, a w korycie rzeki zmieniła się w wielką gwałtowną białą kipieli wyższą od domów.

Bojan Buloh wysiadł z samochodu, przeciągnął się, otrząsnął, a potem, choć przemókł już do suchej nitki, rozpiął rozporek i wysikał się do rowu obok drogi, którym z hukiem toczyła się woda. Patrzył, jak spieniony mocz pędzi na spotkanie katarakty w ciemności poniżej.

Nie zobaczył — nie zobaczyłby nawet w dziennym świetle, a cóż dopiero w takim mroku — pęknięć. Z początku była to ledwie zapowiedź rysy, tak cienkiej, że nikt nie dostrzegłby jej gołym okiem. Być może do głosu doszła ta osobliwa rzecz nazywana szóstym zmysłem, zwierzęcy instynkt ostrzegający przed niebezpieczeństwem...

Nagle odwrócił się, chcąc dobiec do samochodu, ale choć starał się ze wszystkich sił, nie mógł zrobić ani kroku, bo był jak sparalizowany. Z tyłu napierała wielka rzeka, a on się rozpadał, powoli i nieubłaganie się rozpadał, i nie mógł już powstrzymać tego, co tłumił w sobie przez tak wiele lat.

Powiększające się rysy miały już grubość nitki, a zamknięta woda parła z całą mocą, wciskając się w rozstępy — niezliczone tony wody nacierały na lico zapory. Szczeliny zmieniły się w pęknięcia, pęknięcia się rozrastały, a woda, jak uwięzione zwierzę, które wyczuło właściwą porę, obaliła mur więzienia, z gigantyczną siłą wypychając na zewnątrz najpierw kamyki, potem bryły betonu.

Kiedy w szumie deszczu Bojan usłyszał pierwszy złowrogi, choć osobliwie głuchy huk pękającego betonu, nie wiedział jeszcze, co tak naprawdę się rozpada. Nie widział — bo czy mógł widzieć w takiej ciemności? — że tam w tamtej chwili on też zaczął się rozlatywać. On, człowiek z kamienia, i woda przeobrażająca się w pył i parę. On, człowiek żyjący w stanie bezwładu, bez ruchu, dosiadł teraz wiatru i pędził, gnał, i, nieświadomie, zmieniał się w innego człowieka, siedzącego już w FJ, gorączkowo próbującego obudzić silnik.

Przejechał tylko kilkaset metrów, gdy dotarł do rozjazdu, od którego biegła odnoga w górę rzeki, ku stromemu pagórkowi i punktowi widokowemu na grani ponad zaporą.

Wiedział, że przez kilka kilometrów główna droga ciągnie się doliną rzeki. Gdyby uciekał w dół, wyprzedzając upadającą zaporę i lawinę wody, która się po niej przetaczała, miałby przewagę w postaci większej prędkości. Siedząc w samochodzie, Bojan pomyślał, że być może — gdyby jechał dostatecznie szybko — prześcignąłby powódź, zostawił ją za plecami.

Ale jego prawa stopa zapatrywała się na to inaczej, podobnie jak całe ciało, bo gdy wciąż zastanawiał się nad szansami ucieczki w głąb doliny, ciało wiedziało, że nie ma chwili do stracenia. Prawa stopa przeskoczyła z pedału gazu na hamulec i FJ obrócił się gwałtownie o sto osiemdziesiąt stopni, ślizgając i szorując kołami po ziemi, a ciało Bojana było już zmobilizowane do działania, jedna ręka chwytająca dźwignię i wrzucająca z chrzęstem wyższy bieg, druga próbująca opanować gwałtowne skręty kierownicy. FJ szarpnął pod górę, stary pstrąg skaczący niezdarnie z powrotem ku zaporze. Ale drugi bieg nie wystarczył, żeby pokonać stromiznę, bo silnik nagle zgasł, a wraz z nim reflektory.

Ciemność poraziła oczy Bojana Buloha i w świecie pozbawionym światła usłyszał tylko najstraszniejszy ryk, jakby runęła wysoka góra. Żołądek mu się ścisnął, oddech przyśpieszył. Bojan obracał kluczykiem w stacyjce z taką siłą, że go wygiął. Silnik kaszlnął bez przekonania, raz, drugi, po czym zawarczał i zaskoczył, a Bojan wcisnął do oporu pedał gazu. Silnik zarzęził, lecz pod podwoziem Bojan czuł inne, silniejsze drgania.

Ziemia dygotała.

Tylne koła buksowały przez chwilę, wreszcie potoczyły się po żwirze i stary samochód wyrwał do przodu po porytej koleinami nawierzchni. Bojan tak się rozpędził, że FJ, przefrunąwszy nad garbem na drodze, przy zderzeniu z ziemią zgubił tłumik, więc teraz drzeniu ziemi towarzyszyły ryk wyjącego silnika i blaszany klekot rury wydechowej i to właśnie wtedy w świetle reflektorów Bojan zobaczył coś tak niebywałego, że jego strach ulotnił się w mgnieniu oka.

W pierwszej chwili — przez sekundę — myślał, że droga prowadzi wprost nad urwisko i w przepaść. A potem uświadomił sobie, że urwisko naciera na niego, szybciej niż sam jechał, i wreszcie zrozumiał, że to ściana wody, a niezwykłość tej sceny dorównywała jej niewyobrażalnej grozie.

Uznając, że tak wygląda jego przeznaczenie, że to nieuchronne i przesądzone, Bojan Buloh nie chciał już uciekać przed swoim strachem, lecz pragnął dokończyć wędrówkę w jego ogromną tajemniczą głębię. Wyciskał ze swojego starego samochodu, ile się tylko dało, w drodze na wzgórze, w objęcia wody, w ciemność, a jego jedynym pragnieniem było znaleźć się tam jak najszybciej.

I dokładnie w tej chwili, w której był pewny, że umrze, w której pogodził się ze śmiercią, kiedy myślał, że śmierć jest odpowiednim końcem dla takiego nieszczęśliwca jak on, a jedyną osobliwością wydawało się to, że kara była odraczana tak długo — w ostatniej sekundzie ogromna fala nie uniosła ani jego, ani FJ, lecz przetoczyła się poniżej i uświadomił sobie, że zdołał wjechać ponad szczyt uwolnionej wody. Spojrzał w dół i ze zgrozą pomyślał, że FJ być może leci, że wyrosły mu skrzydła, że wznosi się w nocne niebo, a on siedzi w środku, anioł, któremu dano drugie życie.

Z tyłu i w dole różne dźwięki, zadziwiająco delikatne i piękne, odgłosy skał i doliny wypłukiwanej przez wodę. betonu rozrzuconego lekko, jakby był pianą.

*

Potem zgasił silnik. Wsiadł z FJ, Słuchał oswobodzonej rzeki płynącej poniżej. I wiatru w lesie. Zobaczył swoje serce i jej serce złączone na zawsze, tańczące w tej szaleńczej nawałnicy, dosiadające jej straszliwych szkwałów, wślizgujące się w wirującą topiel. Była to chwila niepojętej klarowności, a kiedy minęła, Bojan Buloh wsiadł z powrotem do FJ i ukrył twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ 70

1990

Jechał powoli starą nieubitą drogą ciągnącą się nad tym, co jeszcze do niedawna było jeziorem z zaporą wodną, a co teraz zmieniło się błotnisty krater. FJ tak hałasował, że budził umarłych, a ich dusze umykały przed rozpędzonym autem, przybierając postać walabii, wombatów, niełazów, oposów, diabłów, tygrysów, a wśród nich byli Fabrizio, Adriana i Kenny, syn kierowcy ciężarówki, a także profesor historii z Krakowa i tak wielu innych, że w końcu Bojan czuł się tak, jakby był poganiaczem, a rzesza istot widzianych z przodu — jego stadem.

Potem droga biegła przez las. Podążając ślepo za duchami pod postacią zwierząt, dotarł wreszcie do głównej szosy, a wtedy zjawy przepadły tak samo niewytłumaczalnie, jak się pojawiły. Na skrzyżowaniu Bojan nie skręcił w lewo, bo wtedy wróciłby do Tullah, lecz bez wahania ruszył na wschód, w kierunku Hobart, w kierunku Sonji.

Jechał powoli, ostrożnie. Serce napełniło się nadzieją, żołądek znał tylko strach. Jazda przez długą niespokojną noc.

Drżąca stopa na pedale gazu.

Dłonie dygoczące na kierownicy.

Bojan Buloh zdawał sobie sprawę, że podąża z powrotem. Poza las, poza Butlers Gorge. W świetle reflektorów migały rozczłonkowane przedmioty i zaraz uciekały do tyłu. Szkarłatne palto. Bordowe botki. Ale Bojan Buloh parł, jechał z powrotem. Przedzierał się samochodem przez te wszystkie widziadła, które opadły go tamtej nocy. Nie zważając na węża owijającego mu się wokół szyi. Nie zważając na drobinki białego płotka na sinym języku. Bo tamtej czarnej nocy Bojan parł, ile tylko starczyło mu sił, w kierunku północnych przedmieść i starego miasta.

Aż napotkał niebieskiego anioła.

ROZDZIAŁ 71

1990

Son ja przetarła pobieżnie kontuar ścierką. Patrzyła na deszcz za oknem, padający zrywami, falami, nieokiełznana woda ścierająca się z tłustawym mdłym światłem latarń. Po drugiej stronie ulicy nad noclegownią dla marynarzy wciąż frunął przez mokłą noc neonowy niebieski anioł. Nie miała wiele więcej do roboty, niż tylko patrzeć i marzyć, bo w pubie nie było nikogo oprócz kilku kierowców autobusów przy stole w odległym kącie i nafaszerowanego amfetaminą poławiacza raków — mruczącego pod nosem i popijającego czystą amerykańską whiskey na końcu kontuaru — który sam wyglądał jak rak, bo miał czerwoną twarz i oczy jak szpilki. Deszczowy wtorkowy wieczór. W taką pogodę nikt nie wygoniłby kulawego psa na dwór. Wzięła głęboki wdech i odchyliła się do tyłu, żeby ulżyć bolącym plecóm, po czym wróciła do obowiązków, stając bokiem do baru. aby wydatny brzuch jej nie zawadzał. Usłyszała, że otwierają się drzwi, ale nie zwróciła na to uwagi. Gdyby nawet miała zdrowy węch, i tak na nic by się jej nie przydał, bo nie było zapowiedzi w postaci woni skwaśniałego zboża. Zerknęła na zegar, żeby obliczyć, ile minut zostało do chwili, gdy będzie mogła wyprosić kierowców i raka o oczach jak szpilki i zamknąć pub na noc. Odwróciła się do drzwi, lecz jego mokłą od deszczu twarz rozpoznała dopiero wtedy, gdy się odezwał.

Był podenerwowany. Uśmiechnął się głupio. I powiedział cicho:

— Halo.

Dopiero wtedy zorientowała się. że to on.

Zapadła niezręczna cisza.

Bojan nie zamierzał mówić Sonji o pęknięciu zapory. Ani o tym, że przez ostatnie pół godziny stał w deszczu, bijąc się z myślami, nie wiedząc, czy powinien wejść, w ubraniu tak przemoczonym, że ciągnęło go ku ziemi, że przyszpiliło go do chodnika, jakby zapuścił korzenie, a on patrzył na neonowego niebieskiego anioła frunącego nad noclegownią

dla marynarzy, wskazującego wyciągnięta ręką nadbrzeżny pub po drugiej stronie Morrison Street, w którym pracowała jego córka.

Sonja miętoszyła ścierkę w dłoniach. Nie dało się zaprzeczyć, że jego widok nią wstrząsnął.

Bojan uznał, że palnąłby głupstwo, gdyby jej powiedział, że spytał niebieskiego anioła, czy to mądre, czy to właściwe, że on, który miał z nią od dawna tak mało wspólnego, wraca teraz do jej życia. Niebieski anioł milczał, tylko uparcie wskazywał pub, a Bojan poczuł się jeszcze bardziej głupio i niepewnie, bo wmawiał sobie idiotycznie, że neony są jak przepowiednie.

— Piwo — odezwała się wreszcie Sonja. chwytając szklanek z półki nad głową i podsuwając ją pod kranik. — Na koszt firmy.

Bojan spojrział na nią i machnął ręką.

— Nie, nie. Piwo nie. — Jego twarz jak księga, z której nie potrafiła już nic wyczytać. — Czekaj.

Zanim zdążyła zareagować, odwrócił się i wyszedł. Przełknęła ślinę, pokręciła głową i odsunęła szklanek od dystrybutora.

— Czego chciał ten bambo? — spytał jeden z kierowców, podchodząc, żeby zamówić następną kolejkę.

— Niczego — odparła Sonja wpatrzona w drzwi, którymi w jej przekonaniu uciekł ojciec. — Naląła do szklanek, wzięła pieniądze od kierowcy, a potem spojrziała na niego i odrzekła: — Zupełnie niczego. — Otworzyła kasę, odliczyła resztę, wysunęła rękę i dodała: — To był mój ojciec. — I upuściła złote drobniaki z brzemieniem winy na otwartą dłoń mężczyzny.

To jest mój ojciec, pomyślała, tak przyjmijmy. Ignoruję go dłużej, niż on ignorował mnie, kiedy mnie wychowywał. Jeśli to w ogóle można tak nazwać. Ale nie potrafię odpłacić mu tym samym. Nie potrafię zrobić mu tego, co on zrobił mnie. Nawet nie chcę próbować. Za nic nie chciałam go znowu widzieć.

Widzieć skurwiela.

Tego skurwiela mojego ojca.

Skurwiela, skurwiela, skurwiela.

Wróciła do polerowania kontuaru. Kierowca poczłapał z tacą piwa do swoich kolegów. Znow rozległ się cichy rozgwar, ale zaraz zakłóciły

go głośny hurgot i stukanie. Sonja podniosła wzrok i zobaczyła, że przez drzwi przepycha się coś dużego. Z tyłu, jakby niezdarnie uwieszony, napierał zziębnięty Bojan Buloh.

Przecisnął się do środka i stanął pośrodku sali. Ojciec i córka patrzyli na siebie jakby z oddali, jakby z przeciwnych stron wielkiej, z pozoru nieprzebytej przepaści czasu i uczuć. Oboje chcieliby patrzeć gdzie indziej. Ale stali w bezruchu, zahipnotyzowani swoim widokiem. Jakby widzieli się pierwszy raz w życiu.

Oboje byli oszołomieni.

Bojan przygaszonym blaskiem i powabem ciężarnej kobiety. Determinacją i odwagą, które rozpoznał. Ona zobaczyła go takiego, jakim widziałby go każdy w tym pubie tamtego wieczoru: mężczyznę, którego jedynym domem były właśnie takie knajpy, starzejącego się bambo o twarzy, którą w normalnych okolicznościach można by uznać za przystojną, ale pokryta szkliwem nocnego deszczu wydawała się zniszczona przez życie, obrzmiała i rumiana jak twarze tych, co zbyt ciężko pracują i za dużo piją. Ubranie, pomyślała Sonja, Jezusie, to cholerne ubranie. Jej ojciec, który dawniej był elegantem i szczerze pogardzał wsiowskimi strojami Australijczyków, którego szykowne ubrania stanowiły wyraz jego aspiracji, dumy i męskości — teraz miał na sobie ciuchy, które nie mówiły o niczym, o nikim, tanie ciuchy, schludne wprawdzie, ale złachane, kojarzące się tylko z wygodą i ciepłem, z ochroną przed zimnem. I tego wieczoru zobaczyła coś jeszcze, czego nigdy dotąd nie widziała w swoim ojcu.

Ze się boi.

Barowy gwar i brzęki ucichły. Kierowcy przestali opowiadać sobie historie i patrzyli z zaciekawieniem. Nawet rak o oczach jak szpilki przestał mrużyć i wykręcił ciało w kierunku drzwi.

Przed starym bambo stała kołyska. Była zrobiona z sosny Huon, wykonana w ozdobnym środkowoeuropejskim stylu, żłobione drewno i finezyjne krawędzie. W środku nowa pościel, koronkowy becik i tak dalej. Drewno i koronka, pomyślała Sonja. Uśmiechnęła się lekko. Bojan nie wiedział, co ten uśmiech oznacza, bał się, co może zapowiadać.

Szpilooki rak podszedł do kołyski i przesunął po niej szczypcami.

— Sosna Huon — stwierdził. Piękne, cholera. — Bojan milczał.

— Dam ci za to sto dolców — dodał, wpychając szczypcę do kieszeni dzinsów po pieniądze.

— Jiri mi mówił, co robisz — odezwał się Bojan. Urwał, nie wiedząc, czy nie powiedział za dużo, ale po chwili ciągnął mimo wszystko: — Że zostałam. No więc pomyślałem... — Znowu zamilkł, otarł usta, spojrzał na podłogę i znów na Sonję. — Że zrobię sobie urlop i zobaczę się z córką.

— Dwieście — powiedział rak. — Moja pani znowu zaciężyla. To jej się bardzo spodoba.

— Nie jest na sprzedaż odparł Bojan, nie mogąc dłużej ignorować mężczyzny. Odwrócił się z powrotem do Sonji i zobaczył, że nie patrzy już na niego, lecz na kołyskę, z dość zakłopotaną miną. Aha, to dla ciebie — dorzucił swobodnie. I się roześmiał - No właściwie nie dla ciebie... Dla dziecka, ale dla ciebie.

Milczała.

Bojan wyciągnął pochopny wniosek.

— Wiem, że to niedobre — powiedział. — Zrobiłem w warsztacie. Po godzinach. Te sklepowe są bardzo drogie. Ale może wolisz taką ze sklepu? — Wzruszył ramionami, jakby jego dar nie był nic wart.

Sonja uświadomiła sobie z przerażeniem, że dopuszcza do siebie miłość, i poczuła mdłości, poczuła, że jej ciało i dusza odpływają z miejsca, gdzie stoi, i przeraziła się, że ziemia usuwa się jej spod nóg, a poniżej nie ma nic, tylko przytłaczające doznanie spadania z tak wielką prędkością, że przypominało to także lot, szybowanie, ale czy wznosi się, czy spada? Chwyciła się kranu nalewaka, żeby zakotwiczyć się w tym nudnym świecie, w którym postanowiła żyć. Nie wpuszczaj miłości, przestrzegła siebie, trzymaj ją na dystans.

— Nie! — krzyknęła nagle. — Nie! — A potem, zawstydzona swoją emocjonalną reakcją, wysunęła się z za baru. podeszła do kołyski i błyskając zębami w uśmiechu, mruknęła: — Nie — z nadzieją, że zatrze sens dwukrotnego zaprzeczenia. Pokręciła głową i powiedziała spokojnym już głosem: — Nie wolę.

Przykucnęła i przyjrzała się dokładnie kołysce, niczym stolarz, sprawdzając, czy jest prawdziwa i starannie wykonana. Milczący Bojan

patrzył na nią tęsknym wzrokiem przez moment, po czym oznajmił:

— Teraz idę i...

Wyrwana z zadumy, powiedziała wreszcie to, co myślała:

— Nie, *ati*, proszę cię, nie idź...

— ...zaraz wrócę — dodał Bojan, pozwalając sobie na cień uśmiechu.

Zniknął i po chwili zjawił się z nowym drewnianym kojcem. Sonja uśmiechnęła się szeroko, choć z zakłopotaniem, bo dary Bojana, mimo że szczodre i wzruszające, wydawały się żałośnie niewspółmierne do tego, co między nimi zaszło.

— Wrócę za moment — powiedział.

Pojawił się znowu, z wysokim krzeselkiem, więc teraz połowa pubu zastawiona była dziecięcymi meblami. Sonja stała jak wryta, w potrzasku między uśmiechem a płaczem, między miłością a obrzydzeniem. Te dary, tak niemądre, tak bezowocne, a jednak ofiarowane w dobrej wierze.

Takie... takie piękne.

Tego wieczoru Bojan Buloh tchnął czymś, co wydawało się najosobliwszą niewinnością. Jakby niewinność, pomyślała Sonja, nie była tym, co człowiek najpierw ma, a potem traci, naturalnym stanem, w którym się rodzimy i który nieubłaganie zostaje zbrukany, ale czymś, do czego docieramy, gdy zazналиśmy całego zła, w które obfituje życie. Bojan był przegrany, skazany na porażkę, potępiony i żył wśród potępieńców, ale jakimś cudem dzięki temu, co przeżył, odzyskał niewinność.

Tego okropnego deszczowego wieczoru Sonja zobaczyła w swoim ojcu niewinność, jakby widziała go pierwszy raz w życiu, jak gdyby ich miłość, wreszcie obnażona i trójwymiarowa, stała przed nimi jako kojec, wysokie krzeselko i kołyska.

Patrzyła na przemoczonego nieogolonego starego człowieka, wyglądającego jak ci, których często musiała wypraszać z baru, i poczuła, że sama jest chmurą, bytem ciężkim od wilgoci, który zaraz przyjmie widzialną postać i spadnie, a zarazem zwiewnym. Było to niezwykle uczucie i uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że musiała przeżyć tak wiele lat, aby je poznać.

Pragnęła powiedzieć: kocham cię.
Kocham cię, ty skurwielu, skurwielu, skurwielu.

ROZDZIAŁ 72

1990

Może to było właśnie wtedy. A może później. Może to było coś wielkiego, może małego. A może suma drobnych rzeczy złożyła się na to, że do Sonji w końcu dotarło, że coś się zmieniło między nią a ojcem. To, jak załatwiał dla niej różne sprawy. Jak nieoczekiwanie dawał małe upominki. Był tak szczęśliwy, że jest przy niej, a mimo to unikał zbyt częstych spotkań, jakby się bał, że ona zmęczy się jego towarzystwem. I ta głęboka, dla niej zaskakująca, delikatność w ich kontaktach.

I nie chodzi o to, że rozmawiał z nią inaczej, ale że w ogóle z nią rozmawiał. Oczywiście o błahostkach — teleturniej, który obejrzał poprzedniego wieczoru, najświeższe komentarze polityków, pogoda — ale liczyło się to, że rozmawiał i jak to robił, bo starał się też słuchać, chciał wiedzieć, rozumieć, nie udawał głuchego — i dlatego poczuła to, czego najbardziej się bała: nadzieję.

A może chodziło o to, że był po prostu obecny przez chwilę w tych ostatnich miesiącach, wiedziała więc, że nie jest sama, kiedy była taka osowiała, zmęczona, tak idiotycznie rozemocjonowana, w jednej chwili podekscytowana, potem przybita, wiedziała, że nie jest zdana wyłącznie na siebie, że przynajmniej teraz nie została porzucona, że nie została sama za zamkniętymi drzwiami, gdy na zewnątrz szaleje nocna nawałnica.

A jednak czuła się jak idiotka, bo wiedziała, że to się rozpadnie jak stłuczone szkło, że ojciec to zniszczy. Znała go przecież, wiedziała, że upuści ten kryształ, przez który niewidzialne światło ich uczuć, tak osobliwe i donkiszotowskie, rozszczepiło się i rozpięło w tęczę nadziei, że upuści ten drogocenny kryształ i go roztrzaska. Dlatego, choć była wzruszona jego obecnością, poświęcaną jej uwagą, jego staraniami, aby się zmienić, przekornie udawała obojętność, gdy był przy niej, bardziej oszukując siebie niż jego, z całego serca pragnąc przekonać samą siebie, że to nieważne, czy ojciec jest w pobliżu.

Ale gdy Bojan odjechał po trzech tygodniach urlopu — chyba wrócił do Tullah i tamtejszego melancholijnego życia — Sonja boleśnie to odczuła. A jednocześnie doznała ulgi. Owszem, dopuściła do siebie miłość i przeklinała siebie za to, ale ta miłość nie dostała szansy, żeby urosnąć, więc choć coś straciła, poczuła się bezpieczniej.

Helvi i Jiri nie skomentowali odjazdu Bojana, uznała więc, że — podobnie jak ona — uważają, że to wyjdzie wszystkim na dobre. Poza tym byli zajęci, bo Helvi pracowała na dwie zmiany, a Jiri miał dużo zamówień na wyroby stolarskie.

Ostatnie miesiące ciąży były dla Sonji monotonne i trudne, miały bardzo powoli. Pracowała dalej w pubie, choć w mniejszym wymiarze godzin. Mimo to była wyczerpana, bo męczyło ją wszystko, nawet odpoczynek, nie mogła wyspać się porządnie, miała dziwne, nieuchwytnie sny. Za każdym razem jakby znajdowała się o krok od objawienia, od zrozumienia, lecz nagle budziła się z jękiem, czując tępy ból w plecach i dławiący strach, że się zmoczy, jeśli nie pobiegnie zaraz do toalety. Jej włosy straciły połysk, skóra zrobiła się tłusta jak u nastolatki. Strzykało ją w nogach, w brzuchu czuła taką ociężałość, że miała wrażenie, że się rozpek-nie jak winogrono ściśnięte w palcach, ale jak zapewniła ją ze śmiechem Helvi, pozostawało tylko czekać na pojawienie się hemoroidów. Czuła się niedołączna — stary tankowiec przetaczający się po mieście — krok to powłóczysty, to defiladowy, gdy dźwigała pęczniejący w niej ładunek.

Wciąż mieszkała u Helvi i Jirego, choć już kilka miesięcy wcześniej powinna była przeprowadzić się do domu Ahmeta. Lecz Ahmet powiedział Helvi, że musi naprawić to i owo, co Sonja uznała za duże niedomówienie.

Człapała, przeklinając Ahmeta, przeklinając siebie, bo chciała mieć własny dom, chciała bardzo, chciała pomalować pokój dla dziecka i powiesić mobile nad kojcem zrobionym przez Bojana, ogrzać kuchnię, mieć dom, coś, czego nigdy nie miała, dom, do kurwy nędzy, pierdolony dom dla mnie i mojego dziecka, chciała, żeby ono miało to, czego ona nigdy nie miała, nawet gdyby to kosztowało ją resztki sił pozostałych w puchącym ciele, to będzie miała dom. Ale za każdym razem, kiedy chciała zadzwonić do Ahmeta, żeby go skłąć, albo do agenta

nieruchomości, żeby poszukał dla niej innego miejsca, Helvi jakimś cudem odwozila ją od tego pomysłu.

*

Całe to czekanie doprowadza mnie do obłądu, pomyślała Sonja. Czekam, czekam i czekam, czekam, aż Ahmet skończy, czekam, aż urodzę dziecko, moje dziecko też czeka, na tę chwilę, kiedy zsunie się w trójkąt między moimi biodrami, kiedy zacznie się przepychać na zewnątrz, i choć wiem, że to nieprawda, że on nigdy nie wróci, czuję, że zrywa się wiatr, i w głowie kołacze mi jedna dziwna myśl:

Mój ojciec też tam czeka.

ROZDZIAŁ 73

1990

Dlatego Sonja była kompletnie zaskoczona, gdy pewnego dnia Ahmet zatelefonował z wiadomością, że dom jest wreszcie gotowy do zamieszkania. Była pewna, że niewiele się zmieniło od czasu, gdy oglądała tę rudere za pierwszym razem: brud, zgnilizna, wilgoć, odór kocich szczyn. Ale może kanalizacja przynajmniej działa jako tako i Ahmet wymienił gniazdka i włączniki grożące porażeniem prądem? A może — ach, marzenie ściętej głowy — wstawił nową kuchenkę?

Przed drzwiami, za którymi znajdował się przyszły dom Sonji, czekał niewysoki podstarzały mężczyzna w papu-zioniebieskim garniturze z akrylu. Sonja nie poznała dotąd Ahmeta. Materiał wisiał na drobnym cieple, dziwacznie pofałdowany, jakby człowiek i ubranie byli ze sobą skłócenii.

— Normalnie to Ahmet się tak nie stroi — powiedziała Hełvi.

Biła od niego żywa energia, choć niestarannie ogolona pociągła śniada twarz z niesfornymi rabatami siwego zarostu, wydatnym nosem i eleganckim wąsikiem pasowałaby do człowieka większej postury niż ta, którą obdarzyła go natura.

Ahmet kołysał się na stopach. Rzucił Sonji nerwowe spojrzenia.

— Jesteś jak ona — odezwał się w końcu dziwnym głosem, wysokim i cienkim jak dźwięk piszczałki, z silnym akcentem. — Twoja matka. Twarz. Nos to nie, ale oczy tak, usta i włosy, to bardzo, bardzo podobne. — Podał Sonji dwa klucze. — Znałem twoją matkę. Piękna kobieta. Dobra kobieta. W Butlers Gorge znałem twoją matkę. — A potem, w przyływie śmiałości, wziął ją za rękę i przypatrzył się jej otwarcie, powtarzając, że jest podobna do matki, a on właśnie dlatego to wszystko zrobił, bo jej matka była dobrą kobietą, a on pamięta jej dobroć, więc dom należy do Sonji tak długo, jak długo będzie chciała. Potem odwrócił się gwałtownie i odszedł ulicą.

Była zaskoczona wspomnieniami Ahmeta, wzruszona i połechtana

słowa o swym podobieństwie do matki i jednocześnie zdeprymowana, że mimo tych związków uznał wynajęcie swej nory za akt szczodrości. Gdy przekroczyła próg, przeżyła wstrząs. Odwróciła się do Helvi, która parsknęła śmiechem. Nora zniknęła. Ani śladu wyświechtanego, przegniłego dywanu, ani śladu kruszących się tynków. Z australijskiej rudery dom zmienił się w śródziemnomorskie siedlisko.

— Chodź — powiedziała Helvi i weszły do pomieszczenia, które wcześniej było zagraconym pokojem.

Zniknęła jedna ściana wraz z kominkiem w barwach narodowych, a na ich miejscu pojawiło się cudo w postaci muszli morskiej, w której głębi, mieniącej się ametystem i srebrem, zamontowano grzejnik gazowy; otwory drzwiowe były zwieńczone łukami, obłożoną tapetę zastąpiła fioletowa, lazurowa i akwamarynowa farba; nadpleśniały dywan — terakota; powybijane drewniane okna — aluminiowe w lazurowym kolorze, a zniszczona kuchnia stała się częścią dużego pokoju dziennego, opalizującym królestwem połyskliwego laminatu i płytek.

Mozaika kolorów. Nowoczesny styl ścierający się, właściwie kłócący z tradycyjnym zdobnictwem. Sonja przyłapała się na tym, że się uśmiecha. Bo w głębi, na kanapie, z puszką piwa w ręku i stosem pustych puszek u stóp, siedzieli rozpromienieni Jiri i Bojan.

— Niespodzianka! — wykrzyknął Jiri głębokim, dziwnie modulowanym głosem, aż zabrzmiało to jak „niebo-dzianka”. Podniósł puszkę i zamaszystym ruchem wskazał ściany dokoła. — Czy to nie... — urwał, próbując sobie przypomnieć, co chciał powiedzieć, jakich słów chciał użyć, beknął, zachichotał i dodał: — ...piękne i wspaniałe?

Zakołysał lekko puszką, jakby to była pałeczka dyrygenta. Był pijany. Podobnie jak, zorientowała się Sonja, jej rozradowany ojciec. Ale to był inny stan upojenia niż ten, w jakim zwykle go widywała, nie na umór, bez zacierzwienia i wściekłości. Zupełnie inny.

— Tak — odparła. — Piękne i cudowne. I pokryte laminatem. Roześmiała się. Oni też.

— A jak, faken laminat — potwierdził Jiri. — Niełatwo teraz o taki fioletowy dobrej jakości.

Już chciała powiedzieć, że przesadzili z wystrojem, ale się

powstrzymała. Bo w tym przybytku z morską muszlą, terakotą i oknami w lazurowych ramach po raz pierwszy rozpoznała siebie i swój świat i ze wstrząsem uświadomiła sobie, że znalazła dom. Zabrakło jej słów.

— Ale dlaczego? — wybąkała w końcu.

— Bo tak — odparł Jiri, a zabrzmiało to jak „botek”. A potem upił trochę piwa i nawet nie przełknąwszy porządnie, dodał: — Bo Helvi mówi, że muszę. — Przełknął wreszcie, jego rumiana twarz napuchła wokół bekających ust jak lukrowany pączek, po czym ciągnął bez śladu zażenowania: — Mówiła: „Jiri, Jiri, ty bezużyteczny skurwielu, rusz tłuste dupsko i zrób coś pożytecznego”. I Bojan też, jasna cholera, też mówił: „Jiri, zanim mi się urlop skończy i wrócę do Tullah, musimy zrobić coś porządnego dla Sonji i dziecka”. No to mówimy Ahmetowi: „Ej, Ahmet, urządzimy ten dom”. A on głupi nie jest, mówi: „Jasne, proszę bardzo, tylko się postarajcie”. No tośmy się postarali. I jestem bardzo szczęśliwy.

Bojan zachichotał.

— Jest — rzucił. — Cholernie szczęśliwy.

— A żebyś wiedział — potwierdził Jiri, z okrągłą twarzą zarumienioną od alkoholu. — Tak naprawdę w tym pokoju jest jeszcze ładniej, bośmy wszyscy szczęśliwi.

— Ja nie jestem uszczęśliwiona tym, co widzę — odparła Helvi, delikatnym, ale stanowczym ruchem zabierając mu piwo.

Podniósł wzrok.

— O — powiedział.

Zrobił potulną minę, ale zaraz potem zaczął filozofować.

— A wiesz, to dobrze, bo jakbyś ty też była szczęśliwa, Helvi, to chyba byłoby tutaj za dużo szczęścia i cały ten dom by wyleciał w powietrze. — Z coraz większą pewnością siebie drażył dalej temat: — Bo świat wytrzyma tylko tyle i tyle szczęścia. Dużo szczęścia jest dobre, ale za dużo to już źle.

Helvi kiwnęła na niego ręką.

— Weź to swoje szczęście i chodź do domu.

Gdy wyszli, zapadła cisza. Sonja przeszła się po wszystkich pomieszczeniach, a potem stanęła obok ojca. Bojan spojrzał na nią, na odmieniony pokój i jakby wreszcie zadowolony skinął głową.

Uświadomił sobie, że cały ten długi czas, te wszystkie, wszystkie lata między chwilą, kiedy Maria przepadła w dziką noc, a deszczowym wieczorem, gdy on wyłonił się mokry z ciemności, niosąc kołyskę pod niebieskim aniołem, pamięta tylko jako koszmarny zwid, a nie jako życie, które można zrozumieć.

Niezdolny jak zawsze do wyrażenia tego, co widział mgliście, zanim córka obudziła go ze złego snu, Bojan zawarł swoje przesłanie w każdym drobiazgu, który zmienił lub dodał w jej nowym domu. Swoją prawdę zawsze wyrażał za pomocą ciała, w pracy dla innych. A w swojej pracy dla Sonji ujrzał, że zmienia się tak szybko jak dom Ahmeta.

Lecz w głębi serca czuł niepewność. Wbił wzrok w podłogę, zbyt spieszony, żeby patrzeć na córkę.

— Dziś wieczorem wracam do Tullah — powiedział. — Bo to skończone.

Milczała. Podobnie jak on, nie umiała znaleźć właściwych słów.

— Koniec — dodał, próbując pomóc jej i sobie.

— Jedź ostrożnie, *ati* — rzekła z odrobiną czułości.

Uniósł nieco wzrok, uśmiechnął się do Sonji i odrzekł cicho:

— No jasne. Jasne.

Ale patrząc teraz na okazałą postać ciężarnej córki, na górującą nad nim skarbnicę nowych możliwości, znów poczuł się stary i zgnębiony.

— Sonju — odezwał się potulnie. — Dobrze to jest? Podoba ci się?

Popatrzyła dokoła na łuki, laminat, płytki, aluminium, na kuchnię, w której będzie przygotowywała jedzenie dla dziecka, na podłogę, po której maleństwo będzie się najpierw turlać, potem raczkować, wreszcie chodzić, popatrzyła na świat, w którym razem z dzieckiem będzie uczyła się życia. Poczula nagłą wilgoć w piersiach i domyśliła się, że mleko wycieka jej z sutków. A potem, chcąc wyjaśnić swoją osobliwą reakcję bez zbędnych słów, chcąc wyrazić wszystko, co czuje, wybrała tylko jedno słowo, ze starego świata:

— *Doma*.

Twarz Bojana powoli rozjaśnił uśmiech.

— *Doma* — mruknął.

Potem uśmiechnął się szerzej, jego ruchy nabrały większej

pewności, jakby był ptakiem szykującym się do lotu, jakby zamiast rąk miał skrzydła.

— *Doma* — powtórzył głośniejszym głosem, śmiejąc się.

Jedno rozpostarte skrzydło — lewa ręka — niechcący otarło się o sterczący brzuch Sonji. Cofnął dłoń. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Przepraszam — rzekł przekonany, że ją uraził, dotykając jej ciała. — Bardzo przepraszam.

— Nic nie szkodzi — odpowiedziała. — Naprawdę.

Patrzyli na siebie. A potem ona wyciągnęła ręce, ujęła ojca za głowę i powoli ją uniosła, aż czołem spoczął na twardej kopule jej brzucha.

Pod szorstką skórą swej twarzy Bojan poczuł ciepły ogrom nowo powstającego świata. Wargi mu zadrżały. Zaczął oddychać gwałtownie przez nos. A ze zdławionego gardła wyrwały się słowa:

— O Jezu. Jezu Chryste.

ROZDZIAŁ 74

1990

Gdy ostatni raz Sonja widziała siebie w tym śnie, miała osiem lat i była ubrana w nocną koszulę w kwiaty i otulona paltem Bojana, ich dwoje znowu w trakcie urojonej ucieczki FJ. Znajdowali się tam, gdzie zawsze: w ciemną oszronioną noc mknęli pustą drogą do Butlers Gorge.

Z początku jej matka nie była jej matką, lecz panią Ma-ritą Michnik, która pojawiła się znikąd, twarz obramowana oknem samochodu, wykrzywiona z nienawiści, tylko kilka centymetrów od Sonji. I choć FJ jechał, choć Sonja popędzała go w myślach, pani Marita Michnik wciąż patrzyła zza szyby i nie można się było od niej uwolnić.

— Ty niewdzięczna mała suko! — wrzasnęła.

Jej słowa mieszały się z warkotem silnika o pojemności 2.261 litra, bo Bojan dociskał pedał gazu, aż FJ i pani Michnik zaczęli wyć unisono.

— Niech ci się nie wydaje, że możesz wrócić! — ryknęli we dwoje.

A potem, tak samo nagle jak się pojawiła, twarz pani Marity Michnik znikła, pozostał tylko głos, ale teraz słowa płynęły z ust matki Sonji.

— Nigdy nie będziesz mogła wrócić — powiedziała Maria, ale całkiem innym tonem niż pani Marita Michnik tęsknym i smutnym. Odziana w koronki zjawa, zapomniana i zrozpaczona, pragnąca, ale niezdolna dotknąć ciała córki, z twarzą przy oknie, z dłońmi przyciśniętymi do wilgotnej szyby, mokre palce rozczapierzone jak spadająca rozgwiazda.

— Mogę pójść? — spytała Sonja.

— Nie — odparła Maria, a jej głos, w odróżnieniu od wykrzywionej twarzy, był jej własnym głosem. — Nie możesz iść ze mną.

Język wypełził z ust, oczy się rozděły i po chwili znów wchłonał ją las odlatujący w objęcia czystej nocy.

— Dlaczego odeszła? — spytał demoniczny głos z tylnego siedzenia. — Wiesz?

Aby uciec przed tym głosem, Sonja przysunęła się do Bojana, ale on nie przypominał jej ojca, bo w bladym świetle szybkościomierza jego twarz wyglądała upiornie, była zasnuta cieniem i ziemista. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że ojciec jest chory. Strasznie chory. Patrz przed siebie, przed siebie, pomyślała, nie na niego ani w ciemność nacierającą nieustępliwie z tyłu. Zerknęła na olbrzymie eukaliptusy, górujące dokoła nad samochodem. Ale roztrącane na boki przez rozpędzony FJ, one też zdawały się uciekać, nie niosąc pokrzepienia.

— Wiesz, co zrobiła? — spytał głos z tyłu. — Wiesz?

Sonja odwróciła się powoli, z lękiem. Na tylnej kanapie siedział w niedbałej pozie Umberto Picotti, rozluźniony, z niedopaloną papierosem między cienkimi wargami. Wyjął papierosa z ust i spojrzał na niego tęsknie. A potem, wydmuchawszy obłok ospałego dymu, podniósł wzrok i się uśmiechnął.

— Jasne, że wiesz — rzekł, mrugając do Sonji porozumiewawczo. — Takie kobiety to nic dobrego. — Zamachał figlarnie papierosem. — Matka cię nie kochała, inaczej by tu była. E? — Wycelował papierosa w Sonję, żeby nie było wątpliwości, do kogo się zwraca: — Gdyby cię kochała, opiekowałyby się tobą. — Urwał i wzruszył ramionami. — Wiem, że to dla ciebie trudne, ale lepiej wiedzieć, jak sprawy stoją.

Sonja rozglądała się rozpaczliwie za ojcem, bo nagle zniknął. Fotel obok był pusty, ale nawet bez kierowcy FJ kontynuował swoją piekielną jazdę, bo nie mógł zahamować, nie mógł się zatrzymać.

— Ej, Sonja! — powiedział Picotti. — Chodź tu, usiądź razem z Bertiem. — Poklepał się po kolanie, strącając jasnoszary popiół na ciemne spodnie od garnituru. Wciąż siedział rozparty na kanapie, całkiem odprężony, i uśmiechał się obleśnie. — Chodź.

Rozglądała się na wszystkie strony, szukając matki, Jean, pani Heaney, kogokolwiek, kto mógłby ją ocalić, i zobaczyła ich wszystkich za oknem, wszystkich ludzi z przeszłości, ale oni nie widzieli siebie nawzajem, nie było między nimi powiązań, nikt nie mógł pomóc ani sobie, ani jej, ani pozostałym.

— Nie bój się, moje dziecko — powiedział Picotti obłudnie łagodnym i jednocześnie przekonującym tonem.

Z początku Sonja się nie poruszyła, ale potem, gdy dopadła ją nieuchronność jej losu, zaczęła przełazić powoli i niezdarnie przez fotel na tył samochodu. Łkała cicho. Spojrzała w bok i ze zdumieniem zobaczyła ojca wylatującego z nieprzeniknionej ciemności nad wielkimi drzewami. Był niewątpliwie pijany, bo jego ucieczka w powietrzu bardziej przypominała bezładne spadanie na ziemię niż elegancki lot. Runął na ziemię, padając na twarz. Poderwał się żwawo, wymachując dużą tabliczką czekolady. Zwalił się na szybę od strony pasażera, pokazując podarek. Sonja nie zwróciła na to uwagi.

— *Ati* — powiedziała. — Chcę jechać do domu.

Roześmiał się.

— Gdzie? — spytał Bojan. — Do jakiego domu? My dwoje nie mamy domu. Nie rozumiesz, Sonju? — Znowu się zaśmiał, ale po chwili wesołość przeszła w płacz. — Mamy bambo klitkę, córeczko. Bambo klitkę. Nie rozumiesz? — Obrócił się i uśmiechnął na widok Picottiego. — Cześć, Bertie. Chcesz czekoladę? Dlaczego odeszła? — spytał znowu posmutniały, gdy Picotti wziął całą tabliczkę. — Gdzie odeszła moja Maria?

Po tych słowach Bojan przepadł w noc. Sonja spojrzała na Picottiego, pożądliwie odwijającego sreberko z czekolady.

— Gdzie poszła? — spytał Picotti. Sonja ani drgnęła. Odchylił się na tylnym siedzeniu i powoli włożył sobie kawałek czekolady do ust razem z palcem. Zaczął gryźć. Powtórzył nonszalancko: — Wiesz? — Zmrużył oczy, nachylił się do przodu i machnął nadłamaną tabliczką czekolady w stronę Sonji, po czym postawił kropkę nad i: — Jasne, że wiesz.

Przerażona Sonja siedziała okrakiem na przednim fotelu. Do jej oczu napłynęły łzy, głowa jej drżała, z nosa wyciekł glut i zaraz się cofnął, bo targnął nią bolesny, zdławiony szloch. Picotti się śmiał. Spojrzała na oparcie fotela i zobaczyła ciemną plamę moczu, rozlewającą się z jej krocza po koszuli nocnej, i patrzyła w ciemność, głęboko, głęboko w ciemność.

*

A potem się obudziła. W łóżku w swoim nowym domu. Prześcieradło było mokre. Między nogami delikatnie płynął ciepły strumień. Zszokowana uświadomiła sobie, że odeszły wody, że zaczęła rodzić.

ROZDZIAŁ 75

1954

Gdyby historia ta mogła być opowiedziana w całości, należałoby w niej zawrzeć wszystko. Zrobiłoby się wtedy z tego morze rzeczy dokonanych i marzeń o rzeczach niespełnionych i można byłoby pływać wśród mielizn tych wspomnień i dosiąść fal tych marzeń, kiedy powstają, by zaraz potem rozpaść się w pył. Patrzcie, jak piana kłębi się wokół ławic uchodźców, gdy dzień w dzień wtaczają do kwater dla samotnych mężczyzn licze stare taczki ze swoim skromnym dobytkiem w przekonaniu, że ich wędrówka wreszcie dobiegła końca w tym najdziwniejszym i nieoczekiwanym miejscu, te wszystkie polaczki i szwaby, pepiki, Litwini, jugole, makaroniarze i Bałtowie i bambo, koła taczek zostawiające wąskie błotniste koleiny w zimie i wzbijające ogony kurzu z twardej ziemi latem.

Gdyby historię tę można było opowiedzieć w całości, żeglowałibyście przy dziwnej pogodzie, która przynosi cztery pory roku jednego dnia, śnieg, słońce, deszcz i wiatr, ale ludzie ubierają się raczej po swojemu, a nie pod dyktando kapryśnej aury obcej krainy, wkładają palta, gdy są przygnębieni, noszą podkoszulki z wyzywającą śmiałością. Moglibyście zobaczyć brodatych tubylców, którzy zjawiają się w obozowisku, żeby sprzedawać mięso walabii, moglibyście spróbować cudownego salami, wyrabianego z tego chudego mięsa zmielonego z tłustą wieprzowiną i pobłogosławionego czosnkiem, pieprzem i papryką. Historia zawierałaby to wszystko i jeszcze więcej. Zawierałaby opowieści, co — niczym rzeki płynące do morza — parły do tego zakątka, nad którym pieczę miał kapłan zupełnie niepodobny do innych wiejskich kapłanów, bo ksiądz Flannery prawie zawsze był pijany i często kłął bardziej niż maltańscy kopacze tuneli, mylił imiona na chrzcie, wyłudzał wino za swoje posługi, po czym wypijał całe i ledwo mógł dotrzeć na miękkich nogach do ołtarza. I jeszcze to, jak ten zakątek był nowy, a zaraz potem wydawał się stary, jak pracowali w pocie czoła,

aby koniec końców to miejsce stało się dla nich tylko wspomnieniem, jak radzili sobie z okropnością tej okolicy, marząc, że pewnego dnia przerodzi się w coś, o czym będą mogli opowiadać w zaciszu wygodnych domów, jakie widzieli w amerykańskich filmach, domów z nowocześnie wyposażoną kuchnią, sprawną kanalizacją, miękkimi wyściełanymi fotelami, domów zamieszkałych przez szczęśliwe rodziny.

Wszystko to i jeszcze więcej. I więcej, i więcej, a morze wciąż nie byłoby wypełnione, historia wciąż nie byłaby do końca opowiedziana, bo jest jeszcze choćby ta noc, kiedy mała Sonja leżała w łóżku wpatrzona w morze nad głową, gdzie odkształcony i obwisły sufit z płyty pilśniowej falował jak ocean, jak agastachys porastający równinę, jak podziurawiona ziemia ogołocona z drzew, a wilgoć przenikała przez blaszany dach, i czasem mała Sonja czuła, że jej świat został wywrócony do góry nogami, że dom, będący jakże lichym schronieniem przed naturą, tylko tę naturę wyolbrzymia i przeinacza, odtwarzając ją w groteskowych formach, i bała się, że ten wywrócony ocean i ziemia zmiażdżą ją, i zastanawiała się, co by się stało, gdyby na nią runęły, czy starczyłoby jej sił, żeby odnaleźć drogę do prawdziwego świata. A potem zastanawiała się, jak wygląda prawdziwy świat, świadoma, że nie przypomina niczego, co jest jej znane.

A więc tej nocy dawno temu, tak jak w inne noce, kiedy dopadały ją niespokojne myśli, Sonja wstała z łóżka i podeszła do drzwi, za którymi znajdowała się sypialnia rodziców. I wtedy zobaczyła, że matka pakuje starą małą tekturową walizkę leżącą na łóżku.

Patrzyła na dziwaczną zbieraninę rzeczy wkładanych do środka: chusta ze starego świata, pończochy z nowego, których nigdy nie nosiła, żeby ich nie podrzeć, postrzępiona wyblakła dziecięca chusteczka w misie, której Sonji wolno było używać na specjalne okazje, kawałek sznura, sweter Bojana, zdjęcie starszego mężczyzny leżącego w długiej skrzyni. Każdy przedmiot Maria wkładała powoli do walizki, przyglądając mu się przez chwilę, zatopiona w myślach o odległych sprawach, o których nie opowiadała trzyletniej córeczce. Jakby odczuwała potrzebę, aby wypełnić walizkę; choć były to drobiazgi, wciąż miały znaczenie, przechowywane w jej głowie. Kiedy walizka została

wreszcie zapełniona, na samej górze Maria położyła sprasowany biały kwiatek o nietypowych spiczastych płatkach. Najpierw obróciła kwiatek w jedną stronę, potem w drugą, jakby próbowała się zorientować w obcej czasoprzestrzeni. Wreszcie, trochę rozkojarzona, wciągnęła bordowe botki i szkarłatne palto.

Mała Sonja patrzyła na to w milczeniu z progu swojego pokoju. Powinna spać w łóżku, ubrana do snu: w starą flanelową koszulę nocną w kwiaty, tu zmechaconą, tam przetartą do osnowy i wątku, i zielony wełniany sweterek, w którym, choć miał już za krótkie rękawy i dziurę na łokciu, wciąż było jej wygodnie. W jednej skarpetce naciągniętej pod kolano, w drugiej opadniętej Sonja podeszła do Marii i unikając jej wzroku, zajrzała do walizki być może w nadziei, że zainteresowaniem pakowanymi rzeczami usprawiedliwi swoją obecność. Wzięła wysuszony biały kwiatek.

— Co to? — spytała.

— Powinnaś spać — upomniała ją matka.

Sonja pragnęła powiedzieć Marii, że boi się, że sufit w jej pokoju zmienił się w morze i ziemię, że boi się, że jej świat został wywrócony do góry nogami, że boi się, że ją przygniecie. Ale nie miała pojęcia, jak powiedzieć o czymś tak doniosłym, więc powiedziała tylko, że chce jej się pić, i znów spytała o piękny kwiatek, bo nie wiedziała, dlaczego matka tuli go w dłoniach.

— To jest kwiat miłości — odpowiedziała Maria rozkojarzona. — *Edelweiss*. Rośnie w górach, na urwiskach, wysoko, wysoko nad ziemią, i żeby go zerwać, trzeba być bardzo odważnym, wspinać się po skałach. Młodzi mężczyźni go zrywają, narażając życie, żeby w ten sposób dać wyraz swojej miłości do kobiety.

— Kwiat miłości — powtórzyła Sonja, a potem dodała pełnym zdaniem po angielsku, żeby sprawić matce przyjemność: — To jest kwiat miłości. Czy *ati* zerwał go dla ciebie? — spytała.

Maria skinęła głową.

— Tak, kiedy mnie znał na początku. A ja go ususzyłam, żeby mieć.

Podniosła córeczkę. Pod czerwonym paltem miała czarną sukienkę z karczkiem z białej koronki, w którą Sonja wcisnęła buzię. Matka nosiła

koronkę, która była piękna, i Sonja przysunęła buzię do koronki i wiedziała, że matka odchodzi, że oładnęło nią coś silniejszego niż moc dziecka, jakaś straszliwa klątwa, od której nie potrafiła się uwolnić. Maria Buloh wzięła trzyletnią córeczkę w objęcia i tuląc ją do piersi, zaczęła śpiewać cicho słoweńską kołysankę:

*Spanček zaspanček,
čuden možic
hodi ponoći,
nima nožic...*

Poczuła, że w kąciku jej oka zbiera się łza, i przymknęła powiekę i potarła ją mocno palcem, żeby powstrzymać płacz, śpiewając przez cały czas:

*Lunica ziblje
aja, aj, aj,
spanček se smeje
aja, aj, aj.*

Spojrzała na dziecko utulone w ramionach.

— Moja maleńka — powiedziała Maria Buloh. — Moja maleńka.

Postawiła Sonję na podłodze. Tym razem potarła oboje oczu i odwróciła się od córki.

— Sonju, mnie trzeba odejść — powiedziała.

Zebrała się w sobie, odwróciła się do córeczki, chwyciła ją na ręce i zaniósła do łóżka. Szepcząc słowa otuchy, przykryła ją kołdrą. Potem wróciła do drugiego pokoju, wzięła walizkę, ruszyła do wyjścia i otworzyła drzwi, za którymi był mrok.

Usłyszała, że Sonja wstaje z łóżka i idzie za nią. Ale zignorowała to.

— Nie martw się — powiedziała do otwartych drzwi. — *Ati* niedługo wróci. — W blasku elektrycznego światła zobaczyła płatki śniegu przekłuwające ciemność.

— Sonja? — spytała Sonja z nadzieją, że matka ulegnie.

— Nie, córeczko — odpowiedziała łagodnie Maria Buloh, a jej słowa już zagubiły się w mroku. — Mnie trzeba samej iść.

— Ale tu ciemno — powiedziała dziewczynka. — Boję się

ciemności.

— Zostawię zapalone światło — odrzekła Maria. Głos jej się załamał. Po chwili dodała: — Nie mogę zostać. Muszę iść.

Odwróciła się, przyklękła, objęła Sonję, odsunęła ją od siebie odrobinę, zrobiła pośpiesznie znak krzyża i zajrzała jej w oczy z nadzieją i lękiem. Jakby dziecko było księdzem, który może udzielić rozgrzeszenia.

— Przebacz mi, Sonju.

— Ale co?

To już było ponad siły Marii Buloh. Podniosła się gwałtownie, odwróciła plecami do córki, chwyciła walizkę i wyszła.

Na dworze właśnie postawiła stopę obutą w botek na trzecim, najniższym ośnieżonym schodku, kiedy usłyszała głos Sonji dochodzący z wewnątrz:

— Mamo...

Odgrodziła się od tego błyskawicznie, zamykając za sobą drzwi. Potem próbowała uspokoić dziecko po słoweńsku, powtarzając:

— Aja, aja...

Wreszcie skręciła i ruszyła w głąb ulicy, pozostawiając odcisk stopy na schodku. Tuman śniegu, jeden, drugi i ślad się zatarł.

Wszędzie panowała cisza.

Na dworze szalała śnieżycą.

W domu mała dziewczynka próbowała sobie wyobrazić botki drepczące po śniegu. Ale drzwi były zamknięte, dął wicher i było tak, jak Sonja zawsze o tym śniła — potwierdziło się straszliwe przecucie.

Koronka przepadła na zawsze.

ROZDZIAŁ 76

1990

Sonja krzyknęła.

Moja matka jest koronką. Ojciec drewnem. A ja nie.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po łagodnie oświetlonym oddziale położniczym, po czym wrzasnęła, ile miała sił w płucach, wnętrznościach, sercu. Wrzeszczała, a jej ciało unosiło się jak ogromna fala i rozpadało, rozrywane na milion strzępów.

Moja matka jest koronką. Ojciec drewnem. Jestem koronką rozdieraną na dwie części. Drewnem pękającym na pół.

A potem fala się przetoczyła, ból osłabł i zdyszana Sonja zaczęła łapczywie chwytać ustami powietrze.

— Nie dam rady — wyszeptała łamiącym się głosem i niewiele brakowało, a krzyknęłaby z wściekłości na własną słabość, niemożność zapanowania nad ciałem i umysłem. — Po prostu nie... — urwała, żeby nabrać powietrza. Załkała. — Nie dam rady.

— Musisz dać i dasz — powiedziała położna, którą Sonję знаła jako Betty. — Musisz i dasz. Masz już dużo za sobą, trzeba dojść do końca.

Ale Sonja znów była za daleko, żeby to usłyszeć. Świat się zamazywał.

— O mój Boże! — wrzasnęła, gdy pojawiły się kolejne skurcze, jeszcze bardziej gwałtowno i silniejsze. — O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże — szeptała, jakby Bóg mógł jej wysłuchać, jeśli ona okaże dość pokory, a potem, porzucając pokorę i wiarę, wrzasnęła ponownie.

— Puść — nalegała Betty. — Nie opieraj się.

Sonja nie wiedziała już, kim jest i gdzie się znajduje i dlaczego ból rozrywa jej ciało i umysł. Słyszała tylko własne krzyki, ale nawet one odpływały w dal.

A potem nagle poznała to, co wiedziała zawsze. Nie było to nagłe objawienie, nie nadeszło znienacka, bo nigdy tego nie utraciła. Zawsze w

niej było, powoli w niej dojrzywało, bo pielęgnowała to nieświadomie, z matczyną troską, i dzięki temu z rozproszonych okruchów wspomnień narodził się teraz pełny, skończony obraz.

Oczy miała zamknięte, a gdy wchłonęła ją biel nieopisanego bólu, dostrzegła coś tak małego i zarazem ogromnego, że w pierwszej chwili nie rozpoznała siebie w małym dziecku w koszuli nocnej w kwiatki, starym swetrze i skarpetkach — jednej naciągniętej pod kolano, drugiej opuszczonej — które wędrowało po śniegu zimową nocą przed wielu laty.

— A teraz przyj — rozległ się głos Betty, nawołujący znowu do wysiłku, ale wydawał się taki odległy i pozostało tylko rytmiczne zakłęcie: — Przyj, przyj, przyj.

ROZDZIAŁ 77

1954

Jaka zimna noc! Jaki biały śnieg! Jak nieodwołalnie małe obozowisko Butlers Gorge zdawało się znikać w bieli i mroku! Mała Sonja stała na schodkach przed swoim domem, patrząc na drżący miraż tego, co uchodziło za osadę, próbując wypatrzyć matkę. Było to oczywiście niemożliwe, choć dziecko tak nie myślało. W ogóle niewiele myślało. Tylko czuło. Widziało osadę jako fragmenty czerni pomiędzy misternymi kapryśnymi wzorami tworzonymi przez padający śnieg. Widziało osadę jako koronkę. I zastanawiało się, ile czasu minie, zanim to — jedyny znany mu świat — też zniknie.

W tamtej chwili Sonję ogarnęło najstraszniejsze przeczucie, bezkształtne, bardziej ból niż myśl, i właśnie z powodu tego dziwnego okropnego doznania zeszła czy też zsunęła się ze stopni. Jeśli matka jest koronką i osada jest koronką i wszystko znika, to kim ona jest i co z niej zostanie, a może zniknie tak samo jak matka i osada? Czy to możliwe, że ona też jest koronką?

Wiedziała, że musi odnaleźć ojca, zanim on też zmieni się w koronkę. A potem pocieszyła się myślą, że on robi za dużo hałasu i za bardzo pachnie tytoniem, piwem i czosnkiem, żeby być koronką.

Ośmielona, zaczęła dreptać po śniegu, nie zwracając uwagi na białe płatki pokrywające jej zielony sweterek jak wiórki kokosowe, koleiny na drodze wciąż pełne brei pod warstwą świeżego białego śniegu i cienkiej pokrywy lodu, nie zwracając uwagi na to, że zimno przenika przez skarpety do stóp i ścina okrutnymi spazmami jej wciąż ciepłe ciało, była linią prostą zmierzającą tam, gdzie znajdował się ojciec. Słowo „szła” byłoby na wyrost. Ci, którzy widzieli dziewczynkę w pobliżu kantyny, mówili później, że się zataczała, z trudem utrzymując równowagę, że nieubita droga z białymi garbami wyglądała jak wzburzone morze, a dziecko jak miotana na nim mała łódka.

Gdy zbliżyła się do wejścia, ucichły chichoty i rozmowy kobiet

zgrupowanych na dworze wokół pustych drewnianych beczek po piwie. Kobiety obserwowały ją, gdy przydreptała do ich kręgu, a potem, jakby były ziemią przeznaczoną pod uprawę, a ona pługiem, rozstąpiły się bez słowa, umożliwiając jej wejście do kantyny przeznaczonej wyłącznie dla mężczyzn.

Patrzyły, jak Sonja otwiera dwuskrzydłowe drzwi z deszczułek, obłana stożkiem żółtego światła, a potem znika w nisko zawieszonym mgiełce, za zatrzasnkującymi się drzwiami.

W środku zobaczyła buri tłum mężczyzn siedzących na ławkach przy prymitywnych stołach: pili, palili, grali w karty, pili, rozmawiali, słuchali, pili, rozmyślali, nie rozmyślali, pili, pili, pili. Pomieszczenie wypełniały woń dymu papierosowego, mokrych ubrań, starego potu i rozlanego piwa oraz głośny rozgwar we wszystkich językach basenu Morza Śródziemnego i innych krain, wiry śmiechu, przekleństw i plotek. Słowa krążyły po wypełnionej bursztynowym światłem sali jak stada spłoszonych egzotycznych ptaków, a kilka, szybujących nad jej głową, Sonja zrozumiała, choć nie znała większości słów i żadnego z pozostałych języków. Niektórzy mężczyźni przypominali hałaśliwe potwory, inni zwiewne zjawy. Ruszyła między długim szpalerem ogromnych ociężałych postaci, spoglądając na ścianę pleców, na mężczyzn w stęchłych roboczych ubraniach i butach. Tu i ówdzie widziała w przelocie twarz — wyglądali jak powalone drzewa i pęknięte skały, które leżały na obrzeżach osady, ale żadne drzewo ani żadna skała nie miały twarzy jej ojca. Nagle, z głośnym hukiem, jakiś wielkolud runął do tyłu z ławy na podłogę, tuż przed Sonją, tarasując jej przejście. Cofnęła się przerażona, ale gdy zobaczyła, że mężczyzna ani nie jest jej ojcem, ani nie umarł, tylko upił się do nieprzytomności, zrobiła krok, przestępując nad nim, i ruszyła dalej, aż wreszcie znalazła tego, kogo szukała, i pociągnęła go za połę palta.

Pijany Bojan Buloh odwrócił się na pięcie.

— Santa Madonna! Co do... Sonju, tobie nie wolno tu być. Czego chcesz? Matka cię przysłała? Chodź, siadaj tutaj. — Machnął ręką do mężczyzny, który wstał z ławy. — Paweł, jeszcze sześć piw.

Bojan posadził sobie Sonję na kolanach. Roześmiał się. Pogładził ją po włosach. Odwróciła się i przycisnęła buzię do jego piersi. Przez

wzgląd na kolegów zrobił głupią minę, zakrywając górną wargę dolną, wzruszając ramionami, wyrzucając ręce w górę i na boki w teatralnym geście. Paweł wrócił z piwami, a widząc Sonję na kolanach Bojana, spojrział na niego pytająco.

— Dzieciaki — roześmiał się Bojan. — Cholerne dzieciaki.

Na dworze szalała śnieżycą.

Jaki biały śnieg. Jaka zimna noc. Jaka zmarznięta mała Sonja. Jaki ciemny świat poza szorstkimi silnymi ramionami ojca. I jak nieodwołalnie mała osada Butlers Gorge zdawała się znikać w bieli i mroku i zimnie, gdy Sonja zwróciła się ku życiu sprzed tego życia.

ROZDZIAŁ 78

1954

Gdzie? — pomyślał Bojan Buloh. Gdzie?

Popatrzył po twarzach pozostałych robotników, ze dwudziestu nowych Australijczyków, stojących w pobliżu, czekających na transport do pracy.

Wszyscy unikali jego wzroku.

Była sobota i Maria dotąd nie wróciła. Jakby pozostali mężczyźni już wiedzieli. Ale co wiedzieli? Nikomu przecież nie mówił, że odeszła w nocy. Jeśli wiedzą, to dlaczego milczą? I co konkretnie wiedzą? Co? Pewnie się ukryła u czyjejs żony. Albo któryś z kierowców zabrał ją rano ciężarówką do Hobart. Może — nadzieja walczyła w nim z rozpaczą — może będzie w domu, gdy on wróci z pracy. I wtedy oboje będą udawać, jak to robili od dawna, że wszystko jest w najlepszym porządku, choć przecież nic nie było w porządku, ani teraz, ani wcześniej. Ale on zrobi wszystko, by ją odzyskać. Gdyby tylko wróciła, uwierzyłby w każde jej słowo, nawet jeśli będzie wiedział, że kłamie, bo kłamstwa były gorzkim chlebem powszednim ich wygnania, poza tym czy można się wykarmić czymś innym?

Ale gdzie ona teraz jest? — pomyślał Bojan Buloh. Gdzie?

Czy wciąż była w tym pokoju, czekając, aż jej ojciec umrze w żalonym upokorzeniu, aż ona i wszyscy członkowie rodziny poniosą śmierć, niektórzy szybko, inni powolną i długą jak całe życie? Czy może znalazła drogę ucieczki z tego pokoju? Może podarowała szarotkę innemu mężczyźnie, który ofiarował jej coś, czego nie ofiarował Bojan, a ta myśl rozwścieczyła go i jednocześnie pocieszyła, bo to znaczyło, że oprócz tego, co oboje zaznali, gdzieś indziej istnieje szczęście.

Ale gdzie jest? Gdzie?

Mężczyźni czekali, tupiąc na śniegu, paląc dużo, rozmawiając niewiele. Nie potrafił im powiedzieć, że Maria odeszła, jak więc mógł przyznać się przed nimi, że boi się, że może ona nigdy nie wróci, że

zniknęła na zawsze z jego życia i życia ich córeczki? Niczego im nie powiedział, próbował tylko nadrabiać miną.

Żartował.

Słyszając, jak inni śmieją się razem z nim, poczuł się jeszcze bardziej niepewnie, poczuł wielki ból. Po drugiej stronie żwirówki, na tym, co uchodziło za plac apelowy — goła wysypana żwirem parcela z masztem i wyświechtaną flagą — spotykali się miejscowi skauci. Drużynowy, angielski inżynier, mówił o groźbie komunizmu.

Niewysoki Albańczyk wskazał niedopałkiem inżyniera i rzekł:

— Pojęcia nie mam, czemu wyjechałem. Przecież zrobili dużo dobrego, skoro pozbyli się takich skurwieli jak ten.

Kilku mężczyzn się uśmiechnęło, a inni zaczęli słuchać przemówienia, żeby naśmiewać się z drużynowego, widząc w tym chwilową ulgę od zimna i nudy.

Zabawę przerwało im przybycie transportu, starej wojskowej ciężarówki oddanej do cywilnego użytku. Szofer nawet nie raczył przekręcić głowy, tylko ryknął przed siebie:

— Praca przy kanale!

Robotnicy zaczęli się wspinać na nieosłoniętą pakę.

Gdzie? — pomyślał Bojan. Gdzie?

Pierwszy na pace stanął brodaty Polak. Pomagając innym się gramolić, rzucił w powietrze:

— Wujku Joe, nie byłeś taki zły. Pozbyłeś się Hitlera, pozbyłeś się skautów. Szkoda, że na tym nie poprzestałeś, tylko pozbyłeś się i nas.

Niski jasnowłosej Czech walnął pięścią w dach szoferki i wrzasnął do kierowcy:

— Pamiętaj, że przyjechałeś po nas wcześniej, więc żebyśmy wrócili na ceremonię naturalizacji!

— Tak — mruknął Bojan — my, Australe, nigdy się nie spóźniamy.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

Gdzie? Gdzie? Gdzie? Ta myśl przewiercała mu umysł i serce. Chyba trochę dygotał i się krztusił, bo Albańczyk położył mu troskliwie rękę na ramieniu i powiedział, że ma gorączkę i powinien się zgłosić do izby chorych. Bojan Buloh odwrócił się do Albańczyka i spojrzał na

niego. Wiedział, że dygocze, że jego nieogolona twarz jest pytaniem bez odpowiedzi.

— Gdzie? — powtórzył na głos. — Gdzie?

Ale Albańczyk milczał. Popatrzył mu tylko w oczy, o wiele dłużej niż człowiek powinien patrzeć drugiemu, przełknął ślinę, przejechał palcem po wąsach i spuścił wzrok.

Wczesnoporanne niebo rozpościerało się nad środkowymi górami. Wyżej były chmury, ale odległe i pierzaste, leniwie sunęły po właściwie czystym niebie, zapowiadając pogodny, choć chłodny dzień. W dole leżały zasy śnieżne, niektóre wysokie na metr, owoc nocnej nawałnicy. Ciężarówka skręcała ze żwirówki w wyboisty dukt, po którego obu stronach ciągnął się wysoki gęsty las. Robotnicy kołysali się na pace, niektórzy siedzieli, inni kucali, rozcierając dłonie, tupiąc, paląc, niewiele rozmawiając.

— Mówią, że najwyższe liściaste drzewa na świecie rosną niedaleko stąd — powiedział brodaty Polak, przekrzykując warkot silnika.

Próbując zachować zimną krew, Bojan podniósł wzrok i zmusił się do śmiechu.

— Na szczęście dla Australii zatopimy je wszystkie wodą z wielkiej zapory — mruknął.

— A po kiego w ogóle potrzeba im aż tyle prądu? — spytał Albańczyk.

Bojan machnął teatralnie ręką w kierunku drzew.

— Dla cholernego przemysłu, to jasne, ty głupi bambo.

Albańczyk popatrzył na otaczającą ich ze wszystkich stron głuszę i się roześmiał. Znowu odezwał się brodaty Polak:

— Myślą, że jak będą mieli prąd, to przyjdzie przemysł i wtedy staną się drugą Europą, będą mieć fabryki zamiast puszczy, pola bitew zamiast pól kartofli, a w rzekach zamiast wody będzie płynęła krew.

Zamilkł.

Nikt się nie roześmiał.

Nikt nie odpowiedział.

Niektórzy odwrócili się i spojrzeli w las. Albańczyk popatrzył na swoje stopy i dudniącą pakę zbitą z przegniłych desek, na których na

każdym wyboju podskakiwały grudki żwiru. Czech charknął i splunął na mijane krzaki. Brodaty Polak potoczył wzrokiem po twarzach kolegów. Był zgorzkniały. Podobnie jak większość z nich. Ale nie chcieli o tym słuchać. Unikali jego wzroku. Próbowali z tym zerwać, zmienić wszystko podobnie jak pod kołami ciężarówki świeży śnieg zamieniał się w błocko. Bojan zimnymi palcami ugniatał swoje pękające od myśli czoło. Czech otarł usta wierzchem dłoni, drapiąc rękę zarostem, myśląc: *O lungo drom, o lungo drom.*

Ale brodaty Polak nie dawał za wygraną. Właściwie mówił nie do nich, tylko do siebie, bo wiedział, że nie chcą nawet myśleć o tym, że też są odpowiedzialni za to, od czego uciekli.

— Europa to rak — powiedział w końcu. — Wszędzie sieje śmierć.

Czechowi udało się skrócić kolejnego papierosa, zgrywając ruchy palców z rytmem rozkołysanej i podskakującej ciężarówki. Musiał skupić uwagę na swoich dłoniach zamiast na gorzkich prawdach brodatego Polaka. W jego głowie niczym twaróg zaczęły gęstnieć słowa cygańskiej pieśni: „Wkrótce będzie...”, ale je odpędził. Uśmiechając się kwaśno pod nosem, dumny ze swojego małego zwycięstwa nad przeciwnościami losu, Czech włożył skręta do ust, zapalił go, osłaniając dłońmi, i popatrzył na las.

I właśnie wtedy pośród drzew zobaczył coś, czego miał nadzieję już nigdy nie oglądać. Owszem, ujrzał to tylko na mgnienie oka, ale znał ten widok aż za dobrze z czeskich lasów i choć starał się o tym nie myśleć, nawiedzało go to w koszmarach, więc ze straszliwą lodowatą pewnością wiedział, co to jest.

Nagłym płynnym ruchem wyjął papierosa z ust, wstał, rzucił go na drogę i grzotnął mocno pięścią raz i drugi w dach szoferki. Kierowca zahamował, mężczyźni przetoczyli się w przód i w tył jak morska fala, patrząc na siebie zdeorientowani, a potem, gdy ciężarówka stanęła, spojrzeli w stronę, w którą wskazał Czech. Zeskoczyli szybko na ziemię i nagle przestali się śpieszyć. Kilku zawróciło, wołając patrzeć na śnieżnobiałą drogę prowadzącą w dal.

Inni powoli, z wahaniem, weszli do lasu, boleśnie świadomi każdego ruchu i było tak, jakby trzask gałązek pękających pod ich stopami, szmer ich płytkich oddechów i odgłos przetykanej śliny były w

tej chwili jedynymi dźwiękami na całym świecie.

Tak przeszli po śniegu mniej więcej pięćdziesiąt metrów, a potem się zatrzymali.

ROZDZIAŁ 79

1954

Jedni musieli odwrócić wzrok.

Inni musieli patrzeć.

Ci drudzy przemogli się i od starej walizki na wpół zagrzebanej w śniegu pobiegli spojrzeniem wyżej, ku temu, co wisiało w powietrzu, a co nigdy nie powinno tak wisieć. I zobaczyli dyndające nogi w botkach ze startymi podeszwami.

W damskich botkach, z dziurami zapchanymi gazetą, szarą od lodowatej wilgoci.

Jedni musieli odwrócić wzrok.

Inni musieli patrzeć.

I jak ptaki wbrew swojej woli porwane przez wir prądu wstępującego, spojrzenia tych, którzy patrzyli, nieustępliwie sunęły coraz wyżej, nad zniszczone bordowe buty, ku oszronionemu szkarłatnemu paltu z małymi delikatnymi soplami wyrastającymi z wystrzępionych pól i oszołomieni patrzyli dalej: sztywny od zimna szary sznur zaciśnięty na szyi jak węzowy splot stali i biała twarz z wystającym językiem i mlecznymi martwymi oczami.

Które jeszcze niedawno były jej oczyma, pomyślał Bojan Buloh. Których okrągłą miękkość z zachwytem muskałem ustami.

Teraz osadzone w twarzy sztywnego trupa wiszącego na wysokim drzewie.

Poniżej zgromadziło się kilkunastu mężczyzn z dalekich krajów. Nad nimi dyndało na zawsze już nieruchome ciało Marii Buloh.

Czy, z jakiejś niepojętej przyczyny, skończyły się jej płatki *edelweiss* i nie było już żadnego miejsca na świecie, do którego mogłaby jechać?

ROZDZIAŁ 80

1954

Bojan Buloh nie wiedział. Bojan Buloh nie dociekał przyczyn. Zapłakał dopiero po pewnym czasie.

Wydawał się dziwnie niewzruszony aż do ceremonii naturalizacji w sali kinowej. Wtedy, w trakcie długiego przemówienia polityka, zaczął niepoohamowanie szlochać. Pomieszczenie zawirowało przed kaprawymi oczami Bojana Buloha, poczuł, że kipiel jakiegoś najstraszliwszego żywiołu wysysa go z tego miejsca, jakby miał nigdy nie wrócić. Przyciskał Sonję do piersi, a ona tuliła jego skołowaną głowę do ramienia. Trzymał się kurczowo córeczki jak koła ratunkowego. Łkał i stękał niczym ciężko ranne zwierzę, któremu odmówiono śmierci.

Sonja w ogóle nie płakała.

Jedni musieli odwrócić wzrok. Inni musieli patrzeć. Niektórzy mówili potem, że to właśnie wtedy twarz Sonji przemieniła się w maskę, ale skąd mogli to wiedzieć czy choćby się domyślać, co te słowa znaczą? Inni mówili, że wstydziła się płakać. Przez pewien czas małej Sonji okazywano współczucie, ale w końcu w oczach ludzi jej wstydlivość przeważała ból i machnięto na nią ręką jako na dziwne i niewrażliwe dziecko.

Po ceremonii naturalizacji żony dwóch inżynierów zabrały Sonję, żeby się nią zająć. Były Angielkami. Wierzyły w filantropię. Bojan nie chciał oddać im córki, ale nie miał już siły, żeby trzymać się Sonji, kiedy natarczywe dłonie oderwały ją od jego piersi z niewzruszoną mocą zacnej chrześcijańskiej posługi. Bojan Buloh nie chciał, żeby córka odchodziła, ale Angielki uznały, że tak będzie lepiej dla nich obojga. Znały mnóstwo słów.

Zadziwiało go, iloma słowami posługują się niektórzy ludzie. Milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Jest tylko to, pomyślał. Rozciągnięte mięso i kości, i gówno, i drewno, które tkwi w rosnących drzewach i które rozciąga mięso i kości, a te spłaszczają drewno, żeby

powstały bezsensowne rzeczy, takie jak ta chata, w której się zebrali, i jeszcze ten hałas, który nic nie znaczy. Były narodziny, była miłość i była śmierć, była śmierć i był hałas, ten ciągły hałas, co ogłupia ludzi, przez co zapominają, że są tylko narodziny i miłość i że wszyscy i wszystko umiera. Jest tylko to, pomyślał Bojan, tylko to, i nagle uświadomił sobie, że stracił córkę tak samo jak żonę, i nie wie, jak je odzyskać.

Sonja nie płakała, gdy obce ręce próbowały oderwać ją od ojca. Nie mówiła nic ani nie krzyczała. Opierała się jednak z acnym chrześcijańskim intencjom z tępą zaciekłością ryby schwytej na haczyk. I z takim samym nieuchronnym skutkiem. Ze wszystkich sił starała się przylgnąć do ojca, próbując wpłynąć z powrotem w głębie jego objęć, być częścią jego ciała, być niewidzialna dla wszystkich oprócz niego, ale gdy uczepiła się go rozpaczliwie, on też stał się koronką, która rwała się na strzępy, potem kawałki koronki rozpuściły się w powietrzu, a ryba przecież nie przetrwa dzięki koronce oraz bez wody. Kobiety chwyciły Sonję i odeszły, więc przestała stawiać opór, bo utraciła coś fundamentalnego i wyczula intuicyjnie, że nie ma już o co ani z czym walczyć. Świat stanął na głowie, wywrócił się do góry nogami, zamienił miejscami z morzem, którego milczące prądy porwały ją z przeogromną siłą, unosząc coraz dalej od tego, czego chciała się uchwycić. Pewnego dnia umknie przed tym morzem, nieważne, za ile żywotów, ale zrobi to, ucieknie i odnajdzie ojca, a on już nie będzie powietrzem ani koronką, ani drewnem, lecz sobą, a do tego czasu ona będzie czekać, nieruchoma jak księżyc, udając martwą, żeby nikt się nie zorientował, że żyje, chwytając powietrze powolnymi miarowymi łykami.

Gdy przestała się miotać, niższa z dwóch pań inżynierowych postawiła ją na podłodze, chwyciła za rękę i poprowadziła obok siebie, paradując z trzyletnim uosobieniem skruchy jak z rekwizytem upiększającym jej autowizerunek troskliwej kobiety. Nad głową Sonji Angielki porozumiewały się w dziwacznym języku złożonym ze skrótów i eufemizmów, od czasu do czasu odchrząkując gardłowo i zwracając mentorskie oblicza ku dziecku. Sonja wiedziała, że rozmawiają o jej matce, choć dźwięki wpływały do jej uszu i wypływały jak woda

podczas kąpieli, choć swą nadętą pozą kobiety sprawiały groteskowe wrażenie jak kury biegające po głównej ulicy, rytmicznie dziobiące zmarzniętą ziemię.

— Gdzie *ati*? — odezwała się Sonja bardziej tonem roszczenia niż pytania, lecz kobiety albo nie usłyszały, albo postanowiły zignorować słowa dziecka, gdyż nadal chrząkały i cmoktały niezadowolone. — Gdzie mój *ati*? — powtórzyła.

Wyższa Angielka odwróciła się i uśmiechnęła, ale jej uśmiech przeraził małą dziewczynkę, która intuicyjnie wyczuła, że zacna posługa poparta tak niewzruszoną stanowczością jest bastionem nie do przełamania.

— Wszystko z nim w porządku — odpowiedziała kobieta. — Z tobą też będzie wszystko w porządku. A my teraz idziemy na podwieczorek.

Wyszły na główną ulicę i Sonja popatrzyła na błoto pośniegowe. Zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że piękna ziemia, z której robiła ciasteczka, i czysty biały śnieg, z którego poprzedniego dnia lepila z matką kulki, mogą się połączyć w coś tak paskudnego jak szare błocko. Machnęła nogą, ochlapując breją odziane w wełniane pończochy nogi niższej kobiety. Na palcach poczuła bolesny uścisk dłoni i usłyszała słowa wypowiedziane tonem bardziej lodowatym niż powietrze na ulicy:

— Starczy tego, mała damo.

— Mama! — krzyknęła Sonja. — Mama!

— Mama wyjechała na wakacje — odparła kobieta w przemoczonych pończochach.

— Nie wiemy, kiedy wróci — dodała druga.

Choć Sonja była małą dziewczynką, w tych słowach wyczuła rozmyślne okrucieństwo.

Dwie kobiety zajęte rozmową, z dzieckiem pośrodku.

I choć trudno było stwierdzić, o czym mówią, Sonja nie miała wątpliwości, że teraz tematem jest jej ojciec. Od czasu do czasu rejestrowała w pamięci takie czy inne wyrażenie, a potem ze wszystkich sił znów starała się niczego nie słyszeć. Zdania takie jak: „Może jest ktoś inny?” i „Nikt nie wie dlaczego, ale uważaj, po kilku kieliszkach podobno zmienia się w bestię”.

Słowa te nic nie znaczyły w uszach małej dziewczynki idącej między dwiema kobietami, bo postanowiła, że od tej chwili będzie nikim — aż do dnia, kiedy odnajdzie ojca.

Dotarli do siedziby zarządu — porządnego domu, a nie rudery, w której mieszkała Sonja — i przeszły do ogrodu na tyłach. Tam, na betonowym obrzeżu, stała do góry dnem skrzynia po żelatynie wybuchowej służąca za stół, przykryta obrusem w czerwoną kratę, na którym ustawiono zabawkowy serwis Sonji.

Teraz pijemy herbatę.

Odwrócone plecami do domu kobiety naciągnęły szczelniej szydełkowe blezery dla ochrony przed chłodem. Nieco dalej, obramowana ich sylwetkami, stała Sonja w odświeżonej sukience, z włosami związanymi w mysie ogonki, obok skrzyni z serwisem do herbaty.

Bo jesteśmy na Tasmanii, a nie w Słowenii.

— Poszłam do ich domu i przyniosłam go dla niej — powiedziała kobieta, która wcześniej ścisnęła mocno rączkę Sonji. — Żeby mogła się czymś zająć i nie myśleć o tym, co się stało.

— Żeby łatwiej zapomniała — dodała druga.

— Tak — potwierdziło imadło. — Tak, żeby biedactwo zapomniało. — Ton głosu stał się konfidencjonalny: — Muszę przyznać, że dom utrzymywała w zadziwiającej czystości. Spodziewałam się czego innego.

Sonja wzięła imbryk. Nie zawisł nad filiżanką, żeby na niby nalać do niej herbaty, lecz wysunął się dalej, poza skrzynię i spadł na ziemię, roztrzaskując się na kawałki.

Bo nasz świat stanął na głowie.

Jedna z kobiet krzyknęła na Sonję. Dziewczynka chyba to usłyszała, bo spojrzała na Angielki, przesywając je wzrokiem, i już żadna się nie odezwała, nawet wtedy, gdy roztrzaskał się dzbanuszek do mleka, gdy rozbił się pierwszy spodek, druga, czwarta i szósta filiżanka.

Bo z oczu Sonji wyzierało pytanie, na które kobiety nie знаły odpowiedzi. Imbryk i dzbanuszek, spodek i filiżanka na betonie. Porcelana, perłowo gładka z zewnątrz, ostra jak szkło i sucha jak śmierć, gdy stłuczona. Czy oni też się tak potłukli? Potłukli? Rozbity imbryk i

dzbanuszek. Śpiew matki. Szloch ojca. Strzaskany spodek i filiżanka. Czy oni też się tak potłukli? W głowie wycie, które za nic nie chciało ucichnąć.

Śpiew matki. Szloch ojca.

Matka. Ojciec. Ona.

Czy też się tak potłukli?

Żony inżynierów milczały i jeszcze mocniej naciągnęły swetry, bo bez względu na to, ile filiżanek i spodeczków Sonja Buloh stłukłaby pod mknącym niebem, bez względu na to, ile odłamków porcelany wbiłoby się w jej duszę, nie znały odpowiedzi na to pytanie.

ROZDZIAŁ 81

1990

— Spokojnie! — krzyknęła Betty. — Oddychaj głęboko, oddychaj.

Sonja nie miała już woli ani umysłu, czuła tylko, że przetacza się po niej walec doznań, ból zalewający ciało falami od stóp do czubka głowy. W otchłani cierpienia usłyszała własne pomruki, jakby była konającą krową.

Lekarz położnik nie nadzorował porodu przez cały czas, bo Sonja była pacjentką publicznej służby zdrowia, ale Betty знаła mnóstwo pozycji, w których starała się ją ułożyć między kolejnymi seriami skurczów, a teraz kazała jej usiąść i powiedziała, że widzi główkę, że dziecko wychodzi, wychodzi i to szybko, szybciotko. Sonja nie zażądała dotąd pe-tydyny, tylko z zamkniętymi oczami łapczywie wdychała gaz, dysząc jak parszywy pies, zaciskając pięści tak mocno, że dłonie zdrętwiały wskutek zatamowania dopływu krwi, i nagle poczuła, że jej łono odskakuje gwałtownie do tyłu, w głąb ciała. Naszła ją idiotyczna myśl, że łono jest olbrzymim pstrągiem tęczowym powracającym do domu w górze rzeki w serii długich skoków i odbić, każdy skok triumfem nad poprzedzającym go upadkiem, a każdy upadek kolejnym etapem wędrówki, osobą — Jean, Picottim, panią Maritą Michnik — skok — miejscem — Sydney, Hobart, Butlers Gorge — skok — czasem, teraz wszystko tylko wodą i kamieniem, które należało pokonać: aż w końcu pstrąg dotarł do trzeciego najniższego ośnieżonego schodka przed drewnianą chatą — skok — a teraz drzwi, drzwi! i z każdym skokiem ubywało mu lat, malał, stawał się lżejszy, aż w końcu dosiadł wiatru i zmienił się w strzęp koronki i było inaczej, niż zawsze o tym myślała, bo drzwi się otworzyły, koronka wróciła, przeistoczyła się w coś mokrego, oślizłego i zakrwawionego, co zbliżyło się do niej, choć właśnie z niej wyszło, i zaczęła konać i już nie mogła dyszeć ani mówić, ani nawet muczeć jak krowa, tylko krzyczała w nieskończoność.

ROZDZIAŁ 82

1954

Życie dało się poznać Bojanowi Bulohowi jako triumf zła.

Stał w ostrym świetle roztaczanym przez nagą żarówkę w przedpokoju swego domu, słysząc, jak deszcz, który nadciągnął za śniegiem, chłoszcze blaszany dach, poczuł, że ściany i niski sufit napierają na niego jak bloki średniowiecznego narzędzia tortur, poczuł woń własnego strachu, poczuł, że jego całe życie jest zstępowaniem w to, co wydawało mu się teraz istnym piekłem.

Rozminął się ze swoim czasem. Bez domu. Na zawsze związany z Marią, ale już nie męż. Gdzie jest słońce? Gdzie jest jego właściwe miejsce? Gdzie taki mężczyzna i jego dziecko, będące tak samo jej dzieckiem, mają się podziąć? Przepadła cicha szarotka wskazująca dawniej kierunek ku krajom, które były dla niego tylko tajemnicą.

Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał przeżyć każdy kolejny dzień — w takiej mierze, jak tylko się da — bez nadziei i bez rozpacz. W tym celu powinien myśleć jak najmniej, co w dużym stopniu zdołał osiągnąć, opróżniając umysł nie tylko z dręczących go wspomnień, ale też z umiejętności snucia rozważań o tym, co się dzieje. A jednak życiu udawało się czasem wbić mu w umysł bolesny cierń doświadczeń, a można go było wyciągnąć tylko w przypiływie wściekłego gniewu. Przekonał się, że dobro i zło jest we wszystkim — w życiu, w samej ziemi i w każdym człowieku.

Ale ostatecznie to ciemność była górą.

Jest tylko to, pomyślał Bojan Buloh.

Wyciągnął rękę do ściany, żeby go nie przygniotła, żeby utrzymać równowagę. A kiedy był jego czas? A gdzie był jego dom? Zrobił kilka niepewnych kroków w stronę pokoiku Sonji, swoje ciało odczuwając jako ciężką bryłę martwego ołowiu, udręczone i odporne, a jego ruchy niczym czołganie się rannego człowieka w kierunku schronienia.

Lecz gdy w progu Bojan Buloh podniósł głowę, zobaczył widok

tak zjawiskowo piękny, że przez moment sądził, że postradał zmysły. Bo pokoik Sonji rozkwitł i nawet w tak słabym świetle Bojan zobaczył, że roi się w nim od świeżych szarotek, a ich gwiaździste płatki wypełniają przestrzeń księżycową poświatą. Z natłoku kwiatów niczym pień starego drzewa sterczała odwrócona do góry dnem skrzynia z czerwonym napisem spod sztancy: „Żelatyna wybuchowa”. Na skrzyni przykrytej na skos koronkową serwetą ustawiono trzy obrazki wielkości pocztówki. Po lewej stronie znajdował się wizerunek Najświętszej Marii Panny z rękami rozpostartymi jakby w geście współczucia, pośrodku zdjęcie ojca Marii leżącego w trumnie, który wyglądał na utrudzonego i zmarnowanego nawet po śmierci, który nie tchnął cieniem nadziei nawet w otoczeniu kwiatów, a po prawej stronie zdjęcie Marii i Bojana w odświętnych strojach, z małą Sonją w staromodnej długiej sukieneczce do chrztu w ojcowskich objęciach. Obok skrzyni leżała Sonja, zmożona snem w swoim łóżku na starej metalowej ramie pomalowanej kremową farbą z ropiejącymi wrzodami rdzy.

Bojan zauważył, choć przyjął to ze spokojem, że szarotki wyrastają z nosa i uszu córki, a ich płatki wskazują wszystkie możliwe kierunki. Nie mieli porządnej kołdry, tylko stary koc, ale wszystko było schludne i czyste, a do całego obrazu nie pasowało tylko to dziecko kwiatów, które odkopało się spod przykrycia. Pod koszulką nocną Bojan dostrzegł wypukłe kształty czegoś, co mógł uznać tylko za kolejne szarotki wyrastające z lona, odciskające na bawełnie zadziwiające gwiazdne formy, i natychmiast zaczął się zastanawiać, czy widzi rozgwieżdżone nocne niebo, czy rozległy nieboskłon południa przeobraził się w jego małą córeczkę, czy odwrotnie, i aż mu się w głowie zakręciło od tych myśli i obrazów.

Delikatnie i cicho przykrył córkę kocem. A potem, ocierając się twarzą o płatki szarotek, pocałował Sonję w policzek i szepnął do niebios: — Aja, aja. — Wciąż we śnie, dziecko wyciągnęło ręce do ojca i objęło go za szyję. Poczuł, jak jej drobne ciało się napina, jak targa nim nocny skurcz. A potem się rozluźniło. Rączki oklapły i opadły, a Bojan skrzyżował je na jej piersi pod kocem.

Wyszedł na korytarz zalany jaskrawym białym światłem i zaraz wrócił, ciągnąc materac, który ułożył obok łóżka Sonji. Zauważył, że

kwiatki znikły, ale to nie wzbudziło jego niepokoju. Szykując sobie posłanie z koców, uznał, świadom, że to osobliwa myśl, że pokoik po prostu wrócił do swojego zimowego stanu, że wszystkie kwiaty powiędły i że musi spać do nadejścia wiosny. Potem się położył, ze śpiącą Sonją po jednej stronie i Marią leżącą w trumnie po drugiej.

Bojan Buloh wtarł swoje ołowiane ciało w materac, aż pozostała tylko dusza i jego dusza była wszechświatem, który wypełnił po brzegi oddechem i ruchami śpiącej Sonji, pozwolił, aby odgłosy wydawane przez jego trzyletnią córeczkę zapełniły wszechświat.

Jest tylko to, pomyślał Bojan Buloh, i tylko to.

Na zewnątrz deszcz ze śniegiem znów zaczął smagać szyby. Ale Bojan Buloh zasnął i nie słyszał lodowatego drapania.

Bo jest tylko to, śnił Bojan Buloh. To.

ROZDZIAŁ 83

1990

Bojan Buloh widział sporo w swoim życiu, zanim zasnął tamtej nocy, a miał zobaczyć jeszcze więcej. Kwiaty wyrastające z żywych i umarłych. Tygrys tasmański i to noszący w paszczy wizję piekła. Świnie dokonujące samospalenia i ludzie zachowujący się podobnie. Budowa wielkich zapór i rozpad wielkich zapór i ponownie oswobodzone rzeki. Mógłby, gdyby chciał, choć taka myśl w ogóle nie zaświtała mu w głowie, napisać traktat o tym, że widział śmierć ludzi: że wydziedziczeni ze wszystkiego nie mogli nawet liczyć na łatwy koniec, że umierali tak samo ciężko, jak im się żyło, powolną, przedłużoną śmiercią, która wymagała od nich takiego mozołu, jakby byli głupim bydłem gnany na rzeź; że ciała jego rodaków i ciała Niemców, którzy jego rodaków uważali za podludzi, robiły się białe w chwili śmierci, a potem — jeśli nie zostały pochowane — stawały się czarne jak węgiel, puchnący, wędnący trup w stanie rozkładu, aż zostawał tylko szkielet szczelnie powleczony smolistą skórą, która najbardziej przypominała czarny znoszony but. Widział najprzeróżniejsze zwierzęta wydające potomstwo na świat, widział nowo narodzone cielęta, prosięta i źrebaki i zaznał osobliwie pustego uczucia, gdy w torbie zabitej kangurzyca znalazł żywe kangurzątko.

Lecz Bojan Buloh nigdy nie widział nowo narodzonego człowieka, nawet swojej Sonji, bo gdy przyszła na świat, dopiero po trzech dniach wpuszczono go do szpitala, żeby zobaczyć córkę i Marię.

*

Gdy Bojan Buloh obudził się tamtego ranka, bez namysłu pojechał do kwiaciarni. Rozczarowanie, które natychmiast odmalowało się na jego twarzy, kiedy sprzedawczyni stwierdziła, że przez wszystkie lata swojej pracy nie widziała szarotki w żadnej kwiaciarni na całej Tasmanii, ustąpiło zagadkowemu uśmiechowi, kiedy pokazała mu bukiet

białych goździków jako najlepszą propozycję w zamian. Nie były najlepszą propozycją, rzecz jasna, i Bojan wciąż się uśmiechał na tę absurdalną myśl — że można uważać tak różne kwiaty za podobne — gdy wrócił do FJ i ruszył do śródmieścia przy akompaniamencie strzelającego i grzechoczącego silnika, modląc się do Boga, żeby samochód dowiózł go na miejsce, chwając go po słoweńsku — *dobri stari avto* — za wszystkie lata wiernej służby, błagając po włosku — *per favore cara macchina* — żeby wytrzymał te kilka ostatnich mil, po których podróż ostatecznie dobiegnie końca, ponaglając go po niemiecku — *Raus! Raus!* — aby nie ustawał, i klnąc na niego po australijsku — *shitfuckingbucket* — za to, że charczał gorzej niż on rano, po obudzeniu.

Ale FJ, niegdyś obietnica nowej Australii, był teraz stary i sterany życiem jak jego właściciel. Nie przypominał już dawnego ukochanego samochodu i Bojan musiał ze smutkiem przyznać, choć tylko przed sobą, że od samego początku nie był to cud techniki motoryzacyjnej. Więc gdy FJ umilkł złowrogo na Macquarie Street, Bojan uświadomił sobie z filozoficznym spokojem, że po dwudziestu pięciu latach silnik wreszcie dokonał żywota, więc czekało go albo kupno nowego samochodu, albo powrót do Tullah na piechotę. Zepchnął FJ na chodnik i nie racząc nawet podnieść maski, żeby zajrzeć do środka, chwycił kwiaty i foliową reklamówkę z przedniego siedzenia, po czym, zostawiając otwarte drzwi, rozpoczął to, co dla człowieka w jego wieku i o jego skłonnościach było nie lada zadaniem — bieg.

Tak oto, bez jednej świadomej myśli, z nogami jak ołów, sercem dziko tłukącym się w piersi i wyczerpanymi płucami, ileś minut później Bojan znalazł się w windzie szpitala położniczego, zastanawiając się, czy nie wyląduje zaraz na oddziale ratunkowym z powodu zawału, bo czuł się półżywy, gdy ruszył na porodówkę.

ROZDZIAŁ 84

1990

Oto leżało, z zabią buzią jakby posmarowaną masłem, pokrytą mazią płodową: w świeżych powijakach nowo narodzone dziecko, dziwne dziwadełko w oczach matki. Zakwiliło — coś między krzykiem a skomleniem — a nagie rączki, którymi targnął spazm, wygięły się w L i zacisnęły się w piąstki, jakby skapitulowało przed życiem. Sonja przysunęła nos do główki i westchnęła. Po raz pierwszy, odkąd była dziewczynką w kuchni Jean, poczuła silną woń drożdży, chleba — woń swojego dziecka.

W przygaszonym świetle porodówki tuliła noworodka, patrząc ze zgrozą i niemałym przestraczem na to obce zwierzątko. Usłyszała własne postękiwania i jęki, zorientowała się, że się uśmiecha, marszczy brwi, dygocze. Pocałowała dziecko w czółko, a potem — z dużym wahaniem — wystawiła język i dotknęła nim główki, raz, drugi, następnie, ośmielona, polizała szyję i buzię noworodka, długie, delikatne pociągnięcia języka, przez cały czas głęboko wdychając nosem ten nadzwyczajny zapach chleba.

Betty, która wyszła nieco wcześniej, wróciła teraz i oznajmiła, że przed drzwiami czeka Bojan. Sonja nie odrywała wzroku od dziecka. Betty nie była uszczęśliwiona tak szybką wizytą tuż po porodzie.

— Mogę mu powiedzieć, że nie jesteś jeszcze w stanie się z nim widzieć — zasugerowała — i żeby przyszedł jutro.

Sonja przesunęła palcem po malutkiej pomarszczonej buzi. Po początkowych lamentach dziecko się uspokoiło. Wodziło wielkimi oczami po łagodnie oświetlonym pomieszczeniu, jakby beztriosko oceniało dziwny świat, na którym się zjawilo, a Sonja uznała, że jest to ze wszech miar właściwe, wcale nie przedwczesne, że ojciec zapragnął w tej chwili zobaczyć swoje jedyne wnuczę i że jej córeczka zobaczy dziadka zaraz po swoich narodzinach. Była to chwila wypełniona magią, której Sonja nie pojmowała, ale dostrzegała ją mgliście i zdawała sobie

sprawę, że moc tej magii nie potrwa długo. Teraz, w tamtym roku po rewolucjach, czas zatoczył dla niej koło. I choć wydawało się, że w snach rodzą się sny, było inaczej. Była tylko czekająca matka z dzieckiem.

Powiedziała Betty, żeby go wpuściła.

Bojan wszedł strwożony, marszcząc czoło, jedna ręka za plecami, w drugiej plastikowa reklamówka, poruszając gwałtownie oczami, jakby w razie czego szukał drogi szybkiej ucieczki. Spojrzał na Sonję, spojrział na dziecko, a jego nerwowy mars ustąpił nerwowemu uśmiechowi. Wyciągnął z za pleców rękę z dużym bukietem białych goździków, który położył u stóp łóżka.

— Więc jeszcze nie wróciłeś do Tullah, tato? — spytała Sonja z uśmiechem.

— Nie — odparł. Zamilkł, ale zaraz potem poczuł nietypową jak na niego potrzebę pełniejszego wytłumaczenia się. — Nie wracam tam. Powiedziałem im, że mogą się wypchać. Jiri mówi, że może mi załatwić jakąś robotę. Niewiele mi potrzeba. Mnie wszystko odpowiada. Może nawet mógłbym pilnować dziecka, jak ty pracujesz, coś w tym stylu, no nie wiem. Ale nie wracam, teraz już nie. — Spojrzał na swoją nowo narodzoną wnuczkę i zbliżył się o krok. — Już nie. Nie w takiej sytuacji. — Chciał położyć reklamówkę na podłodze, ale znieruchomiał. — Aha, Helvi mi to dała. — Włożył rękę do torby. — Mówiła, że zależało ci, co by to odratować.

W dłoni trzymał imbryk w jeżyny, który Sonja rozbiła tak dawno temu. Wreszcie w jednym kawałku, z powrotem cały. Zobaczyła, że dzieło Bojana, jak zawsze, było szczere i starannie wykonane, po pęknięciach zostało ledwie kilka śladów grubości włosa.

Nachylił się, podał córce sklejoną imbryczkę, a ona w zamian oddała mu córkę. Odprężony Bojan położył sobie fachowo małą w zagłębieniu łokcia, gruchając i klaskając, głaskając ją palcem w podbródek.

— No, w każdym razie poprawione — dodał, naciskając dla żartu dziecku nos, jakby to był guzik. Roześmiał się z tych swoich zawiłych wyjaśnień. — Inaczej niż mój angielski.

Gdy Sonja obracała imbryk na wszystkie strony, podziwiając

konserwatorską robotę Bojana, Betty, nie wiedząc, co powiedzieć do dziwnego mężczyzny o specyficznej woni i osobliwej wymowie, spytała:

— Jak by pan opisał swoje uczucia do nowo narodzonej wnuczki, panie Bellów?

— Och — westchnął Bojan, podnosząc wzrok, obracając głową swobodnie, korona drzewa rozkołysana przez świeżą bryzę. — Och, hm, wydaje mi się, że pewne rzeczy są ważniejsze od słów. — Znowu nacisnął palcem nosek dziecka, zaśmiał się i dodał: — Piękna jest, co?

Uśmiechnął się jeszcze raz i jego nerwowość znikła bez śladu. Sonja pomyślała, że może jednak to jest możliwe. Może pewnego popołudnia, gdy mała będzie raczkować na podłodze w kuchni, ściągając pokrywki i garnki ze stołu, może wtedy usiądą we dwoje i będą rozmawiać długo, długo aż do nocy, o niej, o nim, o dziecku — o tych wszystkich rzeczach, o których — od dawna tak sądziła — będzie myśleć z żalem jako rzeczach niespełnionych, gdy stanie nad jego grobem, wyrzucając sobie, że o to go nie spytała, za tamto go nie skarciła, z tego się nie śmiała. Będą rozmawiali tak długo, aż zajdzie słońce, zapadnie noc i położą dziecko do łóżka i będą dalej rozmawiać w trakcie nocnego karmienia aż do rana, o niej, o nim, o tym, co się wydarzyło i co mogło się wydarzyć. Będą rozmawiać tylko o tym, czego mogą się uchwycić, nie będą używać słów, aby się za nimi kryć, lecz będą ich używać jak drewna na stół, przy którym mogliby usiąść.

Piękny stół, wystarczająco duży dla całej ucztującej rodziny.

*

Po wyjściu Bojana wydarzył się mały cud. Po raz pierwszy i nie ostatni w tym nowym życiu Sonja zapłakała, a jej łzy spadały na główkę dziecka jak letni deszcz.

ROZDZIAŁ 85

Czasem dopadała ją głęboka tęsknota.

Gdy tak się działo, nie próbowała tego tłumić, lecz raczej traktowała to jak święto, zbierała różne rzeczy do kartonowego pudła, wkładała dziecko do samochodu i ruszała w drogę powrotną. Jechała długą pustą szosą do odludnego miejsca, gdzie dawniej znajdowało się obozowisko o nazwie Butlers Gorge, a gdzie teraz nie było niczego, niczego, tylko nawoływania ptaków, wiatr i chłód.

Bojan nigdy z nią nie jeździł, choć zaproponowała mu to dwa razy. Pił nadal, ale rzadziej i w ciągu następnych dwóch lat tylko cztery razy zadzwonili do Jirego zrozpaczeni barmani, prosząc, aby przyjechał i zabrał beznadziejnego moczymordę, który dał im ten numer. Pił nadal, ale — z wyjątkiem tych kilku ochlajów — zwykle w małych ilościach, a jego zachowanie — poza tym, że czasem przynudzał, powtarzając w kółko te same historie — było nienaganne, a nawet miłe. Nie dało się oczywiście przewidzieć, jak długo miało to trwać, ale zarówno Bojan, jak i Sonja byli na tyle mądrzy, że traktowali to jako tymczasowy dar, oboje okazując szczerzy zachwyt, gdy jedno uświetniło drugiemu dzień swoją wizytą albo przynajmniej rozmową telefoniczną.

Sonja i Jiri załatwili dla Bojana lokal komunalny w postaci bliźniaka, czym był autentycznie uszczęśliwiony, a w przydomowym ogródku hodował warzywa dla wszystkich i truskawki tylko dla wnuczki, podawane razem z jogurtem z mleka, które stawiał na bojlerze, żeby się zsiadło. Walczył z zarządem domów komunalnych o swój ogród, ale nie z powodu warzyw czy truskawek, tylko z powodu FJ, którego tam zaparkował i który służył dzieciom za plac zabaw, a jemu za kwietnik — rabaty w komorze silnika, bagażniku i wgłębieniach po reflektorach. Po interwencji Ahmeta Bojan postawił na swoim, a rozkwitający FJ, pełen dzieciarni, stał się czymś w rodzaju okolicznej atrakcji. Czasem Bojan miał dość hałasu i wtedy wrzeszczał na dzieci, żeby się zamknęły do chuja pana, czasem późnym popołudniem otwierał butelkę piwa i siadał obok auta, żeby się napić i zapalić w spokoju, gdy wokół szalały dzieci jak morskie ptaki polujące na sardynki. Patrzył na

swój ogród i widział to wszystko znowu, wicherę, którą przeklął i która przekląła ich wszystkich, która przeobraziła czas w zaporę wodną, zaporę w proch, a proch w ziemię, ziemię w ogród, ten ogród, w którym teraz siedział zapatrzony w zardzewiałe auto, widząc to wszystko znowu, choć tym razem z poczuciem pustki mieszało się zadziwienie.

ROZDZIAŁ 86

Przybywszy tam, gdzie dawniej znajdował się obóz budowniczych zapory, Sonja wysiadła z samochodu, prostowała się i patrzyła dokoła na wysokie paprocie, z których skapywał deszcz na zmurszałe pnie wielkich eukaliptusów ściętych dawno temu pod osadę. Za każdym razem robiła to samo: podnosiła wzrok i widziała nowe drzewa, które wyrosły od tamtego czasu. A potem, z dzieckiem na rękę i pudłem pod pachą, ruszała w objęcia smętnych, surowych odgłosów tasmańskiego lasu, ku skrzekowi czarnych kakadu i wołaniom kurawong, ku powolnym szmerom wiatru wysoko w zielonym baldachimie, i czasem zdawało się jej, że słyszy bardziej nietypowe dźwięki: matczyzny śpiew.

*Spanček zaspanček,
ćuden moźic
hodi ponoći,
nima nožic.*

I wtedy, z dzieckiem utulonym w ramionach, zaczynała śpiewać cicho, przepelniona miłością, piosenkę, słoweńską kołysankę, którą znała od tak dawna, że zatarło się w jej pamięci, kiedy się jej nauczyła:

*Lunica ziblje
aja, aj, aj,
spanček se smeje
aja, aj, aj.
Tiho se duri,
okna odpro,
v zibelko leže,
zatisne oko.
Lunica ziblje
aja, aj, aj,
spanček se smeje
aja, aj, aj.*

Najpierw długo upewniała się, że wybrała właściwe miejsce, następnie, już uspokojona, wbijała cztery patyki w mokrą, miękką, ciepłą ziemię. Wyjmowała z pudła duży zwój czerwonej wstążki i zakreślała

nią granice ich domu sprzed wielu lat. Każdy patyk rogiem budynku, na każdym zawiązana wstążka rozpięta między nim a sąsiednim. Potem wyjmowała koc, który rozkładała w środku pustki wytyczonej przez marszczącą się wstążkę, a na kocu sadzała swoją córeczkę.

Czasem zamykała oczy i wyobrażała sobie, że to bardzo dziwnie wygląda z daleka: rozmazana zielona plama lasu, a z przodu cienka krwawa strużka czerwonej wstążki, tam gdzie kiedyś żyła Maria ze swoimi nadziejami, których już nigdy nie poznają, a gdzie teraz siedziała ona ze swoją córeczką, poszukując tego, czego nigdy nie miały, koła w kołach w kołach, i aż kręciło jej się w głowie, tak wyraźnie to wszystko widziała. Czasem śniła na jawie, że otwiera oczy, a całą równinę jak okiem sięgnąć wypełniają prostokąty z czerwonej wstążki, w każdym z nich zaś siedzi rodzic z dzieckiem i mówi: „Tu był mój dom”, tak jak ona mówiła do swojej nic nierozumiejącej córeczki. „Kiedyś”.

Prostokąty z czerwonej wstążki ciągnące się w nieskończoność.

Potem przychodziła pora posiłku, więc Sonja wyjmowała lunch i najpierw karmiła małą, potem sama jadła. Na końcu wyjmowała z kartonu starą zniszczoną pozytywkę, którą nakręcała i stawiała na ziemi.

Wreszcie kładła się na boku, przyciskała dziecko do brzucha i powoli unosiła wieczko pozytywki stojącej tuż koło jej nosa. Rozbrzmiewała mechaniczna wersja *Walca syberyjskiego*. Baletnica rozpoczynała swoje wieczne piruety, koła w kołach w małym gabinecie luster, a w każdym lusterku drzewa lasu deszczowego, w którym powiesiła się matka Sonji, okazałe, ogromne eukaliptusy kołyszące się na wietrze.

Patrzyły obie zahipnotyzowane, za każdym razem tak samo, jak pokryta czarną laką szkatułka otula odbity w lusterkach las i jak na tle dzikiej przyrody obraca się i wiruje w tańcu zabawkowa baletnica, póki nie wyhamują, nie ucichną ostatnie tony *Walca syberyjskiego*. Wtedy Sonja zamykała szkatułkę i las odbity w lustrze natychmiast zniknął. Mała płakała zawiedziona.

Sonja przekręcała się na brzuch, czując pod sobą wilgotną ziemię. W oddali widziała las, mokry po ostatnich deszczach, połyskliwy jak zwierzę w smugach słońca przebijających się przez atramentowe chmury. Płacz dziecka cichł, w końcu ustawał zupełnie. Mała, siedząc na

kocu, patrzyła gapowato szeroko otwartymi oczami na matkę i pozostawał już tylko szum wiatru w olbrzymich eukaliptusach.

Sonja przykładła twarz do mokrej ziemi, do cierpkiego, żyznego torfu, który pokrywał twardą glinę i kwaśny żwir, i czuła na podbródku długie źdźbła zroszonej trawy. Przesuwała ustami i dłońmi po ziemi. Jej ciało płonęło jak ogień. Trawa muskała jej twarz. Kłaniający się agastachys z nanizanymi kroplami wody. Perły rosy rozsypane na jej policzkach.

Korale łaski. Leżąc tak, tuliła do siebie córkę i szeptała jej imię. Jej piękne imię.

— Maria — mówiła do ziemi. — Moja Maria.

Potem wsuwała palec w pulchną dziecięcą piąstkę i przyciągała ją do swoich drżących ust, bo jak miała kiedykolwiek opowiedzieć córce o tym, co wiedzą tylko ci, którzy to przeżyli?

Bo wydarzyło się to dawno, dawno temu w świecie, który szezł potem w torfie, w zapomnianą zimę na wyspie, o której niewielu słyszało. Zaczęło się przed tą porą, kiedy śnieg całkowicie i nieodwołalnie pokrywa ślady. Jak czarne chmury przesłaniają gwiazdy i rozświetlone księżycem niebo, jak najgęściejszy mrok otula szepczącą krainę.

Dokładnie w tej chwili, w której czas się przełamał.

